



***Historia służby w Powstaniu 1863/64
Porucznika Franciszka Longchamps de Berier
na podstawie opracowań i dokumentów historycznych***

Opracował Mieczysław Piotr Longchamps de Berier

**„ Obok Orła znak Pogoni
Poszli nasi w bój bez broni [...]
Niechaj Polska zna,
Jakich synów ma! „**

Wincenty Pol

**„ Poszli nasi w bój bez broni” ?
Nie, przykład osobisty, przykład życia i pamięć walki o to, żeby było godne, nie na kolanach - to
jest ta broń, którą mieli i którą dali następnym pokoleniom powstańcy.**

Prof. Andrzej Nowak

„Nie nie mogliśmy – ale nie umieliśmy”

Maurycy Mochnacki

**„Synku mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił -
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wieczystym padła znakiem
że, z nazwy Francuz, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem!”**

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Gorące podziękowania dla mojej synowej Lidki za jej inteligentną, mrówczą pracę, którą w wielkim stopniu przyczyniła się do nadania ostatecznego kształtu temu opracowaniu. DZIĘKUJĘ!!!

Autor

WSTĘP

W czerwcu 2011 w Muzeum Dworek Pola w Lublinie otwarto wystawę „Obco brzmiące nazwisko będziesz nosił ... Rodzina **Longchamps de Berier**„ której kuratorem była pani **Grażyna Poluszejko**. Poprzedziła ją więcej niż roczna kwerenda dokumentów i przedmiotów będących w posiadaniu członków rodziny dokonana przez p. kurator, ich ocena, a na końcu stworzenie trwającej przeszło pół roku wystawy oraz wydanie książki jej autorstwa. Przeglądając i porządkując dokumenty rodzinne, których jestem depozytariuszem wyodrębniłem część z nich pozostałą po **Franciszku III Longchamps de Berier** (1840 – 1914) a dotyczącą jego udziału w Powstaniu Styczniowym. Służył w różnych oddziałach przez prawie cały rok biorąc udział, jak sam podaje w 22 bitwach i potyczkach. Jest to dorobek niemały i godny upamiętnienia. Niestety dokumentów zachowało się niewiele i to dotyczących jedynie fragmentów służby. Jednak w liście Franciszka III do **Józefa Białyni Chołodeckiego** znajdujemy ramowy jej przebieg z podaniem nazwisk dowódców oddziałów.

Uznałem, że moim obowiązkiem jest odtworzenie przebiegu służby mego pradziadka ze względu na wyjątkowość jego osobowości i jego dokonań, a także - a może i przede wszystkim – opowiedzenia o nim jego prawnukom dla których jego służba społeczeństwu i Ojczyźnie powinna być wzorem i inspiracją życiową.

Przy opracowywaniu przyjąłem jako podstawę parę rodzajów źródeł. Pierwszeństwo miały autentyczne dokumenty związane bezpośrednio ze służbą, potem wzmianki w listach Franciszka III do najbliższych lub znajomych, dalej jego wspomnienia przekazane w pamiętnikach jego syna **Bogusława Longchamps de Berier**. Te źródła nazwałbym „autentycznymi„ wyrażającymi bezpośrednio wrażenia, zachowania i opinie Franciszka III. Resztę materiału stanowią opisy zdarzeń zawarte w ogólnodostępnych opracowaniach historycznych, dotyczących miejsc, oddziałów oraz dowódców, podanych w osobistych dokumentach Franciszka III, jednak szerzej przez niego nie omówionych. Jako zasadę przyjąłem przekazanie danej relacji, faktu lub zdarzenia z podaniem źródła wstrzymując się od komentarza. Uznałem, że nie mam odpowiedniej wiedzy historycznej i kompetencji by komentować przebieg zdarzeń. Relacje i opinie bezpośrednich świadków i uczestników powinny mówić same za siebie. Zdaję sobie sprawę, że podane opracowania stanowią niewielką część materiałów historycznych, ale moim głównym celem było przybliżenie i utrwalenie w świadomości potomków Franciszka III wyjątkowości postaci, zmiennych kolei losu i ich rzutującym na całe jego życie związku z uczestnictwem w Powstaniu Styczniowym.

Kalendarium służby por. Franciszka Longchamps de Berier w Powstaniu Styczniowym 1863 rok

7.III. wyjście ze **Lwowa** do oddziału **Leona Czechowskiego**

Świtarzew k/Sokala

15.III. **Luchów**, przejście granicy

Tarnogród, Stare Króle, Księżopol, Biszcz

19.III. **Naklik, Krzeszów**

20.III. **Potok Górny** – bitwa, **Wólka Biska-** przekroczenie rzeki Tanwi, **Susza** – bitwa, **Ruda Solska**

21.III. **Huta Krzeszowska, Ciosmy** (Las ciosmański) – bitwa, **Ulanów** – granica odwrót do Galicji.

IV. **Sokoliki** nad Sanem majątek Dybowskich

12.V. **Rybnica** nad rzeką Tanwią, granica, oddział **Żalplachty - Zapalowicza**

14.V. wymarsz z Rybnicy

15.V. **Krasnobród, Tarnawatka, Dzierżnia**

18.V. **Wozuczyn, Czartowczyk, Tyszowce** - bitwa

19.V. **Tuczapy, Mołożów** – bitwa, **Turkowice-** odwrót – granica **Belz**

1.VI. około **Sokoliki** nad Sanem

25.VI. około wyjazd do **gen Wysockiego**, pod **Radziwiłów** (bitwa 2.VII.) nie zdążył

VIII. granica nad rzeką Zbrucz oddział **gen. Hr. Gołuchowskiego**

25.X około **Skomorochy** obóz oddziału żuawów śmierci **Rochebruna - Komorowskiego**

1.XI.**Zdżary** wymarsz ku granicy

2.XI.**Poryck** przekroczenie granicy – bitwa

3.XI **Baranie Peretoki** – bitwa – odwrót – przekroczenie granicy

6.XI **Świtarzew** zwolnienie z oddziału **plk,Komorowskiego**

Służba w oddziale żandarmerii konnej dowódca **Adolf Otto (Junosza)**

11.XI **Ciotusza** ? - bitwa

20.XI **Malinówka (Sawin)** bitwa

Maziarnia Strzelecka ? – bitwa

26.XI **Garbów** - bitwa

9.XII służba w oddziale jazdy ruskiej dowódca **mjr Poniński**

11.XII **Dubienka (Krynka)** - bitwa

12.XII **Kładniew (Kładniw)** – bitwa Wołyń

13.XII **Werba (Wremba)** - bitwa

25.XII **Kock** – bitwa

29.XII **Tarnów** list do rodziców

31.XII *Ossowa* - bitwa

31.XII *Mała Bukowa (Łukówek ?)* - bitwa

6.I.64 *Uścimów* - bitwa

13.I *Kierz* – bitwa

13.I *Sosnowica* nominacja na porucznika ułanów litewskich

14.I *Łubki* - bitwa

16.I *Rudnia (Iłowa,Łukówek)* – bitwa

19.I *Rudka Korybutowa (Rudka Starościńska)* – bitwa, rozbięcie oddziału, dowódca **plk Wróblewski**

25.I urlop ze służby podpisał **mjr Ejtmminowicz**

1.II przekroczenie granicy w drodze do *Lwowa*

Longchamps, Lonszan, de Berrier Franciszek (1840-1914) – syn Bogusława, oficera z 1831. W powstaniu 1863 oficer, porucznik pod rozkazami **Leona Czechowskiego, Żalplachty, Borelowskiego, Komorowskiego i Walerego Wróblewskiego**. Walczył w 22 bitwach, m.in. pod *Księżopolem, Hutą Grabowem, Małą Bukową, Uścimowem, Jedlanką, Lublinem, Wojciechowem* itd. Po powstaniu urzędnik kolejowy. Zmarł w *Ławocznem* w lutym.

Longchampsowa de Berrier Bogusławowa żona weter. z r. 1831 i dra. medyc. we Lwowie, wysławszy dwóch synów swoich na plac boju pracowała w organiz. a dom ich był zawsze otwarty dla partyzantów dążących do obozu, lub powracających z wyprawy.

Longchampsowa de Berrier Wincentowa z domu **Polówna**, żona inżyniera w *Przemyślu*, pełna płomiennej miłości ojczyzny, wyprawiwszy synów do obozu, pracowała z całym poświęceniem dla organiz., otworzyła dom swój dla narad komitetu, dla wyrobu naboju i preparatów szpitalnych

Księga Pamiątkowa... Józef Białynia Chołodecki Lwów 1918

Dowiaduję się z gazet że W. Pan wydaje księgę pamiątkową z r.1863/64.* Ponieważ i ja miałem szczęście brać udział w tej wojnie, więc godzi się abym czem mogę przyczynił się do Pańskiej pracy. Służyłem w oddziale pułkownika **Czechowskiego**, potem majora **Zapałowicza** , później wybrałem się do oddziału **Wysockiego**, ale przybywszy na granicę dowiedziałem się że oddział rozbity.

Ztąd zabrał mnie generał **hr. Gołuchowski** do siebie, bo jak utrzymywał miał zaraz przekroczyć granicę. Zobaczywszy jednak że Gołuchowski nigdy nie zdecyduje się przekroczyć granicy opuściłem jego szeregi i zaciągnąłem się do oddziału **Rochebruna** i **hr. Komorowskiego**.

Później służyłem pod **Otonem** przy żandarmerji, kiedy zorganizował się oddział ruski pod komendą majora **hr. Ponińskiego** przeszedłem z nim granicę i brałem z połączonym z nami oddziałem **Junoszy**, pod naczelną Komendą **Walerego Wróblewskiego** Naczelnika wojsk Województwa Grodzieńskiego udział czynny jako porucznik jazdy aż do końca powstania.

W oddziale **hr. Gołuchowskiego** byłem używany jako instruktor.

W oddziale **hr. Komorowskiego** jak świadczy odpis udzielonego mi urlopu przez szefa mego batalionu Majora **Fr. Oldinaja** byłem podporucznikiem. Toż samo potwierdza odpis świadectwa kapitana mego **Jana Czarneckiego** obecnie agenta krakowskiej asekuracji w *Skalacie*. Ponieważ świadectwo to

opisuje i moment starcia naszego z Moskalami, więc posyłam go w odpisie JW. Panu a w razie potrzeby mogę służyć i oryginałem. Zresztą jak powiedziałem p. Jan Czarnecki w *Skalacie* żyje i mieszka.

W ciągu służby mojej w wojnie 1863/64 byłem 22 razy w ogniu – straciłem dwa konie a sam byłem dość ciężko kontuzjowany.

1. List Franciszka LdeB do Chołodeckiego.

• „Księga Pamiątkowa opracowana staraniem Komitetu Obywatelskiego w czterdziestą rocznicę powstania r. 1863/64 „
Józef Białynia Chołodecki 1852 – 1934

W oddziale

...Organizował się właśnie oddział większy i lepiej w broń wyposażony, który pod dowództwem **Leona Czechowskiego**, byłego organizatora gwardii z r. 1848, wkroczyć miał w Lubelskie. Było to w pierwszych dniach marca. Po ulicach **Lwowa** kręciła się młodzież o wyglądzie marsowym, migwały burki powstańcze, na pół wojskowe rogatywki i wysokie buty. Skupowano różne lederwerki, siodła, ładownice. Wyszukiwaliśmy po sklepach najpraktyczniejsze myśliwskie manierki, a po rodzinach szyto jedwabne koszule, pozwalające obywać się długo bez zmiany bielizny.

Już w dniach od 8 do 10 marca wyjechało wielu najbliższych: **Antoni Wasilewski, Tadeusz Romanowicz**, trzej **Czerkawscy**, **Karol Lewakowski**, **Zenon Lewicki**, **Franciszek Longchamps**, **Karol Maszkowski**, **Stanisław Chmurowicz** i inni. Napływ ochotników okazał się tak gwałtowny, że musiano wyjazd dalszych wstrzymać, bo reszty broni nie było jeszcze na miejscu.

Juliusz Stark Kronika Powszechna Nr 5 1913

... w sobotę, 7. III. 1863 wyszedł (do powstania przyp. autora) także **Franio Longchamps**...

*Zofia Romanowiczówna „Z dni krwi i łez „ (1863 – 1864) Lwów Pamiętnik
Klaudynka, przyjaciółka Wandy Longchamps de Berier z d. Dybowskiej, żony Franciszka.*

„na wskroś już polską jest piosenka powstańcza *W krwawym polu srebrne ptaszę* napisana przez **Wincentego Pola**. Melodię do niej stworzyła taka okoliczność, jak odmarsz kilku młodych ochotników na pole walki. W lwowskim salonie państwa **Longchamps’ów**, których syn wybierał się z kolegami **Zenonem Lewickim** i **Ludwikiem Weberem** na pole walki, zebrali się między innymi na pożegnalny wieczór **Wincenty Pol**, **August Bielowski** i **Alfred Czarnota Bojarski**, inżynier budownictwa miejskiego, kapitan Gwardii Narodowej i muzyk amator. W pewnym momencie sięgnął **Bojarski** po gitarę i zaimprovizował mazurka, do którego dorobił **Pol** tekst na miejscu, wplatając go do toastu na cześć młodzieńców odchodzących do szeregów.

Mieczysław Opalek „O Lwowie mojej młodości” Ossolineum 1987

Ojciec opowiadał o powstaniu. Wyszedł z domu dziadków ze Lwowa w lutym. Wieczorem gdy go żegnali, kuzyn **Alfred Bojarski** do zaimprovizowanych wówczas słów **Wincentego Pola** „W krwawym polu srebrne ptaszę,, zaimprovizował także melodię, dziś prawie zapomnianą, lecz śpiewaną wtedy w oddziałach, i w kilkadziesiąt lat jeszcze potem.

Opowiadał Ojciec, jak nad granicą, koło **Sokala**, w zabudowaniach **Świtarzowa** cały oddział kilkaset koni, znalazł pomieszczenie, a ludzie znakomite przyjęcie, jak wielkiej urody pani domu dla każdego oficera i żołnierza rozdawała woreczki, w których były owoce pieczywo i jarzyny, jak oficerowie napominali, aby otwierać je dopiero po przejściu granicy i oszczędzać bo nie wiadomo kiedy będą mogli popasać, jak jeden z powstańców Żyd, otworzył zaraz swój woreczek i ku szalonej uciechu szwadronu pomiędzy łakociami znalazł wianek cebuli.

Na przeprawie przez Bug dogonił ich poważny pan radca sądowy **Pomersbach**, którego syn już był jednak za rzeką. „Pomersbach, mein sohn was suchst du dorten „– wołał z rozpaczą pan radca, a syn odkrzykiwał mu z drugiego brzegu po polsku przeprosiny, ale wołał że „ojczyzna pierwsza „.

W jakiś czas potem, koło **Tomaszowa** już się bili

Oddział płk. **Leona Czechowskiego** składający się z ochotników – mieszkańców **Lwowa** i innych miast Galicji – zorganizował się pod **Cieszanowem** w okolicach **Sieniawy**, liczył około 800 piechoty i 50 jazdy. Granicę zaboru rosyjskiego przeszedł w niedzielę 15 marca koło **Luchowa**. Zajęli **Tarnogród** i wzdłuż granicy ruszyli na zachód przez **Króle**, **Księżopol**, **Biszcze**, zatrzymując się 19 marca w **Nakliku** i **Krzeszowie**. W piątek 20 marca około godziny ósmej pod **Potokiem Górnym** rozpoczęła się pierwsza bitwa oddziału **Czechowskiego**. Komendant rosyjskiej załogi Janowa płk. **Miednikow** wysłał naprzeciw niemu 2 kolumny wojska pod dowództwem kpt. **Zawadskiego** i mjr. **Szternberga**. Strzelanina trwała do południa. Poległo 2 powstańców a 5 zostało rannych. Oddział wraz z rannymi i poległymi, których ułożono na wozach wyruszył w kierunku wsi **Wólka Biska**. Po przekroczeniu rzeki **Tanwi** w pobliżu wsi **Susza** założono obóz. Około godziny 15 Rosjanie znowu zaatakowali. Walka trwała do 18 rannych zostało 3 powstańców. Natychmiast po walce Czechowski zarządził wymarsz w kierunku wsi **Ruda Solska** gdzie oddział dotarł około godziny 23. W sobotę 21 marca Rosjan wsparł nowymi siłami płk. **Miednikow**. Powstańcy wycofali się w kierunku **Huty Krzeszowskiej**. Około południa podczas przemarszu przez **Las Ciosmański** zostali zaatakowani przez grupę mjr. **Szternberga**. Walka trwała do godzin wieczornych. Ostatnie starcie miało miejsce pod **Ulanowem**. Poległo ponad 20 powstańców a wielu innych zmarło wkrótce od ran odniesionych w bitwie.

Nastąpił odwrót zdziesiątkowanego oddziału, przekroczenie granicy austriackiej i rozbrojenie przez Austriaków. Płk. Czechowski został aresztowany i uwięziony w **Przemysłu**. Wyszedł na wolność w 1866r. Zmarł 6 czerwca 1888 r.

Bogusław Longchamps de Berier „Ochrzczony na szablach powstańczych... Wspomnienia (1884-1919)

W marcu r. 1863 spotykamy **Żalplachtę** pod nazwiskiem **Zapałowicza** w oddziale pułkownika **Leona Czechowskiego**. Mianowany majorem podążył pierwszy na plac zboru zwany „Tartakiem” w lasach **Oleszyc** i tam porządkował i szeregował nadciągających ochotników, a dopiero gdy oddział był przygotowanym, zawiadomił naczelnika o konieczności przybycia do obozu.

W dniu 15 marca rozdano broń, amunicję i przybory wojenne, ks. **Bernard Bulsiewicz** z zakonu OO. Bernardynów odprawił nabożeństwo, przemówił gorąco i pobłogosławił na drogę zszeregowane oddziały, po czym nastąpiło zaprzysiężenie młodych bojowników. Podniósłszy prawicę do góry, odczytał Żalplachta z nastrojem ducha rotę przysięgi, która zebrani głośno powtórzyli.

Nazajutrz o godzinie 9 rano przekroczyły oddziały granice Królestwa i pożegnały pochyleniem chorągwi rodzinne strony.

Składały się one z 700 pieszych i 50 konnych. Piechotę podzielono na dwa bataliony, każdy po cztery kompanie, z których dwie pierwsze były kompaniami strzelców. Odznaczała się pierwsza kompania drugiego batalionu, złożona z doborowej młodzieży, a znana pod nazwą „trupie główki” z powodu takich że odznak na kaskach.

Batalionami dowodzili: jednym major Jan Żalplachta (Zapałowicz), drugim major **Władysław Englert**, po tego śmierci zaś major **Leszek Dąbcański**. Czwarty major **N. Zborowski** pełnił obowiązki szefa sztabu przy Czechowskim.

Niezwykłym zjawiskiem była w obozie młoda partyzantka: **Apolonia z Grzywińskich Fiałkowska**, przydzielona do drugiego batalionu majora Dąbcańskiego, piątej kompanii strzelców. O tej ostatniej znajdujemy wzmiankę w „Opowieści obozowej” **Alfreda Potockiego**.

... Podczas sądu wojennego. Odbywającego się nad junkrem, ujrzałem łzy w oczach stojącego obok młodzieńczego a przystojnego kolegi. Był on w obozie wraz z ojcem i dwoma jeszcze braćmi. Dziwnie mnie zawsze pociągała ta rycerska czwórka tułaczy, z ogniem zapалу w rozgorzałych źrenicach, karna i odważna.

Raz, podczas długiego marszu, przechodząc obok wozu, na którym jechał mój młody „przystojny” jak rzekłem towarzysz, usłyszałem zapytanie:

-Czyś głodny kolego?

- Jak wilk w poście – odparłem, otrzymując za chwilę trochę pożywienia.

I nigdy bym nie był przypuścił, że powstańcem tym była dziewczyna.

Dowiedziałem się o tym później przypadkowo.

Opuściła dom wraz z ojcem i braćmi, by dzielić z nimi wojenne koleje i krzepić duszę nadzieją wolności!...

W powyższej obozowej opowieści zaszła o tyle pomyłka autora. Iż ów „przystojny” partyzant nie był dziewczyna, lecz młoda, zaledwie 21 lat życia licząca mężatką.

Sąd wojenny, o którym wyżej mowa, nader to przykra sprawa, jaka rozegrała się wśród szeregow Czechowskiego. Wciągnął się tamże na listę bojowników junkier wojska rosyjskiego – wedle wszelkich

danych **Seweryn Wierciński** – który uwięziony poprzednio przez Moskali, za udział w organizacji narodowej, uciekł przez okno po prześcieradłach z twierdzy Zamościa i stanął do szeregu. Odważny śmiały przedsiębiorczy, energiczny, pretendował o komendę kompanii w oddziałach powstańczych. Komendę oddano tymczasem **Janowi Lamowi**. Zarządzenie to wzburzyło do najwyższego stopnia młodzieńca rozgoryczonego przebytymi już w więzieniu cierpieniami. W sprzeczce chwycił za pistolet i skierował go na szefa sztabu majora **Zborowskiego**.

Złożono sąd wojenny, a ten skazał popędliwego młodzieńca na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Czechowski kazał wystąpić szeregom pod broń i uformować czworobok, poczym odczytano junkrowi wyrok sądu wojennego.

Chwila głuchej ciszy...

Zabrał głos pułkownik Czechowski i z mocy przywileju wodza, zmienił wyrok śmierci na wydalenie z szeregów walczących o wolność rodaków

Lekki szmer przeleciał po czworoboku...

- Przyjmiemy go jako szeregowca do naszego oddziału – zameldowała jedna z kompanii dowódcy, a ten zgodził się na jej prośbę.

Wierciński walczył później dzielnie, przeszedł następnie pod komendę generała **Jeziorańskiego**, i aczkolwiek nie dosłużył się wyższej rangi, stwierdził licznymi ranami – na samej głowie siedem cięć pałasza – iż podkładem niemiłej afery, nie była chęć dogodzenia własnej ambicji, lecz wewnętrzne poczucie, iż zdoła jako oficer i komendant, spełnić lepiej aniżeli podkomendny swoje zadanie.

Nie wiedział wówczas Wierciński, iż złagodzenie wyroku zawdzięczał majorom **Żalplachcie**, **Dąbcazańskiemu** i **Zborowskiemu**, którzy nie chcieli krwią i życiem, zasłużonego zresztą ziomka inaugurować występ oddziałów na pole walki.

Józef Białynia – Chołodecki „Dąb-Dąbczyńscy i Jan Żalplachta. Przyczynki do dziejów Powstania Styczniowego” Lwów

W oddziale **Czechowskiego** znany był sztabskapitan rosyjski **Nikeforów**, który sam nazywał się **Rykowem**. Siadywał on często w lesie pod drzewem, otwierał torebkę z tytoniem i oddzielną skrytkę na papiery, pisywał coś w tajemnicy, oddalał się i wracał. Odziany był w granatowa barania kapotę, wysoką baranią czapkę i czerwoną koszulę. Na oczach miał ciemne okulary. Podczas bitwy rozpinał się tak, iż czerwona koszula z daleka padała w oko. Po śmierci majora **Englerta** i jednego z kapitanów, objął na własną prośbę po nim komendę, a w bitwie pod **Huta Krzeszowską** prowadził do walki grupę, złożoną przeważnie z młodzieży akademickiej. Oddziałek ten, oderwany, walczył na boku wśród leśnego zrębu osaczony przez nieprzyjaciela. Nikiforow wołał bez przerwy „kapitan Ryków naprzód”! pozostawał jednak stale w tyle w rozpiętej kapocie i czerwonej koszuli. Nie było u mnie żadnej wątpliwości, iż kryje się poza tym umówiona z przeciwnikiem akcja. Przyskoczyłem do Nikeforowa z rewolwerem i zagroziłem mu śmiercią, jeśli nie przeprowadzi młodzieży do ataku. „Niech kolega sam prowadzi” odrzekł i ustąpił z miejsca. Przy pomocy **Pawlikowskiego**, tudzież **Bogusza z Buniowic**, który wzięty później pod **Radziwillowem** do niewoli, zmarł na Syberii, wydobyła

się młodzież po trzykrotnym natarciu z matni.

Po przejściu oddziału do Galicji jechałem z *Ulanowa* przez *Rzeszów*, *Przemyśl* do *Ustrzyk*. W *Chyrowie* spotkałem Nikeforowa w sprzeczce z poczmistrzem, który z powodu niegrzecznego zachowania się odmówił mu biletu w szybkowozie. Nikeforów podążył wynajętymi końmi w Sanockie i zjechał do **Jana Terleckiego** w *Smolniku* koło *Żurawina*, w pobliżu mego miejsca pobytu. Terlecki służył pod Czechowskim, i stąd znał Nikeforowa. Ostrzegłem listownie **Terleckiego**, iż Nikeforów podejrzany jest o szpiegostwo. Był najwyższy czas do wkroczenia, gdyż Nikeforów miał zamiar zebrać oddział młodzieży Sanockiej i wyprowadzić go na łup Moskali. Na skutek mego listu wdrożono dochodzenie, otoczono Nikeforowa nadzorem organizacji narodowej, wysłano pod pozorem służbowym do *Lwowa*, a stamtąd dalej do obozu **Marcina Lelewela Borelowskiego** i zebrawszy dowody winy oddano tutaj pod sąd wojenny pod przewodnictwem kapitana audytora **Mieczysława Romanowskiego**. Z mocy wyroku tego sądu został Nikeforów powieszony.

Imiennika jego, drugiego kapitana Nikeforowa kazał powiesić pułkownik **Dionizy Czachowski**.

Józef Białynia – Cholodecki „Dąb-Dąbczyński i Jan Żalplachta. Przyczynki do dziejów Powstania Styczniowego” Lwów A, Strzemięńczyk - Gólkowski

Z POTYCZEK PARTII CZECHOWSKIEGO

Partia **Czechowskiego**, złożona z 500 – 600 ludzi (w przeważnej części uzbrojonych w dobrą broń gwintowaną) wkroczyła do Królestwa 15.III.1863 r. pod *Lichowem* w pobliżu *Tarnobrzega*.

W jednej z tych potyczek oddział rosyjskich dragonów zaatakował prawe skrzydło powstańców, o które opierał się zwarty oddział porucznika **Augusta Zielińskiego**. Skoro porucznik Zieliński zobaczył, że jazda nieprzyjacielska pędzi na niego, zakomenderował, nie namyślając się długo: „bagnety na broń!”, i poprowadził pędem swych ludzi do ataku na nią. Nastąpiło starcie. Wiele koni padło od pchnięć bagnetów i to skłoniło resztę dragonów rosyjskich do ucieczki. To zuchwałe uderzenie, z odpowiednio głośnym „ hurra!”, zapaliło i resztę powstańców. Przeszli oni do ataku i zmusili nieprzyjaciela do ucieczki. (epizod ten miał miejsce pod *Jedlinkami {Potokiem Górnym aut.}* w dn. 21.III.1863 r.).

W innej akcji strzelcy Czechowskiego stali w łańcuchu tyralierskim w pogotowiu bojowym na krańcu lasu. Moskale podchodzili ku nim w linii powoli. Na skraju ich lewego skrzydła szedł oficer, pilnie obserwujący przez lunetę. Jeden z polskich oficerów, stojący naprzeciw niego, zauważywszy go, przyrzekł temu ze strzelców, który go położy 20 kopiejek. Pewien bardzo młody strzelec, który wtedy stanął po raz pierwszy do boju, zażądał rubla. „ Dobrze, dam rubla, jeżeli go położysz”. Odległość strzału wynosiła jakie 500 kroków. Młodzieniec złożył się, zmierzył i wystrzelił. Oficer padł. Młodzieniec zaraz zażądał rubla, ponieważ nikt nie mógł wiedzieć co w najbliższych minutach i jego i oficera spotkać może, i otrzymał go. Ten pierwszy strzał tak podziałał na nieprzyjaciela, że bez

wielkiego oporu zabrał się do odwrotu. (Fakt ten zdarzył się w tejże samej potyczce).

Czechowski na wiadomość, że pod wieczór następnego dnia koło pobliskiej wsi będzie przejeżdżał oddział kozaków i to nie przez jej główną ulicę, lecz droga boczną, przebiegającej koło samej wsi, otoczona z jednej strony płotami ogrodów a z drugiej strony silnym płotem, zdecydował się na urządzenie zasadzki w ogrodach i poza płotem.

Kiedy jednak oznaczona na przejazd kozaków godzina minęła, i noc poczęła zapadać, uznał za stosowne mimo czynionych mu uwag, powrócić do obozu i wydał rozkazy, aby wojsko z zasadzki zebrało się na drodze. Rozkaz ten zaczęto wykonywać, aż tu ze strony nieprzyjaciela padło kilka strzałów i rozległo się wołanie kozaka. Prawie równocześnie kozacy w pełnym pędzie przebiegli drogę. Posłano za nimi kilka strzałów ale bez skutku. Gdyby Czechowski był wyczekał trochę dłużej, kozacy na pewno przejeżdżali by wolno i można by ich było zaskoczyć ogniem, a z najbliższej odległości wybić wszystkich prawie do nogi.

ODWRÓT **CZECHOWSKIEGO** NA TEREN GALICYJSKI

Czechowski, człowiek wielkiej wojny, ze szkoły powstania listopadowego, pozwolił się w marcu, nielicznym jeszcze wówczas Rosjanom zepchnąć nad samą granicę galicyjską. Granicę tę tworzył potok płynący w głębokim korycie, który wdzierał się na teren galicyjski wielkim łukiem, opasując duży półwysep ziemi Królestwa Kongresowego. Na najbardziej wygiętej części tego łuku obozowała partia Czechowskiego. Półgodziny drogi od obozu, po jego prawej, względnie wschodniej stronie, znajdowała się wieś. Łatwo było odgadnąć, że nieprzyjaciel idąc w ślad za Polakami, zamknie całą cięciwę tego łuku. Adiutant, przydzielonego wówczas Czechowskiemu **majora Ruckiego**, który właśnie wtedy był nieobecny, były Austriacki oficer, przedstawiał dowódcy istotny stan rzeczy i starał się go skłonić do jakiegokolwiek decyzji. Czechowski odprawił go z gniewem, zarzucając mu tchórzostwo. Przyszła noc. We wspomnianej wsi zaczęły psy tak bez przerwy i zajadle ujaść, że już po tym można było wyraźnie rozpoznać zbliżanie się nieprzyjaciela. Po upływie więcej niż godziny dały się słyszeć stamtąd sygnały trąbek, a potem na lewo stamtąd a więc na północ od obozu, szereg świstań, następujących w pewnych odstępach po sobie a pochodzących z miejsc ciągnących się łukiem od obozu. Wszyscy oficerowie powstańczy zwrócili się natarczywie do swego starego dowódcy z żądaniem aby coś przedsięwziął przeciw widocznemu osaczeniu. Czechowski widocznie stracił głowę i powierzył komendę staremu kapitanowi również z wojny 1831 roku, a ten oddał dyspozycje w ręce wspomnianego powyżej adiutanta, dając mu zupełną swobodę działania. Adiutant osłonił swą pozycję od strony nieprzyjaciela przez wystawioną w ukryciu placówkę, złożoną z jazdy i kilku piechurów. Resztę ludzi ustawił on na brzegu parowu, utworzonego przez łożysko potoku, i z pomocą paru posiadanych narzędzi (w partii nie było oddziału technicznego) oraz bronią i gołymi rękami nakazał im ściąć dojazd tak, że było można po nim jechać; nasz adiutant pracował przy tym nieustraszenie. Po upływie dwóch godzin dzieło było gotowe. Wozy wjechały na teren austriacki,

a za nimi grupkami postępował oddział, nie ścigany przez Rosjan i bez przeszkody ze strony austriackiej. Po dokonanej szczęśliwie przeprawie za kordon nasz adiutant chciał wydać rozkazy przeprowadzenia partii w innym miejscu z powrotem do Królestwa, ale tu ludzie odmówili mu posłuszeństwa. Porwał on wtedy za rewolwer przeciwko podżegaczom i wezwał żołnierzy do posłuszeństwa. W odpowiedzi na to ze wszystkich stron skierowano przeciwko niemu bagnety. Wówczas wezwał on na świadków szesnastu ze szlachty, którzy nie przyłączyli się do buntu, naładował tyle zapasowych karabinów, ile było można zmieścić na bryczkę jednego z przyjaciół i razem z nim przewiózł je przez las na inne puste miejsce nad granicą, gdzie je zakopali; następnie obaj, każdy na własną rękę, wrócili na razie do domów.

Franciszek L. von Erlach „Partyzantka w Polsce w r. 1863”

Jest chłodna noc 21 marca 1863 roku. Powstańcy zostali przyparci przez rosyjskie kolumny marszowe **Miednikowa** i **Sternberga** do granicy austriackiej. Na załączonej do raportu mapce szkicuje Szwajcar łuk granicznego potoku, jak pisze, płynącego głębokim parowem. W środku łuku posterunek graniczny, dalej są rotty rosyjskie, po cięciwie krzywizny rzeczki ryglujące kocioł. Dla pełnego obrazu oglądanego przez ścigany oddział dodać trzeba łunę wrażeń ogni obozowych, głosy trąbek i bębnow wojskowych, porządkujących gdzieś w ciemności carskie oddziały szykujące się do ataku. Denerwuje też powstańców nieustanny jazgot przerażonych psów w wioskach, sygnalizujący zbliżanie się kolejnych wrogich kolumn. Dalej pracuje już nie logika, a wyobraźnia.

W takiej atmosferze wybucha w oddziale spór o to, co robić. Czy przekroczyć granice galicyjską, przejść kilkanaście kilometrów na północ bądź południe i na teren walk powrócić, czy uznać wyprawę za skończoną? Przeważają głosy tych, którzy uznali, że pora wracać do domu. Oddział wyszukuje przemysłowy bród na rzeczce, łopatami nieco ścina nadbrzeżne skarpy, aby mogły przejechać wozy, i nad ranem jest już w Galicji. Po bezpiecznej stronie granicy spór odżywa na nowo. Jak po takich przygotowaniach, wydatkach rodzin na wyposażenie i uzbrojenie powstańców, po niecałym tygodniu powrócić do domu. Po co? Na pośmiewisko? Większość już nie chce wojować. Co innego pozować ze sztucerem we Lwowie u fotografa, a co innego czuć w dłoni tę broń rozgrzana w bitwie do czerwoności. Wtedy, jak pisze **Erlach**, stary austriacki oficer w powstaniu, adiutant **Ruckiego**, ładuje całą broń na bryczkę i z jednym tylko towarzyszem odjeżdża w las. Gdzieś też nad rzeczką broń zakopuje...

Granica w interesującym nas miejscu wiosna roku 1863 była sprawa raczej iluzoryczną. Austriacy bowiem zacierali ręce widząc rosyjskie kłopoty wewnętrzne, i ruch zasilający powstanie w ludzi i broń odbywał się przez granice niemal otwarcie. Czechowski i jego partia weszli do zaboru rosyjskiego stałym konspiracyjnym kanałem przerzutowym w okolicy **Rudy Różanieckiej**, zażywwszy zapewne uprzednio gościny u właścicieli tamtejszego majątku państwa **Brunickich**. 15 marca, w niedzielę, są już w Królestwie w **Tarnogrodzie**. Dalej maszerują do linii **Tanwii** i w wiosce **Króle** sekrecja na południe, omijając rosyjski garnizon w **Bilgoraju**. Maszerują na **Księżopol**, **Biszczę**, **Naklik**, **Potok**

Górny. Tu też 20 marca toczą swoją pierwszą w tej kampanii bitwę z Rosjanami....

Po bitwie odskakują w kierunku **Wólki Biskiej** i forsują **Tanew** w rejonie wsi **Susza**. Tu próbują rozłożyć obóz, ale kozacy znowu nie dają im spokoju. Czechowski zarządza wymarsz w kierunku **Rudy Solskiej** i dalej do **Huty Krzeszowskiej**. Jest sobota 21 marca. W lesie pod wsią **Ciosmy** znowu walczą z nieustępliwymi prześladowcami. Ginie dwudziestu ludzi, wielu rannych umiera, zostają przed nocą przyparci do granicznej rzeczki i wtedy rozgrywają się sceny opisane przez Erlacha. Szczerze mówiąc nie dziwię się tym, którzy po dramatycznym tygodniu bez snu i ciepłej strawy mieli dosyć walki i chcieli już tylko powrotu do domu.

Rzuciwszy okiem na przebieg granicy rosyjsko – austriackiej na tym obszarze, stosunkowo prosto możemy wytypować miejsca do szczegółowych badań. Za **Tarnogrodem** odbijała ona na północny wschód i biegła generalnie lasem. Później wracała nurtem **Tanwii** na zachód w kierunku **Sanu**. Takie więc są ramy makro dla lokalizacji szkicu Franza von Erlacha. Ramy precyzyjne zaś nakreślili mi życzliwie koledzy z **Janowa Lubelskiego** doskonale znający te okolice i bieg dawnej granicy jest tylko kilkukilometrowy jej fragment wpisany w potok, resztę wytyczono łądem. Dojechać trzeba do miejscowości **Posieraków (Pólsieraków aut.)**, minąć wieś i dobić do potoku płynącego na granicy lasu. Dziś potok nazwy nie ma. Kiedyś nazywał się **Turzyk**....

Wróćmy jednak do bryczki pełnej broni. Historycznie rzecz biorąc, na **Turzyku** istniało lokalne przejście graniczne pomiędzy Królestwem a Galicją. Nad brzegiem stała rosyjska strażnica z posterunkiem celnym, a jej fundamenty są do dzisiaj rozpoznawalne. Jednak wraz z wybuchem powstania niemal wszystkie takie placówki zostały spalone, a ich załogi wybite. Pytanie tylko, czy dotyczy to **Posierakowa**. Rosyjskie źródła milczą na ten temat, bo i czym się tu chwalić. Zważywszy jednak na odległość od bazy wojskowej w Janowie i komunikację dzikimi bezdrożami, raczej stacja nie miała szans się utrzymać. Jestem też przekonany, że idący w pościg za **Czechowskim, Sternberg i Miednikow**, w nocy 21 marca 1863 roku, w pierwszej kolejności zablokowali ten wygodny trakt i bród. Jeżeli tak, Czechowski musiał zrobić to, co i my, czyli powędrować w górę rzeczki. Wiedzieliśmy też, czego szukamy, idąc łąkami tuż obok „kozackiej drogi”, po której przemieszczały się zwykle w czasach pokoju patrole graniczne. I nagle wszystko jasne. Jak na rysunku Szwajcara **Turzyk** wygina się w łuk, nadbrzeżna skarpa łagodnieje, można rozpoznać wkop ścinający dla wozów, jej burtę. Jeżeli powtórzy się to po drugiej stronie, to mamy przed sobą powstańczy bród. Emocja jest taka, że nie zważamy na lodowatą wodę i w butach forsujemy mieliznę. Pod nogami żadnego błota. Twardo. A najważniejsze, że galicyjski brzeg też wyraźnie wypłaszczony, ścięty i rozwinięty w przecinkę prowadzącą do identycznej jak kozacka granicznej austriackiej drogi.

Tu gdzieś musiał odżyć spór: kończyć wyprawę czy wojować dalej, i stąd ów oficer musiał odjechać bryczką. To jedna jedyna droga, którą w tej głuszy można się było, inaczej niż pieszo, poruszać. I zapewne nie odjechał daleko. Ponieważ dla Rosjan granica nie stanowiła obiektu specjalnego szacunku, ów wiozący broń oficer miał prawo zakładać, że lada moment spotka się lufa w lufę z kozakami. Raptem do przeszukania jest może kilometr i to po jednej stronie traktu. Druga bowiem

strona, ta od granicznej rzeczki, opada w błota i nikt rozsądny nie deponowałby tam niczego.

*Adam Sikorski „Mapa tajemnic Kronika zwiadowców historii **Franza von Erlacha** rebusy dla poszukiwaczy”*

Mjr **Jan Żalplachta PS.” Zapalowicz”**, ur. 1834 zm. 1894, podporucznik artylerii w armii austriackiej, wystąpił z wojska i zaciągnął się do oddziału płk. **Leona Czechowskiego**. Służył u niego w stopniu majora jako dowódca batalionu. Po jego klęsce sformował w Biłgorajskim własny 300 osobowy oddział. W okolicach **Krasnobrodu** przyłączyła się do niego licząca około 300 zbrojnych kompania **Jana Czerwińskiego** a także grupa kosynierów prowadzona przez sołtysa z **Godziszewa – Pawła Paradę** a w okolicach Dzierżążni 140 osobowy oddział Podolaków **Leszka Wiśniewskiego**. W sumie, pod komendą mjr. **Żalplachty – Zapalowicza** było około 1000 zbrojnych powstańców.

... W maju d. 14 z matką moją, z panną **Felicią Wasilewską** i kilku innymi paniami i panami, znalazłam się na łąkach nad **Tanwią** stanowiąca tam granicę od rosyjskiego zaboru nieopodal **Rudy Rożanieckiej**. Po drugiej stronie był obóz powstańczy. Przez srebrną wstęgę rzeki, przez koronki krzewów patrzyliśmy na chłopców naszych, nie bardzo umundurowanych ni uzbrojonych – bronią ich była bezmierna miłość Ojczyzny, zapal i odwaga. Nad czołem błyszczał u każdego srebrny orzełek, ale świetniejszym blaskiem płonęły oczy i czoła... < Jeszcze Polska nie zginęła! > - zaśpiewali potężnym chórem, a potem w marszu < Co to za gwar...>

Zofia Romanowiczówna „Czy pamiętam?”

Kochani Rodzice, No dzięki Bogu jestem w obozie. Jestem kapitanem Saperów awansowałem więc diablo – piszę więc, dzisiaj robiłem rekonesans dotarłem do koszar moskiewskich, jednak zastałem już zupełnie próżne. Oddział piękny – wiele nie piszę wiadomych przyczyn. Kochani moi ściskam was serdecznie. Módlcie się aby mi Bóg pozwolił jeszcze was wszystkich mi miłych widzieć. List ten prześlijcie do **Sokolik**, załączam ukłony dla wszystkich a ucałowania rączek dla panny Wandy. Franciszek 13/5 1863.

*List **Franciszka LdeB** do ojca **Bogusława** z obozu pod **Tyszowcami***

... W piękny dzień majowy – opowiada w swych zapiskach **Franciszek Longchamps** – wracałem na czele pieszego patrolu do obozu, gdy oto spostrzegłem jak z przeciwnej strony pędziła ostrym kłusem żydowska biedka pokryta białym płótnem, pod eskortą dwóch jezdnych naszego oddziału. W jednym z jeźdźców poznałem **Antoniego Wasilewskiego**, i dowiedziałem się od niego, iż zaprząg ten, zatrzymany przez wedetę, odprowadza z rozkazu komendy grand gardy do naczelnika **Lelewela**. Zajrzałem do wnętrza budki i obaczyłem na koźle dwóch żydków, którym nie koniecznie dobrze patrzyło z oczu więc ich też i stosownie przywitałem.

Na to odpowiedział z nich jeden, wskazując na trzeciego Żyda:

- My biedne żydy, ale ten co tu siedzi, schował w tej chwili jakiś papier pod siedzenie.

Wyciągnęliśmy te papiery w rosyjskim zapisane języku i zaprowadzili całą kawalkadę do głównej kwatery pod nadzór profosa. Tam zatrzymano dwóch Żydów i dwie młode kobiety, żony oficerów rosyjskich do dalszej decyzji, pod strażą, trzeciego Żyda zaś, oddano pod sąd wojenny papiery jego bowiem udowadniały, iż on – **Gołdus** – z zawodu balwierz otrzymał wezwanie od komendanta twierdzy **Zamościa** do odebrania „chrestu,, i nagrody za usługi szpiegowskie, położone w czasie rzezi Polaków w Tomaszowie. Zapadł jednogłośnie wyrok śmierci przez powieszenie na przydrożnym drzewie.

Gołdus nie przypuszczał aby na niego, wiernego sługę rządu, mógł się kto porwać, toteż początkowo urągał powstańcom, widząc jednak, że to nie przelewki, zmiękł, zbladł i błagał o litość...

Za chwilę było po wszystkim...

„*Dąb – Dąbczyńscy i Jan Żalplachta Przyczynki do dziejów Powstania Styczniowego* „*Józef Białynia – Choledecki* Lwów

Antoni Wasilewski „ Chochlik „ ur. 1840 w **Juśkowicach**, ziemianin, służył w oddziałach **Czechowskiego i Zapalowicza** i był członkiem organizacji narodowej. Skazany na sześć miesięcy więzienia, po odsiedzeniu powrócił do gospodarstwa, później zaś otrzymał agencję Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w **Brodach**.

... [kapitan] **Ubysz** rozpowiada mi, że do **Dzierżni** szedł oddział przez **Tarnawatkę**, gdzie ujęto na trakcie do **Zamościa** wiodącym dwóch pasażerów jadących bryką, których odstawiono pod eskortą z bocznej straży do folwarku, gdzie **Zapalowicz** zszedł się z **Czerwińskim**. Jednym z rzeczonych pasażerów był **Gołdus**, Żyd słynny ze szpiegostwa, które prowadził z polecenia i w porozumieniu z pewnymi paniami obywatelkami, mianowicie z jakąś wdową i jej dwoma córkami usługującymi bardzo skrętnie i przebiegle Moskalom, kosztem swych rodaków walczących, za gotówkę. Ten sam Gołdus spowodował rzeź w **Tomaszowie** przez pułkownika **Emanowa** zarządzoną. Zaraz też poznali go powstańcy, którzy pochodzili z **Tomaszowa** i jego okolic i zarządzono rewizję. Wszelkie poszukiwania były na razie nadaremne, dopiero gdy kapitan **Ubysz** wlaź na brykę i zaczął wyrzucać słomę z siedzenia, znaleziono w skrzętce grochowianki zwitek papierów. Były to listy i doniesienia owych rzeczonych pań i polecenia władz do wyższych instancji, aby za wyliczone tamże zasługi i usługi Gołdusowi wypłacono w kaszaczestwie [kasa skarbową] zasłużoną nagrodę. Na tak jasne dowody zarządzono sąd doraźny i wykonano wyrok śmierci na miejscu przez powieszenie.

... Drugiego pasażera jakiegoś doktora **Pistola**, który jechał z Gołdusem chciano także powiesić, ale trzeba było go osądzić, na to nie było czasu w marszu, więc poprowadzono pod eskortą z jakimiś jeszcze dwoma kobietami i kilku chłopami aresztowanymi do **Dzierżni**, gdzie się odbyła narada wojenna i sąd wojenny, na którym niewinnych pozwalniano a między innymi i **Pistola** puszczone na wolność.

Tymczasem żołnierze rozpowiadali sobie o Gołdusie, jak w krasnobrodzkich lasach zebranej młodzieży do powstania wyruszającej obiecywał dostawić broń, za którą niby to udając się kazał poczekać, wreszcie zamiast broni sprowadził dwie rotę **Emanowa**, które bezbronnych biedaków wyróżnęły i pochowały w mogile koło cmentarza.

...Dokumenty odesłano do Rządu Narodowego z raportem. Skutkiem tego wysłał następnie Rząd Narodowy oddział żandarmerii pod komendą rotmistrza, aby sprawdził, czy rzeczywiście panie owe trudniły się tak pięknym rzemiosłem i czyli ich ręka były pisane owe schwymane dokumenty kompromitujące, w którym to razie stwierdzenia rozkazała nich wykonać wyrok śmierci.

Rotmistrz ten naturalnie udał się na miejsce, a stojąc w podwórzu na koniu wraz ze swoją komendą, polecił swemu podkomendnemu porucznikowi wejść do domu sprawdzić fakt i dokonać rewizji.

Znaleziono kompromitujące papiery stwierdziły fakt i wykazały jednakowe pismo, skutkiem tego przyznały się te panie do czynu, a następnie wykonać na nich polecony przez Rząd Narodowy wyrok śmierci na miejscu.

Nastąpiła scena okropna, bezbronne kobiety wybiegły jedne na podwórze, drugie w pomieszkaniu spazmowały, płakały lamentowały, siła zbrojna ogłosiła wyrok śmierci, nie było ani komu, ani za co ulaskawić. Wtem najmłodsza (trzecia) córeczka, dziecię, wybiega i rzuca się do stóp siedzącego na koniu rotmistrza żandarmów, aby błagać go o przebaczenie, o łaskę. Koń płoszy się, skacze w bok i tratuje dziecię na śmierć. Wypadek ten rozczuli stalowe serce rotmistrza, że łzą w oku wyrzekła: „ Niech wola Nieba krwią tego niewinnego dziecka zmaże ich winy – wyrok spełniony – resztę wybaczam”.

Wtem występuje z szeregu wachmistrz i woła: „ Aresztuję pana rotmistrza w imieniu Rządu Narodowego. Wyrok na winnych ma być spełnionym, więc spełniam go „ i trzema strzałami z rewolweru położył trupem trzy kobiety. Za późno było już coś radzić, rotmistrz, chcąc się spod aresztu wymówić, woła do wachmistrza: „ Dobrze zrobiłeś! „, ale na próżno, odebrano mu pałasz i poprowadzono pod eskortą. Dopiero generał **Kruk** przywrócił mu swobodę i oddał pałasz znowu.

Tak oto w swoich wspomnieniach zdarzenia te odnotował **Feliks Riedel**, wówczas 13 – letni uczeń szkoły powszechnej, który porzucił rodzinny dom i przyłączył się do powstańców.

„... Stanęliśmy w bliskiej wiosce obozem, aż tu zobaczyli, że budka żydowska jakaś jedzie ku Zamościowi, więc natychmiast kilku z konnicy się puściło, aby oglądnąć, kto tam jest. Dogoniwszy zastali dwóch Żydów ubranych po niemiecku, zrewidowawszy ich i wóz cały nie znaleźli nic, lecz dla większej bezpieczeństwa prowadzą ich do obozu. Przedstawili ich dowódcy, ci się tam usprawiedliwiali, a że nie miano na nich żadnych dowodów, mieli ich więc wypuścić, aż tu kosynierzy wpadli do budki mówiąc: „ Kiedyście wy nic nie znaleźli, to my musimy coś znaleźć „ i zaczęli nazad płądrować, wyrzucać słomę etc., aż po chwili znajdują paczkę papierów, dają dowódcy, on czyta, aż się doczytał o jednym, któremu na imię **Gałyś**, że jedzie do Zamościa po zapłatę i złoty order za tomaszowską rzeź, gdyż naprowadził na bezbronne miasto wojsko w nocy, które wyróżniły

i spalone zostało w lutym czy w marcu(nie pamiętam).

Więcej powstańcom nadto było nie potrzeba, bo to prawo było już od dawna na innych zdrajcach wypełniane, że każdy zdrajca musi dyndać. Około 4 po południu ruszyliśmy z wioski dalej z więźniami, wchodząc zaś na cztery rozstajne drogi stanął cały obóz; wyprowadzają kilku kosynierów **Goltysa** na stronę drogi pod dwie wierzby, więc każdy się domniemywał, że go powieszą. Przystąpił do niego jeszcze dowódca i pytał się, czy nie ma w pobliżu Moskali, lecz ten jakby oniemiał od czasu jak papiery znaleziono. Więc dowódca kazał go zaraz powiesić, więc kosynierzy rzucili się na niego i w oka mgnieniu już wisiał, lecz go na młodej wierzbie powiesili, to aż do ziemi prawie dostawał nogami. Więc kosynierzy na nową, wyższą go ciągną, jeden wylazł na sam szczyt i uwiązane go za szyję ciągnie do góry, inni zaś, aby prędzej było podpychali go kosami, pikami, tak że pewnie go na wskroś przekłuli, Na koniec, zamiast złotego orderu przybić mu mieli gwoździami do piersi kartkę z napisem „ To twój order, tak ginie zdrajca „. Kartkę widziałem, lecz o gwoździach tylko słyszałem, prawdopodobnym jest, lecz niepewnym

Tego powiesiwszy, drugiemu, który z nim jechał, kazali się na niego tylko patrzeć, gdyż żadnej wzmianki ani dowodów w papierach o nim nie było. Miał być on jednak szpieg lwowski, gdyż będąc we **Lwowie** po rozbiciu naszej partii, **Dobrzański**, chodząc ze mną po wałach pokazał mi go przystojnie ubranego, oznajmując mi, że to jest ten sam, a teraz szpieguje. Ja zaś nie mogę tego z pewnością powiedzieć, lecz prawdopodobnym jest. Tego powiesiwszy drugiegośmy ze sobą uprowadzili.

...Na drugi dzień skoro świt puściliśmy się ku **Tyszowcom**. Jest to miasteczko małe troszkę na wzgórku, nad małą rzeczką, leś ma mieszkańców swych bardzo zacnych i wielkich prawych Polaków. O jakąś ćwierć mili od miasta, wyszło nam całe miasto naprzeciw z chorągwiami, a księża na przedzie ze święconą wodą. Gdy cały obóz szedł się do kupy pobłogosławili nas pokropiwszy i z radością w miasto wprowadzili.

Na rynku na cztery części wojsko się rozeszło i poskładawszy w kozły broń wzięło się do pokarmu, który nam mieszkańcy pod dostatkiem przygotowali, Brzmia mi do dziś dnia te słowa ich powtarzane: „ Bogu dzięki żeście panowie już raz przecież do nas przyszli, boć my od kilku miesięcy z upragnieniem wyglądaliśmy was „. Po porządnym obiedzie nasza kompania miała pozwolony spoczynek, wolno było na pół spać jednym okiem, gdyż za daniem znaku wszystko miało już stać w porządku. Podczas tego dowódca poszedł z kilkoma rekrutować w mieście. Lecz cóż było rekrutować, kiedy tu każdy szedł dobrowolnie, bo co to za powstaniec przemocą wzięty. Inni zaś z naszych poszli do pobliskich stawów się kąpać „.

Riedel wspomina dalej, że gdy wojacy kąpali się w stawie, na przedmieścia **Tyszowiec** dotarł zagon Kozaków. Spowodowało to pospieszny wymarsz z miasta .Wkrótce okazało się, że Kozacy to szpica wojsk rosyjskich, wysłanych przeciwko powstańcom z twierdzy zamojskiej. Ci co przybiegli już z kąpieli zaraz oznajmili **Zapałowiczowi** jak się rzecz ma. On bynajmniej nie trwożąc kazał by nam na drogę porozdawali po dwie bułki. Żydzi i Żydówki biegali między szeregiem z gorącymi bułkami.

Przyjął Zapałowicz do obozu syna burmistrza, za co się nieszczęśliwy miał z pyszna, gdy Moskale do miasta przyszli.

Powstańcy spieszenie opuszczali **Tyszowce** (oprócz żywności, tyszowanie wyekwipowali ich na drogę litrami słodkiej wódki – miętówki). Kierowali się ku lasom turkowickim atakowani i ostrzeliwani co jakiś czas przez Kozaków. Marsz po odsłoniętych błoniach nie obył się bez strat. Zginęło 4 powstańców a 11 zostało rannych.

O świcie 18 maja rozpoczął się bój. Moskale pod dowództwem pułkowników **Emanowa** i **Szelkinga** podciągnęli pod **Tyszowce** działa i rozpoczęli ostrzał lasu. Na szczęście niecelny .Potem nastąpiło natarcie. Bój był krwawy. Powstańcy kilkakrotnie odpierali szturm. W decydującym momencie do walki wkroczyli kosynierzy, prowadzeni przez starego Żmudzina majora **Władysława** (uczestnika powstania listopadowego, węgierskiego, oraz walk niepodległościowych we Włoszech). Uderzenie kosynierów było śmiałe i brawurowe. Załamało natarcie wrogów. Rosjanie wycofali się ze stratami. Strzelanina trwała jeszcze o zmroku. Ten bój powstańcy wygrali. Zdobyli trzy armaty, które jednak zniszczyli z powodu braku amunicji. Przydały się za to 173 zdobyczne karabiny. Straty Rosjan wyniosły około 60 ludzi, straty powstańców 17 zabitych i 25 rannych. Wśród zabitych był osławiony i powszechnie lubiany major Władysław, który do powstańczej kompanii wstąpił z trzema synami i siedmioma wnukami. Rannych przy blasku świec, opatrywali lekarze **Stanisław Czerkowski** i **Juvenal Niewiadomski**.

Odpoczynek powstańców nie trwał długo. Dowódcy spodziewając się dalszych ataków zarządzili wymarsz.. 19 maja stanęli pod **Tuczapami**, na wzgórzu między **Mołożowem**, **Starą Wsią** i **Miętkiem**. Tu rozegrał się następny etap bitwy. Moskale po godzinnym ostrzale ruszyli z atakiem. Szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną raz na drugą stronę. Lasu opanowanego przez powstańców broniły wszystkie formacje: kawalerzyści, strzelcy, rośli gwardziści, kosynierzy i ledwie obyta z bronią młodzież zwana ptasznikami, która raziła wroga z broni myśliwskiej. Momentami walczone na bagnety.

W folwarku w **Mołożowie** założono prowizoryczny szpital. I tam wdarł się oddział kozacki. Od rannego doktora **Juvenala Niewiadomskiego** Kozacy zażądali pieniędzy.

Oddał im kieszonkową teczkę z pieniędzmi t. zw. pugilares. Nie uchroniło to jego życia. Kozacy zadźgali go bagnetami. Pokłuto bagnetami i rozsiekano pałaszami pozostałych rannych. Ciężko poraniono dzierżawcę ekonomówki **Kwiatkowskiego**, jego żonę, córkę (relacje mówią, że poobcinano im piersi), a także gorzelnianego. Budynek podpalono. Moskale ostrzelali także dwór w **Tuczapach**, rabując i brutalnie bijąc sędziwego dziedzica, **Karola Tuszyńskiego**.

Sytuacja powstańców komplikowała się. Z trudem dawali odpór kolejnym atakom, tym bardziej, że szeregi topniały a Moskale przybywało, bowiem od **Zamościa** nadchodziły kolejne posiłki Rosjan. Sytuację na linii obrony skomplikowało także postępowanie **Leszka Wiśniewskiego**, który opuścił partię **Zapałowicza** i na czele 90 ludzi wycofał się za **Bug**, nie informując o swoim posunięciu dowódcy. W niewielkim lasku, olszynie zostawił jedynie 40-osobowy oddział.

Zapałowicz, obawiając się okrążenia przez Rosjan, zdecydował się na odwrót. Dla osłaniania cofających się, pozostawił na tyłach około 150 ludzi różnej broni, którzy z niesłychaną odwagą odpierali kolejne ataki. Około siódmej wieczorem strzały zaczęły cichnąć. Powstańcy opuszczali plac boju. Rannych ewakuowano na noszach zrobionych naprędce z drzewców kos. Część jednak została na placu boju (ranni bali się odpowiadać na zawołania powstańców, obawiając się prowokacji Kozaków). Partia Zapałowicza została całkowicie rozbita. Nocą resztki oddziału opuściły las tuczapski, szły ku lasom turkowickim i tarnawackim, cofały się ku granicy.

Zapomniane Wspomnienia, opracował Eligiusz Kozłowski, Wydawnictwo Pax 1981

...7 maja **Zapałowicz** dostał od gen. **Wysockiego** rozkaz udania się ze swymi siłami do województwa lubelskiego. Natychmiast podjęta koncentracja oddziału nie do końca się powiodła. W wyniku zarządzeń władz austriackich, pierwotny rejon koncentracji został przeniesiony z lasów cewkowskich w rejon **Huty Różanieckiej** i **Rebizant**. Zmiany te w połączeniu z krótkim czasem przeznaczonym na zebranie wszystkich sił, spowodowały, że z planowanych 450 ludzi piechoty stawilo się 300 ochotników, kawaleria stopniała z 70 do 32 szabel.

Patelski „Lwowanie pod Tyszowcami” Niezależna Gazeta Obywatelska w Opolu

OCHOTNICZY LWOWSKIEGO ODDZIAŁU

...Miejsce zbiórki nie było przypadkowe. **Ruda Różaniecka** należała do barona **J. Brunickiego** „szczerego patrioty”, który potrafił utrzymywać dobre stosunki z wojskiem austriackim, tak że patrzono przez palce na zjeżdżających się ciągle powstańców, znoszona broń itd. W gościnnym tym domu przez cały dzień nie zbierano nakrycia ze stołów, przy których co chwilę ktoś przysiadł, zwłaszcza że oprócz powstańców przybywali i organizatorowie i kobiety, bądź przywożące coś dla oddziału, bądź pragnące zobaczyć jeszcze i pożegnać swoich.

Zebrane siły – tzw. Oddział Lwowski, zwany też „oddziałem Jasia” zostały zorganizowane na wzór wojskowy. Kawalerią dowodził rtm. **Tomisław Rozwadowski**, jego zastępca został rtm. **Jan Obertyński** (oba byli eksficerami austriackimi i weteranami spod **Solferino**) funkcje wachmistrzów objęli **N. Czerkawski** i **N. Jugan**. Ułani byli doskonale uzbrojeni. Na wzór austriacki, posiadali pałasze i rewolwery, a połowa także lance. Nowoczesne uzbrojenie posiadali także piechurzy wyposażeni w belgijskie sztucery z bagnetami – zakupione m.in. z funduszy „czerwonego księcia” **Adama Sapiehy**. Piechota, wchodząca w skład partii **Zapałowicza**, podzielona była na cztery kompanie: „Gwardyjską” dowodzoną przez **Tymona Kniazioluckiego** (a wedle niektórych źródeł przez **Kazimierza Zbyszewskiego**) oraz trzy strzeleckie. Na czele pierwszej, złożonej z młodzieży studenckiej i samborzan stanął kapitan **Soter (Stanisław?) Biliński**. Kompanią drugą dowodził **Meliton Menkes-Menczyński**, a trzecia kapitan **Aleksander Ubysz**. Wszyscy powstańcy zostali odziani w szaraczkowe rogatywki z żółtymi lampasami. „Oddział Lwowski” posiadał nadto własnego lekarza, którym został dr **Juwenal Niewiadomski**. Wśród ochotników, którzy przyłączyli się do wyprawy **Zapałowicza** nie zabrakło różnych barwnych postaci. Funkcję adiutanta dowódcy pełnił, znany później

polityk i organizator Stronnictwa Ludowego, dr **Karol Lewakowski** (żonaty później z Lonszanówną przyp. autora).

...W piechocie przeważała młodzież, głównie studenci Uniwersytetu Lwowskiego, Akademii Technicznej i Wyższej Szkoły Rolniczej w **Dublanach** (przez współczesnych okreśłani jako: akademicy, technicy i dubłaniści), a także młodzi rzemieślnicy i czeladnicy oraz gimnazjaliści ze **Lwowa** i Sambora. W kawalerii dominowała natomiast szlachta, zatrudnieni w majątkach oficjaliści oraz chłopci z Bełzkiego i Złoczowskiego.

SZLAK BOJOWY ODDZIAŁU **ZAPALOWICZA**

13 maja powstańcy przekroczyli granicę austriacko-rosyjską na rzece **Tanwii**. Tu do oddziału dołączył płk. **Marcin Borelowski „Lelewel”**... Następnego dnia w okolicy **Oseredeka**, do Oddziału Lwowskiego przyłączył się **Jan Czerwiński** z partią liczącą około 300 ludzi, z czego połowa nie posiadała uzbrojenia. W oddziale **Czerwińskiego** wyróżniał się oddział podlaskich kosynierów pod dowództwem majora **Pawła Porady (Parady)** sołtysa z **Godziszowa** oraz złożona z najmłodszych ochotników formacja tzw. „ptaszników” – strzelców wyposażonych w lżejsze karabiny – przeważnie dubeltówki zwane „lepażówkami”.

Inicjatywa połączenia obu oddziałów wyszła najprawdopodobniej ze strony **Lelewela Borelowskiego**. W ten sposób chciał on wzmocnić powstańcze zgrupowanie, przeciw któremu Rosjanie wysłali, z okolic **Majdanu Sopockiego** kolumnę wojskową liczącą około 1200 żołnierzy i dwa działa. Sam **Borelowski** odłączył się od Oddziału Lwowskiego i z niewielką partią przebywał nad granicą w oczekiwaniu na broń z Galicji dla zgłaszających się licznie ochotników.

Dalszy szlak bojowy wiódł przez **Krasnobród**, gdzie powstańcy zostali oficjalnie zaprzysiężeni i przez **Tarnawatkę** do **Dzierżni**. W ostatniej miejscowości dołączył do **Zapałowicza** kolejny oddział **Leszka Wiszniewskiego** złożony ze 120 galicyjskich Podolaków. Tym samym liczebność zgrupowania **Zapałowicza** wzrosła do ponad 1000 powstańców...

POTYCZKA POD **TYSZOWCAMI**

Następnego dnia całe zgrupowanie dotarło do **Tyszowiec**, leżących po drodze do **Hrubieszowa**, gdzie dowódca zamierzał uzupełnić zapasy sprzętu obozowego oraz obuwia, by następnie kontynuować marsz na **Wołyń**. Miejscowa ludność przywitała powstańców z wielkim entuzjazmem... Do miasta weszli z rozwiniętym sztandarem... Sztandar był podwójny, z jednej strony karmazynowy z białym orłem, z drugiej niebieski z Matką Boską...

Ledwo powstańcy ugasiłi głód i pragnienie, szczególnie dotkliwe po ciężkim całonocnym marszu w piekielnym upale, gdy dowództwo zostało zaalarmowane o zbliżającej się do miasta kolumnie wojsk rosyjskich. Wrogie oddziały maszerowały z tego samego kierunku, z którego przyszli powstańcy. Mjr

Żalplachta po krótkiej naradzie z oficerami podjął decyzję o wyjściu z miasta i przekroczeniu rzeki **Huczwy**. Jeszcze zanim oddziały osłony minęły roгатki doszło do pierwszych starć z nacierającymi kozakami.

Do głównych walk doszło tego dnia na błoniach między miastem a lasem, na wschód od **Tyszowiec**. Wycofujące się oddziały powstańcze osłaniała 1. Kompania Strzelecka pod dowództwem kpt. **Sotera Bilińskiego** oraz część oddziału **Leszka Wiszniowskiego**. Mimo, iż żołnierz powstańczy był młody oraz nieostrzelany, twardo i spokojnie „trzymał tyralierę” przeciw nacierającym oddziałom wroga. Ochotników nie przeraziły ani salwy karabinowe rytmicznie oddawane przez wyćwiczonego żołnierza rosyjskiego (tzw. ogień rotacyjny), ani ostrzał artyleryjski i gęsto spadające granaty. W boju zasłużył się m.in. Karol Lewakowski, idący na czele strzelców. W decydującym momencie potyczki Rosjanie próbowali obejść oddziały osłonowe powstańczego zgrupowania i wbić się klinem pomiędzy nie, a wycofujące się do lasu główne siły mjr. **Żalplachty**. Natarcie rosyjskich dragonów, którzy wtargnęli na pole walki, odparli jednak strzelcy z kompanii kpt. **Bilińskiego** wsparci przez powstańcza kawalerię rtm. **Rozwadowskiego**.

Straty strony polskiej tego dnia nie były wysokie, wyniosły 4 zabitych i 7 rannych.

OBROŃCY LEŚNEJ TWIERDZY – BÓJ W LASACH TUCZAPSKICH

Po walce oddziały **Zapałowicza** wycofały się w pobliskie lasy. W nocy nieoczekiwanie odłączył się od zgrupowania oddział **Wiszniewskiego** i bez wiedzy głównego dowodzącego udał się na **Wołyń**, pozostawiając w olszynie mały, składający się z 40 ludzi oddział. W zamieszaniu zaginęły też konie juczne z amunicją, a na ich odnalezienie stracono kilka godzin, co wstrzymało marsz całości sił powstańczych na wschód. 19 maja zgrupowanie **Zapałowicza** przeszło w lasy między wsie: **Tuczapy, Miętkie, Mołożów, Stara Wieś**. Rannych umieszczono w folwarku – **Mołożów** pod opieką dr. **Niewiadomskiego**. W nowym obozie powstańcy dostali pożywienie i wódkę, którą dostarczyli mieszkający w okolicy ziemianie – **Wacław i Eustachy Świeżawscy** należący do Towarzystwa Rolniczego i „związani hasłami białych”.

W nowym miejscu **Zapałowicz** rozlokował odpowiednio siły Oddziału Lwowskiego, wyznaczając 2giej Kompanii strzeleckiej pozycje w centrum frontu (wzdłuż linii lasu zwrócona na zachód), 3ciej Kompanii- prawy brzeg lasu, a 1szemu plutonowi Kompanii „Gwardii” i 1szej Kompanii strzeleckiej – lewy brzeg od strony Starej Wsi. Oddział **Czerwińskiego** miał natomiast zająć pozycję w lasach tuczapskich, ochraniając lewą flankę (chyba prawą?! –pomyłka? Przyp. autora) sił **Zapałowicza**. **Czerwiński** rozkazu jednak nie wykonał, wycofał się i rozlokował z tyłu za obozem **Zapałowicza**, informując o tym pisemnie naczelnego dowódcę.

19 maja, od godziny 11.00, na stanowiska powstańcze zaczęły nacierać kolejno trzy kolumny nieprzyjaciela przybyłe od **Hrubieszowa, Tomaszowa i Tyszowiec**. Kolumnami mieli dowodzić pułkownicy **Szarloting, Lubin i Janow**, wedle innych źródeł **Emanow, Szelting i Mielnikow**. Każda

miała się składać z 2 rot piechoty, 2 dział oraz 2 szwadronów dragonów. Ich atak nie był jednak skoordynowany, co ułatwiło powstańcom obronę.

Jako pierwsi na pole bitwy dotarli kozacy, którzy, po dojściu do folwarku w *Mołóżowie*, napadli na szpital powstańczy. Umieszczonych tam 6 rannych i dr. Niewiadomskiego ograbili, a następnie wszystkich żywcem spalili, Śmierć ponieśli także mieszkańcy folwarku: gorzelniczy, oficjalista i właściciel. Córce oficjalisty kozacy obcięli piersi. Najprawdopodobniej zginął tu lub dostał się do niewoli wachmistrz Jugan, który miał eskortować dr. **Niewiadomskiego** i rannych. Powstańcy obserwujący z oddalonego lasu dramat swych rannych kolegów, na próżno próbowali przyjść im z pomocą. Uczestnik tych zmagających **Franciszek Longchamps de Berier** wspominał: „ Buchnął płomień... w jednej chwili ogarnął szopę a w jej wnętrzu rannych i doktora... Z okrzykiem – Jezus Marya! Bij! Zabij! – rzuciły się nasze kompanie ku obronie płonących braci. – Sztychom! Hurra! _ wrzasnęli żołdaci i natarli znów na nas bagnetem. Długo trwały krwawe, a niepomysłne dla nas zapasy. Szopa szpitalna świeciła tymczasem purpurowo w przerażonych oczach naszych, niby olbrzymia pochodnia Nerona! W niej zginęli wszyscy bez wyjątku ranni i ich opiekun, lekarz **Niewiadomski**...”. W walkach tych uczestniczył także student prawa – **Tadeusz Jordan Rozwadowski**. On i jego towarzysze słyszeli jak : „z fal ognia i dymu dochodziły (...) jęki i rozpaczliwe krzyki. Moskale mordowali rannych!!! A oni zbyt słabi liczebnie, żeby im przyjść z pomoc, musieli słuchać tych jęków z rozpaczą i bezsilną wściekłością w sercu”...

W ciągu następnych godzin partyzanci byli atakowani z trzech stron przez piechotę rosyjską, a od strony *Mołóżowa i Starej Wsi* rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Po godzinnej nawale armaty ucichły i Moskale przypuścili atak na bagnety wzdłuż lewego skrzydła powstańczego zgrupowania. Mjr. **Żalplachta** wezwał na pomoc kosynierów **Czerwińskiego**, którzy nie zdążyli na czas, mimo to nieprzyjaciół został odrzucony ogniem rewolwerów i karabinów. Rewolwery, nowość w tym czasie na polu bitwy, czyniły w szeregach wroga, co podkreślano w wielu relacjach, ogromne spustoszenie. Stanisław Brykczyński z kompanii „ptaszników” pisał po latach o akcji żołnierzy jednej z kompanii lwowskich: „po chwili, w kierunku, w którym pobiegli Galicjanie, rozległ się gromki okrzyk huraa! Trzask suchych karabinowych wystrzałów, potem wśród basowych ruskich karabinów, grzechot jakby kto groch na ścianę sypał, tak gęsty, rewolwerowego ognia. Galicjanie bowiem, oprócz karabinów, mieli prawie każdy rewolwer, i teraz po wystrzeleniu karabinów, zarzuciwszy je na paskach na lewe ramię, austriacką modą, wzięli się do rewolwerów, którymi na bliską metę i w krzakach, wielkie spustoszenie zrobili. Cały ten trzask i łomot szybko się zaczął oddalać w tym kierunku, skąd przybył, i teraz na nieprzyjaciela przyszła kolej biegać i chronić się za drzewami. Tylko, że Galicjanie nie dali im czasu na zatrzymanie się i odstrzelanie, lecz parli pędem przed sobą przez cały ten las, a potem jeszcze, wyparłszy z lasu i wzięwszy się znowu do karabinów, na polu porządnego im łupnia zadali”. Podczas tych zmagających padł trafiony zbłąkaną kulą wspomniany Tadeusz Rozwadowski, który kawaleryjski pałasz zamienił na karabin piechoty, by walczyć u boku swych kolegów z lwowskiej uczelni...

W groźnej scenerii pola walki nie zabrakło wzruszających i humorystycznych widoków. Brykczyński wspominał, że w samym środku starć powstańcy ujrzeli nagle przybyły „ogromny wóz, a na nim jakaś bardzo elegancka pani folwarczna, z nią dziewczka (Maryśka) i żydek, powoził furman w szafirowej liberii. (...) Zaczęto tedy wyładowywać wóz i rozładowywać żywność. I czego tam nie było: i woda z sokiem, i mleko, i stare wino, któreśmy zaraz rannym rozdali, a dalej mnóstwo jaj gotowanych na twardo, szynki, kiełbasy, sery, ogromne ćwierci pieczonego mięsa i tam dalej”. Po rozdaniu żywności „piękna pani”, Maryśka i Żyd – felczer zajęli się troskliwie rannymi. Pani „takie już miała jakieś troskliwe spojrzenie, że jak wzięła któregoś rannego za rękę, zaraz przestawał się skarżyć i dawał się spokojnie opatrywać, nawet jeden chłopak, co miał okropnie strzaskaną nogę w samym kolanie i w gorączce wołał ciągle: >Mamo boli! Oj, mamu boli> i ten, jak tylko uklękła przy nim, obmyła, ucałowała, a potem wzięła za obie ręce, dał sobie spokojnie strzaskaną nogę do kija przywiązać; tak go ostrożnie na owym wozie położono. Trzymał jednak panią ciągle za rękę i nie chciał puścić, wołając ciągle: < Mamu nie chodź>. Siadła tedy z nim na on wóz i tak ruszyli stępem pod silną eskortą ułanów”. Zachowane relacje świadczą, że boje pod **Tuczapami**, toczono były z wielką zażartością... Szczególny szacunek zyskał kpt. **Ubysz**, który własnym przykładem i słowem zagrzewał do walki podwładnych. Wdzięczni żołnierze z 3-ciej Kompanii mieli z humorem powtarzać:

„Pane **Ubysz**, Pane **Ubysz**

I sam zhyniesz i nas zhubysz...”.

W walce wykazał się odwaga i bitnością odpowiednio użyty oddział kosynierów dowodzony przez **Poradę** vel **Paradę**. Kosynierzy rzucani byli w krytycznych momentach boju przeciw rosyjskiej piechocie, która starała się przełamać polskie linie rozlokowane na obrzeżach lasu. **Stefan Brykczyński** pisał: „Od kul karabinowych sporo naszych zginęło (...) bo raz już (Rosjanie) wpadli do samego lasu i z Galicjanami zaczęli się na bagnety ucierać, lecz jak tylko brzękły kosy nadciągających kilkudziesięciu kosynierów, których Parada na ochotnika pędem przyprowadził, jak tylko błysły kosy zza krzaków, szybko tył podali. Wszakże kosynierzy ich dopadli i wielu szpetnie pokiereszowali”. W boju tym zasłynął niejaki **Pietrek** – czeladnik krawiecki z Lublina: „mając bowiem zamiast zwykłej kosy, na sztorc oprawiony rzezak od ręcznej kosiarki, znacznie większy i cięższy, rozwalił jednemu łeb prawie na dwie połowy, drugiemu przeciął ramię i żebro napoczął, a tak się rozsmakował, że chciał biec za nimi dalej i prawie siłą go zatrzymali”.

Walki trwały do wieczora i zakończyły się około godziny 18.00, a w 30 minut później ucichły także działa. Lista strat Polaków była wysoka i wedle różnych szacunków wyniosła około 100 rannych i zabitych. Straty Rosjan, którzy nacierali z otwartej przestrzeni na pozycje ukrytych w lesie powstańców, szacowano znacznie wyżej, na co najmniej 500 do 600 zabitych i rannych. Bitwę stoczoną 19 maja można byłoby więc uznać za polskie zwycięstwo, gdyby nie dalszy przebieg wydarzeń.

Gdy odgłosy bitwy zaczęły cichnąć, mjr. **Zapałowicz** postanowił wycofać się na północ w stronę **Turkowic**. W ten sposób chciał uniknąć okrążenia przez wojska rosyjskie. Plan jego powiódł się niestety tylko częściowo, a całe zgrupowanie partyzanckie rozpadło się niebawem na dwie części. Wedla późniejszego raportu, głównodowodzący zarządził zbiórkę wszystkich oddziałów w starym obozie w głębi lasu. Na sygnał myśliwskiej trąbki przybyło jednak niewielu: „Seksja Gwardii, kawaleria i 70 – 80 ludzi częściowo tylko uzbrojonych” { saperzy pod dowództwem **Longchamps**a? przyp. autora} w tym m.in. strzelcy z **Czerwińskim**. Ponieważ wysłani na zwiady żołnierze rzekomo nie znaleźli pozostałych kompanii, major rozkazał natychmiastowy odwrót, zabierając rannych, zapasy amunicji i żywności oraz bagaże. Podczas marszu na **Turkowice** oddział **Zapałowicza** ponownie starł się z Rosjanami. Na tyły partyzantów uderzyła rosyjska kawaleria, będąca częścią kolumny zmierzającej z okolic wsi **Miętkie** pod **Tyszowce**. Nie mając odpowiednich sił do dłuższej obrony, Zapałowicz zdołał się oderwać od nacierającego wroga, ale w rękach Rosjan pozostawił część amunicji, bagaże oraz wozy z rannymi. Tutaj, prawdopodobnie, do niewoli dostała się jedyna kobieta w Oddziale Lwowskim – **Lucyna Skrzyńska**. Ranna w łopatkę została pojmana przez płk. **Jerzego Emanowa**. Pozostali ranni schwytni przez wroga w czasie odwrotu zostali odstawieni w liczbie 16 do **Hrubieszowa**.

Po tej przeprawie oddział naczelnika obszedł od północy **Tyszowce** zawrócił na południe i po forsownym marszu zdołał przekroczyć z grupą około 120 ludzi granicę z Galicją w okolicy **Bełża**. W marszu ku granicy ponownie ważną rolę odegrała kawaleria rtm. **Rozwadowskiego**.

Podczas gdy oddział pod dowództwem Zapałowicza wykonał manewr obejścia **Tyszowiec**, pozostałe kompanie strzeleckie i część gwardyjskiej nadal ścierały się z wrogiem, Pozbawieni dowództwa strzelcy, po usłyszeniu odgłosów walki ze strony wsi **Miętkie**, bez rozkazu sformowali oddział, który pospieszył na północ, gdzie rosyjska kolumna zaatakowała od tyłu prawą flankę polskich wojsk. Anonimowy korespondent „Gazety Narodowej” – naoczny świadek tych bojów, relacjonował kilka dni później: „Prawego skrzydła bronił źle uzbrojony, a co więcej, nieobecnością dowódcy zdemoralizowany oddział Czerwińskiego. Uczuliśmy wszyscy niebezpieczeństwo w tej chwili. Dowódca Zapałowicz oddaliwszy się do rannych, nie był w tej chwili przy nas. Sytuacja nie dozwalała zwłoki (...) Bądź co bądź należało atak ten odeprzeć. >>Na ochotnika na bagnety!<< rozległ się okrzyk po całym obozie. Wnet uformował się oddział z blisko 120 ludzi, w większej połowie z gwardii złożony. >> Naprzód wiara hurra!<< i bez komendy i bez komendanta, czysto instynktem i zapałem wiedzeni, rzuciliśmy się na moskali, którzy mimo morderczego (...) półtora godziny trwającego ognia nie dotrzymał nam bliżej jak na 15 kroków

I nie czekając nawet zetknięcia, strwożeni naszym zapałem z placu uciekali, pozostawiając nas zupełnymi panami poboju i zostawiając na placu mnóstwo zabitych i rannych”. W działaniach tych aktywni byli zwłaszcza kapitanowie **Ubysz** i **Kniaziolucki**. Po powrocie do obozu uczestnicy ostatniego boju próżno oczekiwali powrotu naczelnika. Doszło wówczas do dramatycznej narady

pozostałych na placu boju oficerów. Spierano się co czynić dalej. Jedni dowodzili, że oddział nadal jest świetnie uzbrojony, a ostatnie zwycięstwo dodatkowo podniosło morale i namawiali by iść dalej w głąb kraju. Druga strona, podkreślając iż brakuje amunicji, której zapas wywiózł mjr. Zapałowicz ze swą częścią oddziału, radziła wracać w granice Galicji. Ostatecznie, biorąc pod uwagę bliskość oddziałów rosyjskich i brak amunicji, podjęto decyzję by przedzierać się do Galicji. Równie dramatycznie wyglądał wybór nowego naczelnika. **Zbyszewski**, któremu zaproponowano dowództwo, miał powiedzieć: „Do walki was poprowadzę ale rejterady prowadzić nie będę”, w tej sytuacji oddział objął kpt. **Aleksander Ubysz**.

POWRÓT DO GALICJI

Trwający kilka godzin marsz do granicy odbywał się, jak można wnioskować z dostępnych przekazów, mniejszymi oddziałami, którym łatwiej było prześliznąć się pomiędzy rosyjskimi patrolami. Powstańcy przekraczali linię graniczną na przestrzeni od **Belza** po **Liski** koło **Uchnowa**. Kpt. **Biliński** ze swymi ludźmi przebił się w okolicy **Belza**. Przed przekroczeniem granicy pozbierano broń, która została zakopana. Po przejściu do Galicji całą grupę (około 200 powstańców) pojмали huzarzy austriaccy, którzy okazali się jednak bardzo przyjaźnie nastawieni. Wkrótce wszystkich odwieziono pod strażą do **Belza**, gdzie zostali entuzjastycznie przyjęci przez miejscową społeczność. Większość jeńców wkrótce zdołało zbiec austriackim wartownikom, którzy przymykali oko na uciekających.

Kpt. **Ubysz** ze swym oddziałem (część 3 Kompanii i resztki oddziału „ptaszników”) dotarł natomiast do **Lisek** pod **Uhnovem**. Tu także stał szwadron austriackiej kawalerii. Dowódca huzarów – z pochodzenia Węgier, po rozmowie z Ubyszem, cierpliwie czekał około dwóch godzin zanim zaaresztował powstańców, dając czas na ukrycie wozów z ocalałą bronią. Następnie więźniów przewieziono do pobliskiego **Uhnowa**, gdzie zostali owacyjnie przyjęci przez mieszkańców

Patelski „Lwowianie pod Tyszowcami” Niezależna Gazeta Obywatelska w Opolu

...Nareszcie dopadliśmy do szerokiego gościńca i ujrzelśmy ciemną masę: szli tęgim krokiem „nogi” Widocznie bowiem wprawiali się w maszerowanie. Nad tą masą w promieniach wschodzącego słońca błyszczały i migotały kosy i bagnety.

-Nasi- Jezus, Marja! nasi!...

Na przedzie jechała szpica dwóch kawalerzystów w popielatych ułankach, w rogatywkach czerwonych z białym barankiem białym piórkiem na tęgich koniach, przy pałaszach z pistoletami w olstrach: byli to chłopcy na schwał, jak malowani.

..O paręset kroków za szpicą – awangarda; kilkadziesiąt koni, także ułanów, jak ci dwaj na szpicu, szerokie białe szablice, miny do stu diabłów... Znowu paręset kroków za awangardą idą strzelcy; popielate bluzy, karabinki krótkie, z ogromnymi płaskimi bagnetami, ludzi około dwustu. Byli to tak

zwani Galicjanie, przeważnie bowiem składała się ta kompania z Galicjan.

Za nimi szli kosynierzy, potem znowu strzelcy, w dubeltówki i pojedynki uzbrojeni, potem ochotnicy, którzy mieli dopiero jutro broń otrzymać i do których przyłączyliśmy się. Dalej szły furgony z bronią i amunicją, a z tyłu znowu ariergarda z piechoty i kawalerii złożona. Razem było z górą tysięcy ludzi, którzy stanowili połączone partie **Czerwińskiego i Zapalowicza-Żalplachty**.

Na widok takiej potęgi... byliśmy przekonani, że najdalej za dwa trzy tygodnie staniemy w Warszawie... grmiący śpiew „My Polacy, my rodacy” nie ustawał.

Po przenocowaniu w lesie, na drugi dzień stanęliśmy we wsi, i tam zaczęło się rozdawanie broni i rozdzielanie ochotników, których zastaliśmy już sporą ilość.

I tu nastąpił tragiczny moment, albowiem jakiś już dobrze siwy pan kapitan, ustawivszy wszystkich ochotników we front, po wybierał nas wszystkich młodszych około czterdziestu, pałał admonicję o szkole i stanowczo odmówił przyjęcia do jakiegokolwiek rodzaju broni. Odeszliśmy mocno skonfudowani...

Tymczasem dowiedziawszy się, że naczelnik ze sztabem stoi w dworze, udałem się do niego. Ale dwaj strzelcy, stojący w bramie, skrzyżowali bagnety i trzeba było się cofnąć.

Zacząłem więc szukać **Parady**, którego między ochotnikami nie widziałem. Dowiedziałem się, że jeszcze wczoraj został zamianowany dowódcą kosynierów, udałem się do niego. Parada oświadczył mi, że do niego przyjmowanie ochotników nie należy, ale on tak robi, że mnie z pewnością przyjmą... Jakoż poszedł ze mną do naczelnika... Przyjęto mnie tedy zaraz i z początku postanowiono zapisać do owych galicyjskich strzelców... Stanęło tedy tak, że postanowiono z nas wszystkich sformować osobną kompanię, złożoną z tych 46 wybrakowanych, dodano nam 14 prawdziwych żołnierzy, takich, co już proch wachali, i nazwano nas ptasznikami...

Dano nam tedy, ile możności wybrane, lekkie strzelby, przeważnie dubeltówki... Dostałem tedy leciuchną lepażówkę, prawdziwą ptaszniczkę, do niej dwanaście ładunków kulowych, cztery z łoftkami, ale i maszynkę do łania kul, i pudełko z przyborami do robienia ładunków.

Ładunki wtenczas nie były w mosiężnych gilzach, jak obecnie, bo wszystka broń była nabijana z przodu stemplem; gilza była sklejana z grubego papieru, na dnie była kula, potem proch, wszystko to zaklejone z obu stron, starannie i obficie pokryte łożem. Dla nabicia broni, odgryzało się denko ładunku z tej strony, gdzie był proch i cały ładunek pakowało od razu w lufę. W czasie wbijania stemplem ładunku, proch wysypywał się od razu na dno strzelby, a gilza przygnieciona kulą, służyła jako przekładka, tak że przy wprawie szło to dość szybko, daleko prędzej niż się obecnie zdaje...

Ruszyliśmy już tedy w pełnym porządku, a nasza kompania „z nogi”. Pamiętam, że cała partia śpiewała: „Oj, ostre kosy nasze”, a myśmy doskonale w takt maszerowali. Nadjechał major, zlaźł z konia, kilku naszych poprawił, przeszedł z nami pareset kroków i pochwalił za sprawność. My też z całych sił staraliśmy się dowieść, że się nie pomyłono, przyjmując nas do partii; później polubili nas wszyscy, i nieraz słyszeliśmy, jak mówiono – oho! Z tych ptaszników to będą ludzie ; a zwłaszcza podczas forsownych marszów; - Patrzcie! ... ptaszniki się nie skarżą, a wy, wy się skarżycie!

Protegujący nas specjalnie major (**Lelewel?** Przyp. aut.) został odkomenderowany do jakiejś innej partii, ale i tak dzięki naszemu porucznikowi i podoficerom, którzy byli wybrani z owych bywałych żołnierzy, nieźle nam się działo, przynajmniej żywność zawsze otrzymywaliśmy w dostatecznej ilości. Żywiliśmy się przeważnie chlebem, słoniną i wódką.

Komenda była: „czterech ludzi po chleb, dwóch ludzi po wódkę”, a że po żywność zawsze byli posyłani owi starsi żołnierze, więc umieli sobie radzić. Słoninę piekło się nad ogniem, a kapiący tłuszcz zbierało na chleb też rozgrzany; okrutnie nam to smakowało. Czasami po wsiach zwłaszcza Rusińskich, wynoszono nam garnuszki z barszczem, kartofle i jaja, ale się to niestety bardzo rzadko zdarzało, gdyż pędzono nas bez miłosierdzia dzień i noc, zapewne w celu okazania nas w różnych miejscach, jako „manifestację zbrojną „. Zaczęły się tedy marsze i kontrmarsze bez końca. W dzień to jeszcze jako tako, ale bezsenne noce zamęczały nas okropnie.

Pamiętam, jak nieraz w nocy, gdy początek kolumny stanął, dalszy ciąg naw pół przez sen posuwał się tak, że szeregi na szeregi włożyły, wreszcie wszystko padało jak stało i zasypiało kamiennym snem. I dużo czasu upływało, zanim zdołano tych na wpół przytomnych ludzi rozbudzić i do dalszego marszu skłonić. Zwłaszcza dla nas, ptaszników, było to niesłychanie przykre. W ogóle ludzie sarkali, mówiąc: „Mamy się bić, to się bijmy, a tak wyzdychamy od tego maszerowania i nikomu żadnej z nas pociechy nie będzie”. Ja byłem tegoż samego zdania bo pamiętałem ze strategiki, że lepiej się bić przy słabych szansach powodzenia, niż zamęczać ludzi zbytecznymi marszami, ale pamiętałem jednocześnie, iż w żadnym razie nie wolno krytykować dowódcy, by nie osłabiać dyscypliny, i że tylko w ostatecznym razie starym, wytrawnym żołnierzom można odkryć prawdę, nasza zaś kompania jeszcze do starych wytrawnych żołnierzy zaliczoną być nie mogła (później to co innego, oho!) – zachowałem swoje zdanie przy sobie.

W czasie marszów dziennych, a czasem i nocnych. O ile nam dano się wyspać, śpiewaliśmy wspomniane wyżej pieśni, piosenki narodowe. Ale ulubionym w całej partii był oberek:

W szczerym polu stoi wierzba
Na niej gruszek, Boże, ratuj,
Chociażem ja w kamizeli,
Pan Jezus mnie nie opuści.
A juści.

Przytem strofkę śpiewał jeden, a zakończenie: „A juści”, hukały całe kompanie jednym grzmiącym okrzykiem. Każda partia miewała swoją ulubioną piosenkę w czasie marszu, za nim przyniesiona z wiatrem z Rusi: „Poszły panny na śliwcy”, nie zajęła głównego miejsca prawie we wszystkich partiach.

Ubrani byliśmy jak Bóg dał, oprócz owych Galicjan, którzy mieli w kawalerii – owe nadzwyczaj zgrabne ułanki, później w Puławach przez studentów Instytutu Rolniczego noszone, a w piechocie – owe bluzki na model, którymi w kilka lat później umundurowano całą armię austriacką.

Były więc i sukmany i kurtki bajowe, niektórzy, zwłaszcza z małych miasteczek, mieli nawet czarne

surduty „dla przyzwoitości”, co już nadzwyczaj zabawnie wyglądało. Najgorzej było z różnicą temperatury. W dzień słońce już nieraz dobrze przypiekało, tak, że wielu swoje kożuszki, ciepłe sukmanki i.t.d. pozrzucało, albowiem przy owych przeklętych marszach i stosunkowemu gorącu, okropnie męczyliśmy się; więc sprzedawano za byle co owe ciepłości, byle ich na sobie nie nosić, mimo ostrzeżeń starszych kolegów.

Tymczasem noce bywały nieraz dobrze chłodne, i zwłaszcza nad ranem „cielęta okrutnie lizały”.

I tu się dopiero okazała w całym blasku moja wojskowa praktyczność, umiałem bowiem tak twardo i ściśle związać swoją sukmanę, że i mało miejsca zajmowała, i zawieszona odpowiednio na plecach w postaci warka, od lewego ramienia do prawego boku w pochodzie prawie nie ciążyła, owszem, nawet pomagała do noszenia tej masy ładunków, które nosiłem ze sobą na zapas. Niektórzy mnie naśladowali, inni nie, lecz źle na tym wychodzili, zwłaszcza w nocy, gdy często ogni palić nie pozwalano.

TYSZOWCE – PIERWSZA BITWA - WRAŻENIA

Po długich marszach, podczas których – „stryj już dobrze brodę zapuścił”, co znaczy, że liście w lesie już zupełnie się rozwinęły, przemoczeni do nitki, przez ciepły ulewny deszcz, maszerując „z nogi”, ze śpiewem weszliśmy do miasteczka *Tyszowiec*. Przyjęto nas uroczyście z chorągwiami; my też rozwiniętym sztandarem pokłoniliśmy się chorągwiom, z którymi wystąpili do nas poczciwi mieszkańcy.

Sztandar nasz był podwójny, z jednej strony karmazynowy z białym orłem, a z drugiej niebieski z Matką Boską.

Naznoszono nam jedzenia i picia, co się zowie wbród, wkrótce zabrzmiała zwykła komenda: „W kozły broń” i rozeszliśmy się po domach, dokąd nas gościnni mieszkańcy usilnie zapraszali.

Zauważyłem jednak, że oprócz zwykłych straży przy broni, pozostawiono na placu całą kompanię strzelców i połowę kosynierów, przytem prócz zwykłych konnych pikiet, rozstawiono na około miasta łańcuch placówek piechoty.

Powiedziałem tedy zaraz do kolegów, że będzie bitwa, ale że nam to już tyle razy na próżno obiecywano, więc nikt temu nie wierzył.

Pamiętam jednak doskonale, że kolega M. powiedział zaraz:

- Jeżeli będzie bitwa, to ja zginę, bo mi się tak śniło.

Podjadłszy tedy doskonale i nabrawszy na zapas, ile wlaźło, w kieszenie i woreczki, których nam praktycznie tyszowczanie nadawali, pokładliśmy się na placu obok tych kozłów z bronią – spać. Po paru godzinach zbudzono nas dla zwykłego sprawdzenia przed wymarszem i kiedyśmy stali, jak zwykle w dwa szeregi po wystąpieniu nie parzystych numerów naprzód, usłyszałem daleki głuchy wystrzał, a zaraz po nim kilka innego tonu; wnet zameldowałem porucznikowi, że słychać strzały. Ale porucznik także je słyszał i zaraz przybiegł do naszej kompanii i zakomenderował nabicie broni, jednak bez założenia pistonów.

Po chwili zaczęły się formować wszystkie kompanie, i w tej chwili pędem, slaniając się na koniu, wleciał na plac ranny kawalerzysta.

Konia wstrzymano, rannego zdjęto z konia i zaniesiono do sąsiedniego domu, jednego z porządniejszych w miasteczku. Jednocześnie przez plac przebiegło pędem kilkunastu konnych z oficerem na rekonesans.

Po pewnym czasie rozległy się strzały, ale nie z tej strony z której przyszliśmy i skąd było słyhać pierwszy wystrzał pikiety, lecz z innej strony, z prawego boku. Sformowano nas wnet w bojową kolumnę, przytem – Galicjanie rzucili się na prawo w kierunku owych strzałów, a my ruszyliśmy na groblę.

Pozycja była taka: na prawo przed miasteczkiem ciągnął się gęsto zarośnięty krzakami staw, staw ten od łąk oddzielała długa grobla i droga, przy której końcu widać było doskonale las; powyżej stawu na prawo był pagórek.

Ruszyliśmy tedy żwawym krokiem przez owa groblę ku lasowi – ze śpiewem i rozwiniętym sztandarem; zaledwie jednak uszliśmy paresęt kroków, usłyszeliśmy z prawej strony gęsty trzask karabinowych strzałów. Jednocześnie zadrżała ziemia pod naszymi nogami, rozległy się dwa, jeden po drugim, jakby uderzenia pioruna, i jednocześnie potężny rozgłośny świst, jakby stado szpaków przeleciało nad głowami... W ślad za tą pierwszą parą piorunów padła druga para, potem trzecia i.t.d. Strzelano na przemian kartaczami i granatami z dwóch armat, ustawionych na owym wzgórzu za stawem.

Ale cały ten huragan ognia i żelaza przelatywał nieszkodliwie nad głowami, kilka tylko granatów pękło w błocie, w pobliżu grobli, i obryzgało nas fatalnie ziemią.

Jeden taki wystrzał kartaczami, widocznie lepiej wycelowany, brzęknął po kosach, przedziurawił sztandar i nadłamał Pietrkowi owa halabardę, za co Pietrek krwawą zemstę przyobiecał.

Przyczyną, że mimo stu z górą danych strzałów, żaden nie trafił, było to, że Galicjanie, którzy zaraz na początku bitwy uderzyli na ów staw, spędzili kozaków, rozsypanych pod wzgórkim nad brzegiem stawu i celnym ogniem razili ową, na górze stojącą artylerię tak, że strzały były gorączkowo szybkie i na chybił trafił. Plan zatrzymania nas na grobli z pomocą artylerii i kawalerii aż do nadejścia piechoty, mającej nadciągnąć od lasu za nami i wzięcia nas w dwa ognie, zupełnie się nie udał.

U nas usposobienie, z początku poważne, zmieniło się na wesołe. Posypały się żarciki, gesty nie zupełnie przyzwoite w kierunku owej artylerii, którą na wzgórzu doskonale widać było, a za każdym przelatującym nad głowami, granatem, syptały się życzenia; a bodaj żeś pękł! szczęśliwej podróży! patrzajcie! upił się! lezie w błoto jak świnia! i.t.p.

W ogóle wytrzymaliśmy ów pierwszy chrzest ogniowy świetnie; co prawda nie było to trudno, gdyż nawet rany nikt nie otrzymał, oprócz kilku ludzi, których kawałki darni i błota, wyrwane przez pękające granaty, powaliły na ziemię, ale i ci, podtrzymywani pod rękę szli dalej.

Tak tedy przeszliśmy ową groblę i rozsypaliśmy się w tyralierkę na skraju lasu, a kosynierów i nas, ptaszników, posunięto dalej w głąb lasu.

Niedługo potem nadciągnęła i owa piechota, i rozwinawszy się długim szeregiem przed miastem,

zaczęła sypać do nas ogniem karabinowym; wtedy też Galicjanie, odstrzeliwując się z pomiędzy krzaków, przysunęli się do nas i złączyli się nareszcie, powitani głośnymi okrzykami i wiwatami, Zaraz też Galicjanie rozpoczęli ogień, gdy dotąd z powodu odległości, nasi strzelcy, uzbrojeni w gładkie dubeltówki i pojedynki, na ogień nie odpowiadali. Zahuczały tedy przednimi gęste strzały karabinowe, nad głowami zaś w dalszym ciągu wyły przelatujące granaty, które nie tylko nad linią strzelców, ale nawet nad naszą kompanią i kosynierami, stojącymi o paręset kroków z tyłu, górą przechodziły, a pękały z ogromnym hukiem daleko z tyłu.

Po drodze tylko, rwąc gałęzie i wierzchołki drzew, obsypywały nas deszczem igieł i liści. Czasem także padała zabłąkana kula karabinowa, z ostrym świstem podobnym do brzęku osy, jeżeli szła sztychem, albo warczeniem, jeżeli szła bokiem kręcąc się na około siebie. Kule bowiem owe były długie, z tyłu puste i w Tm otworze siedziała miedziana kapsła, której zadaniem było pod wpływem parcia gazów, z wybuchu prochu powstałych, rozepchnąć ścianki kuli, ażeby szczelniej do gwintów lufy przystawała. Kula taka, duża jak gruby palec u ręki, czyniła ogromny hałas.

Karabiny rosyjskie, ciemno niebieskiego koloru, długie były bardzo daleko i ostro, ale często wskutek nie umiejętnego ustawiania wizjerów elewacyjnych, przenosiły, stąd, zwłaszcza na bliską metę, nie tak były groźne, jak być mogły.

Staliśmy tedy, a raczej leżeli za drzewami, przysłuchując się onej bojowej muzyce, obsypywani ciągle sypiącymi się z góry igłami, gdy wtem wiatr przyniósł do nas wyraźnie odgłos trąbki i bębna, przy tym dalekie echo urraaa!... Nieprzyjaciół ruszył do ataku, częścią przez groblę, częścią zaś w rozsypkę długą linią tyralierów, przez owe mokre łąki, poniżej grobli leżące i oddzielające nas od miasta.

Nam kazano opatrzyć broń. Podsypać brandki, nałożyć pistony, podciągnąć paski i być w pogotowiu.

Uczyniliśmy to wszystko z radością, doświadczając zupełnie tego samego wrażenia, jakiego się doświadcza, stojąc na stanowisku w tej chwili, gdy po długim oczekiwaniu rozlegnie się w kniei ostry głos sygnałowej trąbki...

Rozległ się tedy suchy trzask odwodzonych kurków, a ja przyznaję się, że przede wszystkim ucieszyłem się myślą, że będę się mógł w sposób użyteczny pozbyć choć części swoich ładunków, których ciężar coraz bardziej dawał mi się we znaki. Następnie kazano nam się znowu położyć za drzewami i czekać dalszych rozkazów. Tymczasem armaty przycichły, a za to wzmógł się grzechot strzałów karabinowych, po chwili zaś z naszej strony zahuczały basem dubeltówki tak gęsto, jak gdy kto kilka mokrych polan osikowych dołoży do dobrze rozpalonego ognia.

Taka jednak gorąca strzelanina trwała nie długo. Nieprzyjaciół bowiem, przypuszczony z bliska i przyjęty tak gęstym ogniem z kilkuset dubeltówek, jakiego pewnie się nie spodziewał, cofnął się szybko do miasta, krzycząc jednak mocno urraaa! Obsypany rzadkim ogniem Galicjan, zostawiając po drodze szare plamy, z których jedne leżały bez ruchu, inne ruszały się pomalą. Byli to zabici i ranni, dość gęsto posiani na owej łące.

Z naszej strony padło też niemało: Galicjanie zostawili kilku zabitych na owym stawisku, kilku rannych przynieśli ze sobą, ale na brzegu lasu sporo naszych leżało, nie wstając, ani nie odzywając się na

podziękowania naczelnika, który w otoczeniu kilku oficerów objeżdżał pobojuwisko.

Zabici nie zrobili na mnie żadnego wrażenia, ale przyznaję się, że widok rannych, z których kilku okropnie jęczało, a zwłaszcza jeden, który prawą ręką podtrzymując strzaskana i jakoś dziwnie skręcona lewą rękę, kręcił się w kółko i jakoś dziwnie skomlał z bólu, okropnie mnie przeraził.

Tymczasem bitwa już zupełnie ucichła, więc kilku naszych wybiegło na ową łąkę, pozbierać porzucone przez nieprzyjaciela karabiny, lecz zaledwie kilka sztuk zdołali zebrać i kilka ładownic z ładunkami, gdy z miasta odezwały się strzały i kule zabrzęczały koło nich; wrócili więc pędem, przyniosłszy jednak kilka karabinów, któreśmy z niezwykłą ciekawością zaraz oglądać zaczęli, osądziliśmy jednak, że nasze są daleko zgrabniejsze i składniejsze.

Wkrótce zmierzchno, zaszły powody po rannych, a dla zabitych wykopano ogromną jamę, w którą ułożono ich wszystkich i po zasypaniu ziemią, odmówieniu krótkiej modlitwy, salwą kilkunastu wystrzałów pożegnano towarzyszków broni, poległych za ojczyznę.

Mówiono, że będziemy atakowali miasto, ale dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel Tyszowce opuścił. Ruszyliśmy tedy dość sporym marszem i w dobrym usposobieniu, szczególnie ci, którzy mieli czarne usta, co dowodziło, że byli w ogniu i odgryzali patrony.

My zaś, mlecza i kosynierzy, z uszanowaniem patrzyliśmy na te czarne usta i zawałane prochem ręce, mnie zaś kaducznie gniotły paski od owych ładunków.

Po kilku wiorstach, przebytych gęstym lasem, zapadliśmy na nocleg. Zaledwie jednak rozpaliliśmy ogniska i zabrali się do tyszowieckich zapasów (a pamiętam, że mi się dostała ogromna pieczona kura, którą właśnie ze smakiem mordowałem), gdy nadjechał adiutant z rozkazem ruszenia dalej.

Ile się tam życzeń na biednego adiutanta po cichu, półgębkiem posypało, nie wiem, ale to wiem, że musiałyby mieć więcej nóg niż najdłuższa skolopendra, gdyby chciał wszystkim żądaniom połamania tychże zadość uczynić, a o innych pobożnych życzeniach, chorobach, „wciurnościach” nie ma co i mówić.

Powlekliśmy się tedy jakąś wąską drogą, utykając na pieńkach i korzeniach, dogryzając rozpoczętą kolację, po cichu bo i śpiewać nie było wolno. Tak wlekliśmy się całą noc, aż dopiero z rana oddział stanął i wnet zwaliliśmy się na ziemię, jakeśmy stali po obu stronach owej wąskiej drogi i snem kamiennym usnęli.

Rano nie budzono nas jak zwykle, świstkami, tak, że mieliśmy czas wypaść się doskonale. Już ku południowi, po zwykłej komendzie („czterech ludzi po chleb, dwóch ludzi po wódkę”), przyniesiono nam zapasy; rozpaliliśmy ogień, a że oprócz tego mieliśmy od tyszowieckich mieszczan różne pozostałości, więc podjedliśmy doskonale i pokładliśmy się naokoło ognia gawędząc.

Naturalnie głównym tematem rozmowy była wczorajsza bitwa, żarciki z tych, którzy zbyt grzecznie witali pierwsze nad głowami przelatujące kule i którzy zostali tak ostro poczęstowani błotem przez owe pękające koło grobli granaty. Dostało się przy tym porządnie i przeciwnikowi a głównie owej artylerii, co, jak mówią – straciła połowę ludzi i prawie wszystkie konie.

- To ci jak psia krew luną, zdawało się, że nas od razu zjedzą, toć tak huknęło, że aż grobla zadrżała,

myślałem, że ja już na tamtym świecie, a tu nic.

- A mnie, to jak chlupnęło w pysk, to jużem całkiem umarł, ale jeszcze jakoś żyję.

- Im by dobrze było na rezurekcję w Turobinie strzelać – dodawał jakiś turobiński obywatel – niby to i wielka rzecz taka harmata, ale to jak wielka chuda krowa, co dużo ryczy a mało mleka daje. Te paskudne bintówki (gwintówki), to co innego! W Jaśka jak kulą palnęła, tylko się na pięcie obrócił i już leży, a krew tak z niego: gul! gul! gul! Ani Jezus, Maria, biedak nie krzyknął.

- Bo jakże miał krzyknąć, kiedy nie było kiedy.

Tak tedy odpoczywaliśmy sobie do wieczora, a jak się dobrze ściemniło, ruszyliśmy znowu.

Już to nic nie bywało gorszego nad te nocne marsze, bo to jakoś przeciw naturze, i na to Pan Bóg stworzył dzień, żeby robić, a noc, żeby spać, a u nas to na odwrót. Ale starsi żołnierze mówili, że widać tak trzeba.

Szliśmy tedy drożynami, lasem, okrążając nawet polanki; raz przeszliśmy tylko przez pole i znowu lasem, a śpiewać nie było wolno. Ogromne drzewa rosnące z obu stron drogi, szumiały tylko złowrogo, a myśmy szli i szli...

Chór ptasząt, niezwykle jakoś głośny i wesoły oznajmiał nam dzień. Każdy odmawiał modlitwę; pozdejmowaliśmy czapki i szliśmy dalej, a słysząc było: „Pod Twoją obronę uciekamy się”, „Na ostry kamień nie nastąpisz nogą”, „Mea culpa, mea culpa” i t. d.

Wtem momentalnie stanęliśmy. Kazano nam znowu nałożyć pistony, nabić broń, kto miał wystrzeloną. Z drogi zesliśmy w gąszcze i ruszyli łańcuchem tyralierów; ale pokazało się, że to był fałszywy alarm, więc wróciliśmy nazad i w owych gąszczach zasiedli na poranny odpoczynek.

Wody jednak porządnej, tak, żeby się było można obmyć, ciągle nie było; strzelcy, którzy mieli w czasie bitwy uczernione ręce i twarze od prochu i tłuszczu, nie mając czym się dobrze umyć, wyglądali jak czerwonoskórzy. Staliśmy wtedy w tych gąszczach cały dzień, zachowując wszelką ostrożność, bez śpiewów i ognia.

Postawiono mnie na skraju poręby, w takich zaś razach lepsza ciemniejsza noc, niż księżycowa, a tu jak na złość księżyc świecił w całej pełni, wyglądając jak sadło; tak się o nim malowniczo wyrażał Pietrek. Stałem tedy pod drzewem, dając „pilne baczenie” na owa porębę, a spać mi się chciało tak straszliwie, że musiał co chwilę oczy woda z wódką przemywać, żeby się nie zamknęły. W rękach, według ordonansu, musiałem trzymać swoją lepażówkę z odwiedzionymi kurkami i palcem na cynglu; bo z naszym porucznikiem żartów nie było, a zapowiedział nam (o czym i sam wiedziałem), że w czasie wojennym, zarówno za niewystrzelenie w razie podsuwania się nieprzyjaciela, jak i za wystrzelenie bez przyczyny i fałszywe zaalarmowanie obozu, kula w łeb!

Stoję tedy, wytrzeszczam zlepiające się oczy... Nareszcie już prawie zasypiałem, gdy usłyszałem wyraźnie szmer zbliżających się kroków, i zobaczyłem skradający się ostrożnie jakiś cień. Ale na moje groźne: :stój! Kto idzie? – odpowiedział mi wyraźnie: „Warszawa”!

Dałem tedy odzew „Wolność” – i, poznawszy mojego podoficera, sprezentowałem broń, zapomniawszy na śmierć, że na pikiecie broni się nie prezentuje. Wziąłem więc z wolna do nogi,

ale na moje szczęście pocziwy Piasecki się nie spostrzegł, albo może udał, że nie spostrzega. Zmieniono mnie zaraz: zdjąwszy więc pistony i założywszy brandki kłakami, żeby czasem pozostała z pistonów od stuknięcia w półkurcze nie wypaliła, szybko wróciłem do obozu, i już nie szukając swego miejsca, zwałem się jak kłoda i chrapnąłem.

TUCZAPY – MOŁOZÓW

Rano, skoro świt, zbudzono nas, ale nie świstkami, tylko tak z ręki jeden drugiego i zaraz naczczo ruszyliśmy z miejsca.

Dziwny to był marsz, co chwila stawaliśmy, schodziliśmy z drogi, to na prawo, to na lewo, to znowu przylatywali nasi władni z raportami i coś mówili oficerom, przed nami i z obu stron po bokach ciągnęły razem z kolumną rzadko rozstawione łańcuchy tyralierów; nareszcie doszliśmy do skraju lasu. Nie kazano się nam wysuwać, broń Boże, na pole, ale kazano, nie dochodząc do samego brzegu, położyć się i leżeć, broni jednak nie ustawiać w kozły, lecz trzymać przy sobie na pogotowiu.

Za pozwoleniem podoficera, ja i paru kolegów ostrożnie posunęliśmy się na sam brzeg lasu, żeby się rozpatrzeć w pozycji.. Przed nami tedy, w odległości paru wiorst, widać było wieś, jak się potem okazało ***Tuczapy***, my zaś rozłożeni byliśmy w występie leśnym, jakby krótkim półwyspie wrzynającego się w pole lasu. Na lewo pole zagłębiało się w las rozwartym półokręgiem, na końcu zaś było widać drugi występ wrzynającego się w pole lasu.

Ponieważ staliśmy za słońcem, więc doskonale było wszystko widać i zaraz zauważyliśmy błyski i migotania szerokich bagnietów Galicjan, a mnie przyszło na myśl, że w partyzantce broń powinna być koniecznie bejcowana na szaro, żeby była matowa, a nie błyszcząca, gdyby bowiem na naszym miejscu był nieprzyjaciel, równie by dobrze, jak my, ich zobaczył.

Na prawo, pod słońce, las umykał w tył, na końcu tego horyzontu majaczyły zielone łąki i krzaki, z frontu zaś przed nami pola uprawne, dobrze już zarumienione, jaśniały pszenica i ciemniejszym żytem. Czuć było jakoś proch w powietrzu, ale humory były doskonałe.

Dogryzaliśmy wczorajszych zapasów; M... pogwizdywał z cicha, wcale nie zabity ani nawet ranny, mimo swoich przewidywań; dowcipy sypały się jak zwykle i zupełnie zapomnieliśmy gdzie jesteśmy i na co czekamy, tak nam było jakoś wesoło i dobrze. Wtem ni stąd ni zowąd, usłyszeliśmy nad głowami, nawet nad lasem, dobrze już znany ostry świst idącej sztychem kuli. Strzał jednakże wyraźnie padł bardzo daleko, gdyż pod wiatr zupełnieśmy go nie zauważyli.

Nasz **Piasecki**, a i z innych plutonów podoficerowie, podsunęli się na lewy brzeg lasu, wrócili jednak po chwili, mówiąc, że to zapewne komuś wypadkiem wypaliło, gdy tymczasem z lewego cypla lasu, obsadzonego przez Galicjan, zaczęły się sypać strzały, z początku rzadko, potem gęściej, a przy tym z nieprzyjacielskiej strony zagrały karabiny, wyraźnie odróżniające się od naszych grubszym basem i dźwięczniejszym tonem. Ich bowiem niebieskie „dzwonki”, jak je nazywaliśmy, dłuższe, grubszego kalibru, z cieńszymi ściankami luf, znacznie się tonem od naszych belgijskich karabinków różniły.

Nasze belgijczyki, w które dotąd tylko owi Galicjanie byli zaopatrzeni, były krótkie, sześciokątne więcej niż do połowy lufy, małego kalibru, o grubych ścianach luf. Kulka była długa, a ilość prochu w ładunku proporcjonalnie do wagi kuli znacznie większa niż w rosyjskich karabinach. Kula była pełna, a mimo to, choć w lufę wraz z ładunkiem wchodziła lekko, na wystrzelonej wyraźnie było znać głębokie rowki od gwintów.

Słowem, kształt ładunków przypominał obecnie do ekspresów używane. Na końcu lufy umieszczony bagniet szeroki, płaski, długi, do tasaka podobny. Na niektórych bagnietach z jednej strony była nacięta piła do robót saperskich.

Wizjer był półokrągły, dość niski. Karabiny te były bardzo daleko i celnie, ale na dalsze zwłaszcza odległości trzeba było bagniety zdejmować, gdyż ciążyły i zwracały lufy na bok. Huk strzału suchy, twardy, ucięty, a ton wysoki.

Wskutek tego, nawet z daleka doskonale było można odróżnić, z której strony więcej strzałów pada.

Tak więc wkrótce zauważyliśmy, że siły nieprzyjacielskie znacznie przeważają. Oprócz nader gęstego tyralierskiego ognia, od czasu do czasu odzywał się, jakby trajkotanie ciągnionego łańcucha, trzask plutonowych ogni. Jednakże, ile razy ogień ten zbliżał się do nas (a nieprzyjaciel atakował z lewej strony), w ten czas do rzadszego ognia karabinów mieszał się różnorodny gęsty trzask dubeltówek i pojedynków, a zaraz potem owe basy cichły.

Przed nami doskonale widać było jakby małe wybuchy kurzu z pomiędzy zielonej pszenicy, a czasem i po gałęziach zawarczało. Wszystko to były zgórowane kule, widocznie w pośpiechu w kierunku księżycy wystrzelone, które, zakreśliwszy olbrzymią parabolę, aż do nas dolatywały.

Trwało długo takie mocowanie się, które nieprzyjaciel przepłacił gęstym trupem ścieląc owe ataki i cofania się. Armat wciąż słychać nie było, nas to gniewało; odzywały się głosy: „czemu oni na tych dudach nie zagrają, byłoby choć czego posłuchać, a tak też po próżnicy i ziewaj”.

Ale starsi żołnierze widocznie z tego byli niezadowoleni, a porucznik coś szeptał z podoficerami. Przeczuli bądź atak z drugiej strony, bądź jakąś zasadzkę.

Myśmy wprawdzie nie wiedzieli, ale potem dowiedzieliśmy się, że do tego oddziału, który nas atakował pod *Tyszowcami*, a był złożony z dwóch rot piechoty, sotni kozaków i dwóch armat, dołączył się drugi; cztery rot piechoty, szwadron huzarów, dwie sotnie kozaków i dwie armaty, liczący tak, że razem wzięte siły nieprzyjacielskie znacznie przewyższały nasze.

Aleśmy się o tym szczegółowo dopiero znacznie później dowiedzieli.

Jakkolwiek bądź, wszyscy się ucieszyli, gdy nareszcie zahuczały armaty, których nieobecność wszystkich nas niepokoiła. Stały one trochę bliżej nas na wprost owego cypla, obsadzonego przez Galicjan, a że tymczasem słońce obróciło się już tak, że przed lasem była szeroka smuga cienia, więc widzieliśmy ich doskonale, jak na dłoni, kiedy zajeżdżali galopem w półkola, potem odjeżdżali z końmi w tył, nareszcie biegali koło tych armat, a potem buchnęło: raz! dwa! Wnet potem olbrzymim echem odezwał się las, zawyły granaty, a jednocześnie pamiętam doskonale, że dwie smugi dymu, które buchnęły w naszym kierunku, zamieniły się w kółka, a te, z wolna się rozszerzając, płynęły w powietrzu

ku nam. Wkrótce z lewej strony przybiegło do nas kilkudziesięciu Galicjan, i ci zaraz, po długim ustawianiu wizjerów, ku owym armatom ogień skierowali; grało także i kilkanaście karabinów pod *Tyszowcami* zdobytych.

Ja, stojąc za ogromną sosną, z niezmierną ciekawością patrzyłem na owe armaty, które, jakby nie zwracając uwagi na nas, w dalszym ciągu, w pierwotnym kierunku, ku owej górnej masie pracowały. Zato zauważyłem jak jakaś długa czarna linia na skraju horyzontu, wyraźnie się na tle zielonych pól odcinająca, zaczęła z początku zwolna, a potem coraz prędzej ku nam się przesuwać. W jednej chwili zameldowałem o tym podoficerowi, a ten jakiemuś panu, który na pięknym gniadym koniu w tej chwili do nas klusem podjeżdżał

Był to kapitan **Ubysz**. Zeskoczywszy z konia, wydobył z pokrowca lunetę i skierował ją ku owej linii, którą miałem zaszczyt sam mu pokazać. Wnet zwrócił się do nas i krzyknął:

- Siadaj – no który na szkapę i ruszaj po kosynierów, niechaj tu żwawo biegają, tylko konia w pysku nie ściągaj bo cię zrzuci!

A do nadchodzącego porucznika:

- Czy powariowali? Toż na piechotę stojącą w lesie, kawalerię puszczają! – Potem zwracając się do Galicjan, kazał im wstrzymać ogień, nastawić wizjery na 400 kroków i czekać.

A potem rzekł do nas:

- A wy chłopcy za drzewa i baczność!... A gdy mi który bez komendy strzeli, to już ja mu strzelę!

Tymczasem owa linia zbliżała się do nas coraz bardziej, wkrótce słyszeliśmy tętent koni, później błysnęły wydobyte szable i utworzyły błyszczący pas nad zbliżającą się masą; rozległo się głośnie; uraaa! – aż echo w lesie odpowiedziało, zahuczała ziemia i jakby zadrżała miarową falą.

Przyznaję, że serce mi biło jak młotem, ale nie tyle ze strachu, choć, co prawda, i tego tam trochę było, ile z oczekiwania. Boć i na dzika, niezupełnie się spokojnie czeka, a tutaj te du-du-du! du-du-du! Silnie na nerwy działały.

Widziałem doskonale, jak jakiś wąsaty oficer z długimi bokobrodami, które mu wiatr na ramiona zarzucił, bódł konia ostrogami i szablą coś szeregom pokazywał, a wtem rozległ się ostry, dźwięczny głos Ubysza:

- Na tuj! Cel! Od lewego w dym pal!

Rozległ się długi trzask, jakby kto sztukę płótna rozdzierał, dym zasłonił wszystko, a gdy się trochę rozwiął, zobaczyliśmy przed sobą kilkanaście koni i ludzi, reszta zmykała w pełnym galopie, co chwila jednak z tej masy wysuwał się to koń, to człowiek i już zostawał na polu.

Galicjanie ze swoich belgijczyków puścili im w dogonkę kilkadziesiąt strzałów, ale Ubysz kazał wstrzymać ogień, mówiąc, że do cofającego się nieprzyjaciela nie strzela się, i że tak polski żołnierz nie powinien robić.

Mój oficer, którego doskonale wytrzymałem, biorąc go w pól z prawej strony, zachwiał się na siodle, pałasz mu wyleciał z ręki, ale go zaraz podtrzymali i zabrali ze sobą. Kilka koni bez jeźdźców wpadło na nas i te zatrzymano

Konie były rosłe, skarogniade, jeden szczególnie z białą gwiazdka na czole wszystkim się podobał.

Po polu cwałowało także kilka koni i nasi kosynierzy chcieli je chwycić, ale Ubysz nie pozwolił.

Tymczasem ogień artyleryjski rozdzielono; nad naszymi głowami zaczęły znowu wyć granaty i ze strasliwym hukiem pękać z tyłu w lesie, ale nikomu nic złego nie zrobiły, tylko jednemu strzelcowi sucha gałąź, oderwana granatem rękę złamała.

Parę granatów nie pękło, a jeden kosynierzy znaleźli. Między nami usposobienie było dobre, bo nic tak nie rozwesela żołnierza, jak zwycięstwo, a po owym udatnym odparciu wspaniałej i groźnej szarży huzarów byliśmy gotowi choćby piechota na armaty uderzyć, z owym niewystrzelonym granatem w rękę. Projektowano włożyć weń hubkę i w chwili, gdy będziemy dochodzili, zapalić i rzucić między artylerzystów. A że granacisko było ogromne, więc liczyliśmy na strasliwy efekt, jaki z tego wyniknie. Jednakże mimo pozornej praktyczności tego projektu, której ja, co prawda nie przyznawałem, kapitan parsknął śmiechem, machnął ręką i kazał nam dalej leżeć pod sosnami.

Ja byłem po części w rozpacz, gdyż udało mi się wystrzelić zaledwie cztery ładunki, a byłem już w dwóch bitwach, wypadało zatem po dwa ładunki na bitwę, a że ich miałem 150, więc starczyłoby na 75 bitew, to jest na liczbę, którą się żaden, nawet napoleoński żołnierz poszczycić się nie mógł.

Wielką też chęć miałem pozbycia się chociaż połowy tych ładunków, jednakże myśliwska żyłka do zapasów na wszelki przypadek przemogła.

Właśnie rozmyślałem nad tym, gdy Galicjanie szybko posunęli się naprzód, na sam brzeg lasu, i poustawiali się za drzewami, a nam kazano cofać się w głąb lasu i pokłaść się za sosnami na ziemi.

Tu już mnie złość wzięła; gdybym miał karabin, to bym mógł chociaż połowę swoich ładunków wystrzelać, a tak, leż jak baran za sosną i czekaj zmiłowania Bożego!

Kosynierów ukryto jeszcze dalej, i tak leżeliśmy i czekali. Nieprzyjaciel jakby przycichł, tylko z naszej strony Galicjanie pukali ciągle do owych armat.

A tu zaraz zabrzęczały kule karabinowe, jakby kto na rój os nastąpił, jednocześnie usłyszeliśmy znowu znany trzask plutonowego ognia, a potem zaraz gęstą tyralierkę: taf! taf! trr! taf! taf!

Z naszej strony Galicjanie też nie milczeli. Kule sypały się koło nas jak grad, to świszcząc, to warcząc, rwąc korę, lub też z głuchym odgłosem „cap”! uderzając w drzewa. W ogóle przeciwnik nie żałował ładunków.

Po niejakiem czasie natężenie ognia zmniejszyło się, ale, mimo to, wezwani do odnoszenia rannych kosynierzy dość często przesuwali się między nami, niosąc rannych na pośpiesznie urządzonych noszach.

Już to widok rannych fatalny wpływ wywiera na żołnierzy. Zabity, to nic! Padnie sobie na ziemię i leży spokojnie, nikomu nie przeszkadzając, owszem nawet, jeżeli w szczerym polu, to można dwóch położyć jednego na drugim, i z poza nich, leżąc, strzelać. A ranny, zwłaszcza niewytrzymały, jak zaśpiewa, to człowiekowi po plecach ciarki chodzą.

Tak i teraz było z jakimiś dwoma biedakami, mającymi strzaskane nogi; tych jednak dalej w las odniesiono, a przy tym, za radą Parady dano im pić wódki, ile tylko chcieli i tak jakoś przycichli.

Dla rannych bowiem najważniejsza rzecz picie. Bez opatrunku mogą się obejść dość długo, bez przykrości, ale pić wołają ciągle; zresztą sam na sobie doświadczyłem, jak to się okropnie nawet przy stosunkowo lekkiej ranie pić chce.

Ale tymczasem szarżało, strzały pomału cichły, tylko, jeśli gdzie po ciemku coś błysnęło, to zaraz z przeciwnej strony padało kilkanaście strzałów w tym kierunku, na te znowu odpowiadano, i.t.d. U nas jednak wkrótce zabroniono tej zabawki, i tak się tedy skończyła owa bitwa bez wyraźnego rezultatu, choć ze znacznymi stratami dla obu stron.

Tak się wówczas kończyła znaczna większość bitew. Straty były poważne nieraz 20 procent walczących, a rezultat żaden. Postaliśmy jeszcze czas jakiś, a wtem buchnęła czerwona łuna pożaru, bo nieprzyjaciół w ten sposób mścił się na Bogu winnych Rusinach za swoje nieudane ataki.

W szeregach odezwały się silne i liczne głosy: „Na pomoc braciom! Ratujmy ich!” już się pochylały bagnety i kosy do ataku, ale naczelnik nie pozwolił. Rzeczywiście atak w szczerym polu na znacznie przeważającego nieprzyjaciela, tak liczbą, jak i uzbrojeniem, mającego przy tym cztery armaty, miał małe szanse powodzenia. Jednakże, jak się później okazało, należało było go wykonać.

W razie udania się, atak ten byłby nas okrył niepożytą chwałą i w ogóle ruch sprawy w Lubelskim ogromnie posunął naprzód. W razie zaś nieudania się, choćby połowa nas padła, lepiej byłoby dla sprawy, niż to co nas potem spotkało.

Boć na to żołnierz idzie w pole, żeby się bił, a na to ma krew żeby ją przelewał...

Ruszyliśmy tedy o chłodzie i głodzie w las, zostawiając rannych na pieczy obywateli okolicznych, którzy w paru powozach po nich przyjechali. Pamiętam, że w jednym z nich zauważyłem śliczną jasnowłosą panienkę z długimi warkoczami, z ogromnym koszem opatrunków, w towarzystwie jakiegoś staruszka.

Maszerowaliśmy tedy całą noc i przeszliśmy nawet przez ową dopalającą się wieś, którą nieprzyjaciół podpalił. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Wieś była pusta co się zowie, żywego ducha nie spotkaliśmy; gdzie niegdzie zapadały się z trzaskiem krokwie i wybuchały słupy isker w górę, tylko psy były przeciągle na około, a kosy i bagnety błyszczały czerwonym, złowrogim światłem.

W połowie ulicy buchnęło silniej światło, zapalił się bowiem dach na jakiejś stodołce, poza którą widać było szereg niezapalonych jeszcze chat i stodołek. Skoczyliśmy tedy żwawo ku niej i w mgnieniu oka rozerwaliśmy na kawałki, gasząc i odciągając na stronę palące się krokwie, co nam przyszło tym łatwiej, że przy kosach były haki, przeznaczone do ściągania kawalerii z koni. Następnie kosami i bagnetami zasypaliśmy ziemią kilka nie zagaszonych jeszcze ognisk, co wszystko razem nawet kwadrans nie trwało, i ruszyliśmy żwawym krokiem dalej.

Och! Żeby nam tak wtenczas wpadł nieprzyjaciół pod rękę, poszlibyśmy do ataku nawet na fortece i na setki armat, ale on zaraz z wieczora ruszył w przeciwnym kierunku.

Wyszedszy z owej nieszczęsnej wsi i wypiwszy wszystką wodę ze studzienek, której jednak i dla połowy nas nie starczało, nie mówiąc już o koniach, ruszyliśmy dalej jakąś drogą na której były gęste kałuże. Wypito je momentalnie.

Pić się tak chciało, że ludzie kładli się na ziemię i żłopali wodę jak psy. Ja po omacku natknąłem się na głęboką koleję, pełną wody niezbełtanej jeszcze przez innych, jednakże po napiciu musiałem język zeszkrobywać z mułu, co na nim osiadł. Na szczęście w manierce miałem jeszcze trochę wódki, którą popłukałem usta, choć nie zupełnie, bo mi do rana w zębach trzeszczało.

Galicjanie radzili sobie w ten sposób, że brali w usta swoje szerokie bagnety, a jak się ten kawałek bagnetu co był w ustach rozgrzał, przesuwali go dalej aż do końca, a potem zaczynali od początku, w ten sposób języki im nie pozasychały tak jak nam. Przez różne rzeczy wypadało mi przechodzić w życiu, ale od pragnienia już gorszej męki na świecie chyba nie ma.

Dopiero nad ranem dobraliśmy się do wody; było to jakieś jezioro, konie pierwsze je poczuły, nastawiwszy uszy, rwały się w tym kierunku, wciągając nozdrzami powietrze.

Boże! Co to była za rozkosz! Przez całe swoje życie, ani przedtem, ani potem, nic podobnego nie doznałem.

Wszedłszy tedy do lasu, zaszyliśmy się weń głęboko, okropnie się bojąc wyznaczenia na pikiety, ale jakoś się udało szczęśliwie nie ruszono nas wcale. Stamtąd ruszyliśmy znowu lasami, kołując; podwieziono nam dostatecznie jedzenia, i już wypoczęci, nakarmieni, zajęliśmy znowu pozycję.

Jak wyglądała pozycja główna, tego nie wiem, albowiem była z przeciwnej strony lasu. Z tej zaś strony, na którą nas poprowadzono był starodrzew, gęsto krzakami podszyty, przed nami łąki, potem pola, a na skraju horyzontu się jakieś krzaki czy lasek. Zaledwie rozpaliliśmy ogień i zdołali upiec swoją słoninę, przyleciał ułan z rozkazem do porucznika: mieliśmy leżeć spokojnie i czekać dalszych rozkazów, nie iść zaś na drugą stronę lasu bez rozkazu, chociaż byśmy bitwę słyszeli.

Widocznie oszczędzano nas, chociaż w obu bitwach nie straciliśmy z naszej kompanii ani jednego człowieka, przeciwnie przybyło do nas sporo ochotników, bo wszystkich młodszych po przeegzaminowaniu przyłączono do nas. Nasza kompania ptaszników z górą stu ludzi liczyła. Wprawdzie było to wszystko chłopaki, około 15-tu, 16-tu lat mające, ale myśliwi, prawie wszystko wieśniacy, i może odpowiedniejsi do służby partyzanckiej od wielu dorosłych. Przy tym byli między nami i starsi żołnierze, wytrawni, praktyczni, tak, że nasza kompania wcale się nieźle prezentowała.

Pogasiwszy swe ognie, leżymy sobie i gawędzimy, wtem placówki, które stały o kilkadziesiąt kroków od nas na samym skraju lasu, dają znać, że naprzeciw nas, na polu, mającą jacyś jeźdźcy, Porucznik wybiegł na skraj, a jeden ze starszych podoficerów, który miał nadzwyczaj bystre oczy, od razu poznał, że to kozunie. Pomyszkowali wokoło i znikli nie zbliżając się do nas, jednak porucznik kazał broń opatrzyć i nałożyć pistony.

Właśnie nakładałem na lewą lufę, kiedy usłyszeliśmy głuchy odgłos wystrzałów, to rzadszy, to gęściejszy, z tamtej strony lasu, gdzie stały główne nasze siły. Porucznik kazał rozebrać broń z kozłów i następnie, posunąwszy nas naprzód, starannie porozstawiał za grubszymi drzewami. Mnie się dostała gruba lipa, rozdzielająca się od dołu w dwa konary, tak, iż mogłem, doskonale zakryty z pomiędzy nich strzelać.

Staliśmy długo, potem posiadaliśmy w oczekiwaniu, a tymczasem z tamtej strony lasu dochodził nas

ciągle przytłumiony głos strzałów karabinowych, to wzmagający się, to słabnący huk armat i pękających już w lesie granatów, gdzieś daleko z tyłu za nami.

My tymczasem, zasmakowawszy w bitwie, po owej, tak szczęśliwie odpartej szarży, gniewaliśmy się, że nas traktują jak dzieciaków, nie dopuszczając do bitwy, a przecież daliśmy już dowód, że dzieciakami nie jesteśmy.

- Ot! Zobaczycie, bitwa się skończy, a nas tu będą trzymali dla zakrycia tyłu, którego ani pies nie przyjdzie powąchać – mówiono.

Ale starszy podoficer uspokajał:

- Nie bójcie się – powiada – i nas krew nie minie, bo te kozunie nie na darmo tu myszkowały, ot, zobaczycie, że z tych krzaków wyjdą do nas goście.

Jakoż tak się stało.

Z krzaków, co czerniały naprzeciwno, wybiegło kilka czarnych punkcików, zataczających szybkie koła i zbliżających się coraz bardziej ku nam, ale widocznie nie byli pewni, czy tam jesteśmy, czy nas niema. Potem, kilka takich punkcików znacznie już większych, tak, że było można doskonale odróżnić konnych, przybliżyło się pędem, lecz nie dobiegli bliżej, na jakie półtora tysiąca kroków, stanęli i przypatrywali się długo, następnie zwrócili się pędem na powrót.

Wkrótce potem z owych krzaków wysunęła się duża czarna plama, która zaczęła się zbliżać ku nam, i doszedłszy mniej więcej do połowy drogi, zatrzymała się. Zaczęto szeptać między nami, ilu ich jest; jedni mówili, że dwieście, drudzy, że trzysta. Nareszcie z tej masy wysunęło się kilkudziesięciu ludzi i, rozsypawszy się długim, rzadkim szeregiem tyraliery, ruszyli ku nam, a za nimi owa pozostała część kolumny.

Doszedłszy na jakieś tysiąc kroków do nas, znowu stanęli, i naraz wykwitły jakby białe kłęбки waty, zaświstały kule i rozległ się rzadki huk strzałów karabinowych.

Strzelali sami tyralierzy. Myśmy leżeli spokojnie za drzewami, doskonale zaszyci, i przysłuchiwali się gwizdzącym i warczącym kulom, a że u nas było zupełnie cicho, nie odpowiadaliśmy bowiem wcale, więc każdą kulę było doskonale słyszeć, jak świszczała między liśćmi, lub uderzała w pień drzewa.

Postrzelali tak jakiś czas, potem chwilę postali, i przekonawszy się, że nas niema, ruszyli naprzód już całą kupą. Uszedłszy jednak paręset kroków widocznie zobaczyli nas, gdyż stanęli w jednej chwili, jak mur, postali, aż nareszcie już wszyscy rozwinęli się w długą linię tyralierską i zaczęli zbliżać się do nas, gęsto strzelając, ale bardzo z wolna idąc.

Gdy nareszcie przybliżyli się tak, że już można było guziki rachować i kolor lampasów rozróżnić, porucznik palnął do nich pierwszy, a w ślad za nim posypały się gęste strzały z naszej strony.

Ja trzymałem na muszce jakiegoś ogromnego chłopca, który widocznie coś sobie do mojej lipy upatrzył, bo dwie kule jedną za drugą w nią wsadził. Wiatr dym doskonale na bok unosił, więc go widziałem jak na dłoni, i pamiętam, że mi przyszło na myśl: - Psujesz ty moją lipę, popsuję ja ciebie.

Mając go tedy doskonale na muszce, lekko ściągnąłem prawy cyngiel, następnie lewy, on zaś okręcił się i palnąwszy jeszcze, jakby na wiwat w górę, padł jak kłoda na ziemię.

Nie byłem z przyrodzenia zły, ale przyznaję, że na ten widok doznałem zupełnie takiego wrażenia, jakiego się doznaje na widok padającego „z dymem” dzika, albo wilka, tylko jeszcze w znacznie wyższym stopniu; nuże tedy odgryzać ładunki, a nabijać, a strzelać, aż mi się lepażówka rozgrzała.

Oni nas też nie żalowali, aż las jęczał od huku strzałów i świstu kul. Ja tymczasem, przecierając strzelbę kłakami, dopiero spojrzałem na bok; nasi pracowali niezgorzej, ale już kilkunastu leżało na ziemi. Wtem przylatuje do mnie z prawej strony Panienka (był to śliczny chłopiec, syn jakiegoś obywatela z Hrubieszowskiego, któregośmy tak nazwali wskutek nadzwyczajnej delikatności rysów, co mu jednak nie przeszkadzało nader celnie strzelać), i dalejże prosić o pożyczenie ładunków. On miał śliczny gwintowany sztucer, z którego na egzaminie na trzysta kroków dwie kule w drzewo wsadził i, jak mówiono, w czasie owej szarży kilku huzarów z konia zszedł.

Wyjmuję tedy paczkę i próbujemy kalibru, pasują jak ulał, daję mu paczkę (12 sztuk), a on ją prosić:

- Mój ty złoty, mój ty kochany, daj jeszcze, tobie i tak wystarczy!

Dałem mu tedy drugą, a przez ten czas u nich osłabło, wyglądam sobie swobodnie między konarami i widzę, że znacznie dalej już stoją.

Naraz, jak świśnie kula! Oderwała kawałek kory i pęć nią Panienkę w nos, aż się w jednej chwili krwią zalała.

Kochałem go, jak wszyscy, a wiedząc czym dostał, przerażony, chwytam go w pól i dalejże obmywać mu twarz wódką, której miałem pełna manierkę.

Okazało się zaraz, że cały, tylko mu krew z nosa płynie. Dalej tedy przemywać, następnie posadziłem go za lipą, nabiłem mu sztucerek, a sam zabrałem się znowu do roboty.

Tymczasem u nich ucichło, cofnęli się znacznie w tył, zostawiwszy kilkunastu swoich, porozrzucanych w owej pszenicy, a widziałem także doskonale dużo kupek, że rannych na noszach nosili.

U nas też było kilku zabitych, których odciągnięto w głąb lasu, i kilkunastu rannych; tych zaraz zaczęto opatrywać. Panience przestała iść krew z nosa, padliśmy więc znów za lipę, zakąsiliśmy doskonale chlebem i pieczoną kurą, którą skądś Panienka wynalazł, i gawędziliśmy sobie w najlepsze, kiedy znowu zaczyna się ogień.

Nieprzyjacieli odsunawszy się na jakieś osiemset albo i więcej kroków, rozpoczął do nas silny ogień, Który, jak zwykle na taką odległość, ogromnie dużo napsuł gałęzi, wronich gniazd i wystraszył wszystko ptactwo w całym lesie.

My, jak zwykle w takich razach, nie odpowiadaliśmy, leżąc sobie spokojnie za drzewami.

Po długiej takiej pukaninie, przekonani, prawdopodobnie, że nas już co najmniej wszystkich wystrzelali, ogromnie trąbiąc, bębniąc, i krzycząc: urra! – ruszyli klusem do ataku, podczas którego jednak w dalszym ciągu nie omieszkiwali owe wrony nad lasem latające straszyć.

Tak podbiegli do nas, na jakich kroków sto. Widziałem ich doskonale i jeszcze by szli dalej, kiedy Panienka ściągnął jednego oficera silnie wymachującego pałaszem i biegnącego z prawej strony kolumny.

- Oto mój nos pomszczony! – szepnął do mnie, śmiejąc się, a wtem buchnęła z naszej strony salwa,

najpierw z prawych łuf dubeltówek, a po chwili z lewych.

Już po pierwszej salwie atakujący drgnęli i stanęli, a po drugiej urządzili tak wspaniałą rejteradę, że aż z pomiędzy pszenicy kurz w górę poszedł.

Jednakże odbiegłszy na jaką wiorstę stanęli. Widocznie zdetonowała ich owa druga salwa, której się nie spodziewali. Z naszej strony wszystkiego jeden przy tym drugim ataku oberwał, a i to lekko po rękę – przewiązany, żartował sobie z tej rany.

Dalej tedy czyścić broń, przeliczać ładunki i t. d.

Gęby mieliśmy czarne jak murzyni, bo czarnymi rękami pot się ścierało i muchy spędzało, a i z wodą już od kilku dni nie mieliśmy do czynienia, słowem, wyglądaliśmy tak, że choć w pierwszą parę na bal kominiarski. Ale za to usposobienie!...

Serca nam rozpierała jakaś duma szalona, jakieś zadowolenie niesłychane, jakieś podniesienie ducha i poczucie dobrze spełnionego obowiązku....

Aż wtem ze wszystkich piersi buchnęło, jak grom „Jeszcze Polska nie zginęła!” a echo rozległo się szeroko po lasach i rozłogach.

POGORSZENIE POŁOŻENIA – PIERWSZA RANA – COFAMY SIĘ KU GRANICY

Obstawiliśmy gęsto skraj lasu pikietami, na prawo i na lewo daleko wysuniętymi, ku czemu przysłano nam z głównej komendy oddział kawalerii, nieodzownie potrzebny nie tylko dla pikiet, ale do porozumiewania się z główną komendą. Wysłany bowiem z raportem pieszy, jeszcze przed drugim atakiem, dopiero po skończeniu potyczki doń się dostał, i teraz za plecami kawalerzysty na powrót wrócił.

Opowiedzieli nam kawalerzyści, że z tamtej strony lasu bitwa, co obecnie także ucichła, prowadzona była prawie tak samo, jak u nas. Te same nieudane ataki, tylko z większą liczbą ludzi i ogromnym hukiem owych czterech armat, z których jednak wielkiej krzywdy nam nie zrobili.

Ofiarą całego ognia artyleryjskiego był tylko jeden zabity i kilku rannych, z których prawie połowa od padających z góry gałęzi i wierzchołków drzew

Ale od kul karabinowych sporo naszych zginęło, i rannych jest też sporo od kul i bagnatów, bo raz już wpadli do samego lasu i z Galicjanami zaczęli się na bagnety ścierać, lecz jak tylko brzęknęły kosy nadciągających kilkudziesięciu kosynierów, których Parada na ochotnika pędem przyprowadził, jak tylko błysnęły kosy zza krzaków, szybko tył podali. Wszakże kosynierzy ich dopadli i wielu szpetnie pokiereszowali.

Pytałem się o swego Pietrka, ale nic mi nie umieli powiedzieć, dopiero w parę dni później, spotkawszy się z **Paradą**, dowiedziałem się, że swoją nieboszczkę halabardę okrutnie pomścił, mając bowiem zamiast zwykłej kosy, na sztorc oprawny rzezak od ręcznej kosiarki, znaczne większy i cięższy, rozwalił jednemu łeb prawie na dwie połowy, drugiemu przeciął ramię i żebro napoczął, a tak się rozsmakował,

że chciał biec za nimi dalej, i prawie siłą go zatrzymano.

Mówili jeszcze kawalerzyści, że na polu pod lasem leży wielu poległych nieprzyjaciół, i że zdobyto sporo karabinów, tylko niestety mało ładunków, gdyż przeważnie ładownice były puste.

Pokazaliśmy im także, że i my nie próżnowaliśmy, poczym jęli nas ścisnąć i całować, winszując, że nam się tak świetnie udało.

Powiadali też, że usłyszawszy u nas strzelaninę, mieli już na pomoc trzecią kompanię strzelców przysłać, ale wysłany ku nam rekonesans, któregośmy nawet nie widzieli, bo gdzieś dalej do skraju lasu dotarł, przywiózł wiadomość, żeśmy wroga odparli i że nas kapitan **Ubysz** i sam naczelnik ogromnie za to chwalili.

Więc nasz porucznik silnie wąsa podkręcił i powiada: A co, ja bym swoich ptaszników za grenadierów gwardii nie pomieniał!

Tym nas ostatecznie do siebie przywiązał.

Tymczasem pić nam się chciało okropnie, a przede wszystkim szło o biednych rannych, którzy wielkim głosem o wodę wołali. I tu okazała się praktyczna korzyść mojej znajomości życia lasu: ruszywszy bowiem w głąb, wkrótce znalazłem nizinę, na której dość gęsto rosła osoka, niechybnie znak bliskiej wody.

Zaraz tedy pałaszami i rękami, czym kto mógł, wykopaliśmy obszerna i dość głęboką jamę aż do białego twardego iltu, która w krótkim czasie nappełniła się do połowy wodą prawie na półtora łokcia głęboko, a gdy się tylko ustała, nabraliśmy pełne manierki i najpierw doskonale napoili rannych, a potem poczekawszy napiliśmy się sami, ba! Jeszcze dla koni ułańskich starczyło.

Jak żyję nie pamiętam tak gorliwej roboty. Wycięte pałaszami ułanów bryły ziemi, a potem kolbami i czapkami wyciągane gęste i rzadkie błoto – wnet tylne szeregi odsuwały precz z pod nóg kopiących, tak, iż po prostu w oczach dno jamy się zapadało. Po skończeniu roboty, wyglądaliśmy jak nie boskie stworzenia, ale jakże nam ranni dziękowali.

Wtem z tyłu usłyszeliśmy jakiś trzask i turkot, skoczyli ułani konno i po chwili usłyszeliśmy głośny okrzyk: wiwat!

Pokazał się ogromny wóz, a na nim jakaś bardzo elegancka pani, z nią folwarczna dziewczka i żydek; powoził furman w szafirowej liberii. Może ci ludzie jeszcze żyją, to niech że wiedzą, że każdy z nas, który tam był, do śmierci im tego nie zapomni i wdzięczność za ten dowód prawdziwej odwagi i poświęcenia dla nich żywi.

O zacna Polko, niech że ci Bóg da szczęście, jak na to zasłużyłaś!

Jak mówił furman, dwa razy spłoszyły im konie pękające granaty, jednego konia zabiła kula; pod ogniem musieli odprzegać, a jaśnie pani nie bała się nic – mówiła sobie tylko: „Pod Twoją obronę” tak spokojnie jakby w swojej ławce w kościele, tylko Maryśka to tak kwiczała ze strachu jak prosiak, i dopiero schowawszy głowę w słomę, uspokoiła się.

Porozsyławszy żywność tym konnym i pieszym, co na pikietach stali, zabraliśmy się do pałaszowania tych specjałów, a owa śliczna pani ze swoją Maryską i felczerem – żydkiem, którego przywiozła ze

sobą, wraz z całym pakunkiem szarpi, bandaży, tasiemek i.t.p. – do opatrywania rannych. A miała jakieś anielskie spojrzenie, że jak tylko wzięła którego rannego za rękę, zaraz przestawał się skarżyć i dawał się spokojnie opatrywać, nawet jeden chłopak co miał okropnie strzaskaną nogę w samym kolanie i w gorączce wołał ciągle: - Mamo boli! Oj mamó boli!” i ten, jak tylko uklękła przy nim, obmyła, ucałowała, a potem wzięła za obie ręce, dał sobie spokojnie strzaskaną nogę do kija przywiązać. Położono go ostrożnie na owym wozie ze słomą, trzymał jednak panią ciągle za rękę i nie chciał puścić, wołając ciągle: „Mamo nie chodź!” _ Siadła tedy z nim na on wóz i tak ruszyli stępą pod silną eskortą ułanów.. Felczer zaś został wraz z Maryską w oczekiwaniu na wozy, które miały zaraz po resztę rannych przyjechać; jakoż i przyjechały wkrótce.

Pytaliśmy Żyda, jak się nie bał do nas przyjechać? Ale on z oburzeniem odpowiedział: - Jak to się nie bał?! – Ja się okropnie bał, ja się teraz jeszcze okropnie boję, ale cóż, kiedy jaśnie pani kazała jechać, to ja musiał jechać, to taka pani, co jej każdy słucha, i pan żołnierz taki duży, taki straszny, że jak spojrzeć, aż strach! – (rzeczywiście pytał go olbrzymi kozak sułtański Czajkowskiego, z wielką brodą, olbrzymimi, jak wiechcie wąsiskami i strasliwym wyglądem, a jak zwykle bywa, z prawdziwie gołębia, żołnierską duszą) – ale jakby jaśnie pani kazała, to by pan żołnierz albo w ziemia wlaźł, albo w powietrze jak ptaszek pofrunął!

Parsknęliśmy wszyscy śmiechem na samą myśl o fruującym, jak ptaszek olbrzymie, który pewnie dziesięć pudów żywej wagi sobie liczył.

Tymczasem przybyły wozy, zabrały rannych, a my najadłszy się do syta, z trudnością zebraliśmy resztę żywności, tyle tam tego było, i dopiero dzięki ułanom, którzy wyładowali sakwy po brzegi, udało się jakoś resztę sprzątnąć.

W owych czasach po dworach, jak tylko usłyszano o krążących okolicy partiach, przygotowywano zapasy żywności, pieczono mięso, chleb i.t.d.

Jakieśmy się później dowiedzieli, i nasz główny oddział tegoż wieczora obficie w wyborną żywność i furaż dla koni zaopatrzony został.

Złożywszy zabitych w jednym miejscu, i zatknąwszy tylko nad nimi, żołnierskim obyczajem, krzyżyk z dwóch gałęzi zrobiony, albowiem nazajutrz miano ich pochować, zanocowaliśmy na pobojuwisku.

Zabitych było 22, rannych 40, więc do apelu stanęło nas znowu osiemdziesięciu, jak w dzień uformowania naszej ptaszniczej kompanii; ale teraz był to twardy, zahartowany żołnierz; na zgryzienie takiego orzecha nie lada zębów trzeba było, przy najmniej myśmy byli o sobie tego zdania!

Zasnęliśmy tedy na pobojuwisku, ale jeszcze w nocy nadjechał ułan z rozkazami, potem nadciągnął oddział strzelców, ze czterdziestu ludzi wynoszący, a potem zbudzono nasi ruszyliśmy z miejsca. Że zaś było już nad ranem, więc zdołaliśmy się wyspać nieźle. Najedzeni, umyć, z pełnymi manierkami wody z wódką lub winem – bo woda w owej kopance przez noc jak kryształ się wyklarowała – w wesołym usposobieniu ruszyliśmy naprzód.

Około południa zajęliśmy nową pozycję na skraju lasu, gdzie już nas oczekiwał jakiś oficer z ułanem, który, oddawszy rozporządzenia naszemu porucznikowi, zabrał ze sobą wszystkich ułanów i tęgim

kłusem wraz z nimi odjechał. Nam kazano przygotować broń i rozstawiono nas zaraz za drzewami długą linią, a strzelców umieszczono na prawym skrzydle. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy tak jak wczoraj, z drugiej strony lasu, tylko o ile się zdawało, nieco bliżej, huk armat i strzałów karabinowych. Widocznie więc znowu nasze centrum zaatakowano.

Trwało to dość długo, aż nareszcie zobaczyliśmy z prawej strony, naprzeciw tego miejsca gdzie stali strzelcy, wysuwającą się od wsi kolumnę nieprzyjacielską, która jednak tym razem nie rozsypywała przed sobą tyralierów i, nie strzelając, zbliżała się do nas, aż dopiero zbliżywszy się na kilkaset kroków, zaczęła sypać gęstym ogniem. Po chwili zawarczały bębny i rzucili się na nas kłusem do ataku, ciągle jednak strzelając.

Było ich znacznie więcej niż wczoraj i byli to inni żołnierze, jacyś nowo przybyli. Przypuściliśmy ich, jak wczoraj na dwieście kroków, i przyjęli morderczą salwa, po której zwinęli się w kłęb, wyrzuciwszy z pomiędzy siebie sporo zabitych i rannych, cofnęli się paręset kroków w tył i stamtąd, bezpieczni przed ogniem naszych nie dalekonośnych dubeltówek, strzelali tylko ci, którzy mieli gwintowaną broń.

- Nauczyli się, złodzieje, bodaj ich cholera! – mruknął ze złością stary podoficer. W tej chwili usłyszałem głuche palnięcie, a on siadł, karabin wyleciał mu z ręki, pochylił się na bok, drgnął parę razy i upadł. Kula trafiła go w samo serce.

Spojrzałem na prawo i lewo po linii i zobaczyłem dużo naszych, leżących to na wznak, to na boku, z powypuszczanymi z rąk strzelbami. Byli to wszystko zabici i ranni, żywi bowiem leżeli na brzuchu i broń trzymali w rękach. Kule leciały jak grad, rwąc korę, odbijając się od ziemi, świszcząc i wyjąc różnorodnymi głosami. Na nieszczęście, drzewa były tu daleko cieńsze, niż na wczorajszym stanowisku, nie można było się za nimi dobrze ukryć.

Więc coraz który z naszych drgnął, wypuszczał strzelbę z rąk i konwulsyjnym ruchem przewracał się na stronę. Kazano nam się tedy cofać, gdyż chociaż porucznik pchnął dwóch posłańców do głównej komendy z raportem, jak tylko wychyliła się ze wsi owa szturmująca kolumna, ale pomocy widać nie było.

Ja jeszcze pierwiej zauważyłem stojącą o kilkanaście kroków z tyłu grubą lipę, więc w kilku susach byłem już za nią, szukając oczyma jakiegoś drugiego odpowiedniego drzewa z tyłu. Jakoż wkrótce dojrzałem znowu drugie, więc szust za nie i t.d.

A tu kule grają i wyją, jakby je kto do tego wynajął. Zrobiło mi się jakoś mdło na sercu; kiedyż bo to ta piekielna muzyka przycichnie choć trochę? A ona, zamiast przycichać, jeszcze się wzmaga, i naraz wśród warczenia bębna, zahuczały wystrzały jeszcze głośniejsze, zlewając się wraz z echem w jeden ciągły huk, jak grom.

- Słysz, Stefek; są już w lesie! – krzyknął mi z lewej strony Panienka, odskakując za ogromną sosnę, z poza której zaraz złożył się i wypalił.

Wyglądam, a tu przede mną, na jakie 50 kroków, stoi trzech, a raczej dwóch, gdyż jeden zaraz upadł. Widocznie zobaczyli nas, bo złożyli się ku nam, zanim jednak zdołali wystrzelić, taf! taf! – położyłem jednego, a drugi jak sarna, przesadził przez kłodę i tylem go widział.

Dalej tedy nabijać, przy czym dałem Panience znowu paczkę ładunków, tak też, że mi zostało tylko dwie, i skaczemy z nim jak sarny, ciągle przystawiając dla odpoczynku za grubszymi drzewami.

Kiedy jakoś las się przerzedził i już w kierunku naszego centrum więcej krzewów niż drzew było, stanąłem za krzakiem, żeby tchu nabrać, aż tu, nie wiadomo skąd wyskakuje widocznie za nami specjalnie biegnący oficer, i składa się z rewolweru, więc ja też do niego: huknęły strzały jednocześnie; czy on co dostał, tego nie wiem, bo w chwili, gdy ciągnąłem za cyngiel, uczułem w lewej nodze jakby silne uklucie, on zaś znikł za dymem, jakby się pod nim ziemia rozstąpiła.

Biegnę dalej do grubej sosny, na środku owej polanki rosnącej, i nabijam tylko co wystrzeloną prawą lufę, ale kiedy ruszyłem dalej, czuję, że mi jakoś lewa noga nieswoja, dobiegłem jednak jeszcze do innego drzewa, za którym przysiadłem, aż tu o kilka kroków z boku, Panienska woła:

- Stefek, tyś ranny!

Przybiegł zaraz do mnie, a ja poczułem gorąco w nodze; cała nogawica czerwona, wyraźnie zatem jestem ranny. Nuż tedy ściągać but, który był pełen krwi, zawijać spodnie i szukać owej rany. Jakoż okazało się, że mam na samym brzegu przestrzeloną na wylot łydkę.

Bólu dotąd nie czułem żadnego, dopiero, gdyśmy zaczęli obmywać wodą z wódką ranę, zapiekło porządnie. Po nałożeniu szarpi i mocnym obandażowaniu, chciałem włożyć but, ale wleźć Niechciał, więc rozcięliśmy cholewę, włożyli but, a potem obwiązali rozciętą cholewę na zewnątrz i ruszyli dalej. Z początku ciężko było iść, ale potem rozchodziłem się i prawie nie czułem rany. Szedłem jednak już wolniej, bo i kule gwizdać koło nas przestały wtem zatrzeszczały gałęzie przed nami i zobaczyłem klusem biegnący oddział Galicjan, przed nim jechał jakiś oficer i, przybiegłszy do mnie (przy czym zauważyłem, że miał prześlicznego karego konia, a w ręku ogromny kawaleryjski rewolwer), śpiewnym lwowskim akcentem zapytał: „ilu was jest?”

Odpowiadam: - Było 120. A ilu zostało, tego nie wiem, bo dużo naszych padło.

On na to: „Możecie się cofać dalej” – i poleciał.

Po chwili w kierunku, w którym pobiegli Galicjanie, rozległ się gromki okrzyk: huraa! – Trzask suchych karabinowych wystrzałów, a potem wśród basowych karabinów rosyjskich grzechot, jakby kto groch na ściągę sypał, tak gęsty, rewolwerowego ognia. Galicjanie bowiem, oprócz karabinów, mieli, prawie każdy, rewolwer, i teraz, po wystrzeleniu karabinów, zarzuciwszy je na paskach na lewe ramię austriacka modą, wzięli się do rewolwerów, którymi na bliską metę i w krzakach wielkie spustoszenie zrobili.

Cały ten trzask i łomot zaczął się szybko oddalać w tym kierunku, skąd przybył, i teraz na nieprzyjaciela przyszła kolej biegać i chronić się za drzewami. Tylko, że Galicjanie nie dali im czasu na zatrzymanie i odstrzeliwanie się, lecz parli pędem przed sobą przez cały las, a potem jeszcze, wyparłszy z lasu i wzięwszy się znowu do karabinów, na polu porządnego im dali łupnia. Mówili nasi, z których wielu za Galicjanami pobiegło, że nawet połowa tych, co wpadli do lasu, nie została, a i z tych co zostali, dużo było postrzelonych, i w ogóle o tym rewolwerowym ogniu cuda opowiadali. Była to jeszcze nowość, więc nadzwyczajne zrobiła wrażenie.

PRZEJŚCIE GRANICY – *LISKI* - *UHNÓW* - *HOHOŁÓW*

Ja tymczasem wlokłem się do naszego centrum, skąd dochodził jeszcze huk wystrzałów, choć co raz słabnący, noga mnie wprawdzie nie bolała, ale iść było ciężko i jakoś nie zgrabnie. Nareszcie przywlokłem się na miejsce opatrunku, gdzie mi zaraz nogę przewinięto, przytem jakiś młody doktor, który mnie opatrywał, powiedział, żebym tylko ile możności nie chodził, to za tydzień będę zdrow.

Nadciągali teraz nasi, niektórzy sami, inni prowadzeni przez kolegów, ale żaden niebył tak lekko ranny jak ja, Wieczorem, gdyśmy się porachowali, zdrowych wraz ze mną został 37, reszta byli zabici lub ranni.

Późnym wieczorem wrócili Galicjanie, i zaraz ruszyliśmy w pochód na całą noc. Na drugi dzień słyszeliśmy znowu kilka dalekich wystrzałów z armat; to strzelano do naszych ułanów, którzy, jak mówiono, alarmowali ciągnące za nami oddziały. Zresztą, całego tego pochodu nic nie pamiętam, gdyż złożony na doskonale wymoszczonym słomą wozie, wraz z trzema lekko rannymi kolegami, spałem ten cały czas jak suseł. Rozbudził nas dopiero w jakimś gęstym lesie oficer, rozkazując oddać broń, którąśmy wszyscy przy sobie mieli na wozie.

Na wpół przytomny, przecierając oczy, co to jest? Gdyż nam pozwolono broń zatrzymać przy sobie, ale on odrzekł tylko krótko:

- Rozkaz, przechodzimy granicę, broń złożyć na ten wóz, co nadjeżdża.

Z żalem niezmiernym, gorzko płacząc, rozstałem się ze swoją ukochaną lepażówką, obwinawszy ją na drogę oddartym kawałkiem kilimka, na którym leżeliśmy i bandażem

Wkrótce nadjechał wóz, na którym złożyliśmy broń, a ja ucałowałem lepażówkę na pożegnanie...

Wóz z bronią wkrótce zawrócił i popędził za innymi, także wyładowanymi bronią, które do lasu umykały. Co się z tą bronią stało, tego nie wiem. Zostaliśmy z głupimi minami, jak psy bez ogonów, i ruszyli dalej. Furman mówił, żeśmy już za granicą. Nagle rozległo się znane nam tak dobrze z tuczapskiej szarży: "dududu"! i w całym pędzie wpadł na nas szwadron huzarów węgierskich z dobytymi szablami i wielce groźnymi minami. Otoczyli nas natychmiast ze wszystkich stron, przytem słyszałem, jak się nasz Ubysz z pocziwym Węgrem, rotmistrzem owego groźnego szwadronu, ujadał o coś mocno po niemiecku, w końcu Węgier parsknął śmiechem, machnął ręką i doskonale słyszałem, jak powiedział:

- No ja! ist gut, aber ich weiss ja davon nichts!

O co im szło, nie wiem, ale mówiono potem u nas, że pocziwi Węgrzy dwie godziny czekali na to, żebyśmy się mogli rozbroić i broń ukryć.

Jechaliśmy tedy pod ową groźną eskortą ku wsi *Liskom*, dokąd nas triumfalnie przyprowadzono i gdzie już nas oczekiwało obywatelstwo okoliczne, z doktorami, opatrunkami i taką masą jedzenia i picia, żeby nam chyba na rok starczyło.

Pozostawiono nas w miejscowej szkółce, w gminie i t.d., a po opatrzeniu rannych i obfitym nakarmieniu wszystkich, poprowadzono dalej do *Uhnowa*, miasteczka blisko Lisek leżącego. Ciężko ranni zostali w Liskach, a obywatelstwo i mnóstwo chłopów, którzy nas tak obficie częstowali, ruszyli za nami do *Uhnowa*. Znowu tedy usłyszałem tak dobrze znaną mowę ukraińska, chłopci bowiem tamtejsi, równie jak mieszczenie uhnowscy, byli to Rusini unici.

W Uhnowie pomieszczono nas już wszystkich w budynku szkolnym, przed którego drzwiami ów groźny rotmistrz postawił kilku żołnierzy piechoty w obcisłych niebieskich spodniach, żółtych wysokich trzewikach na spodnie nałożonych i białych mundurach. Ci w oczach naszych nabili karabiny, i stanęli z równie groźnymi minami, jak ich dowódca.

Po chwili wszedł do Sali pan Bezirkshauptmann i kazał wszystkie okna otworzyć. Nie mogliśmy ani rusz zrozumieć, po kiego licha to robi, gdyż i deszczyk padał i dobrze chłodno było, aż dopiero licznie zebrana pod oknami publiczność zaczęła na nas kiwać i wołać:

- Siudy! siudy! utikajte!

Wreszcie zrozumieliśmy i cały tłum zaczął przez okno wyskakiwać i mieszać się z publicznością, która chwytała „aresztantów” pod ręce i odprowadzała do domów, albo wsadzała do oczekujących powozów i bryczek, które się nawet nie fatygowały z pośpiesznym podjeżdżaniem.

Gdy już prawie połowa „jeńców” uciekła, w pewnej odległości rozległo się parę strzałów, była to nasza straż, która, odsunawszy się o tyle, żeby nikogo znowu za nadto nie przestraszyć, w ten sposób wyraziła swoją czynność. Prawie jednocześnie wpadł do nas jakiś oficer, i nasadziwszy Donnerwetterów co niemiara, kazał okna pozamykać. Drzwi jednak były otwarte i publiczności między nami pełno.

Jakiś szlachcic z ogromnymi wąsami lał w nas wino węgierskie, jak w beczki, i opowiadał, że już od dwóch dni cała okolica zjechała się na granicę i słuchała huku armat, że we wszystkich cerkiewkach modlono się za nas i odprawiano nabożeństwa, że oficerowie austriaccy zachwycali się nami, że się tak dzielnie trzymamy, a ściskaniom i całowaniom nie było końca.

Po południu, pocziwe mieszcanki uhnowskie naznosiły nam sienników, pierzyn, poduszek, by dla każdego na osobną pościel starczyło, a sąsiedni obywatele dostarczyli bielizny. Że to jednak tak nagle wypadło kilkaset sztuk dostawić, więc chwytało co było pod ręką.

Kiedy pod wieczór nasi goście odeszli i zaczęliśmy się rozbierać i przebierać do snu, ponakładawszy oną świeżą pachnącą bieliznę, oryginalny przedstawialiśmy widok...

Nazajutrz rano zbudził nas werbel na korytarzu. Przez nasza straż zagrany, i zaraz po modlitwie zabraliśmy się do ubierania...

Po śniadaniu wszedł znowu pan Bezirkshauptmann z dwoma urzędnikami i zaczął nas wszystkich zapisywać. Naturalnie podawani najdiksze nazwiska, lata i t.d., co oni wszystko z powagą pozapisywali.

Później okazało się, że poddanych austriackich maja po spisaniu protokołu wypuścić, ale poddanych rosyjskich internować w *Ołomuńcu*...

Po obiedzie obfitym i hojnie zraszonym rozmaitymi dereniakami, wiszniakami, miodami i t.p....

zabrano się do ucieczki wszyscy więc prawie Koroniarze, z wyjątkiem rannych, zostali naprędce poubierani w sukmany, spódnice, chustki na głowę i t.d., i pomiędzy naszymi gośćmi powyprowadzani...

Ja jeszcze zostałem, bo mi dobrze było, a noga doskwierała. Na drugi dzień jednak z rana przyszła jakaś pani i powiedziała, że musimy wszyscy Koroniarze dzisiaj uciekać, bo jutro mają nas wysłać do *Ołomuńca*.

I łącząc czyn ze słowami pozostałych kilku zdrowych poprzebierała w spódnice i chustki, obładowała siennikami i wyprawiła w pole. Skoro służąca odniosła nazad owe niezbędne chustki i spódnice, poubierała nas trzech lekko rannych i kazała iść za sobą.

Wyszliśmy do sieni... do jakiegoś bardzo elegancko umeblowanego mieszkania, w którym oddano nas w ręce żandarma, a ten nas zaprowadził do łazienki. Nareszcie oskrobano nas, ostrzyżono, w trzech wodach wymyto i wykąpano, a potem przebrano w świeżą bieliznę i ubranie... Po kolacji położono nas spać...

Na drugi dzień rano obudziliśmy się już wcześniej, a po kawie i opatrunku... udaliśmy się do salonu, w którym zastaliśmy kilku obywateli okolicznych i kilka pań. Wszyscy przyjechali zabierać powstańców.

Stefan Brykczyński Moje wspomnienia rok 1863

Wysoko już było słońce nad horyzontem, gdy po odparciu moskali pod *Tyszowcami* zbliżyliśmy się do folwarku *Tuczępy* (*Tuczapy* aut.).

Na rozległym polu stała tam szopa, do której dowódca nasz major **Jan Żalplachta (Zapalowicz)** kazał przenieść rannych pod opieką lekarza **Juwenala Niewiadomskiego**. Zaledwie jednak wydano rozkazy – nadciągnął w wielkiej sile nieprzyjaciół i rozpoczął ogień kartaczowy w kierunku lasu, ukrywającego w swym wnętrzu nasz obóz. Pociski nie wyrządzały nam na szczęście szkody łamiąc tylko gałęzie i czyniąc iście piekielny łomot.

Wtem nagle doszły uszu naszych sygnały kawalerii. I już widzimy jej zastęp pędzący w stronę improwizowanego szpitala. Za kawalerią wysypała się z lasu piechota rosyjska, otoczyła szopę, zamknęła wszystkie wejścia budynku i – podpaliła wyschłe jej ściany i słomiane poszycie budynku... (patrz wyżej Lwowianie pod Tyszowcami)...

Z nieszczęśliwych ofiar tych zachowałem w pamięci nazwiska: **Leszka Habela** z Sambora, **Emeryka Lindego** i **Władysława Semkowicza** brata dyrektora Biblioteki uniwersyteckiej ze Lwowie.

Spłonęli na ołtarzu Ojczyzny

Franciszek Longchamps de Berier „Pamięci spalonych pod Tuczępami” Kronika Powszechna Nr.5 z 1 lutego 1913

... „Dnia 18 bm. [maja } stanęliśmy w *Tyszowcach* by się pożywić i spocząć [dlaczego nie w lasach i bagnach]. Tam zaledwie głucha wieść doszła nas o nadciągającym wrogu, który o milę drogi oddalony, w sile 1000 ludzi, 6 dział na furmankach za nami gonił.” Inni twierdzą, że przy kolumnie tej widziano kawalerię i ½ sotni kozaków... Dalej pisze tenże:

‘ Poobstawiawszy miasto pikietami posłałem rekonesans konny na drogę do **Dzierżni** [stąd przyszedł po linii odwrotowej tylko], który nie ujrzał wroga [rekonesans ten nie wysunął się widocznie dość daleko, a w inne strony rekonesansów nie wysyłano]. Mimo tego sygnalizowałem zbór i uszykowawszy oba oddziały dałem znak do wymarszu [dlaczego się rozłązić było konieczne, potem z trąbą zwoływać głośno i wymaszerowywać z paradą, a nie po cichu. Widać, że to nie partyzant dowodził, ale znów żołnierz armii regularnej – oficer artylerii austriackiej], który we wzorowym porządku odbył się [wymarsz z miasteczka był raczej pochodem stada owiec. Jeden tylko kapitan **Soter Biliński** i kompanii, krył odwrót ten znakomicie i wzorowo. **Ubysz**], gdy już straż przednia kolumny moskiewskiej na drodze do **Tyszowiec** okazała się. Oddział **Czerwińskiego** postępował przodem, za nim mój, pierwszą kompanię strzelecką rozciągnąłem w łańcuch tyralierów, który miał zasłaniać odwrót. Zaledwie zdążyliśmy za błon za miastem [sic] położoną [olszynę] , kiedy już kozacy ostrzeliwali naszą tylną straż, rażeni jednak ogniem naszych tyralierów cofnęli się. Piechota, artyleria, konnica moskiewska zajmawszy stanowisko pod miastem ostrzeliwali nas ogniem tyralierskim i kartaczowym, nie czyniąc nam jednak szkody, gdyż oddalenie było już znaczne, cała strata jaką ponieśliśmy była 4 zabitych 7 rannych wyłącznie ze straży tylnej. Dotarłszy do lasu obsadziłem tenże strzelcami, którzy jednak dla zbyt wielkiego oddalenia słabo odpowiadali na ogień działowy i strzelecki moskiewski [także błąd, szkoda prochu a ośmiela wroga]. Moskale jeszcze przez godzinę obsypywali las kulami i granatami nie czyniąc żadnej szkody. Ze zmrokiem sformowałem obydwie oddziały, wysłałem rekonesanse dla zabrania rannych z placu boju, który pozostał w naszym ręku”.

Naoczni świadkowie nawet nie bardzo życzliwi osobiście przyznają dowódcy 1 kompanii kapitanowi **Soterowi Bilińskiemu** nie tylko szaloną odwagę i przytomność, ale i ze znajomością sztuki wojskowej misterne, znakomite i wzorowe prowadzenie walki dnia tego, przez co rzeczywiście oddział doskonale zasłonił. Jeżeli zasłonięcie oddziału było wzorowe to za to sam pochód kolumny do olszyny na błoniach za miastem położonej pozostawiał wiele do życzenia. Stąd to przychodziło, że pochód wykonano nieco za późno i dlatego pospiesznie. **Zapałowicz** bowiem wcale nie potrzebował zajmować miasta, do rekwirowania można było detaszować jaką komendę, a jeśli był już w mieście winien był zawczasu na pierwszą wiadomość o nieprzyjacielu takowe opuścić, cofnąć się nie w dół ale gdzieś na wyżynę lesistą. Nadto między oficerami nie było harmonii, tak na przykład wszczął kłótnię formalną **Longchamps** (najstarszy) z **Korabiowskim**, którego zniewalał do pojedynku. **Longchamps** dowodził saperami, czyli jak **Bogdanowicz** pisze, bezbronną rezerwą ,których w oddziale nazywano „ sapibrzuskami „, **Korabiowski** wezwany, odmówił mu satysfakcji, odpowiadając, że teraz nie pora na wezwania na pojedynek, lepiej przed front przy danej sposobności; „ na samym czele kolumny stańmy, kto padnie ten da satysfakcję i sprawa będzie zrehabilitowaną „, Otóż, gdy teraz przyszło do walki z Moskalami **Korabiowski** ruszył naprzód nawołując za **Longchamps’em**, ale tego – mówił **Ubysz** - teraz brakło.

... Na szczególniejsze wspomnienie zaś zasługuje 70- letni starzec , niejaki **Balicki**, który się odznaczył w czasie odwrotu z **Tyszowiec** do olszyny. Tenże przybył do oddziału z dwoma synami, których oddał

do szeregów, sam zaś służył przy intendenturze. Starzec ten pozrzucał wszystkie bagaże z wozu i pobiegł zbierać rannych z pola walki. Moskale widząc go uwijającego się pomiędzy liniami bojowymi, strzelali do niego jak do celu, ale na szczęście zaświstali mu tylko koło ucha nie wyrządziwszy żadnej krzywdy.

Że Moskale dnia tego nie naciskali tak silnie całymi siłami, zawdzięczać należy temu, że **Biliński** bronił dobrze swego stanowiska, jak i że Moskale prawdopodobnie obawiali się, że trafią na przeważne siły, mnie jednak zdaje się, że im szło o dwie rzeczy, raz aby zniewolić **Zapałowicza** do demaskowania sił swoich, po wtóre aby go wstrzymać w miejscu, choćby tylko do nocy, aby nadciągające kolumny z innych stron miały czas nadejść do wspólnej walki celem wzięcia tego oddziału z kilku stron w ogień. Manewru tego nie domyślił się **Zapałowicz**, który strzały armatnie oceniał tylko jako artylerzysta fachowy po ich skuteczności pocisków. U Moskali był to jednak ‘appel’, na którego odgłos biegli do walki, jak to wielokrotnie widzimy w roku 1863/4. Zresztą być może, że **Zapałowicz** dlatego w nocy nie opuścił pobojowiska i dalej nie pomaszerował, gdyż zgubiły się gdzieś były juki, które dopiero nad ranem odszukać zdołano. W nocy więc opatrywano rannych, a doktor **Czerkawski** operował biedaków przy świecy, którą mu przyświecał kapitan **Ubysz**. **Zapałowicza** raport opiewa dalej:

„ Po odpoczynku kilkugodzinnym wymaszerowałem o świcie drogami leśnymi ku **Mołozowie**. Tu nadmienić wypada, że **Leszek Wiśniewski** bez opowiedzenia się mnie, zabierając ze sobą 90 ludzi uszedł nocą w niewiadomym kierunku, co tym bardziej potępienia godne, gdyż dnia następnego tak znaczny oddział uzbrojony byłby oddał wielkie usługi [**Prawda. Ubysz**]”.

Rzeczywiście, **Leszek Wiśniewski** nie postąpił sobie jak należało, gdyż zostawiwszy 40 ludzi na placówce w olszynie, nie zawiadomiwszy o tym naczelnego dowódcę, oddalił się w taki sposób, że stąd oprócz korzyści dla niego tylko chwilowej, żadna inna korzyść nie wypływała. Postępek taki nazywa się na linii bojowej tchórzostwem lub zdradą, a różni się więcej od manewru partyzanckiego wykonanego np. za wiedzą naczelnika, aby czy to odciągnąć część sił nieprzyjacielskich za sobą, w którą stronę, czy aby po tym wykonawszy jakie obejście lub prostą zasadzkę uderzyć niespodziewanie lub z flanki na nieprzyjaciela zaangażowanego w bój z głównym oddziałem, albo też gdy cały oddział unikając zupełnie boju rozpryska się w różne strony za wspólnym porozumieniem się z rozkazu, z konieczności, którego tu wypadku żadnego dopatrzeć niepodobna, tak że **Zapałowicza** wymówkę tylko bardzo łaskawie nazwać musimy, czyniąc gorzki wyrzut panu **Wiszniewskiemu** za taki postępek w tej chwili za który w armii regularnej płaci się kulą, a w rewolucyjnej sznurkiem konopianym, gdyż **Wiszniewski** unikał widocznie starcia z nieprzyjacielem, skoro na huk dział się nie pojawił, a działał nierzetelnie, jeżeli mając jakie poufne wiadomości o nadciągających kolumnach wrażeń z kilku stron, o tym nie zawiadomił naczelnika, ale tylko sam się wymknął korzystając z cieniów nocy. Raport **Zapałowicza** opiewa dalej:

„ Dnia 19 maja zająłem lasy mołozowskie na wzgórzu pomiędzy wsiami **Mołozów**, **Stara Wieś** i **Miętkie** położone, polecając **Czerwińskiemu** zająć las tuczapski tylko przez bagienko oddzielony od

mego obozu, co też nastąpiło. W godzinę później oznajmił mi **Czerwiński** kartką, iż opuścił swoje stanowisko wybierając na miejsce obozowania las przeze mnie zajęty i rozłożył się o 1500 kroków za mną. [pozycja była przedzielona bagnem (skreślone, nadpisane: suchą łąką), a zatem Czerwiński i Zapalowicz nie mogli się wzajem posiłkować, nadto widocznie była za obszerna, słusznie więc należało się skoncentrować; z drugiej strony od lasu tuczapskiego łatwo mógł nieprzyjaciół szkodzić – ergo zła pozycja].

Jak widzimy, panowie podkomendanci nie wypełniają rozkazów naczelnika, ale działają wedle swego „widzimisie”. Przykłady te, że naturalnie oddziałują na niższych oficerów, jak i wpływają na przebieg operacji i walk w wysokim stopniu. Przypuśćmy bowiem, że zajmowana przez **Zapalowicza** pozycja była za obszerna w stosunku do jego sił, a pozycja przez **Czerwińskiego** (...), to w takim razie należało jeszcze wprzód zapytać o to i naradzić się. Rzeczywiście oddział **Wiszniewskiego** zrobił grubą lukę w rachubie **Zapalowicza**, ale i zmiana pozycji przez **Czerwińskiego** zmuszała do zmiany sytuacji. Moskale bowiem korzystając teraz ze skrócenia linii frontu mogli łatwo, debuszując od **Tuczap** przez **Mołozów** i poza tenże zająć las tuczapski, a tak stąd skrycie podsunąć się aż pod prawe skrzydło **Zapalowicza**, które teraz skutecznie ostrzeliwać mogli na dystans szerokości łączki, które las ten od tej pozycji przedzielała, ile że przez to znajdowali się na tej samej wysokości co **Zapalowicz**.

Z drugiej strony zmiana pozycji przez **Czerwińskiego** wykonana musiała wpłynąć korzystnie na **Zapalowicza**, gdyż obszerny las mołozowski mógł być skuteczniej bronionym, skoro o tylu więcej obrońców do tej pozycji przybyło, zaś w razie ataku od **Miętkiego**, można było teraz las ten wytrwale trzymać, mając tak silną rezerwę ukrytą w lesie, co tym bardziej było potrzebne, że cały obóz **Zapalowicza** wraz z bezbronną rezerwą, czyli „pasibrzuszkami”, pod komendą pana **Longchamps**, stojąc na polance w lesie mógł być tylko broniony przez niewielką kawalerię, która w lesie stawiała się zupełnie bezczynną i nieużyteczną w czasie walki, zaś przy takiej rezerwie zbrojnej to w broń palną, to w kosy mogła przy dobrym użyciu niepospolite w danej chwili oddać usługi. Otóż patrzymy dalej na przebieg tego co się stało, jak to **Zapalowicz** opowiada:

„ Po dwugodzinnym wypoczynku dały pikiety strzałami znak o nadciągającym wrogu, który główną kolumną nadszedł drogą od Tyszowiec i połączywszy się z kolumną hrubieszowską, drogą leśną od Miętkiego nadciągał, [Kolumna moskiewska, hrubieszowską drogą od Miętkiego dopiero w dwie godziny później nadciągnęła]; kolumna **Miednikowa** ze **Starej Wsi** i kolumna 1 idąca z **Tyszowiec** na **Tuczapy** i **Mołozów** zaatakowały cały oddział **Zapalowicza** całym frontem: jednocześnie obie kolumny usiłowały wdrzeć się do lasu. Z tych kolumna **Miednikowa** od **Starej Wsi** przyjęta ogniem gwardii **Kniaziołuckiego**, na dalszy dystans skorzystała z tego i wdarła się do lasu gdzie dopiero bagnietem wyprzeć ją musieliśmy, a to **Kniaziołucki** we fronsie posiłkowany przez drugi pluton gwardii z rezerwy i wsparty z flanki atakiem **Bilińskiego** 2 kompanii strzeleckiej, zaś kolumna moskiewska od **Mołozowa** nie zdołała dostać się do lasu, gdyż kapitan **Ubysz** nie pozwolił 3 kompanii strzelać z daleka, ale przypuściwszy szturmującą kolumnę przyjął (...) ją celnym ogniem na bliski dystans i zmusił ją do odwrotu. Ataki te moskiewskie na tym skrzydle przeciągnęły się tak długo, że kapitan **Biliński** i

Kniaziołucki z gwardią i strzelcami swymi po odparciu kolumny **Miednikowa**, która się w bok Starej Wsi ku wiatrakowi cofnęła, pospieszyli na swe prawe skrzydło na pomoc **Ubyszowi** i ale przybywszy tu już po odparciu powyż. wspomnianych trzech szturmów, tworząc prawą flankę **Ubysza** zwrócili się (...). Po dwóch godzinach zaatakowała nasze tyły kolumna od **Miętkiego**. To było szczęściem naszym, że się spóźniła. Przeciw tej kolumnie rzuciłem vis a vis owej szosy, gdzie wyraźnie widziałem około szwadron dragonów na gniadych koniach. Poszedłem w tę stronę na odgłos strzałów. Porucznik gwardii, **Zbyszewski**, uderzył ze swymi ludźmi na prawo, ja zaś udałem się w lewa stronę ażeby uderzyć z flanki lub z tyłu. Kosynier z oddziału **Czerwińskiego**, chłopak około lat 17, nędzny i wybladły, leżąc na ziemi znakami dawał mi znać, że Moskale en masse skryli się w kępę wśród lasu i stamtąd ostrzeliwują naszych. Ten sam chłopiec w oczach moich kosą (...) po łbie jakiego podoficera moskiewskiego iż ugrzęzła kosa w czerepie. Na ten znak uderzyłem na Moskalii wyparłem ich z kępy i tego lasu do lasu tuczapskiego, gdzieśmy uciekających przez łąkę skutecznie ostrzeliwali.

Okružając sygnami [dostępnymi pomiędzy lasami tuczapskim i mołozowskim] całe moje prawe skrzydło aż po wieś **Mołozów**, trzecia kolumna moskiewska **Miednikowa**, która jak się dopiero później dowiedziałem, noc i dzień za mną na **Tomaszów** pędziła, przeszedłszy tylko przez **Mołozów** rozwinęła się ku **Starej Wsi** obiegając moje lewe skrzydło. Przednia straż tej kolumny Kozacy i piechota, wpadli do **Mołozowa**, wymordowali znajdujących się tam rannych naszych wraz z lekarzem naszym, ogólnie kochanym **Juwenalem Niewiadomskim** { na co było zostawiać we wsi (a marginesie: tak)], zabili gospodarzy domu, spalili dwór.”

Tu muszę znowu przerwać treść tego raportu dla zrobienia kilku swoich dopisków. Walka dnia tego rozpoczęła się dwoma bardzo krwawymi scenami. Wskutek ustąpienia, czyli umknienia z linii bojowej **Leszka Wiśniewskiego** z oddziałem opuszczona została olszyna zasłaniająca **Mołozów**, gdzie pod dachem ulokowano rannych powstańców. Pozostała garstka 40 ludzi z oddziału tegoż była przez samego **Wiśniewskiego** zaprowadzona w las tuczapski, a następnie w las mołozowski, gdzie ustawiono ją jako gran gardę na rogu lasu naprzeciwko **Starej Wsi**, w której to pozycji, nieco w rezerwie, musiał zapewne stanąć za nią **Wiszniewski** z resztą oddziału zanim opuścił **Zapałowicza**. Z tego widać znowu, że **Zapałowicz** wysunął był pierwotnie na skrzydła swoje oddziały – **Czerwińskiego** na prawo naprzeciw **Mołozowa**, a na lewo naprzeciw **Starej Wsi Wiśniewskiego**, sam zaś stanął pośrodku dla kierowania bojem i posiłkowania wedle potrzeby. W tej pozycji od frontu pięknej bo rozległej, dominującej, zakrytej lasem i zasłoniętej przed frontem bagnistą łączką, mógł rzeczywiście nie tylko nieprzyjacielowi od frontu atakującemu imponować, ale i skuteczny opór stawić, nawet w razie ataków flankowych można było się jakiś czas trzymać, ale na to wrogie najście z tyłu był on zupełnie słabym, niemal bezbronnym, mając w rezerwie kilku kosynierów, kawalerię i nieliczny oddział tak zwanej gwardii pod komendą walecznego **Tymona Kniaziołuckiego**.

Po zniknięciu **Wiśniewskiego** i opuszczeniu swej pozycji przez **Czerwińskiego** stał on teraz mniej imponująco, ale za to , pomimo ubytku **Wiśniewskiego** 90 ludzi, stosunkowo o wiele silniej. Dziwna rzecz tylko, dlaczego wiedząc równie o zniknięciu **Wiszniewskiego**, o nadciąganiu nieprzyjaciela od

Tyszowiec, a nawet o cofnięciu się **Czerwińskiego**, zostawił rannych swoich na pastwę Moskali, gdy przecież mógł być osłonić ich eskortę cofnąć za front linii bojowej, podobnie jak bezbronnych, furgony i kawalerię. Moskale więc przyszedłszy do **Mołozowa** zajęli takowy bez oporu sprawiwszy rzeź tym, których dnia poprzedniego z bronią w ręku zwalczyć nie byli w stanie. Barbarzyństwo takie jest nie tylko cechą azjatyizmu mongolsko – moskiewskiego ale i zarazem piętnem tchórzów (...)

Tymczasem spójrzmy na walkę. Kolumna debuszująca przez **Starą Wieś** wysunęła naprzód podjazd, który wdarł się w las, gdzie zastał kilkudziesięciu powstańców niby to czuwających na gran gardzie, wedet naturalnie nie wystawiono, kozacy więc, dragoni i piechota podsunawszy się cichaczem krzakami wpadli znienacka i porąbali kilku, rzucając tym sposobem popłoch między rozproszonych i obozujących , gdy jednak nie czuli się na siłach głębiej w las się zapuszczać, aby nie wpaść w jaką biedę, dali czas do chwycenia oddziałom za broń, wypędzenia ich i obsadzenia należytego pozycji, jak o tym w raporcie czytamy. Sprostować tu jeszcze muszę w raporcie **Zapałowicza** umieszczoną relację co do poruszania się i debuszowania kolumn moskiewskich. Rzecz miała się jak następuje: po spaleniu **Mołozowa** i wyróżnieniu rannych i napadzie podjazdu moskiewskiego debuszowały równocześnie prawie dwie kolumny moskiewskie od południa, od **Mozołowa** i od **Starej Wsi**, a zaatakowawszy oddział **Zapałowicza** całym frontem starały się wdrzeć do lasu na całej linii. Zaś kolumna moskiewska, tak zwana hrubieszowska, debuszowała od północy, od **Miętkiego** dopiero w dwie godziny później i przez to opóźnienie, nie zdoławszy podać rąk kolumnie tyszowieckiej ani **Miednikowa**, nie była w stanie wyrzucić tego nacisku skutecznego, który zamierzała, a o którym **Zapałowicz** zupełnie mylnie raportuje, a to zapewne z przyczyn, które jeszcze obaczymy. Raport dalej opiewa: „, Natychmiast po pierwszych strzałach uszykowałem mój oddział w następujący sposób: pierwszym plutonem gwardii **[Kniaziolucki]** i pierwszą kompanią strzelecką **[Biliński Soter]** lewy brzeg lasu od **Starej Wsi** obsadziłem, drugą kompanią strzelecką **[Tryłowski (zapewne do niego odnoszą się słowa: podejrzanе indywiduum, sznapsista)]** obstawiłem brzeg lasu ku **Mołozowie**, trzecia zaś **[Ubysz]** kompania zajęła skrzydło od bagien tuczapskich, drugi pluton gwardii zostawiłem w rezerwie. Czerwińskiemu, który był zajął stanowisko w tyle od naszego obozu poleciłem, ażeby strzelcami obstawił las od **Miętkiego** trzymając kosynierów i resztę ludzi **[zbrojnych]** do dyspozycji „, Gwardią dowodził tu **Tymon Kniaziolucki**, kadet z wojska austriackiego, 1 kompania strzelców kapitan **Soter Biliński** oficer z wojska austriackiego, 2 kompanią strzelców **Tryłowski**, wielki zwolennik (...), 3 kompanią strzelców kapitan **Ubysz**, nadto widziałeś tu **Gintowta, Szymańskiego, Modzelewskiego, Czaplickiego, Zygmunta Nieszkowskiego, Lachawca, dwóch Walterów, Tadeusza Romanowicza, Erazma Wilkowskiego, Mieczysława Zarembę, Mantuaniego, Webera, Zbyszewskiego, Bienieckich Jana i Władysława**, także w kawalerii braci **Rozwadowskich, Obertyńskich** etc. Raport opiewa dalej:

„, Bój tyralierski, gorący wszczął się na całej linii, dowożono amunicję, rannych do obozu znoszono. Po jednogodzinnym ogniu, bezustannym, zaraportowano mi, że Moskwa na lewym skrzydle zamierza szturmem wdrzeć się do lasu. Natychmiast posłałem tam pozostawiony mi pluton gwardyjski

i posłałem po kosynierów **Czerwińskiego**. Ci zaś, nie przybyli tam na wezwanie, a wiara nasza, jakkolwiek w tak szczupłej liczbie, odparła wroga bagnetem, który nie považył się atak powtórzyć. Ogień trwał bez przerwy dalej do godziny 6; na wszystkie linie rozwożono dwukrotnie amunicję, znoszono rannych na furgony, słowem – odbywało się wszystko w jak największym porządku, prócz, że lewe skrzydło odparłszy nieprzyjaciela bagnetem, skoro ogień ustał opuściło bez rozkazu stanowisko udając się w stronę przeciwną [ku Ubyszowi], gdzie bój wrzał [najgorętszy] bez przerwy. W godzinę później przypuścił nieprzyjaciół na prawym skrzydle atak na bagnety, został jednakże odparty przez moich strzelców, którzy przed sobą kosynierów ustawili [oprócz pomienionego, kosynierów w ataku nie było przy mnie; może w innej stronie] ze znacznymi stratami odparty. Mimo tak strasznej przewagi wroga została przeto pozycja w naszych rękach”.

Szczegóły boju tego niepodobna mi dokładnie skreślić, muszę jednak dodać tu parę słów z tego co wiem. Debuszując od *Starej Wsi*, gdzie **Miedników** od strony wiatraków ustawił parę dział, które las ostrzeliwały, wystąpiła naprzód kolumna dragonów moskiewskich, która jednak przywitana ogniem **Bilińskiego i Kniazioluckiego** odrzucona została ku wsi *Mołozowowi* palącej się, a że bój toczył się zmrokiem, więc powstańcom dobrze było brać na cel. Następnie wystąpiła do walki kolumna piesza, która rozwinąwszy się w ogniu tyralierskim całym frontem starała się opanować las, co też jej się chwilowo udało, gdyż rażona strzałami z daleka, pomimo strat jakie poniosła, dotarła do brzegu lasu, a rzuciwszy się całym impetem, zdobyła bagnetem pozycję obszerną, tylko przez tyralierów bronioną. Przytomność umysłu i odwaga **Zapałowicza, Bilińskiego i Kniazioluckiego** uratowały sytuację; podsuniętą rezerwą wzmocnione i w szereg szybko jak stary żołnierz, ustawione kompanie 1, strzelecka i gwardyjska, tudzież resztki oddziału **Wiszniewskiego**, zanim nieprzyjaciół zorientował się w lesie i ochłonął ze swego chwilowego sukcesu, uderzyły nań tak gwałtownie z bagnetem w rękę, że go wyrzuciły z lasu, a obsypując rżęsistym i celnym ogniem z palnej broni odparły aż za *Starą Wieś*, przy czym tak silnie uszkodzono strzałami artylerię, że i ta musiała swą pozycję opuścić. To zapewne zdecydowało bój na tym skrzydle i spowodowało cofnięcie się tu Moskali ku wiatrakom. Tymczasem wrzał bój na całej linii **Zapałowicza**, który od pierwszej chwili zajął się był szczerze i energicznie rozstawieniem oddziału, dochodząc linią lasowa do samego krańca lasu, gdzie zajęły pozycje kompanie **Ubysza i Trylowskiego**, po czym wrócił w głąb lasu, aby z tegoż środka kierować całym bojem na wszystkich punktach, jak wyżej widzieliśmy.

Równocześnie z atakiem kolumny moskiewskiej od *Starej Wsi* debuszującej wysunęła się taka z *Mołozowa*, a rozwinąwszy długi łańcuch tyralierów przygotowywała pod tychże zasłoną szturm na bagnety całym frontem swoim, który to szturm trzykrotnie powtarzała, ale nadaremnie, szczególnie na lewym skrzydle swoim naprzeciwko 3 kompanii strzelców. Kapitan **Ubysz**, wytrawny żołnierz, widząc co się dzieje, nie pozwolił z daleka strzelcom swoim strzelać, ale przypuszczając każdą razą front moskiewski na bliski dystans, zmuszał Moskali do wstrzymywania się w swoich zapędach. Walka taka przeciągnęła się tak długo tutaj, że dała czas **Bilińskiemu i Kniazioluckiemu**, po odparciu **Miednikowa** kolumny ku wiatrakom, sformować się na nowo, wyjść z lasu i atakiem z flanki wesprzeć **Ubysza i**

Trylowskiego trzymających uporczywie las przeciwko przeważającym siłom nieprzyjaciela, który teraz zewsząd party i w dwa ognie wzięty musiał ustąpić stanowczo ku palącemu się **Mołozowowi**, przez którego płomienie musiał teraz się cofać.

Kiedy walka na tych dwóch punktach zupełnie już zdecydowaną została, dopiero usłyszano strzały od **Miętkiego**. Wszyscy więc pospieszyli na tą stronę nie czekając wyższej komendy, a może i nie wiedząc, czy tam jest oddział **Czerwińskiego** lub nie. Przesunięcie się kompanii **Bilińskiego i Kniazioluckiego** w lewo na pomoc prawemu skrzydłu i centrum gdzie **Ubysz i Trylowski** walczyli, a teraz zwrócenie się ku północy, ku **Miętkiemu**, gdzie usłyszano strzały, musiało **Zapałowiczowi** niemało pokrzyżować plany jego, jak i to z raportu jego domyślać się można. Któż bowiem mógł zaręczyć, że odparty ku wiatrakom **Miednikow** nie zechce, sformowawszy się jeszcze raz, ponowić atak ze swej strony, skoro mógł także usłyszeć strzały od **Miętkiego**. Tak przynajmniej każe reguła wojenna. Co więc teraz **Zapałowicz** zrobić zamyslał, lub co uczynił tego nie wiemy, gdyż o tym nie mówią ani naoczni świadkowie, ani też z raportu jego dowiedzieć się nie można. Pozostaje więc zagadka, której rozwiązanie zostawić dziś musimy czasowi. Tak samo nie wiadomo nam, jak i gdzie dnia tego walczył oddział **Czerwińskiego**, który stojąc od **Miętkiego** powinien był bronić tego lasu tutaj, a kto wie czy nie był użyty przez **Zapałowicza** do załatania w pozycji luki, która przez ruch **Bilińskiego i Kniazioluckiego** powstała.

Kapitan **Ubysz** opowiadał mi, że po odparciu Moskali ku **Mołozowowi** zwrócił się z kompanią swoją na północ ku **Miętkiemu** lasem, na którego brzegu, koło jakiejś szopy widział silny oddział dragonów moskiewskich na gniadych koniach, zaś piechota wdzierając się w las. Porucznik **Zbyszewski** rzucił się ze swoimi ludźmi na prawo, a **Ubysz** w lewo, aby uderzyć z flanki lub z tyłu, Zaledwie 17 lat liczący młody, nędzny i wybladły kosynier leżał w tej stronie na ziemi i dawał **Ubyszowi** znakami do zrozumienia, że Moskale en masse skryli się w kępę wśród lasu. **Ubysz** więc skierował zaraz w tę stronę kompanię swoją i celnym ogniem powitawszy wrogów zmusił ich do opuszczenia tej kryjówki, a kiedy przyszło do walki na białą broń, kosynier ten kosą swoją tak serdecznie poczęstował jakiegoś podoficera moskiewskiego, że mu kosa w czaszce zagrzeźła. Tymczasem i inne oddziały pospieszyły przeciw tej kolumnie do walki, a przywitawszy wrogów ogniem zamierzono uderzyć na kosy i bagnety. Koncept ten nie podobał się kosynierom **Czerwińskiego** tak dalece, że jak **Czaplicki** opowiada, miano ich polaskotać własnymi bagnetami, aby zdecydowali się wziąć udział w walce, którą też ostatecznie tego dnia zakończyli, stanowczo siekąc Moskali jak kapustę.

W dniu tym odznaczyli się szczególnie: **Biliński, Ubysz, Kniaziolucki**, bracia **Walterowie**, z których jeden zginął, **Tadeusz Romanowicz, Czaplicki, Kierzkowski, Wilkowski, Lachawiec, Weber, Zbyszewski, Jan Bieniecki**, który zginął, i wielu innych, których zasług dla czego **Zapałowicz** nie wspomina, wytłumaczyć nam może wzgląd aby nazwisk nie kompromitować. Że zaś dziś cała Polska skompromitowana, więc przekazuję nazwiska te pamięci rodaków bez wszelkiej obawy. A teraz powracam jeszcze do raportu **Zapałowicza**, który pisze dalej:

„ Około 7 godziny wieczór postanowiłem { dopiero } wycofać się spomiędzy otaczających mnie

Moskali, rozpoznawszy rekonesansami [dopiero] położenie sił nieprzyjacielskich okalających zewsząd, zamierzałem więc jedynie pozostawiona mi drogą między dwoma kolumnami moskiewskimi rozłożonymi w *Miętkiem* i w *Tuczapach* przejść w lasy turkowickie, okrążyć nocnym marszem Tyszowce, sformować się za tyłem nieprzyjaciela i przekroczywszy *Huczwę* przez *Czeremno*, *Perespę*, *Podwale* udać się w lasy tarnawackie w celu odstawienia rannych { i siebie } do granicy, zasilenia się w amunicję i zajęcia silniejszej pozycji [Czyste absurdum, a nawet nieprawda, gdyż w takim razie daleko korzystniej było rzucić się na wschód ku Bugowi wielkimi lasami i bagnami, a zrobiwszy tedy dywersję Moskałom, potem kontrmarszem rzucić się znów w okolice Tyszowiec, aby pokazać się znów z tej strony Moskałom i spiesznymi marszami podążyć w lasy tarnawackie, a stąd na brzegi Wieprzu, niepokojąc okolice Zamościa w różnych stronach drobnymi oddziałami. Ale tego nie uczą w szkole artylerii austriackiej, zaś przeprawa przez Turkowice ku Czeremnom, jak i dalszy marsz flankowy tak wielkim oddziałem nie mógł się żadną miarą powieść, tym bardziej w dzień, wobec tak przeważnych sił nieprzyjacielskich, jak i wobec korzystnych tegoż pozycji, a krótkich linii pochodowych.]. Kazałem przeto sygnalizować zbór. Mimo prawie godzinnego trąbienia nie przybyła tylko jedna sekcja gwardii, kawaleria, i 70 – 80 ludzi po części tylko uzbrojonych, byli to częściowo ludzie nowi, częściowo zaś z oddziału Czerwińskiego, który na moje sygnały do mnie przybył twierdząc, że nie wie co się z jego oddziałem dzieje. { Naturalnie, bo powstańcy przebili się garstkami i rozlecieli na cztery wiatry, każda grupa w inną stronę }. Wysłałem więc rekonesanse na wszystkie punkta placu boju { tj., o 1000 każdy }, które po części nie wróciły, a po części nie znalazłszy ludzi naszych na żadnym stanowisku dawniej przez nich zajętym { fałsz wszystko, ani sygnałów coś niby na psy (...) gdyż urzędowych sygnałów nie było. Rekonesansów nie wysyłał. Ja wysyłałem kilkakrotnie do dowódcy po rozkazy, ale dowódcy nie można było znaleźć. }, rekonesans zaś w stronę *Miętkiego* wysłany doniósł, iż kolumna stamtąd nadciągająca [Przeciwnie, Moskale obawiając się w Miętkiem odcięcia od Tuczap, Tyszowiec i Starej Wsi, aby nie zostać osobno pobitymi, szli przez las tuczapski na południe, z czego powinien był Zapalowicz skorzystać, aby ich w marszu napaść niespodziewanie, lub zamiast, zając za ich plecami Miętkie] zagraża odciąć mi odwrót. [Kolumna od Miętkiego atakowała po skończeniu boju z pierwszą kolumną w dwie godziny; odparta uciekła do Miętkiego]. Zebrawszy przeto wszystkich którzy na sygnał przy byli, udałem się z amunicją, rannymi i bagażem, i z konnymi drogą leśną ku *Tyszowcom* w pochód, opóźniwszy się jednak tak długim oczekiwaniem i otrąbywaniem do zboru [bo czekał tak długo na Lonszana (Longchamps'a)] nie zdołaliśmy ująć zdołającej za nami kolumnie moskiewskiej, która nas z boku dopadła [Naturalnie, że Moskale bojąc się być zatakowanymi, woleli atakować, skoro ujrzeli atakującą kolumnę przed sobą z boku]. Nie mając ludzi uzbrojonych oprócz małej liczby gwardii nie mogłem bronić rannych, których wraz z częścią amunicji i bagażu Moskwa zabrała [Amunicja cała przepadła tak, że żołnierzom 3 kompanii pozostało zaledwie po 2 patrony]; ludzie przy mnie zostali pierzchali w nieładzie [instynktowo widząc w nieczynności i nieporadności zgubę] i zaledwie 2 furgony z rannymi uprowadziłem. Wszystkie kompanie strzeleckie i reszta gwardii mimo, jak teraz sprawdziłem,

usłyszanego sygnału do zboru kręciły się z niepojętych dla mnie przyczyn po lesie [a więc dowód, że lasów nie opuścili, ale takowe trzymali, tudzież, że rekonesanse niedbale i po tchórzowsku prowadzone były, skoro do nich nie dotarli], a o świcie przeszli polami tuczapskimi ku granicy [co dowodzi, że tą drogą i Zapalowicz mógł przejść bez narażenia się na napad flankowy od *Miętkiego* i *Tuczap* w biały dzień, ale i po zmroku nocnym lub przed dniem rozpoznawszy sam osobiście dokładnie i odważnie, co się dzieje i w tej stronie jak to zapewne drudzy uczynili]”.

Jak widzimy co już powiedziałem, zły przykład wyższych oficerów oddziału bardzo szkodliwie na niższych, gdyż najwaleczniejsi nawet, nie idąc na głos komendy naczelnego wodza, spowodowali zupełny rozkład oddziału już po wygranej, tj. w chwili kiedy należało wyzyskać odparcie nieprzyjaciela, aby na nowo sformowawszy się wymknąć się zgrabnie z matni. Że *Zapalowicz* sygnalizował zbór trąbką myśliwską, osobiście nie podlega wątpliwości, gdyż nawet *Ubysz* zadający kłam pod tym względem *Zapalowiczowi* powiada przecież: ‘ Kto tam co on tam trąbił, coś jak na psy „. Naturalnie, że na polowaniu trąbi się na psy, ale i na ludzi „, pojednego ‘, a tym samym można tak sygnalizować zbór w powstaniu w braku trębacza wojskowego. Świstawki, np. się dziś przyjęły w armiach regularnych, wcale to nie ubliża tych czy owych sygnałów słuchać, byle skutek był osiągnięty. Podobnież używano tego sposobu sygnalizowania w marszu, w *Tyszowcach* i *Tuczapach*, był to więc znak umówiony i znany, a nieposłuchanie go świadczy tylko o (... tencji) podkomendnych, za którą się płaci na linii bojowej kulą w łeb. Inna jest rzecz zaś, czy ta trąbka była, i mogła być słyszana przez wszystkie oddziały i w której chwili sygnały te były dawane. Wśród boju bowiem i huku strzałów, jęku rannych i komendy dowódców kompanii walczących bardzo łatwo sygnał taki mógł się okazać za mało donośnym, jeżeli trąbka nie była dosyć dźwięczna, wysokiego tonu metalową; trudno też bardzo wycofać żołnierza w bój zaangażowanego do walki strzelbą i ręczną bronią. Jeżeli więc robimy zarzut podkomendnym, to musimy go uczynić i wodzowi, że osobiście choćby z tą eskortą, jaką miał pod ręką, nie pospieszył na miejsce ostatniej walki, ale przeciwnie, jak to z raportu jego już wypływa, cofnął się z garstką swoją, w ręku mu pozostałą, widocznie poza plecy tych w *Miętkiem* walczących ludzi swoich w odwrotnym kierunku ku *Tyszowcom*, bo na południowy zachód, podczas gdy oddział jego odpierając wroga ku północy, a potem na wschód, a następnie dopiero na południe ku Galicji się udał. Naturalnym więc jest, że wysłani na zwiady ludzie z kompanii *Ubysza* i innych nie mogli już w lesie tym znaleźć *Zapalowicza*, który nie pojmując dlaczego szedł ku *Tyszowcom* Moskałom w ręce, skoro widział przecież, że ci odparci z lasu przez prawe skrzydło tam się na *Mołozów* cofnęli. Nie można też przypuścić, aby chciał się usadowić na wzgórzach między *Tuczapami* a *Tyszowcami* w powyżej wspomnianej olszynie, skoro tego nie uczynił wprzód, gdy miał po temu większe siły, ale nie uczynił bo nie miał artylerii do obrony tej odkrytej pozycji, z której Moskale od *Starej Wsi* ponad *Knyszyn* i *Nabroż* byliby go bez oporu ku *Orawie* wyrzucili, a naciskając równocześnie od *Tyszowiec* zgnetli kompletnie, nie mówiąc już o kolumnie od *Miętkiego* nadciągającej, gdyby ta zdołała lasy tuczapskie i mołozowskie obsadzić. Jeżeli więc wybór pozycji był przez *Zapalowicza* dobrze zrobionym, to z jednej strony ciąży na nim вина opóźnienia się w zajęciu

jej, brak wszelkiej korektury, brak wysłania rekonesansów kawalerii, nie użycie tejże do pościgu pobitego wroga, a następnie osobiste niedostateczne czuwanie nad takim bojem, stracenie następnie czucia z podwładnymi oddziału, a następnie cofnięcie się na oślep wśród nocy pod strzały i bagnety nieprzyjaciela.

Rekonesanse wysłane przez **Zapałowicza** widocznie niedokładnie spełniły swą służbę, ale cóż się dziwić dyletantom? Noc wreszcie nie małą słała tu przeszkodę do naprawienia błędów, które się namnożyły bez liku, i tylko Moskalom dziwić się można, że przy całej natarczywości swych ruchów i walk początkowych takie błędy nie wyzyskali do zupełnego zniszczenia tej garstki. Jakoż nie kolumna moskiewska od **Tyszowiec** wyrządziła jaką krzywdę **Zapałowiczowi** wymykającemu się w towarzystwie **Czerwińskiego** nie wyspanego, ale kolumna od **Miętkiego**, a to tylko przypadkowo i w bardzo małym stopniu stosunkowo. Moskale ci widocznie dążyli połączyć się z kolumną swoją drogą w **Tyszowcach** będącą, idąc więc z **Miętkiego** do **Tyszowiec** na **Mołozów**, **Tuczapy**, przecinali drogę **Zapałowiczowi** cofającemu się z lasu mołozowskiego ku **Tyszowcom** i dosięgli tylko końca jego kolumny, zabrali furgony i wyrznęli część zabranych rannych powstańców. Ocalenie **Zapałowicz** zawdzięcza tylko oddziałowi swemu, który tymczasem walcząc w północnej części tego lasu mołozowskiego zwrócił na siebie uwagę i dlatego Moskale ci nie mogli, a raczej nie odważyli się, natrzeć całą siłą na **Zapałowicza** unikającego, a drugiej strony odwrót **Zapałowicza** uratował oddział jego, moskale bowiem, widząc tu walczących, a tam maszerujących, mogli myśleć, że **Zapałowicz** (im pewno) chce ich jakim oddziałem obejść a następnie wziąć we dwa ognie; w ich więc oczach korzystniejszym musiało się wydać przemknąć przez las tuczapski, **Mołozów**, **Tuczapy** i połączyć się z kolumną swoją w **Tyszowcach**, jak rzucić się na zwycięski oddział w lesie mołozowskim skryty i narażać plecy swoje na Bóg wie jakie ataki przez inne oddziały powstańcze wśród cieni nocnych jak duchy w myślach ich snujące się.

Rzeczywiście dopiero teraz widać jaką krzywdę wyrządził sprawie **Wiszniewski** opuściwszy bez wyższego rozkazu pole walki; jaką krzywdę wyrządził **Czerwiński** opuściwszy las tuczapski, skąd mógł ruchami flankowanymi oddziałowywać tak dobrze od strony południowej ku **Mołozowowi**, jak i ku **Miętkiemu** na północy. Jaką krzywdę wyrządził **Zapałowicz** wymykając się w towarzystwie **Czerwińskiego** z lasu mołozowskiego, zajmowanego przez jego zwycięski oddział, który tu przenocował, jak to przecież sam w raporcie swoim powiada, skoro nie tylko ustąpił jako wódz, ale zabrał ze sobą całą amunicję, i ta z winy jego dostała się w ręce nieprzyjaciela, uniemożliwiła dalszą walkę garstki walecznych, której wspomnienie dotąd nawet sami Moskale szanują, jak się o tym przekonać można.

Co do planu odwrotowego **Zapałowicza**, ten rzeczywiście byłby do nazwania doskonałym, gdyby tylko był odpowiednio ułożonym, jeżeli bowiem rezerwa i obóz były ustawione w północno – zachodniej części lasu mołozowskiego to odwrót był przypuszczalny ku **Modryniowi** lub **Mierczy**, zaś w razie zamierzonego odwrotu ku **Turkowicom** należało zająć zakryty stawami i bagnami las turkowicki, co jednak **Zapałowicz** nie uczynił i odwrót ten musimy nazwać przypadkiem. Wyszedłszy bowiem z lasu

mozołowskiego widzimy, że **Zapałowicz** naraz zmienia kierunek swego pochodu, a idąc na **Turkowice** okrąża tylko na to **Tyszowce**, aby się dostać znów w pobliże granicy galicyjskiej, co i wprzód zamierzał chcąc się udać w lasy tarnawackie, skąd dążył by do **Rybnicy** tuż nad granicą położonej pod pretekstem ... aby pod tym czy owym pretekstem rozpuścić oddział i wkroczyć do Galicji na leże ... całkiem, jak to od początku do końca niemal wszyscy dowódcy czynili ... Nie dziwimy się przeto takiemu niedoładzie jak **Czerwiński**, a tym mniej **Goluchowskiemu** i **Miniewskiemu**, którzy wcale nie wyruszyli z oddziałami w pole, zapewne nie wiedząc co mają czynić. Toteż z epoki tej czytamy ciągle tłumaczenia się naczelników oddziałów, a między innymi **Zapałowicza**, który tak dalej pisze:

„ Z małą garstką ludzi jaka mi pozostała wykonałem odwrót na **Turkowice** [z lasów tuczapskich jako odcięty już od oddziału, który instynktowo na (...) w głębie się schronił], okrążając **Tyszowce** udałem się w lasy tarnawackie, nie mając jednak broni i dowiedziawszy się { przed nosem nie mógł się dowiedzieć, gdzie oddział, ale w dali o dwie mile ... dowiedział się. Tymczasem cały oddział z 19 rannymi doprowadził kapitan **Ubysz** do granicy Galicji] o rozproszeniu oddziału [który pozostał bez wodza], przekroczyłem koło **Bełża** granicę, zachowując broń [której już nie miał, jak sam powiada], i konie [na których odbiegł od swej piechoty]. Przebieg cały boju zwycięstwem niżli klęską nazwać wypada [Klęską było, że wódz nie stosował się do fazy walki i jej następstw i że nie trzymał się oddziału, który nie mając wodza sztuki dokazał, że nie rozleciał się na wszystkie wiatry, ale i pozostał razem i razem dalej maszerował i bez pana **Zapałowicza**], mimo tak poważnych sił nieprzyjaciela utrzymałem się w pozycji, podwójny atak z zapamiętałą walecznością odparliśmy bagnetem, ani na chwilę wróg nie wtargnął w lasy i tylko klęskę w nieposłuszeństwie pojedynczych dowódców kompanii [I w nieporadności odszukania zbłądzonego oddziału przez **Zapałowicza**] upatrywać należy, którzy zaniedbali na dany i naprzód umówiony sygnał [Żadnych umówionych sygnałów nie było] skupić się około mnie, a tym samym rozejście się oddziału spowodowali.

[W powstaniu wódz musi pamiętać że” 1/ musi się stosować do tego, gdzie okoliczności oddział jego pchną, i tam się posuwać choćby i nazad bo to nie armia regularna i nie pozycja masami broniona, ale partyzantka; 2/ sygnały zawsze w obecności nieprzyjaciela należy dawać ciche. To krakanie, kukanie, to świstanie, gdy się robi zbór w oczach lub pod nosem nieprzyjaciela, a trąbi się tylko w szarży lub w ataku; 3/ chcąc się rano wymknąć z rąk okrążającego nieprzyjaciela, w nocy ludzi swoich ściąga się po cichu i odprowadza, należało więc i tu wysłać, a nawet prowadzić samemu rekonesans z piechoty i kawalerii, ciągle świstając, a wtedy powstańcy by się łączyli, bo by widzieli sprytne postępowanie, a nie trąbić w trąbę archaniola na miejscu, aby dać znać wrogowi, gdzie ma potem napadać i okrążając zgnieść. Zresztą trąba dobra w armii i komedii, ale nie partyzantce, bo to ciągła tragedia. Trąby używać można dobrze dla budzenia nieprzyjaciela, np., odbiegłszy ½ mili za plecami wroga ale nie na skryte skupienie się biedaków; 4/ partyzant każdy niech zawsze liczy, tak jak dobry generał, na pewne rozbitcie oddziału, dlatego niech zawsze ma umówioną stronę, okolicę etc. Zboru, boć najmądrzejsza rzecz w walce partyzanckiej przedzierać się przez linie wroga i za tegoż plecami znów koncentrować choćby

dopiero za dni kilka].

... O ile do obecnej chwili z przedłożonych mi dat zebrać zdołałem wynoszą straty moje 80 – 100 ludzi [60 najwięcej] w rannych i zabitych. [Przed bitwą napadli Moskale rannych w **Mołozowie** zebranych celem odesłania ich do Galicji, budynki dworskie spalili po bitwie i poszli ku wiatrakowi. Druga zaś kolumna napadła transport rannych i tamże wymordowała rannych wiezionych przez Zapalowicza.]. Moskale stracili 500 do 600 ludzi. [Si e vero ?].,

Lwów 24 maja 1863, **Zapalowicz** [Dobry i odważny i przytomny oficer, ale nie dowódca partyzantki.]”

Dziwić doprawdy tylko może, jak oddział ten mógł z tak stosunkowo małymi stratami wyjść z tej matni, jakoż podane przez **Zapalowicza** straty jego są wedle świadectwa wielu naocznych nawet nieco przesadzone. Ja zaś myślę, że dokładnie nie mogą być podane, gdyż wódz nie był w stanie obliczyć ludzi po boju, skoro ten podzielony w dwóch odrębnych grupach, pole walki opuścił. Ba, byli nawet tacy jak **Bieniecki**, **Mantuani** etc. Rozbici i odbici od głównego oddziału prawie cudem przedarli się pomiędzy kolumny moskiewskie ku granicy galicyjskiej i jakoś ocaleli. Być więc może, że byli i tacy, co się dostali do niewoli moskiewskiej, o czym jednak trudno dziś dokładnie zebrać wiadomości. Co do strat Moskali, to bez kwestii musiały być bardzo znaczne wobec okoliczności, że oni musieli w odkrytej pozycji podsuwać się pod pozycję zakrytą i zacięcie bronioną, jak głównie z powodu, że usiłowali masami zdobyć las z bagnetem w ręku. Nie przygotowawszy bój należycie przez artylerię, która wprawdzie las ten ostrzeliwała i granatami obrzucała, ale obrońcę z niego nie wysadziła ani nawet nie osłabiła, powstańcy bowiem obsadzili tylko brzeg lasu, skąd oni przez tyralierów ani przez działa moskiewskie kartaczami i pękającymi pociskami spędzeni nie byli, a dlatego nawet chwilowe wdarcie się w kolumny **Miednikowa** odparli skutecznie.

Dziwna więc rzecz, dlaczego **Zapalowicz** mówi o klęsce w boju, gdy rzeczywiście klęski ani w boju, ani po boju nie było, skoro i **Zapalowicz** z **Czerwińskim**, i oddział bez wodza i amunicji odwrót wykonali szczęśliwie. Zaś co do cofnięcia się oddziału do Galicji, to było on klęską dla sprawy tylko, ale ani wyjątkiem w tej epoce, ani też inaczej możliwej wobec ówczesnych stosunków, wobec ówczesnej nierównoczesnej ogólnej akcji, wobec braku partyzanta głównodowodzącego, a z drugiej strony tej ciągłej gnuśności, swarliwości, niezgody i niesubordynacji naszych rodaków, których ani doświadczenie, ani potrzeby, ani przekonały ani niczego nie nauczyły, tak że wobec przyszłości człowiek rozważny tylko ręce załamać i litować się musi nad tak biednym narodem, którego Bóg karze odbierając mu rozum na ciężkie wystawia próby, tak że spadając coraz niżej, na końcu musi przestać całkiem egzystować, skoro do tego sam dąży. Dziwna to doprawdy rzecz, że jeszcze dotąd egzystujemy, i to tacy sami, jacy byli nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie pod względem strony ujemnej i upośledzeniu u drugich, a tylko nam jeszcze niektórym wydaje się, że my coś warci i coś możemy bez poprawy wad naszych, które jakby umyślnie tylko mnożymy na nasze przygnębienie, na zupełną zgubę plemienia naszego. Kłócimy się i dzielimy się, ambicjonujemy o jedno ... wytykamy sobie błędy, a sami wszyscyśmy błędni, wszyscy gotujemy wspólnie nasz grób, zamiast na serio pomyśleć o sposobie ocalenia od tego losu.

Zdanie to moje opieram na empiryce, na doświadczeniu i znajomości naszego kraju i narodu, a mówiąc tu specjalnie o oddziale **Zapałowicza**, pozwolę sobie skreślić chwilę odwrotu garstki tych, którzy utrzymawszy walecznie plac boju, odparłszy wroga, opuszczeni przez wodzów, straciwszy z jego tylko winy całą zapalną amunicję, bez grosza, bez mapy, z bagnetem tylko w ręku, mając zaledwie po dwa patrony w ładownicy, z 19 rannymi, przenocowawszy w lesie nazajutrz o świcie wykonali odwrót do Galicji. Komendę naczelną objął teraz nad tą garstką kapitan **Ubysz**, który aby tym lepszy mieć pogląd na to co się dzieje wszędzie, dosiadł jakiejś chudej kobyły na oklep i na uździenicy, bo nie było ani siodła ani trzaski. Uszedłszy tak pewną przestrzeń, trzeba było przechodząc jedną wioskę wstąpić do dworu dla zasięgnięcia języka o nieprzyjaciela, oddaleniu granicy i wywiedzeniu się o drogę, a przy tym zasileniu się jadłem jakim. Aby nie wyglądać jak Absalon na oślicy, uprosił kapitan **Ubysz** u koleżki, podkomendnego kawalerzysty **O ...**, na tę chwilę rumaka osiodłanego i umontowanego przyzwoicie. Ale zabawiwszy chwilę we dworze, gdy wyszedł na podwórze, nie zastał już nie tylko wierzchowca tego pożyczonego ale i oddziału. Ludzie jego zapewne pod wrażeniem (...), aby nie być naciskany przez moskali, pomaszzerowali dalej, oddawszy komendę w ręce kapitana **Sotera Bilińskiego**. Nie zostało więc **Ubyszowi** jak dosiąść znów u płotu przywiązanej suchej kobyły oklep i dopędzić oddział, po czym nastąpiły swary i przymówki, jakby chodziło o nie wiem jaką dostojność i władzę, o których pamięć utkwiała w niektórych sercach po dziś. Koniec był ten, że sucha kobyła uratowała porzuconego **Ubysza**, który objąwszy znów dowództwo wyprowadził oddział z niebezpieczeństwa, przekraczając granice galicyjską i składając broń przed władzami austriackimi, które na to tylko już oczekiwały.

„Zapomniane wspomnienia” opracował Eligiusz Kozłowski Instytut Wydawniczy Pax 1981 Raport do Rządu Narodowego Naczelnika Oddziału Jana Zapałowicza, wraz z uwagami Kapitana Aleksandra Ubysza co do tego raportu i szeregowca Jana Winnickiego zarazem co do ruchów i raportu Majora Bogdanowicza

Hipolit Korabiowski h. Radwan (1833 – 1899) po powstaniu dzierżawca Persenkówki pod Lwowem gdzie zmarł w październiku 1899 r.

... Dano wreszcie rozkaz wychodzić z miasta (*Tyszowce* aut.); obóz, kawaleria ruszyła naprzód, zasłaniała ich piechota nasza. Nasza zaś kompania szła ostatnia w tyralierce ostrzeliwując się sotni kozaków. Gdy kompania nasza z miasta wychodziła, wpadło kilku kozaków, rozjechali dziecinę jakąś i kobietę zastrzelili, może przypadkowo, bo nasi dali do nich ognia, a oni odpowiedzieli. Takim porządkiem ustępowało wojsko moskiewskie i nasze ku lasowi. Najprzód jechały nasze furgony i ułani, potem szła nasza piechota w porządku do lasu. Za nimi postępowały rotty moskiewskie. Szczęście, że nasi prędko wyszli z miasta, bo by się mieli z pyszną na tej łące, bo było z pół mili do lasu. Z tyłu zaś z lewego skrzydła postavili Moskale swoje armaty na cmentarzu i dawając z nich kurzyć, ale nam dużo szkody nie narobili, bo tylko siedmiu ranili, a jednego zabili, a to wszystkich

Samborzanów, bośmy byli w tyralierce odłączeni od całego wojska z którego nikt nie zginął.

Pan Bóg tam strzegł nasza kompanię, że nas wszystkich nie wysiekli, bo za nami była sotnia kozaków, co nam nie dała spokoju, tylko ciągle najeżdżała na sierotkę naszą kompanie. Ale też i nasi się dobrze im za to wypłacali, bo gdy kozacy na nas z bliska natrą, to nasi zbiegną się w kupkę i jak im pluną w oczy, to oni jak groch się rozsypia po łące i znów się zbiorą i znowu natrą, a nasi ich znowu poczęstują. Ja, chociaż byłem tak wielki jak zboże na początku czerwca, alem się zawsze dobrze schylił abo i na ziemię upadł, jak z armat wystrzelono, nie żebym się tam wystrzałów bał, ale że to tak kazali. Bo kula każda, a osobiwie armatnia przenosi, ale to tylko ludzkie zabezpieczenie, bo kogo Pan Bóg do siebie na sąd pozywa, tego i pod ziemią znajdzie.

Przechodząc przez łąkę natrafiłem na bagnisko, zaczę się więc przebierać przezeń, aż tu słyszę kozacy na mnie natrą. Ja się składam, chcę strzelać. Aż tu kurek klap, drugi raz klap, że i kabzla nie spaliła. Więc ja w rozpaczy; a to się wybrał na wojnę z karabinkiem, a ty byś nawet z nim kur z grzędów nie pozganiał, a nie tyle kozaków. Gdy więc w takiej desperacji nie wiem co począć, rzucam go na ziemię: Leż tu, a nie zdradzaj ludzi co ci ufają ! „ – i biegnę do towarzysza, co niósł dwa karabiny, a więc dajże bratku jeden. On się zbył próżnego ciężaru i dał mi. Ja się ucieszył, chcę nabijać, Az tu patrzę, nie ma stempla. A niech że cię nie znam, Toś mnie potraktował; i tak daremnie musiałem nieść karabin ciężki (bo to był sztuciec belgijski), aż do lasu nie wystrzeliwszy z niego ani razu.

Przyszedłszy do lasu, aż tu na lewym skrzydle okropny dym i huk. My tam nie bardzo spieszyli do bitwy, bośmy bardzo byli znużeni, a i zmierzchać się poczęło, więc posiadawszy, gdzie kto mógł na pniak czy na ziemię, pokrzepiał się gorzałką. Miał tam każdy z miasta pełną manierkę słodkiej wódki oprócz mnie, bo ja zawsze do manierki wodę brałem, bo mnie to bardziej ochładzała jak rozpalająca wódka. Ale, jak to mówią, dla towarzystwa dał się cygan powiesić, więc kiedy wszyscy zaglądali do swoich manierek, to mnie nie wypadało odmówić, zwłaszcza kiedy jaki taki towarzysz przysunąwszy się poczęstuje ochładzającymi kroplami. Więc jak pociągnąłem sobie (a była zdaje się miętówka), to co innym, jak to mówią, do głowy poszła, ale mnie przeciwnie do nóg wszystka upłynęła, żem się nie mógł na nich utrzymać.

Zaczęło się już dobrze ściemniać, a myśmy zaczęli się zbliżać ku swoim na lewym skrzydle. Moskale ustąpili z lasu bo się już zmierzchało, a nasi im tęgo stawiali czoła. Przy światełkach lekarze opatrywali rannych. Było ich 7, jeden tylko zabity, a wszyscy, ile sobie przypominam, Samborzanie. Idąc po bitwie w nieporządku przez las, zatrzymałem się w bliskości wozów, aby sobie chwileczkę odpocząć, bo mi się mimowolnie kleiły oczy i ledwie siadłem, zaraz zasnąłem. Przeszła moja kompania, druga etc., aż szczęściem z tylnej straży ktoś potknął się o mnie i w taki sposób zbudził. Ja zaś, udając, że nie śpię, zerwałem się mówiąc, żem sobie usiadł, by se odpocząć i dalej w drogę. I nie raz przytrafiało mi się coś podobnego tej nocy, bo ile razy obóz się zatrzymał na kilka minut (bo u nas, jak się przednia straż koni lub wołów na pastwisku złąkla, to i cały obóz stój, aż się nie przekonali, że to nie kozacy), to ja zaraz na ziemię, sądząc, że nie zaśpię, a ledwie usiadł tom już spał. W taki sposób zgubiłem gdzieś czapkę i karabin { Jest to opis starcia odwrotowego z dnia 18 maja

z *Tyszowiec* ku wsi *Turkowice*].

Jak już dzień poczęło, ja się zbliżam potajemnie do mojej kompanii, aż tu mój kapitan; „ Mały, a gdzież twoja czapka? „ Ja za głowę się łapię i dziwuję się, że nie ma, aż on w śmiech: „Toś ty taki mój adiutant” – i kazał mi dać tam jaką taką. Dali mi czerwoną krakuskę z czarnym barankiem. Ale to nie koniec. Kapitan dalej pyta: „ A gdzież twój karabin? „ Ja sądząc, że kapitan kazał któremu nieść za mnie, bom ci okrutnie był zmordowany, mówię mu „ Pan kapitan kazał mi wziąć karabin i teraz pyta się gdzie go mam?” I dawaj biegać po szeregach szukać, czy kto nie niesie dwa karabiny. Tak i nie znalazłem. Więc kapitan kazał mi tam dać jaki i zaraz dostałem stary moskiewski, długi, nie bardzo ciężki, czarny, ale zaraz się ktoś tam nawinął i wepchał mi śliczną dubeltówkę (dźwirówkę), najmniej sto florenów, ale cóż, kiedy na sto kroków ledwie położysz człowieka.

Około 8 rano stanęliśmy obozem w starym grubym lesie dębowym pod wsią *Tuczapy*. Idąc przez las nad ranem nimeśmy przeszli pod *Tuczapy*, zdarzyło się coś nie najprzyjemniejszego do opisywania. Zakazane było występować z szeregu bez pozwolenia kapitana lub porucznika, a że jeden z trzeciej kompanii wyskoczył do strumyczka, aby się wody napić, kapitan { *Ubysz* ? przyp. aut. } jego, rozjuszony, ciął go w rękę, i tak zboczył broń swoją podły zapaleniec we krwi brata swego. Dostał nosa od *Zapałowicza*, jak się zdaje, ale cóż, to nie uleczyło rany. Wielkie też było i szemranie po kompaniach, ale czy tak czy, siak będziemy o tym zdarzeniu rozprawiali, zawsze na koniec to trzeba nam powiedzieć, że posłuszeństwo jest podstawą w każdym stanie, a osobliwie w wojskowym...

Po staremu jak to bywa, piechota do lasu na suchary, a ułani do dworu (w *Mołozowie* przyp. aut.) niby to konie poić (albo raczej siebie jak konie).... Chociaż to nie było wolno oddalać się z obozu tak daleko, ja jednak wiedząc, że mnie malcowi nic za to nie powiedzą, wziąłem jeszcze od innych szalki (menażka), aby im trochę rosołu, mleka, etc. przynieść. Dworek nie bardzo był bogaty, jednak najserdeczniej jak mogli, tak nas przyjęli.

Z piechoty nikogoś tam nie zobaczył, tylko samych ułanów, adiutanta i *Zapałowicza*. Ja się pomału wsunął na ganek i w kąciku stojąc, przypatruję się, jak koniki ułani przy studni poją, jak inni smacznie zajadają, aż mi ślinka biegnie. Aż wtem przybiegnie panienka, córka obywatela i zapyta czym by mi służyć mogła. Na to ja grzeczniutko „ mlekiem „. A więc dano mi prawie cały ogromny garnek mleka. Dawajże teraz pić i pić, takem się opił jak bąk, nalała mi i w manierkę i w szalki dla drugich, a ja najadłszy się i napiwszy podziękowałem i nazad do lasu.

Com przyniósł, tom porozdawał i zabieram się czym prędzej do spania, bo to się po bitwie całą noc szło bez odpoczynku. Jużem się usadowił pod drzewem na mchu jak kura na gnieździe, aż tu krzyczą: „ Pierwsza kompania pod broń na pikiety!”. Zmieniliśmy trzecia kompanię; ja zostałem z kapralem *Dallmajerem* na placówce, a cała kompania obstawwszy lewe skrzydło lasu poszła na dół. Nie spodziewając się żadnej bitwy *Dallmajer* mówi, że połowa na placówce może sobie drzymać, a reszta niech na pół czuwają, bo pikiety stoją porozstawiane.

Byliśmy właśnie na samym rogu lasu’ leżąc za wielkim grubym dębem ściętym. *Dallmajer* począł ognia krzesać do lulki, jam się do niego przysunął, bośmy się to serdecznie miłowali i razemśmy się trzymali.

Aż tu nasza pikieta ognia dała, za chwilę druga, zrywamy się, patrzymy, a tu podjazd kozacki wpada do dworu (bo **Zapałowicz** powróciwszy z ułanami do obozu posłał wczorajszych rannych do dworu aby stamtąd odesłano ich do Galicji). Było ich siedmiu wszyscy Samborzanie; (w dworze mołozowskim zginęli **Teofil Turkaski, Linde** – żołnierz oddziału **Leszka Wiśniowskiego, Chmielewski, Władysław Semkowicz, Piotr Uszyński, dr. Juwenal Niewiadomski**)... Właśnie jakieśmy szli na wartę wyjeżdżali oni, jam się z nimi pożegnał, kazałem im pozdrowić moich rodziców.

Myśmy się pokładli za ten dąb, tak że nas kula dostać nie mogła i bez ustanku rżniemy coś 20 do dworu. Co kozak głowę zza płotu wystawi, łups go, tak że kozaczęta tam się przez jakiś czas kręcili i odstrzeliwali, a na koniec odwieźli do obozu naszych rannych. Podczas tego, gdyśmy się tu na placówce odstrzeliwali, nasz oddział się uformował i wyszedł na brzeg lasu, tak się rozsypując na końcu lasu, żeby każdy miał wygodne drzewo, skąd mógł dobrze kropić Moskali. Ja też tam leżąc za dębem, bezustannie strzelałem, Alem spostrzegł, że nadaremnie, bo na pół drogi mi zawsze zakurzyło, bo kula w ziemię upadła.

Gdyśmy się tak z kozakami ucierali, z przeciwnego lasu wyruszyło, jak mówiono, 6 tysięcy piechoty; było i sześć armat. Stanąwszy prosto na dobre tysiąc kroków, zaczęli nas witać, my też im nawzajem posyłali nasze pozdrowienia. Z początku ochraniał nas ten ścięty dąb i długośmy za nim leżeli, ale jak nam zaczęli przypiekać bezustannie z sześciu armat i tyleż piechoty prawie w jedno miejsce, tośmy i włoska z głowy wystawić nie mogli, boby go zaraz kula oderwała, tak tam gęsto kule leciały.

Widząc, że nie ma rady, bo nam już kilku ciężko poranili, cofnęliśmy się zza tego dębu z krańca lasu troszkę w głąb lasu. Od jednego rannego wzięłem belgijski sztuciec i stanąłem sobie za grubym dębem, gdzie dwóch wygodnie ukosem stanąć by potrafiło. Tu przybiegł do mnie jeden kowal, tęgi człowiek, zdaje się, że z **Czerwińskiego** partii, tenże stał po lewej stronie dęba. Chcąc strzelać musiał trochę się wychylić i nieszczęśliwy, nim zdołał wystrzelić, wyżej kolana kula armatnia nogę mu oderwała, a samego na kilka kroków odrzuciła. Biedak zaczął krzyczeć żałośliwie, aż mi się serce krajało od żalości ... tam kule leciały jakoby roję pszczoł koło uszu i nim się człowiek do tego przyzwyczai, to naturalnym pociągiem chce się ręka oganiać jakoby od pszczoł albo os, i byłbym temu nie wierzył, gdybym sam nie doświadczył, że prawie za każdym razem, gdy mi brzękła kula koło ucha ręka mimowolnie się podnosiła. Jeden Żydek tak się długo zasłaniał rękami przed kulami, aż mu kula rękę przeszła.,

Podczas tego wszystkie kompanie się uformowały i zajęły swoje stanowiska. Jedna kompania tyłu broniła, naszej kompani część na przodzie była, gdzie właśnie ja się znajdowałem, a druga część z kapitanem lewego skrzydła lasu miała bronić na wszelki wypadek. Gwardia i inne kompanie stały rozłożone na przodzie i bezustannie ostrzeliwali się Moskalom. Trwało to z dobrą godzinę, a tu nieustający ogień bez przerwy trwa z jednej i drugiej strony. Słysząc tu było czasem rozpaczliwe jęki rannych, wzdychanie i modlitwy, a ja, i inni obok mnie, prawie za każdym wystrzałem mówiłem „ Zdrowaś Maryja , Jezus Maryja „, Najbardziej biedni kosynierzy stali za drzewami i jak listki się trzęśli, co padały kulami oderwane, bo kiedy człowiek jest w ruchu, strzela, biega, krzyczy, etc., to małe na niego robi brzęk kul wrażenie, ale stać pośród kul nieczynnym, to się najokropniejszej równa śmierci.

Wtem Zapalowicz kazał całkiem przestać strzelać, czekając na jego rozkaz, i zaczął się uwijać nad brzegiem lasu. Wszystko co było słabsze, tak jak i ja, musiało w głąb lasu ustępować, a samych tęgich na brzeg lasu wysunął, przygotowując ich na przyjęcie Moskali na bagnety, albowiem on obserwując ruchy nieprzyjacielskie zoczył przez lunetę, że część Moskali czołgając się zbliżała się ku nam, aby nas przemocą bagnetów (kiedy nie zdołali kulami) wypchać z lasu. Kiedy już byli na jakie 200 kroków przed lasem, nagle się zerwali i cała nawałnica pędzą ku naszym. Tedy nasi przypuściwszy ich blisko siebie przywitali ich celnymi strzałami i w chwili startł się bagnet o bagnet. Wszystko ucichło, armaty zamilkły, tylko gdzieś tam dał się usłyszeć szcęk kos i bagnetów.

Z wielkim natężeniem i niecierpliwością spoglądało z przeciwnej strony wojsko moskiewskie na zacięcie walczących zapaśników. Widzieli jak tam **Walter** raz wkłuty w twarz bagnetem, znów drugi raz w rękę, kładzie trzech Moskali z rewolweru. Widzieli, jak tu waleczny **Franciszek Leszczyński** bez prawej ręki, a jednak choć mańkutem, już to szablą, już to rewolwerem kładzie ich braci. Widzieli oni swojego sierżanta, który jak topol w sadzie pomiędzy innymi górował wzrostem i siłą, jak naszych okrutnie kłuł i mordował, aż wreszcie i jemu na koniec przyszło, bo kilku naszych nagle go z kilku stron otoczywszy jak kurczę bagnetami przebiwszy go góry podrzucili, że aż wnętrzności wyciekły.

I nie trwał długo ten atak, tak jak każde zetknięcie się na bagnety, bo gdy kosyniery nasze natarli, Moskale naszym tył podali, a nasi ich długo przed sobą gnali, ale na własne nieszczęście, bo gdy odbiegli dobry kawał od lasu, Moskale skręcili się w bok, tak że na naszych 6 armat odslonięto i mnóstwo piechoty; nasi zaraz na odwrót do lasu, ale ich przez to dosyć poginęło na drodze.

Podczas tego, jam się znajdował na lewym skrzydle i leżąc przyczajony pod krzakami bezustannie miałem zwrócone oczy na drożynę, która była nad wąwozem. Wtem nagle widzę; pędza Moskale (może było ze dwie rot) ta drogą, a więc długo nie myśląc palę w kupę. Dziura się zrobiła, któryś spadł, a więc wołam na towarzyszków: Bracia, na pomoc! Chodźcie tu są Moskale! – i sam dalej nabijam i rżniemy w kupę Moskali bezustannie w jedno miejsce tak, żeśmy ich przedzielili, a druga część dla ustawicznego strzelania w to miejsce musiała się cofnąć.

Kiedy nam cały tłum Moskali powoli z oczu zniknął, myśmy odeszli w głąb lasu, aby połączyć się z innymi. Podczas tego Moskale powtórnie przypuścili szturm do lasu i powtórnie zostali odparci. Nasi , chociaż poprzednią razą nauczeni, że nie wypada wychodzić z lasu na czyste pole, naprzeciwko stojącym armatom, jednakże i tą razą zachęceni powtórным zwycięstwem, zapomniawszy na dawną stratę ludzi

Wybiegł nie tylko oddział piechoty, ale nawet i konnica, i sam **Zapalowicz**. Moskale tej samej sztuki przeciwko naszym użyli co przedtem, bo umknąwszy się w stronę wystawili naszych na ogień sześciu armat i tysiące kul piechoty. W odwrocie, ledwie który padł z naszych, bo blisko byli jeszcze lasu, do którego się zaraz schronili. Ale pomimo tego ponieśliśmy niepowetowaną klęskę, bo przy odwrocie **Zapalowicz** i konnica skręcili na lewo do brzozowego lasu, piechota zaś wróciła na swoje dawne stanowisko w dębowym lesie.

Nie widząc przy sobie dowódcy, oddział cofnął się w tył, spodziewając się tam z nim połączenia, bo się

te dwa lasy łączą ze sobą o jakie kilkaset kroków. Spodziewali się także kapitanowie z tyłu, dlatego cały oddział do kupy ściągali, posuwając go ku tyłowi. Pułkownik albowiem moskiewski z **Zamościa**, wściekając się ze złości, że nas ze swymi sześcioma tysiącami nie zdołał wyprzeć z lasu, wpadł do dworu, w którym się nasi ranni znajdowali, obywatela porąbali, córce jego i żonie piersi oderznawszy pastwili się nad bezbronnymi istotami, a na koniec dwór z zabudowaniami spalili. [Zginęli tam również dzierżawca **Kwiatkowski**, jego żona i córka] Naszych rannych uwieźli ze sobą, a mszcząc się na nich, że żadnego żywcem nie mogli dostać z oddziału, najokrutniej kłując bagnetami wszystkich siedmiu pomordowali, sami zaś poszli do lasu z którego przed bitwą wyszli.

Tymczasem przeszedł cały oddział aż na drugą stronę lasu i oczekiwał ataku, Ja nie mogąc swojej znaleźć kompanii, przyłączyłem się do trzeciej i idąc drożyną wyszliśmy nad brzeg lasu nad bagniska. Pozwolono nam sobie odpocząć bo to była już może piąta godzina wieczór, a byliśmy zabezpieczeni, bo ponad bagnami z tamtej strony już od dawna stały pikiety. Lecz niedługo mogliśmy sobie odpoczywać

Bo zaczęli nasi krzyczeć, że na nasze pikiety kozacy napadli, i w rzeczy samej niezdługo dały się słyszeć wystrzały i wrzawa po lesie. Myśmy się zerwali gotując się na przyjęcie nieprzyjaciela i czekamy, co tu będzie, z której strony nas napadną.

Aż tu widzimy kilkunastu naszych zgonionych z pikiety uciekających, a za nimi Moskale. Nasi wpadli w bagniska, Moskale za nimi i grzęznących w błocie kłują w oczach naszych. Kilka wystrzałów padło z naszej strony ale już za późno, a moglibyśmy ich uratować gdyby ścigających wzięto na celny strzał. Nie mając dowódcy prędko objął najwyższą władzę jeden z kapitanów (**Ubysz** ? pyp. aut.) i kazał nam się po cichutku cofać przez głąb lasu na to samo miejsce skądśmy wyszli. Uszedłszy kawałek stanęliśmy, ja będąc blisko ścieżki wyszedłem popatrzeć co się tam dzieje, aż tu na jakie sto kilka kroków wysuwa się Moskal i składa się do mnie. Ja nie wiedziałem co on chce robić, a ten bieda pali we mnie, ale chybił dureń. Ja krzyczę: „ Ta co robisz, nie strzylaj, ta to swój! : - bom myślał, że to jaki kosynier wziął karabin i nie poznawszy mnie strzyla. Ledwie to powiedział, drugi się wysuwa Moskal i pali do mnie, i już mi koło ucha gwizdnęła kula, więc ja już zniecierpliwiony wołam na **Siateckiego**: „ Patrzaj, ta oni do swoich strzylają „. On wyszedłszy na ścieżkę mówi mi: „Strzylaj, strzylaj, ta to Moskale! „. Więc składamy się i palim, a Moskal się kopytkami nakrył. Któż mu winien, mógł dureń siedzieć za drzewami, albo lepiej strzelać, bo mnie miał na sto kroków. Tak to człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi...

I znowu kazano nam się dalej cofać, a to jak najciszej środkiem lasu, aby Moskale sądzili, żeśmy już uciekli. Przeszedłszy cały las, przeszliśmy prawie na dawne pobojuwisko. Kazano nam półksiężyc zrobić na lewym skrzydle lasu za małym zrębem, ustawivszy za nami kosynierów, przed nami rozłożyła się łąka łącząca nas z brzozowym lasem do którego **Zapałowicz** z konnicą odjechał, a na samym środku łąki stała stodoła. Przednia część naszych wyszedłszy na koniec lasu chwilkę się zatrzymała, a potem ruszyła liczna prawie cała kompania przez łąkę do brzozowego lasu, dlaczego nie wiem, ale jak mnie się zdaje, i co jest najprawdopodobniejszym, stchórzyła, bo rozsypawszy się zaczęła

uciekać.

Ja stojąc na samym końcu lasu puściłem się też za nimi, lecz uleciawszy kilka kroków, widzę, nikt więcej nie idzie, jednak za innymi biegnę, lecz będąc już na samym środku łąki stoję i dumam, czy biegnąć za drugimi, czy się wrócić.

Aż tu nagle zobaczyłem za stodołą mnóstwo Moskali idących jakby już po zupełnym zwycięstwie przy odgłosie trąb, bębnow i wrzaskliwych śpiewów. Z początku dreszcz mnie przeszedł widząc się samego jak goły palec na łące wobec tysiąca Moskali. Lecz cóż się dzieje ? Moskale nie będąc zaczepiani od naszych, sądzili, że już nikogo nie ma w lesie, zwłaszcza, że musieli spostrzec kilku uciekających do których nawet jednego wystrzału nie dali. Tak więc idąc sobie swobodnie weszli aż w sam środek półksiężyc obstawionego naszymi.

Aż tu na nich jakby z jednego karabina wszyscy jednocześnie wystrzelili: Hurra, hurra – krzyczą – na bagnety, kosynierzy naprzód, naprzód!”. Więc jak poszli szczęśliwie, tak jednym natarciem złamali ten motłoch nie przygotowany. Moskale w nogi, nasi z a nimi, strzelają, kłują, rąbią, zwłaszcza kosynierzy. Ja biegnę choć z daleka, aby widzieć, co się stanie. Ci, co w brzozowym lesie, wrócili się, gonią Moskali zagnawszy ich aż na błota. Lecz dano znak na odwrót, bo się już dobrze zmierzchało, a bali się znowu jakiejś zasadzki. Wracając, znaleźliśmy Moskala zabitego. Dobrzem mu się przypatrzyłem, bom miał dziwne wyobrażenie, że to nie ludzie. Brzydka bieda była, bo go ospa oszpeciła, i rzadko którego widziałem Moskala, którego by ospa nie zeszpeciła.

Wziął sobie, z niego co kto mógł na pamiątkę, a zwłaszcza jeden, wiedząc, że oni noszą pieniądze pod kolanem, zaraz go obmacał, czy tam czego nie znajdzie. Ja mu się tylko przypatrzyłem i poszedłem dalej nic nie wziąwszy. Okropna łuna była z gorejącego dworu, który już dogorywał w oczach naszych. Posiadawszy sobie w lesie, zaczęli się jeden drugiego pytać swoich towarzyszków i uściskając się prawie ze łzami jeden drugiego pytał: „ No cóż, ty żyjesz? A ty żyjesz? „. I zaraz, jak który miał większy przypadek. lub się gdzie odznaczył, to zaraz opowiadał jak kilku skłuł, jak tego obronił, jak odbił, jak natarł, jak rąbał. I tak nawzajem uściskając się opowiadali sobie swoje zdarzenia, aby się jako tako pocieszyć, bośmy wszyscy posmutnieli.

Ni tu wozza, ni konnicy, furgony pojechały na nieszczęście podczas samej bitwy za Zapalowiczem, a Moskale ich złapali, bo nie były obronione. Każdy swego przyjaciela, znajomego szuka, a jak nie znajdzie to się smuci. Bardzo się i ja zasmucił, szukam **Dallmajera**, któremu bardzo kochał, nie ma **Siateckiego**, **Leszczyńskiego**, ze znajomych nikogo nie ma. Noc już była dosyć ciemna, a tym bardziej jeszcze w lesie ciemno, nikogo nie rozpoznasz, tylko po głosie, a mówić nie wolno, tylko po cichutku, ognia nie wolno założyć, aby się nie zdradzić.

Kilku posłano rannych zbierać, ale niewielu ich tam przyprowadzili, bo biedacy bali się odzywać, sądząc, że to Moskale. Kapitanowie posłali jednego kawalerzystę i kilku piechotnych szukać **Zapalowicza**, ale po jakimś czasie z niczym wrócili. Więc dopiero rada w radę co robić, Czy zostać, czy iść ku granicy? Zostać było niepodobnym, bośmy już stracili furgony i ładunki, co było główną rzeczą, a dowódcę, mniejsza z tym kiedy gdzieś zginął, byłby go któryś z kapitanów zastąpił. Uradzili

więc, aby iść ku granicy i tam się jakiś czas trzymać, ażeby nam posiłki jakie nie przysły z Galicji. Obawiając się jednakże, aby przez nieznanomość miejscowości i stanowiska nieprzyjacielskiego nie wleźli gdzieś na obóz moskiewski, dlatego przyprowadzono chłopą, aby nas do granicy doprowadził, a jeżeliby na obóz nieprzyjacielski naprowadził, pierwsza kulka jemu w łeb.

Wzięli go dwaj między siebie, a chłop drżał jak listek na widok trzymającej straży w rękach rewolwery na niego. Biedak, gdyby miał najlepsze chęci, jednak w nocy po bitwie mógł nas z nieświadomości na obóz moskiewski naprowadzić, a tak padłby ofiarą będąc nawet najlepszej woli. Jednakże szczęśliwie doprowadził nas do granicy, lecz, że strach ma wielkie oczy, dlatego lada drzewo w oddali, lada bydełko pasące się przez noc trwożyło nas, bośmy ciągle myśląc o Moskalach, wszędzie ich sobie wyobrażali.

Idąc natrafiliśmy na kałużę na środku drogi, więc, że cały obóz musiał tamtędy przechodzić, to się po prostu żur zrobił z tego, Jednakże, jaki taki zdjął czapkę i dawaj pić, a nie tylko pragnienie zaspokoił, lecz i głód, bo się dobrze najadł błota. Ja, chociaż czułem, pijąc, że mi piasek po zębach skrzypi, jednak nie spodziewałem się, że to takie błoto, aż rano zdejmuję czapkę i patrzę: a to co za lichy? Miałem czerwoną czapkę, a teraz szara, a to był namuł.

Już i zaczęło świtać, już przygrzewa dobrze, przeszliśmy kilka wiosek, a tu, mówią, jeszcze daleko do granicy. Rozciągnęliśmy się może na jakie pół mili, przechodziliśmy dwa razy pod same okna dworu, ale się nikt nie zatrzymywał, bo strach na karku siedział, Ranni, którzy mogli, to szli, innych niesiono na kosach, podścieliwszy im coś, Po drodze opowiadano sobie bitwę, chwalono bardzo kosynierów, że się tego spisali, ale cóż nam z tego wszystkiego przyszło, kiedy po tak świetnym zwycięstwie musieliśmy haniebnie uciekać za granicę. Była tam, jak mi potem Moskale opowiadali w niewoli, okropna bitwa, wystrzały aż do **Zamościa** było słyhać, a szczęśliwy ten, kto z całą głową wyszedł z pod kosy. Bali się także Moskale okropnie, czy nie zechcemy się rzucić na **Zamość**, dlatego gotowali się jak do szturm.

Opowiadał mi w niewoli jeden żołnierz moskiewski, Żyd, który tam był ranny, że nigdzie się tak tego nie bili jak tam, bo chociaż, jak mi jeden opowiadał w **Zamościu**, było ich tam 6 tysięcy i 6 armat, to nasz oddział liczący do 400 ludzi (bo Czerwiński przed samą bitwą poszedł sobie zostawiwszy nam trochę kosynierów, za co , zdaje mi się, dostał trochę karabinów belgijskich) tak się dzielnie trzymał, że nie tylko nie ustąpił im z lasu, lecz straciwszy ze swego oddziału 160, położył 600 Moskali. Ani ja ich grzebał, ani rachował, ale tylko to opowiadam, co mi drudzy opowiadali w tej mierze (relata refero). Taką relację zdał wójt ze wsi **Tuczapy** pułkownikowi, który kazał jak najspieszniej pochować w lesie naszych i jego.

W **Janowie** zaś w lazarecie jeden Polak w wojsku moskiewskim, już stary człowiek, coś 40 lat służył w wojsku, bardzo chwając tamten oddział dziwił się, żeśmy im nie zabrali cały obóz, który stał na gołym polu bez żadnej straży, stał prawie przez całą noc, aleśmy go nie widzieli. Z tego ja zrozumiałem, że nie był to inny oddział, który nas z tyłu atakował, lecz ten sam, co i z przodu, bo kiedyśmy przechodzili przez las, on sobie mógł spokojnie niżej lasu przez środek wsi przejść, że go nikt nie spostrzegł, i tak

samo nas atakować. Inni zaś sądzili, że to był oddział z **Chelma**, który nas z tyłu atakował, bo w rzeczy samej był taki plan, aby na nas z trzech stron uderzyć, ale się spóźnili, bo gdyby trzy oddziały równocześnie na nas uderzyły z **Janowa**, z **Zamościa**, i z **Chelma**, a może i z **Krasnegostawu**, to byliby nas zgnetli.

Może o pół mili przed samą granicą jużem tak zasłabł, że ledwie mógł iść. Zostałem więc ostatni, a zdjawszy sobie buty szedłem po trawie, lecz żem do tego nie był przyzwyczajony, takem sobie popodbijał i porozcinał pęcherze na nogach, żem i ubrawszy potem buty nie mógł iść. Lecz przywlokłem się przecież jako tako do granicznego lasu, gdzie wszyscy leżąc sobie spoczywali nie myśląc o nadchodzącej burzy. Bo ledwie przyszedł i usiadłszy ściągam buty, aby sobie nogi zaopatrzyć, widzę, jedzie kapitan (emigrant, służył w wojsku angielskim, miał order) i krzyczy: „Ratujcie się, bracia, bo Moskale na karku!”. Więc kiedy taki postrach rzucił, jedni rzuciwszy już broń, a drudzy jeszcze z bronią uciekają. Ja szczęśliwie skoczyłem na bryczkę i jechało nas tam coś 10, jak nie więcej. Każdy był kontent, aby się mógł gdzie uchwycić. O wywrócenie nikt się nie bał, bo były okropne koleje, a z obu stron góra. Konięta były słabe, lecz że to szło z góry na dół, to się sam wóz toczył.

Kapitan (**Ubysz?** Przep. autora)nam mówi: „Ot, wstąpiłem do dworu, żeby coś dostać dla naszych rannych, aż tu mi dają znać, że okropny oddział nadbiega, więc widzę, że niepodobna jest teraz nam się utrzymać na granicy bez ładunków etc. Musimy więc zakopać broń na granicy austriackiej, a każdy niech się w Galicji ratuje, jak kto może”. I już zobaczyliśmy słupy graniczne; wyskoczyłem z bryczki i z innymi w las. Podle niektórzy sobie postępowali, bo albo całkiem porzucali karabiny, albo w stojące sęgi powpychali. Jedna bieda, czy prędzej, czy później byli ich Moskale albo Austriacy znaleźli, chyba żebyśmy ich porządnie w ziemię zakopali, ale gdzie tu czas i czym. Ja też idąc za złym przykładem położyłem gdzieś pod krzakiem karabin, ale przyłączywszy się do kapitana **Bilińskiego** i innych, którzy niosąc broń myśleli o należyтым jej zachowaniu, zaczęło mi coś sumienie wyrzucać, zwłaszcza słysząc, że wygadywali na tych co porzucali broń. Więc ja potajemnie przyniosłem swój karabin i siadłem sobie pod drzewem, bośmy już dobry kawał uszli od granicy.

Było nas tam ze dwudziestu, któryś wyciągnął rożek sera i podzielił między nas, a że był jak ropa słony, ogromne mi pragnienie sprawił, co człowieka do reszty zesłabiło, a tak jedząc ten ser zasnąłem nad nim. Kapitan za chwile poszedł z innymi, a zapomniawszy o mnie zostawił mnie śpiącego, aż może za godzinę szelest dwóch przechodzących obok zbudził mnie. Zerwałem się i pytam, gdzie jest kapitan, oni się dziwią, bo dopiero nadeszli, nikogo nie widzieli, a ja zaspany pytam się o kapitana. Opowiedziałem, jak się stało, a zakopawszy jako tako kilkanaście karabinów poszliśmy patrzeć, czy gdzie wsi galicyjskiej nie zobaczymy. Jeden mając nadzieję, że się kiedy wrócimy do swoich karabinów, skaleczył sobie palec, a idąc udzierał trochę kory z drzewa robiąc drogę krwią własną, może nie sobie, ale własnym nieprzyjaciółom.

Wyszedszy z lasu zdybaliśmy jednego z naszych i poszliśmy z nim na wzgórek, aby się gdzie dostać do dworu, aby nas do domu odesłano. Idziemy ścieżką, a z boku zajeżdżają nam trzej huzarzy austriaccy.

„Już po nas – mówimy do siebie – nie ma rady, nie możemy uciekać, dogonią, czyste pole, trzeba się łagodnie poddać, toć to huzarzy węgierscy może da się jakoś wymknąć.” Siedliśmy sobie na ziemi i czekamy. Nadjechali z gołymi pałaszami, a kaprał zaczął coś gadać. Krzykliśmy „Pardon!”, a on dopiero zszedł z konia i zapytał o pistolety, bo wiedział, żeśmy żadnej innej broni mieć nie mogli ukrytej. Żaden z nas nic nie miał. Więc dopiero zaczęli z nami po przyjacielsku rozmawiać. Ze mnie się bardzo śmieli, że takie dziecko a poszedł na kozaków i zaraz uderzyli w szablę: „Ej kozaki; kozaki, my by im dali „. Zaczęliśmy im opowiadać o całej bitwie, a oni kazali iść za sobą do wsi. Przyprowadziwszy nas do jakiejś chałupy już przyrządzonej na wszelki przypadek dla powstańców, kazali przynieść słomy, abyśmy się mogli przespać, a zostawiwszy jednego huzara na straży, cały szwadron rozjechał się łapać naszych.

Spaliśmy może od pierwszej do czwartej. Potem nas zbudzono, czy może zechcemy sobie czego kupić, bo widzieli żeśmy nic nie jedli. Kazaliśmy sobie dać mleka, a szelmy chłopcy już stały pod oknami z dragami na warcie. Wyszedłem z izby popatrzeć co się dzieje, to byłyby mi biedy oczy wydłubały, żeby nie huzar na straży. Za chwilę przyprowadzono nas stamtąd przed dwór, gdzie stał na kwaterze porucznik, i tam już był prawie cały nasz oddział. Niezadługo znowu przyprowadzili kilkunastu i kapitana **Bilińskiego**. Rannych i porządniejszych prosił oficer do pokoju, a **Leszczyński** zobaczywszy swój rewolwer na stole u oficera delikatnie wziął go jak swój. Posłał wójta na wieś aby natychmiast 50 fur było, a że tam Rusini „cysarskije detyny „więc natychmiast było więcej niż potrzeba, a nawet sami chłopcy chcieli zastąpić żołnierską służbę i sami odprowadzić nas do **Belza**.

Oj, bieda by nam była, gdyby ich opiece chciano nas oddać, może żaden zdrowych kości byłby nie wyniósł spod kijów, które sobie na drogę przygotowali. Huzarzy sądzili, że oni nas rzeczywiście odprowadzą, dlatego koni nie osiodłali, ale kiedy wozy już zajechały, a oficer krzyknął: „Na koń,, a tu konie nie posiadłane, więc dopiero jedni do chłopów rozganiać, przeklinać, a drudzy do koni, aby jeszcze za dnia być w **Belzie**.

Jakeśmy tam przyjechali, to tam się już połowę naszego oddziału się znajdowało. Zajechaliśmy przed urząd powiatowy. Pocziwy naczelnik przyjął nas wszystkich jak najlepszy ojciec [był nim **Antoni Kudła**]. Straż stała tylko od parady, bo pełno dam etc. Wchodziło tam i wyprowadzali ze sobą po jednemu, po dwóch powstańców. Dla innych nawet damskie stroje przynosiły, aby jak najwięcej wyswobodzić i kto mógł jaki fortel na uwolnienie wynaleźć, tego zaraz używał, aby wspomóc biednych braci, Pan naczelnik w kancelarii stoły pozostawiał mięsiwem, kawą, herbatą, pozwolił wszystko z miasta przynosić, czy to bieliznę, czy to jedzenie byle tylko po bratersku przyjąć swoich rodaków. Panie pozaścielały swoimi puchami korytarze, na nic nie zważając same nam we wszystkim usługiwały. Zaraz dla każdego była woda na nogi, bo prawie każdemu krew z nóg ciekła po takich pochodach, gdzie dzień i noc idź, idź bez żadnego odpoczynku, a zwłaszcza kto do tego nieprzyzwyczajony. To łatwo skaleczyć sobie nogę...

Na drugi dzień pytam się i szukam **Bilińskiego**, **Leszczyńskiego**, znajomych, a tu nic niema, nikogo nie widać. Tylko wszystkich niższego stanu widać, którzy nie myśleli, że można uciekać, albo nie mieli

sposobu, albo nic im nie zależało. Słowem, kto tylko chciał, ten mógł uciec. Kapitan **Biliński** wściubił huzarowi dukata, a nie tylko go z kilkunastoma puścił, ale i nawet i drogę pokazał, którędy bezpiecznie iść mogą. Tak dalece, że z dwie stu może 70 – 80 zostało. Na drugi dzień już trudniej było uciekać, bo huzarzy widząc tak przerzedzona liczbę obawiali się kary, która w rzeczy samej niezadługo otrzymali, a naczelnik za to przeniesiony został, a później może i urząd utracił...

Ze mną była krótka sprawa { dyrektor szkoły **Józef Booss**] po obiedzie kazał mi się oczyścić, dał mi czapkę inną, a wzięwszy się z jego synem za ręce jak studenci szliśmy przed nim przez wszystkie straże...

W piątek 22 maja odesłano nas do **Lwowa**... Obywatele nas niechętnie widzieli u siebie po takiej klęsce, bo niejedynemu i cały majątek stracił, aby tylko utrzymać to powstanie, a kiedy widział, że to wszystko nadaremnie, że wszystko jakby w błoto rzucił albo i gorzej, bo wynikająca stąd kompromitacja przed swoim rządem pociągała wielkie później nieprzyjemności – konfiskaty i uwięzienia.

„Zapomniane wspomnienia” opracował Eligiusz Kozłowski Instytut Wydawniczy Pax 1981 – Feliks Wiktor Riedl wspomnienie z powstania 1863 roku i z drogi na zesłanie z 1864 roku”

TYSZOWCE

Około południa 17 maja 1863 roku wmaszerował oddział **Zapałowicza** do **Tyszowiec**. Licha miejscina nad wielkim stawem obrosłym szuwarem. Zmęczony marszem ległem na ziemię i zasnąłem, słodko spałem, a jak się przebudziłem poszedłem się wykąpać do stawu: pływam, zanurzam się, aż naraz widzę nad szuwarem, tuż koło mnie „dzidę „ ... to dzida kozacka, znam ja ją dobrze; ubrałem się prędko i lecę do miasta. Oddział nasz już wymaszerował, tylko moja rota została jako „ ariergarda,, i stoi pod bronią na rynku.

Do rynku prowadzi ulica prosta, długa, coś jak w Miechowie, a w ulicy głowa na głowie wali chmara Moskali. Ze stu nas strzeliło jak w ogromną stertę siana i widać było dobrze jak się rozprysli, padali i w tył uciekali. My strzelili raz jeszcze i pognali prędko by się złączyć z oddziałem.

A za miastem pole równe jak bilard, rozlało się wzdłuż i wszerz daleko i gdzieś hen tam się tylko szarzeje las wielki, gruby i stary. I widzę naszych połowa w „łańcuchu” a reszta zwinięta w mniejsze kolumny, a wszyscy strzelają i grzmi po takcie; widocznie jest dobra komenda; a samym łańcuchu widzę na koniu naszego dowódcę **Zapałowicza – Żalplachtę**, szablę ma w ręku i ciągle nią rusza raz w prawo raz w lewo

A pokazuje i naprzód, i myślę sobie to jest dobry wódz, kiedy się w „łańcuch „ wejść nie boi, a być tam nie musi.

A chmara Moskali rozwija się nagle. Dragoni robią manewry, jakby na nasze chcieli napaść skrzydła, i napadli... a gdy są blisko my się prędko zbijamy w „kupki” i żwawo strzelamy a oni w tył jeszcze

prędzej niż na nas napadli, a który padł z konia, tutaj go i zostawili, z wrzaskiem napadli, milcząc uciekli, i tak to szło razy trzydzieści, zawsze ze strata odbiegli.

A armat dwanaście grzmi z bliska bez przerwy i sypie ciągle kartaczem, granatem, i widzi się dobrze jak ogon dymiący się za sobą włości i zaraz padnie, zabłyśnie, zdymi, i zaraz się rozpęknie, a odłamy jego warczą, wyją, aż serce drętwieje. Na czystym polu nigdzie ani krzaczka, pod silnym armatnim ogniem my jak stara gwardia Napoleona powoli krok w krok odступujemy by zająć pozycję pod lasem, w lesie, co kroków trzydzieści każdy stanie, w tył się obróci, wystrzeli na Moskali, potem znowu naprzód, przez drogę karabin nabije i znowu pali, i ciągle to samo przez godzin cztery i wreszcie tuśmy przed lasem. Tu wszyscy stanęli we front po rotach i ogniem silnym bez przerwy sypali aż ani śladu nie zostało po Moskalach...

Padło nas wielu, a wielu było i rannych. Padł jeden przy mnie, myślę, że się potknął więc wołam „stań prędko i strzelaj, czy nie widzisz, że znowu szarżują dragoni” patrzę a on nieżywy – ani „joj” nie wymówił, bo go kula kartaczowa w sam kark trafiła, umarł więc nagle; taka woła boska, przynajmniej się jak inni nie męczył; schylam się by mu odebrać karabin, lecz on go tak kurczowo w ręce ścisnął, że ledwie go mogłem z ręki jego wykręcić, i tak ja, najmniejszy i najsłabszy musiałem dźwigać dwa karabiny.

Po bitwie my rannych złożyli na wozy. Wszyscy im życzą szczęśliwej drogi, tylko ja jeden mówię „zostańcie z nami to jest bezpieczniej „, lecz oni tego nie słuchali i „, z Bogiem, z Bogiem „, z nami się rozstali. A my jeszcze tej nocy poszli w marsz, i na drugi dzień rano byliśmy w lasach tuczapskich.

TUCZAPY

W lesie stuletnim myśmy zajęli pozycje dobre. Za każdym dębem po sześciu nas stało. Dzień był przepiękny, pachnący, majowy. A zielono wszędzie jak w raj. A ja na „, fortpocztach „, pod lasem na jakich krwi kałuże pachną

I widzę wkrótce wielki obłok kurzu, to sotnia kozaków tak pędzi a prosto na nas; my legli a oni jak zwykle z wrzaskiem: „, ne ujdosz „, na nas napadli, ale myśmy celnie zmierzyli, razem wypalili i kozaków sześć z konia spadło a reszta milcząc uciekała.

W obozie rozruch, leca rozkazy, wszyscy stają do frontu, każdy uchwycił broń swoją, kapslę poprawił, przeżegnał się i czeka napadu wroga.

I wkrótce w dali widać ścieśnione piechoty szeregi, pułk Dragonów i kozaków bez liku

Na małym pagórku działa ustawili i zaraz dymić zaczęli; Łomią się gałęzie, pękają deby i trzaski leca, rania więcej niż ich kule, granaty i bój rozpoczął się zażarty; grzmi błyska, dymi na wszystkie strony, i tak trwało godzinami, aż naraz widzę, pułk jeden cały w ściśnionym szeregu idzie, i wrzeszcza „, urra „, i już są blisko, na głowach ich „, kiepi „, z żółtym galonem, mundur zielony żółte lampasy, to pułk „, petersburskich gwardyjskich grenadierów „,

I nie było pewnie kroków pięćdziesiąt gdyśmy ich gęstym ogniem razić zaczęli” umilkło „, urra ,

i umilkły bębny, i grenadierzy pospiesznie uciekli a myśmy krzyknęli „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Lecz zaraz za chwilę znowu do szturm poszli ale jeszcze gorzej przeszli. I wrócili po raz trzeci, tym razem z wojskową bandą; ślicznego grali galopa i do lasu wpadli. Przed dębem gdzie stałem, był krzak rozłożysty i widzę w nim grenadiera, „kiepi”, na bakier, świeżo ogolony a wąsik zakręcił do góry, zmierzyłem dobrze w pierś samą i wystrzeliłem, a on padł z jękiem żałosnym aż mnie serce zabolalo i chciałem karabin nabić na nowo, lecz czasu nie było bo przede mną stało dwóch grenadierów i jeden mnie pchnął bagnetem w pas tak silnie, że odleciałem w tył na trzy kroki i padłem plecami na ziemię; on trafił w ramię od kartusza, a ramię było grube, twarde, przebić go nie potrafił, lecz zaraz przyskoczył do mnie, dokłuć chciał pewnie, ale ja chwyciłem za bagnet rękami i silnie ściskam, on pcha w pierś moją, ja szarpnę na stronę i bagnet się zarył w ziemię głęboko, on wyrwał bagnet, znowu kluc próbuję, lecz ja bagnet nie puszczam, wykręcił mnie rękę i ukuł pod łokciem aż mi krew trysła w oko i pchnął mnie w lewy bok tak silnie, że przebił i kartusz i ramię grube zahaczył i dobry kawał skóry i przebił na drugą stronę aż do ziemi; straciłem przytomność; coś jak przez sen słyszałem krzyk głośny, wrzask okropny, lecz wolniej, rzadziej, i jakby echo dalekie czasem doleci mi do uszu okrzyk i głuchnie, jak sen.

To nasi kosynierzy poszli nam na pomoc i jeden kosynier rozplatał memu grenadierowi kosą głowę na dwoje i on runął na mnie.

Otwieram oczy, koło mnie cicho, noc czarna, tylko mnie coś przyciska, dusi, dławi, nie da mi dychać. Patrzę, na mnie leży grenadier, straszny, obrzydliwy, głowę ma rozplataną, a twarz moja krwią i mózgiem złana: myślę sobie czy śnię, czy jest to na jawie: ręką przetarłem oczy i mówię: więc ja żyję! próbuję wyleźć spod trupa, ledwie mi się to udało, usiadłem patrzę na moją rękę, ruszam palcami i mówię: tak to ręką moją, nie ma wątplenia, ja żyję; zabolalo mnie w boku, zdjąłem ramię, patrzę! dziurawy, wyjąłem chustkę, obtarłem oczy, twarz, a na niej pełno mózgu, wyjąłem szarpie, zatkałem rany, i widzę koło mnie pełno trupów wszędzie, a krwi kałuże pachną, aż mdło się robi; straszny to tutaj musiał być bój, rzeź! Bo trupów kupy, a prawie sami Moskale; po ziemi pełno „kiepi”, broni. Wstałem, kolana mi drgają, w uszach mi szumi jak w młynie; słabo mi się robi i prędko usiadłem na pniu i myślę, tak nie inaczej na placu boju mnie zostawili, pewnie myśleli że zabity, a może mnie spod grenadiera i nie dostrzegli; ale gdzie są nasi? Słucham i nasłuchuję i zapłakałem. Co tu robić!?

I naraz wśród tej ciszy usłyszałem jęk, jeden, drugi, piąty, przeciągły, stłumiony jakby z grobów głosy. W dali ktoś zacharczał; leciutki wietrzyk wzmógł się w straszną burzę i koło mnie ruszył trup ze strzaskaną ręką, przeżegnałem się, a kiedy wiatr uchylił wiszącą przede mną gałąź, ujrzałem w płomieniach płonącej wieś **Możółów**.

I była już północ i strach mnie ogarnął, pić mi się chciało i zawołałem: wody!, wody! A w odpowiedzi zajęczał jakiś konający i on widać pragnął. Dreszcz mnie porwał, trząsłem się, i wreszcie gorączka dokonała resztę. Skulony u stóp zgruchotanego dębu zasnąłem.

Roman Dallmayer „Moje wspomnienia z powstania 1863 – 1864 roku”

I. OBÓZ, MARSZ PIERWSZY I DRUGI, POŁĄCZENIE SIĘ Z **CZERWIŃSKIM**. **KRASNOBRÓD**.

...W nocy z 11 na 12 maja już była garstka ochotników zebrana w lesie koło **Rybnicy**, w miejscu gdzie rzeka **Tanew** stanowi granicę między zaborem austriackim a moskiewskim. Broni nie mieli żadnej prócz dwóch rewolwerów i krucicy – i tak przebyli noc całą, dzień następny i znowu noc z 12 go na 13go w lesie bez broni, w ciągłej obawie ataku ze strony moskali. Przez ten dzień zaczęło się już więcej zbierać, tak że gdy w środę 13go przybyłem do obozu w oddziale więcej niż stu ludzi liczącym, zastałem już w obozie 150 ludzi i nad wszelkie spodziewanie pułkownika **Lelewela** o którym mówiono w obozie, że ma objąć dowództwo, a **Zapałowicz** miał być podkomendnym. Czy istotnie był taki zamiar – nie wiem.

Pierwsze słowa jakie usłyszałem z ust Lelewela były „a pamiętać tam, aby nowoprzybyli jeść dostali bo muszą być zmęczeni i głodni”.

Kazano nam trzymać się razem, odpocząć i pożywić się, a dopiero po tym miano nas porozdzielać między kompanie, których zarodki były już potworzone.

Gdyśmy trochę spoczęli i pożywili się porozdzielano nas między kompanie, a z tych, którym najbardziej inteligencja i odwaga z oczu patrzyły utworzono oddział wyborowy zwany gwardią do którego i ja miałem zaszczyt być przyłączonym...

Pod wieczór znalazło się kilka sztuk broni zakopanej i do niczego nie zdatnej, byliśmy więc w położeniu nie najprzyjemniejszym, bo trzeba było prawie bezbronnie nocować na terytorium, na którym mógł nas lada chwila nieprzyjaciel atakować. Pułkownik pod najsurowszą karą nakazał milczenie – było więc w obozie cicho jak mak siał; zdawało nam się w tej ciszy, że słyszymy daleki huk dział... tymczasem były to grzmoty.

W nocy wystrzeliła wedeta – zerwaliśmy się zaraz i stanęliśmy niby pod bronią t.j. do szeregu, baliśmy się, żeby nas bezbronnych nie zaatakowano, tymczasem był to alarm fałszywy; wedeta strzeliła ponoć do konia i skończyło się na alarmie.

Drugiego dnia rozpoczął się ogromny ruch w obozie. Ludzi coraz więcej przybywało, zaczęto zwozić amunicję, pakować ją do juk, rozdawać ludziom; przysłała wreszcie i broń karabiny i sztucce belgijskie z siecznymi bagnetami, wszystkie jednego kalibru, broń śliczna, która nie pozostawiała nic do życzenia. Co też to był za gwar i ruch! Tu nowo przybyłych witają, namawiają do których kompanii mają się zapisać, tu znajomi i krewni wyszukują się wzajemnie, tu na wielkiej kupie broń złożoną pułkownik rozdaje, a każdy odebrawszy zaczyna ją zaraz czyścić, tu rusznikarz naprawia co się zepsuło – tu znowu rozdają kokardy i kogucie piórka do czapek, tam ładownice pochwy na bagnety, pasy czapki, obuwie, tam major Zapałowicz siedzi przy amunicji, która zawsze brał w szczególną opiekę i rozdaje ją cisnącym się dookoła ludziom – tam znowu kompania staje w szeregu, a kapitan robi przegląd – jednym słowem gwar, chaos, krzyk nie do opisania. Około południa wszystko było gotowe.

Zszedłszy z warty, którą miałem przy amunicji, a była to moja pierwsza służba w tym obozie, wyczyściłem sobie jako tako moją broń i spoczywałem pod drzewem...

Wtem zaalarmowano nas znowu, stanęliśmy pod bronią, byłem pewny, że będzie bój – ale skończyło się na niczym.

Kilkadziesiąt kroków za laskiem, w którym był obóz, jest rzeka **Tanew** tworząca tu granicę. Tam przybyło właśnie w czasie alarmu kilka pań i kilku mężczyzn chcących jeszcze raz oglądać krewnych i znajomych i pożegnać na drogę śmierci. Pobiegliśmy nad brzeg rzeki w nadziei, że pozwolą paniom, przynajmniej na chwilę przejść granicę, oglądać obóz, pożegnać synów i braci. Ale oficer austriacki, który stał po drugiej stronie z żołnierzami, był tak skrupulatny w pełnieniu służby, że nie tylko przejść rzekę, ale i na samym brzegu stać paniom nie pozwolił. Przemawialiśmy jak mogliśmy do jego grzeczności – nic nie pomogło – musieliśmy przez rzekę rozmawiać i przez rzekę otrzymać błogosławieństwo matek i siostr.

Trwała ta rozmowa z godzinę - w końcu trzeba się było żegnać; łzy były w oczach wszystkich; u nich łzy żalu – u nas największego szczęścia.

Gdy goście nasi wracali idąc jednym brzegiem rzeki, myśmy szli drugim chórem śpiewając „ Jeszcze Polska nie zginęła „ – i znaną we wszystkich obozach pieśń „ Co to za gwar? „,„,

Zaraz po odjeździe naszych gości, kazano wszystkim stanąć pod bronią tuż pod samym laskiem i być gotowymi do marszu. Było to około godziny drugiej z południa. Ale jeszcze nie wszystko było gotowe, złożyliśmy więc broń w kozły i spoczywali przy niej. Dopiero koło godziny szóstej można było wyruszyć. Gdyśmy wszyscy stanęli szeregiem pod bronią, dopiero mogłem zobaczyć ilu nas jest. Była gwardia, kompania ze wszystkich najpiękniejsza, uzbrojona w sztucce z siecznymi bagnetami – około stu ludzi pod kapitanem K. (**Kniaziołuckim**) Dalej były trzy kompanie liniowe pod kapitanami B (**Bilińskim**), U (**Ubyszem**) i Tr. (**Tryłowskim**), oddział jazdy około 40 ludzi na dobrych koniach, pięknie uzbrojonej pod dzielnym rotmistrzem R. (**Roztworowskim**), a na koniec nędzna kompania saperów, czyli jakęśmy ich nazywali sapinierów pod kapitanem L. (**Longchamps'em**), która była całkiem do niczego, zawada oddziału, nasienie tchórzostwa.

Było nas razem 400 ludzi doskonale uzbrojonych i zaopatrzonych po większej części inteligencji, pod wodzami dobrymi, bo **Lelewel** dał już tyle dowodów swych partyzanckich zdolności, a **Zapałowicz** mający wiadomości teoretyczne wzniecał nadzieje, że prowadzi dobrze...

W największym milczeniu i szybkim krokiem postępowaliśmy naprzód.. wprost ku zachodowi w lasy leżące między **Krzyżakami**, **Zamczyskiem** i **Hamernią**.... Las wydawał się jakby jakaś olbrzymia świątynia słupami niezliczonymi wsparta, tu i ówdzie migały się w ciemnościach światła latarek, cisza była w oddziale, tylko od czasu do czasu dał się słyszeć głos przewodnika lub wodza, tętent konia klusującego pod adiutantem z rozkazami rozsyłanymi, albo gdzieś puchacz z sosny się zerwał...

W tym pięknym czystym lesie postanowiono nocować. W ciemności powstał nieład nie do opisania, szczególnie gwardia , którą przeznaczono do służby fort pocztowej na tę noc, nie mogła się jakoś pozbierać. Byliśmy bardzo pomęczeni, szczególnie tym, że w marszu byliśmy w ariergardzie dość od oddziału oddalonej i musieliśmy dlatego nieraz krok znacznie przyspieszać. Gdy więc nas przeznaczono na służbę nocną, zaczęliśmy niektórzy narzekać i poszedł ktoś nawet do pułkownika, żeby mu

przedstawić, że jedna kompania dwie służby pełni jedną po drugiej, na co Lelewel odparł: „a na kogóż ja się spuszczę jeżeli nie na gwardię?” Gdy nam to powiedziano, bardzośmy wzrosli w własnym przekonaniu i z ochotą i z ochotą pełnili ciężką służbę...

Noc przeszła bez alarmu, raz tylko strzeliła wedeta za uciekającym dezterterem, który czuł jakiś niepohamowany pociąg do granicy galicyjskiej i jakeśmy się potem dowiedzieli miał się zjawić w jakiejś wsi nadgranicznej w Galicji z lekka raną w plecach i prawil o rozbiciu oddziału naszego.

Drugi nasz marsz był daleko mniejszy od pierwszego. Uszliśmy ledwo milę i stanęli obozem... staliśmy cały dzień. Nasza gwardia miała tu musztrę, na której nas obeznano z głównymi zasadami tyralierki.

Wróciwszy z musztry do obozu dowiedzieliśmy się bardzo ważnej rzeczy, że obok nas w lesie stoi oddział **Czerwińskiego**, utworzony z mieszkańców Lubelskiego liczący do 600 ludzi; i rzeczywiście ujrzelśmy koło sztabu kręcących się kilku konnych z tego oddziału, którzy byli umundurowani w kolor tego województwa t.j. czarno i żółto (tak jak barwy austriackie przyp. autora). Na Galicjanach kolor ten oryginalne zrobił wrażenia, chociaż przyznać muszę, że to wcale ładnie wyglądało.

Gdy się wodzowie między sobą porozumieli, postanowiono połączyć się i iść razem dalej. To połączenie się nasze z **Czerwińskim** bardzo nam zaszkodziło, bo Moskale, którzy byliby musieli siły swe rozłączyć gdyby mieli przeciw sobie dwa oddziały osobno operujące, skupili teraz wszystkie siły w jeden punkt, a **Czerwiński**, jak to później zobaczymy prawie zupełnie się nie bił.

Wyruszyliśmy więc z tego drugiego obozu i dążyli lasami w kierunku północno wschodnim ku **Krasnobrodowi**. Uszedłszy z wiorstę drogi, zobaczyliśmy w lesie oddział cały **Czerwińskiego**, uszykowany i gotów do wymarszu. Jaka była jego siła liczebna, trudno oznaczyć. W przybliżeniu licząc było kosynierów stu kilkudziesięciu, konnych do dwudziestu, lichu uzbrojonych strzelców więcej jak dwustu i dwustu bezbronnych, których najnielogicznie nazywano bezbronną rezerwą. Jabym to nazwał nasieniem uciekinierów, bo trudno żądać by człowiek bezbronny, szczególnie z mniej wykształconych dotrzymał placu.

Było więc nas, po połączeniu się z **Czerwińskim** około 1000 ludzi. Ślicznie wyglądał oddział gdyśmy z lasu wyszli na dużą łąkę. Mgła poranna podnosiła się dopiero z nad łąki a w mgle tej błyszczały do słońca nasze sieczne bagnety i kosy na długich drzewcach usadzone. Po kompaniach rozległy się śpiewy. Jedni śpiewali „Boże coś Polskę...” inni „Jeszcze Polska nie zginęła...” Lub „Co to za gwar...”, gwardia zaś próbowała znaną już pieśń drogiej a świętej pamięci **Mieczysława Romanowskiego**: „W górę serca – świat się pali...”

Forsownym marszem zaszliśmy tego samego dnia samymi prawie lasami do **Krasnobrodu**... Przed **Krasnobrodem** mówiono nam o zbliżaniu się Moskali, już niektórzy zaczęli się przygotowywać i broń opatrywać, porozsyłano patrole, szperaczów, rekonesanse, ale pokazało się, że Moskali nie było. I tak zaszliśmy spokojnie do miasteczka, które nam się całkiem nagle i niespodziewanie ukazało u stóp góry lasem okrytej przez którą żeśmy przechodzili... Stanęliśmy tam na rynku nie w kwaterach i nie pozwolono nam porozchodzić się, a co najgorsza nie dano nam żywności kazano się samym o nią starać. Wskutek tego nie jedno nadużycie się stało, ale oficerowie je jakoś załagodzili. Tu opuścił nas Lelewel

– udawał się bowiem do innego właśnie tworzącego się oddziału. Wyznam szczerze, że odjazd jego zle na mnie zrobił wrażenie. Kto właściwie był wodzem po jego odjeździe, **Zapałowicz** czy **Czerwiński** – trudno powiedzieć. To nieokreślenie stosunku dwóch wodzów stało się przyczyną niejednego złego, a może i samej klęski naszej.

II. NOCLEG ZA **KRASNOBRODEM. TARNAWATKA. DZIERAŻNIA.**

Po odjeździe **Lelewela** wyszliśmy z **Krasnobrodu**. Pamiętam jak dzisiaj piękny kościół i klasztor OO. Dominikanów... Siwy Dominikanin wyszedł i ze łza w oku z daleka nas błogosławił...

Pół mili, a może i więcej za **Krasnobrodem** stanęliśmy nad wieczorem w lasu sosnowym... Gwardię przeznaczono na fortpocztę... służba tej nocy była bardzo ciężka. Stałem na wedecie dwa razy po dwie godziny, kilka razy chodziłem z patrolem, tak że ledwie dwie godziny przez tą noc spałem i to nie jednym ciągiem.. musieliśmy z patrolami po bardzo wielkich piaskach chodzić, co nas bardzo męczyło... stałem nad ranem na wedecie przy dworcu leśniczego pod parkanem dość niskim... Leśniczyna mieszkająca w domku... wysłała mi przez córkę szklankę herbaty i chleb z masłem... piłem tą herbatę, a wierząc mi salonowi panowie, że wam nigdy w najmielszym towarzystwie, na najmniejszej sofce doskonała herbata nie smakuje, tak jak mnie smakowało to słabe naśladowanie herbaty, w tak nie wygodnej pozycji wypite; tak samo jak słonina na patyczku nad ogniem usmażona z suchym czarnym chlebie lepiej w obozie smakuje, niż najlepsze pieczyście przy nakrytym stole.

Gdy stałem na wedecie nadjechał na furce jakiś ksiądz młodzieńki. Zatrzymałem furę a on z niej wyskoczył i znając się już zapewne na forpocztowych przepisach, nie zbliżał się do mnie tylko czekał koło fury i mówił, że się chce z wodzem widzieć. Zawolałem na patrol – tymczasem nadjechał na bryczce mjr **Zapałowicz** z adiutantem i rozmówił się z księdzem. Chwilę tylko widziałem tego młodego kapłana, ale obraz jego nigdy mi z oczu nie zejdział. Dowiedziałem się później, że był to ksiądz **Wiśniowski** z **Gródka** pod **Tomaszowem**. Zabrali go później Moskale niegodziwi do **Zamościa** na fortecę.

Gdy zszedłem z wedety, ledwie miałem czas zwinąć płaszcz w który byłem w nocy odziany i stanąć do szeregu. Cały oddział ustawił się w lesie w porządku. Główną kolumnę tworzyły cztery kompanie strzelców ustawione jedna po drugiej. Naprzód gwardia potem 1sza, 2 ga, 3 cia kompania. Na prawo stała jazda nasza dzielna, na lewo prostopadle do linii frontu kolumny, kompania saperów powszechnym śmiechem przyjmowana, ilekroć się zjawiała, prowadzona przez swego kapitana L. (**Longchamps'a**), Śmiesznie bo też ona wyglądała! Obdarta, w nieładzie, ludziom jej z oczu patrzyło tchórzostwo, a krzykliwy jej kapitan płażował bez końca i nic nie mógł wypłażować.

Przed front wystąpił na koniu major **Zapałowicz** obok niego adiutant, trochę za nim płatnik, komisarz wojenny i komisarz furgonów. Obok stał o kilkanaście kroków **Czerwiński** ze sztabem i przypatrywał się uroczystej scenie przysięgi.

Tu **Zapałowicz** popełnił pierwszy niefortunny krok. Miał do nas przemowę. Z początku przedstawił

nam do czego idziemy, że niema przed nami innej drogi, tylko śmierć albo zwycięstwo; przedstawił nam jak myśli utrzymywać karność, jak będzie przekroczenia karał, a w końcu powiedział:

- Kto myśli w boju o krok się cofnąć- kto nie jest przygotowany walczyć do ostatniej kropli krwi – ten niech wystąpi z szeregu, odda co a narodowego i wraca do domu.

Głuche milczenie było najwymowniejszą odpowiedzią na to wezwanie. Póty bardzo dobrze, ale to co powiedział, potem sprawiło, że stracił zaufanie przynajmniej w połowie oddziału, a i ja przyznam się szczerze, od tej chwili straciłem wiarę w jego głowę.

- Wiem – mówił dalej – że niejeden się jeszcze znajdzie, który w bitwie zechce umykać, Dlatego wybrałem sobie najdzielniejszych chłopców, po wielkiej części moich znajomych. Utworzyłem z nich kompanię zwaną gwardią; ta będzie w bitwie tworzyć rezerwę, i stojąc z tyłu będzie strzelała do uciekających.

Usłyszawszy te słowa, stałem jakby mi kto w twarz dał – byłbym dał dziesięć lat życia za to żeby się te słowa wróciły – za późno! Tak całemu oddziałowi z wyjątkiem jednej kompanii dać policzek, tak napiętnować już naprzód ludzi dzielnych i pragnących walczyć cechą uciekinierów, znaczyło popełnić krok najniepolityczniejszy w świecie, oburzyć na siebie część jedną, a w głębiej myślących zachwiać wiarę w zdolności wodza, i rzucić ziarno niezgody między kompanie. Śmiało i słusznie mogły tamte kompanie powiedzieć: „skąd przychodzą oni do tego; jeżeli jeszcze w żadnym ogniu nie udowodnili że są godni tego wyszczególnienia? Nie trudno im będzie stojąc za linią bojową udawać bohaterów i strzelać do uciekinierów?” Zrobiło to na mnie tak przykre wrażenie, że już miałem na myśli wystąpić przed fronty i powiedzieć: „proszę panie majorze pozwolić mi z kompanii, która ma stać za linią bojową, przejść do tych, którzy się bić będą”, ale namyśliłem się, że może się major bardzo rozgniewać, że szeregowy jakoby go napominał, może mnie kazać rozstrzelać, na cóż mam marnie zginąć? I dałem spokój.

Po tej nieszczęsnej przemowie, wykonaliśmy uroczyste i z wielkim przejęciem przysięgę, przez Rząd narodowy przepisaną, w której obiecywaliśmy walczyć do ostatniej kropli krwi. Adiutant ją z konia czytał, a myśmy za nim słowo za słowem powtarzali, wzniosłszy dwa palce w górę. Po przysiędze nastąpiły okrzyki: „Niech żyje ojczyzna! Niech żyje nasz wódz!”. Na koniec wzniosł adiutant wiwat na cześć koroniarzy i ich wodza **Czerwińskiego**, co dało powód do komicznej sceny: po naszym trzykrotnym okrzyku, przemówił z konia **Czerwiński**, podziękował nam i rzekł w końcu, że do czterech tygodni (nawet nie miesięcy) nie będzie ani jednego Moskala w Polsce, bo się kryją przed nami w fortcach i uciekają; na co sapery wzniesli ogromny wiwat! Powstał śmiech powszechny w oddziale, że sapery cieszą się tym, że Moskale uciekają, bo nie będą potrzebowali iść w ogień.

Po tej uroczystości wyruszyliśmy dalej w kierunku wschodnim ku **Tarnawatce**. Widocznie chciał **Zapałowicz** dojść prędko w Hrubieszowskie, bośmy robili szybkie i forsowne marsze w kierunku wschodnim.

Marsz ten był ogromnie nużący. Szliśmy w głębokim piasku, słońce doskwierało bardzo, wodę mało kto miał, bo oficerowie nie uważali na to, żeby jeden miał wodę a drugi wódkę w manierce. Bardzo

więc nam dokuczało pragnienie, znużenie, a potem głód.

Był przy naszym oddziale pies historyczny zwany Pluton. Razem z panem swoim wyszedł z Warszawy w końcu stycznia z **Lelewel**. Gdy pan jego zginął w potyczce i kozak chciał go obdzierać, wierne psisko rzuciło się na kozaka i porwawszy go zębami za gardło zadusiło. Potem został się ten pies przy Lelewelu, trzymał się oddziału i został już z nami. Gdyśmy wtedy tak znużeni ogromnie, maszerowali w piaskach, była po lewej ręce drogi dość duża bajura z wodą. Wlaź w nią pocziwy Pluton tak głęboko, że tylko łeb jego, piękny, czarny wystawał z wody, z wyrazem widocznego zadowolenia. Tak szczęśliwym wydał się nam w tej chwili ten pies kąpiący się w bagnie, i pijący zeń wodę, że prawie równocześnie kilku zawołało:

Jakże zazdroścę Plutonowi!

Wkrótce nie mieliśmy przyczyn zazdrościć mu, bośmy się z nim razem w niewielkim stawku kąpali. Było to przed *Tarnawką*. Część oddziału stała pod bronią, a druga się kąpała i zluźniała ją potem. Oryginalnie było widzieć do dwustu ludzi razem się kąpiących w stawku niewielkim. Kąpiel ta jak była na chwilę bardzo miła, tak potem okazała się niepraktyczną, bo jeszcze bardziej byliśmy po niej zmęczeni i senni...

Tarnawka, własność **Włodzimierza Dzieduszyckiego**, jest miejscem bardzo ładnym, położonym nad gościńcem z **Zamościa** do **Tomaszowa** prowadzącym. Ma ona sławnie piękne lasy...

Przed *Tarnawką* złapał nas deszcz bardzo rzęsy. Stanęliśmy w wiosce na gościńcu, rozstawiono pikietę i wkrótce spełniły się moje życzenia, bo położywszy pod siebie wskroś przemoknięty płaszcz a pod głowę ceratowa torbę, która mi służyła razem za tornister i torbę na żywność, usnąłem snem błogosławionych w rowie...

Gdy się po dobrej godzinie snu obudziłem i napiłem trochę mleka, które mi któryś z kochanych kolegów kupił dowiedziałem się, że złapano na drodze do **Zamościa** żyda **Goldusa** szpiega moskiewskiego, sprawcę rzezi tomaszowskiej, właśnie gdy jechał po medal i 250 r. nagrody. Stawiono przed sąd i skazano na śmierć. Wyrok wykonano w chwili gdyśmy mieli wyruszać. Gdy go kosynierzy (dzielni do wieszania) prowadzili na miejsce stracenia, a było to w miejscu, gdzie się dwie drogi krzyżują, zaczął z początku rezonować przeciwko Polakom, ale gdy dostał dobrze od kosynierów drzewcem od kos, zmienił ton, i zaczął nam ślubować miłość, wierność i posłuszeństwo aż do śmierci. Ale nic mu to nie pomogło. Nastąpiło odczytanie wyroku.

A był tam w naszym oddziale **Feliks Czerkowski** wachmistrzem przy konnicy, ogromny jak dąb, silny, z wąsem, którego by się największy bohater przestraszył; zginął on potem biedny pod *Radziwiłowem* w obozie **Horodyńskiego** jako kosynier, przeszyty dwoma kulami, właśnie w chwili gdy z największą dzielnością wdarł się na rynek *Radziwiłowa* i kosą ściągnął z konia majora moskiewskiego. Otóż ten typ marsowego szlachcica, napisawszy na kartce dużymi literami: „**Goldus** szpieg moskiewski, powieszony za karę dnia 18 maja 1863. Tak giną zdrajcy”; przypinał mu do koszuli tę kartkę. Był to obrazek oryginalny, jak mało: żydek mały, nędzny, trzęsący się ze strachu, a przy nim żołnierz, ogromny, pleczysty, z wąsem ruszającym się od gniewu i ogromnym kogucim

piórem na czapce. Biedny **Goldus** umierał na sam widok tych wąsów.

Powieszono go w końcu, ale i w tym nawet mu się tego dnia nie powiodło. Strach jak to mówią w nogi lezie – musiał więc ten strach być bardzo ciężki, bo się **Goldus** urwał prawie jeszcze żywy, i musiano go po raz drugi powiesić.

Cała ta operacja była dla mnie bardzo nieprzyjemnym widokiem, pomimo że uznawałem całą konieczność takiego doraźnego z nim postępowania. Ale gdyśmy potem maszerowali koło wiszącego na topoli trupa, postać wisielca obrzydliwa wbiła mi się w pamięć doskonale, i stanowiła niemiłą stronę wspomnień z tej pięknej naszej wyprawy.

Z **Tarnawatki** ruszyliśmy dalej na wschód ku **Dzierżni**, drogami polnymi i leśnymi. Marsz ten był jeden z najprzyjemniejszych. Po deszczu ochłodziło znacznie skwarne powietrze, znikł proch z drogi, droga leśna była bardzo piękna. a wesołość panowała powszechna w oddziale z powodu, że zdrajca słuszną poniósł karę. Wzrosła ona jeszcze, gdy zaczęto nam przebąkiwać o zbliżaniu się ku nam Moskali. Bój będzie! Bój będzie! To było treścią naszych myśli i rozmów w drodze. Jedni śpiewali, drudzy żartami robili testamenty na wypadek śmierci; jeden drugiemu zapisywał rewolwer, drugi manierkę, inny wódkę albo piękna kokardę, inny narzeczoną, która gdzieś daleko w tej chwili za swym kochanym płakała. Dziwna wesołość przed śmiercią – dziwne jej lekceważenie.

Tak więc wesoło śpiewając, dążyliśmy do **Dzierżni**. Śliczne to miejsce! Na pochyłości pagórka wśród sadów gęstych z dala jak las wyglądających, rozrzucona leży wioska, dwór, dom księdza, a na końcu wsi na szczycie wzgórza cerkiew ocieniona drzewami. Pod pagórką płynie rzeka, a nad nią młyn murowany czerwony z cegieł, wydający się z daleka jakby baszta jakiego starego zamczyska. Było też to miejsce z tej strony bardzo obronne, a i z drugiej strony na wzgórzu obrona łatwa, bo za chatami i dworem była długa ulica lipowa, której jedna strona przypierająca do wsi, była jakby laskiem lipowym, doskonała pozycja dla strzelców.

Gdyśmy wchodzili na wzgórze, wyszło z chat dość ludu, przypatrywali nam się chciwie, witali życzyli szczęścia, a kobiety wynosiły mleko ser i inne jadalno. W ogóle o usposobieniu ludu w Lubelskiem muszę przyznać, że było ono daleko lepsze w maju niż w marcu, gdy był tam **Czechowski**. Wtedy chłopci prawie wszędzie uciekali przed nami, teraz zaś wychodzili do nas i częstowali nie chcąc za to przyjmować pieniędzy.

W tym niby lasku lipowym stanął oddział **Zapałowicza** na noc, a przed nami na czystym polu **Czerwiński**. Na noc dano nam trochę chleba i słoniny, a nad ranem zjawiała się grzana kapusta. Oficerowie pili herbatę we dworze; a ja choć nie oficer, tylko prosty szeregowiec, znalazłem sobie dom księdza ruskiego, który był właśnie wtedy we dworze i zaprosiłem się do niejmości i jejmościanek na herbatę. Dwie szklanki herbaty z winem, chleb z masłem i twarde jaja zrestaurowały mnie znakomicie, a towarzystwo kobiet, w którym musiałem wyglądać jak jaki dziki antropofaga, połykający całe kromki w jednej chwili, przypominało mi życie domowe, czasy jak sądziłem niepowrotne.

Wróciwszy do obozu, przespałem się pod lipą; a spałem przez całą noc tak serdecznie, że nawet nie słyszał jak przybył **Leszek Wiśniowski** ze swoim oddziałem 150 strzelców i dopiero przebudziwszy się

nad ranem, dowiedziałem się o tym.

Wiśniowski wkroczył pierwotnie na Wołyń; ale widząc, że niema tam co robić, przebył **Bug** i przybył po forsownym marszu do **Dzierżni**, gdzie się z nami połączył. Jaki stosunek stanął między nim a **Zapałowiczem**, nie wiem; posłyszawszy jednak, jak przed pierwszą potyczką adiutant **Zapałowicza** dawał rozkazy jego kompanii, wniosłem stąd, że się poddał **Zapałowiczowi**.

Po połączeniu się z Leszkiem, wynosił nasz oddział zbrojnych ludzi do tysiąca, nie licząc w to ową sławną bezbronną rezerwę **Czerwińskiego** z dwustu ludzi złożoną. – Ruszyliśmy stąd dalej w kierunku wschodnim ku **Tyszowcom**, gdzie pierwsza potyczka nie tak poprowadzona, jak ją można było dobrze poprowadzić, była niejako przygotowaniem naszego zwycięstwa i upadku.

III. MARSZ Z **DZIERŻNI** KU **TYSZOWCOM**. TYSZOWCE. POTYCZKA. - NOCLEG

Raniutko o wschodzie słońca wyruszyliśmy z **Dzierżni**. Był to poniedziałek, 18-go maja. Oddział **Wiśniowskiego** zmęczony forsownym marszem dostał podwody i na podwodach za nami jechał. Gwardia ciężką służbę miała w awangardzie. Flankiery nasi szli z obu boków. Przez góry, rowy, błota, płoty nie mogąc tego wszystkiego ominąć. Doszliśmy tak do **Wozuczyna**. W **Wozuczynie** zobaczywszy stojące przed kuźnią toczydło, prosiliśmy majora, żeby nam pozwolił naostrzyć bagnety. Major pozwolił; poczęto więc ostrzyć, ale ja nie skorzystałem z tego, bo trzecia sekcja gwardii, w której to sekcji i ja byłem, została wysłaną na flankiery i podczas ostrzenia musieliśmy stać w naszej pozycji i czuwać żeby nieprzyjaciel nieprzygotowanych nie napadł.

Po wyostrzeniu bagnetów ruszyliśmy dalej ku **Czartowczykowi**, wiosce małej milę od **Tyszowiec** oddległej. Od **Wozuczyna** aż do **Czartowczyka** szedłem ciągle między flankierami. Słońce dopiekało serdecznie, a trzeba było iść po grudzie albo przez zboże, skakać przez rowy płoty, iść pagórkami, co mię porządnie zmęczyło. Gdyśmy przyszli do **Czartowczyka**, oddział stanął na drodze. Korzystając z tego weszliśmy do dworu i prosili dla nas kilku flankierów o kwaśne mleko. Gdyśmy w najlepsze zajadali, słyszemy strzały, jeden – drugi – trzeci, zaczęliśmy się więc ściągać do oddziału.

Sądziliśmy, że to nieprzyjaciel idzie; ale wcale inną była przyczyna tych wystrzałów.

W marszu szedł naprzód oddział **Zapałowicza**, a za nami **Czerwiński**. Właśnie wtedy gdyśmy pod Czartowczykiem stanęli, padły strzały w kierunku oddziału **Czerwińskiego**, od któregośmy się oddalili. Przechodził on koło studni i stanął. Kosyniery zobaczywszy wodę, przy tak wielkim pragnieniu opuścili szeregi i pobiegli do wody. Rzecz godna skarcenia, ale nie w sposób tak niepolityczny, jak się to stało.

Rzucili się bowiem za dążącymi do wody kosynierami ich oficerowie, zaczęli bić w twarz, i zaprowadzili ich przed Czerwińskiego. Ten własnoręcznie z jednej i drugiej strony w twarz ich wybiwszy, kazał im jeszcze wyliczyć pewną liczbę kijów.

- A to tylko u Moskali tak bijom – odezwał się swoim akcentem Polesiuk, jeden z kosynierów przypatrujących się egzekucji.

- Rozstrzelać! – krzyknął w pasji **Czerwiński**.

Porwano biednego Polesiuka i rozstrzelano, go bez sądu.

Te trzy strzały słyszeliśmy. Na kosynierach, chłopach, którzy nie dobrowolnie ale rekrutowani dostali się do oddziału zrobiło to jak najgorsze wrażenie. Stracili ochotę, stracili ufność do **Czerwińskiego** i dlatego pod Tuczapami bagnetem musieliśmy ich pchać do ataku. **Czerwiński** pasjonat, tchórz jak się później pokazało, był całkiem niezdolny na wodza. Ani odwagi, ani znajomości rzeczy, ani polityki; czego najlepszym dowodem ten lekkomyślny postępek, to rozstrzelanie kosyniera, które się stało przyczyną zupełnego zdemoralizowania kosynierów.

Był to dzień nieszczęśliwy dla gwardii. Gdyśmy stali w **Czartowczyku**, major gdzieś zapodział pugilares. „Gwardia w tyralierce na łąkę, przez którą major przejeżdżał!” Musieliśmy się rozsypać w tyraliery i najmniej tysiąc kroków postępować naprzód szukając pugilaresu, w którym były papiery i pieniądze oddziału. Cały ten trud był daremny, pugilaresu nie znaleźliśmy, pokazało się, że go major miał przy sobie.

Ruszyliśmy stąd dalej ku **Tyszowcom**; pagórkami dość wysokimi prowadziła ta droga, a tylko przez mały kawałek był obok drogi las i cień. Przy skwarze południowego słońca umęczyliśmy się okropnie; tak że kolumna nasza szła w wielkim nieporządku, rozciągnięta i w wielu miejscach przerwana. Co by było, gdyby byli wtedy Moskale napadli nas niespodziewanie nie wiem – zdaje mi się, że przy umęczeniu wielkim, przy nieporządku jaki panował w szeregach, byłby powstał popłoch i klęska zupełna.

Szczęściem jednak dla nas, kolumna moskiewska z **Zamościa** nas ścigająca pod wodzą **Emanowa** nie była jeszcze tak blisko i dopiero wieczorem musieliśmy z nią bój stoczyć.

Około godziny 2-giej z południa stanęliśmy w **Tyszowcach**, Już przed nami przyszła tam nasza konnica i zamówiła dla nas miejsca.

Przed rynkiem jeszcze czekał na nas w drzwiach domu swego ktoś, ubrany po świątecznemu, co miał uroczystą przemowę do nas i do wodza, pokropił nas święconą wodą i pobłogosławił. Słów jego nie słyszałem bo byłem z gwardią znacznie oddalony od miejsca w którym się to działo, mówili mi jednak ci co stali bliżej księdza, że był bardzo wzruszony i pięknie przemawiał.

Trwało to z pół godziny, poczem weszliśmy do miasta i zajęli kwatery, każda sekcja w innym domu. Trzecia sekcja gwardii stała w sieni domu zajezdnego czyli karczmy, w której musiały się jeszcze pomieścić konie od furgonów. Można sobie wyobrazić jak tam było wygodnie.

Obiecano nam, że dostaniemy żywność, że mieszczanie **Tyszowiec** ofiarowali się wszystko dać, ale nadzieje te nie wyszły z zakresu marzeń, przynajmniej dla gwardii. Nie mogliśmy się doczekać obiecanej żywności, a w końcu gdy przyniesiono chleb i ser, zaalarmowano nas, stanęliśmy pod bronią, i jedzenie nasze przepadło,

Z bronią w rękę stanęliśmy, a właściwie leżeli na rynku pewnie do siódmej wieczorem; każdy z nas starał się tymczasem o to, żeby gdzieś co kupić do jedzenia, ale prócz kilku jaj i bułek nic nie było, Tym więc pożywialiśmy się.

Tymczasem starsi odbywali radę wojenną. Kto do niej należał, i jakie kto zdanie objawiał, nie wiem; to pewna, że rezultat tej narady był jak najgorszy.

Można było w trojaki sposób bitwę przeprowadzić: albo w mieście się bronić, zerwawszy most na rzece, dzielącej nas od Moskali, albo wyjść za miasto i zająć bardzo dogodną pozycję na pagórkach za miastem, jak chciał **Zapałowicz**, albo na koniec zająć pozycję w lesie, blisko pół mili od miasta odległym i tam się bronić. Za tym był **Czerwiński**, i to zdanie na nieszczęście przemogło.

W każdym razie trzeba było działać zaczepnie a nie odpornie. Gdzie siła o wiele większa tam partyzant musi się trzymać odpornie, gdzie siła równa, zaczepnie działać powinien. Działanie zaczepne stawia go zawsze wobec wroga w położeniu korzystniejszym, daje mu sposobność zdobycia broni, co jest największą korzyścią jaką partyzant odnieść może.

Z żołnierzem, który się tak dzielnie bił jak nasz oddział, można było śmiało Moskwę zaatakować, i zdobytą bronią uzbroić tę tak zwana bezbronna rezerwę **Czerwińskiego**.

Plan obrany był jak najgorszy. Las był od miasta oddalony więcej jak ćwierć mili, a Moskale z armatami tuż za nami. Gdyby byli się odważyli podczas naszego odwrotu do lasu napaść nas z boku, gdyby byli się z armatami trochę się pospieszyli i lepiej z nich strzelali mogli nam wielkie straty zadać. Tak się nam w prawdzie nie stało, strat nie ponieśliśmy, ale też nie odnieśliśmy korzyści, nie zdobyli broni, nie napędzili tej kolumny, nim się z drugą połączyła; a można to było zrobić, bo gdzie siła równa, tam Polak śmiało atakujący musi pobić Moskalą.

Gdy powzięto ten zamiar, zaraz adiutant majora zaczął rozwozić rozkazy;

- Oddział **Czerwińskiego** naprzód – potem druga i trzecia kompania **Zapałowicza**, gwardia, strzelcy **Wiśniowskiego**, - a w ariergardzie kompania pierwsza i druga kapitana **B(ielińskiego)**, ma zasłaniać odwrót!

Kwaśne miny porobiła na to gwardia. Sądziliśmy, że będziemy pierwsi w boju, a tu inna kompania ma się bić, ma nasz odwrót zasłaniać, a my jak tchórze do lasu.

Zaczął się więc ten odwrót; Jeszcze kapitan **B(ieliński)** ze swoją kompanią był w mieście, gdy pokazali się Moskale i zaczęli strzelać. Kazano więc saperom z furgonami co prędzej do lasu umykać. Pocieszenie to wyglądało, jak furgony w galopie pędziły do lasu, a z obu stron każdego wozu po kilku saperów, jedną ręką wozu się trzymających, równo z końmi goniło z wyrazem serdecznego strachu na twarzy.

Trwał ten odwrót dobre pół godziny, Ludzie **Czerwińskiego** weszli pierwsi w las, trochę spieszniej niż należało; myśmy szli wolno, a za nami słychać było gęstą pukaninę między Moskalami a kompania kapitana **B(ielińskiego)** w tyraliery rozsypaną, która się tak dzielnie trzymała, że jej i jej walecznemu kapitanowi za ten odwrót największe pochwały się należą. Walczyli jak starzy żołnierze.

Na resztę oddziału ten odwrót widocznie wywierał wpływ demoralizujący. Im dłużej to trwało, im bliżej było lasu, tym większy pośpiech, tym mniej porządku w szeregach. Gwardia szła jeszcze z najzimniejszą krwią i widoczne było, że starała się przed innymi odznaczyć odwagą. Co do mnie byłem zły niezmiernie. Bo też nic nieznośniejszego, jak mieć za sobą nieprzyjaciela i uchodzić, uchodzić nie przed przemocą, ale dlatego, że dowódcą nie chciało się zaczepnie działać. Szedłem więc

spokojnie, ponury, zły, z pewnym przeczuciem śmierci, którego przyczyny wytłumaczyć sobie nie mogę. Pod **Czechowskim** byłem prawie pewny, że wyjdę cało, w strasznym byłem ogniu i jakoś Bóg czuwał nade mną. Tutaj zaś byłem pewny, że zginę; to mnie tylko gniewało, że zginę w odwrocie a nie w ataku, z kula w plecach a nie w piersiach.

Już gwardia była nie bardzo daleko lasu, gdy Moskale wytoczyli na pagórki trzy działa i poczęli z nich strzelać. Oglądnąłem się za siebie. Pierwszy raz ujrzałem linię bojową cała w boju, całą przede mną rozciągniętą.

Środek zajęła moskiewska piechota, rozpuściwszy przed siebie tyralierów jak pajak swe długie i ruchome nogi. Na skrzydłach szła nieliczna konnica nieprzyjacielska, robiąc groźną minę, a obok jednej i z drugiej strony armaty, przy nich kręcący się artylerzyści; z rzadka zabłysnął nad nimi lont, przypadał do działa, huk – dym – i już granat dość daleko od nas leżał na ziemi i pękł.

Nasza kolumna ciągnęła się długa i tylko na jej końcu szeroko rozsypani tyralierzy z wolna ustępowali, strzelając ciągle.

Wreszcie weszliśmy w las – czekamy komendy – komendy niema. Idziemy dalej. Już tu i ówdzie zjawia się z boku kolumny w krzakach ktoś, co chciał, jak powiada poczciwy **Kromer**, „nogami zdrowiu poradzić,,

już pośpiech coraz widoczniejszy – i już stanęła mi przed oczami obawa rozsypki, która była wcale możliwą, gdy żadnej nie było komendy.

Nareszcie sami zaczęliśmy wołać: stać! Stanęła gwardia, stanęła obok niej pierwsza kompania pod kapitanem **U(byszem)** i cały oddział się zatrzymał. Ariergarda nasza już była lesie i część brzegu lasu obsadziła tyralierami. Myśmy stali w szeregach na drodze – a nad nami od czasu do czasu przelatywał rój kartaczy, niszcząc drzewa lasu. Zaczęliśmy wołać:

- Gdzie komenda? Gdzie major? kapitan?

Zjawia się w końcu kapitan.

- Kapitanie! Prawy brzeg lasu nie obsadzony, Moskale tam się wedrą, ustaw nas! – zaczęliśmy wołać na niego.

- Gwardia marsz!

I ruszyliśmy na brzeg lasu , na prawo drogi.

- W tyralierzy w lewo i na prawo rozsyp się!

- Trzecia sekcja w rezerwie! – była komenda; pierwsza, druga i czwarta poszły na brzeg lasu, trzecia w której ja byłem, została w rezerwie o 100 kroków za linią tyralierów.

Wprawdzie nie strzelaliśmy, ale braliśmy udział w bitwie tyle, że muzyka kartaczy i kulek karabinowych co chwila odzywała się nam nad głową lub koło uszu, to podobna przeraźliwemu świstowi, to znowu jakby wycie, albo dziwny jakiś szelest, gdy nam grad kartaczy nad głową przeleciał...

Moskalom zdawało się zapewne, że ich strzały armatnie zniszczą nas zupełnie; ale psuły one tylko drzewa. Nie zbliżył się nieprzyjaciół więcej jak na tysiąc kroków, raz dlatego, że były błota przed lasem, w których można mu było sprawić łaźnię, a po wtóre, że idąc czystym polem na nas w lesie ukrytych,

mógł znaczne ponieść straty. Zresztą już prawie całkiem ciemno było. Po pukaninie więc prawie godzinę trwającej zatrąbili Moskale do odwrotu, i odeszli zabrawszy ze sobą jak mówią kilkudziesięciu rannych i zabitych. U nas strata wynosiła dwanaście w rannych i zabitych.

Wracalem z naszego miejsca zły niezmiernie. Tak świetnie tu można było działać – można było zaczepić wroga i znaczną odnieść korzyść, a myśmy odbyli wcale niechwalebny odwrót do lasu, i żadnej nie odnieśli korzyści. Nieporządek wkraść się w szeregi. Wielu już było daleko w głębi lasu, jak cały oddział **Czerwińskiego**, byli i tacy co zadarłszy nogi próbowali uciekać, a teraz znachodzili się powoli.

Ledwie po jakimś czasie zebrał się oddział i ruszył dalej lasem. Stanęliśmy w jednym miejscu – gdy wtem **Zapałowicz** się spostrzegł, że amunicji nie ma. Chłopcy, którzy pilnowali koni juczych z amunicją, gdzieś z nimi uciekli i nie można było ich znaleźć.

- Jeżeli nie znajdzie się amunicja – zawołał **Zapałowicz** – wtedy nie mamy tu co robić! Gwardia szukać amunicji!

Dano nam trzy milowe świecek, jedną dla środka, dwie dla skrzydeł, i kazano rozsypać się w tyralierkę i iść tak na przełaj w las, szukając koni juczych.

Po nocy, w lesie, przy świetle trzech świeczek, które na tak obszerna linię nic nie znaczyły, musieliśmy iść na przełaj przez krzaki, którymiśmy sobie twarz i ręce podrapali; nie jeden upadł, nie jeden uderzył sobą w ciemności o drzewo. Nareszcie słyszę jakiś krzyk ogromny; patrzę co to takiego; a to my weszli na oddział **Czerwińskiego**, który rozstawiwszy bardzo blisko od siebie wedety, spał w lesie. Stojący na wedecie zobaczył nas dopiero w chwili, gdyśmy do niego byli może na dziesięć kroków – zaczął krzyczeć – Gwałtu! Moskale! – i omal że nie strzelano do nas.

Zobaczywszy, że trud nasz cały będzie bez pożytku, że trudno w takiej ciemności iść dalej i zobaczyć co, wróciliśmy do **Zapałowicza** z oznajmieniem, że amunicji nie ma.

Kwaśno bardzo przyjął tą wiadomość major. Pokładliśmy się na drodze do spoczynku, żeby się trochę przespać, a wreszcie i czekać czy się gdzie nie znajdzie ta nieszczęśliwa amunicja.

Dla gwardii, która rano miała służbę w awangardzie, potem zmęczyła się należycie tyralierką za pugilaresem, a po marszu i boju jeszcze odbyła męczącą wyprawę za amunicją, która od rana nic nie jadła prócz kilku jaj w **Tyszowcach**, spoczynek był bardzo pożądanym.

IV. MARSZ DO LASÓW TUCZAPSKICH. OBÓZ. BITWA.

Ledwie trochę szarzyć zaczęło, ruszyliśmy dalej. Był to marsz najnieznośniejszy w świecie. Wprawdzieśmy trochę odpoczęli, ale głód i pragnienie dokuczały nam okropnie. Z początku byliśmy w zupełnej niepewności co do tego co się z nami stanie, bo amunicji nie było. Nareszcie koło szóstej może godziny, znalazły się ku wielkiej naszej pociesze konie z amunicją, prowadzone przez chłopców wyblądłych i trzęsących się ze strachu.

Szliśmy dalej bardzo powolnym krokiem i z częstymi, dość długimi przystankami ku lasom tuczapskim,

gdzieśmy przybyli koło godziny dziewiątej z rana. Stanęliśmy obozem w lesie położonym między *Tuczapami, Mołozowem, Starą Wsią, Miętkiem*.

Tu przybył tylko jeden oddział **Zapałowicza - Czerwińskiego** został w lesie na północ położonym od tego, w którym myśmy byli. Wiśniowski zaś odszedł ze swoim oddziałem zaraz po bitwie pierwszej; opuścił nas bez rozkazu **Zapałowicza**, któremu się poddał, i poszedł wprost ku granicy Galicji, mówiąc, że nie chce swoich ludzi na rzeź narażać.

W tym, że **Czerwiński** w tamtym lesie został, był widocznie plan ten, ażeby Moskali, gdyby od *Tyszowiec* nadeszli, zejść z tyłu, i wziąć ich w dwa ognie. Zobaczymy później jak **Czerwiński** plan ten wykonał, a właściwie powiedziawszy nie wykonał.

Gdyśmy przyszli do lasu, oddział cały stanął obozem na drodze przecinającej las; gwardia zaś została przeznaczoną do służby forpocztowej.

Nad drogą ustawiono Grande – garde czyli straż główna – a naokoło w czterech punktach placówki, które rozstawiły znowu wedety. Muszę przyznać, że tym razem służba for pocztowa porządnie była pełnioną. Trzecia sekcja gwardii miała placówkę niedaleko drogi do *Mołozowa* prowadzącej, i rozstawiła wzdłuż brzegu lasu cztery wedety

Dokuczał nam wielki głód i pragnienie. Leżeliśmy w lesie na placówce, dowiadując się ciągle, czy nie ma jakiej żywności, czy nie ma wody. Ale widać, że gwardia, która najbardziej pełniła służbę, przeznaczona była na to, żeby cierpieć największy niedostatek. Przywieziono do obozu beczkę piwa, myśmy nic z niej nie dostali.

Posyłamy nareszcie jednego z naszych, żeby nam koniecznie z obozu coś przyniósł. On wraca i przynosi pewnie nie więcej jak pół kwarty mleka. Musieliśmy to podzielić na osiemnastu, żeby więc jeden drugiego nie skrzywdził, obdzieliliśmy się tym mlekiem za pomocą kieliszka od manierki, tak, że każdy dostał trochę więcej jak pół kieliszka. Komicznie to wyglądało jak każdy tę odrobinę po kropelce wypijał, żeby się tym dłużej delectować, a był tak głodny i spragniony, że gdyby mu dać garniec, byłby do ostatniej kropli jednym tchem wypił. Dopiero gdy tak biedno było koło nas, żeśmy kieliszkami pili mleka, dopiero wtedy poznał każdy z nas całą wartość koleżeństwa obozowego, jakiemu równego nigdzie nie znajdziesz...

Po mleku dostaliśmy ćwierć konewki wody. Żeby się nie skrzywdzić, powtórzyliśmy znowu komiczną scenę rozdzielania wody, którą piliśmy czółenkami od manierek.

Przyszła nareszcie i na mnie kolej stanąć na wedecie. Postanowiono mię nad drogą do *Mołozowa* prowadzącą. Jako nie widzący dobrze, pożyczyłem sobie lunetę od kaprała, żeby nie prześlepić Moskali gdyby się zbliżali.

Przedemną była łąka może 1000 kroków szeroka, a za nią las okalający ten, w którym myśmy stali. Pod lasem wprost naprzeciw mnie była szopa, na lewo od niej wieś *Mołozów*, do której prowadziła droga, nad którą mnie postawiono.

Podczas, gdy stałem na wedecie, nadjechała z obozu fura z jednym rannym. Pytam się gdzie jadą, powiadają, że zawieziono rannych do *Mołozowa*, że tego jednego, który pozostał, wiozą tam także.

Uderzyło mnie to ogromnie, jak można wysyłać rannych przed front, w stronę, z której nieprzyjaciół jest spodziewany. Dowiedziałem się już potem we Lwowie, że rannych tych miano stamtąd natychmiast odesłać do Galicji, co trochę usprawiedliwia krok tak nierozważny.

Tymczasem uczyniono krok pierwszy do naszego upadku i niepowodzenia: **Czerwiński** opuścił nie wiedząc czemu stanowisko, w którym mógł tak korzystnie działać i zajął prawą stronę lasu, którego lewa my trzymali.

Gdy się zbliżała chwila, w której miałem zejść z wedety – nadszedł kapitan **B(iliński)** ze swoją kompanią, żeby ściągnąć wartę, i gwardię uwolnić od służby, przechodząc koło mnie powiedział, że mnie wkrótce zluzuje, co mnie bardzo ucieszyło. I rzeczywiście zostałem zwolniony od tej służby nie przez naszych ale przez Moskali.

Moskale na ten dzień przygotowali na nas atak skombinowany ze znacznymi siłami. **Emanow** połączył się z wojskiem idącym od **Tomaszowa**, a z trzeciej strony od **Hrubieszowa** na wieś **Miętkie**, miał nas napaść **Miednikow**. Szczęściem ten ostatni się spóźnił, tak że mieliśmy do czynienia z 4000 Moskali, z sześcioma działami. Szli oni na nas od **Tyszowiec** i **Tomaszowa**.

Tu pokazują się skutki tego odpornego naszego działania w dniu poprzednim pod **Tyszowcami**. Gdybyśmy byli zaczepnie działali. Można było znaczna korzyść odnieść, więcej ludzi zabić, zdobyć broń, jednym słowem osłabić i zdemoralizować kolumnę **Emanowa**, co się zaniedbało przez nasze odporne działanie.

Około godziny pierwszej a może i dwunastej, zaczęły się te dwie kolumny z lasów ku nam wychylać. Na prawo ode mnie padł strzał od wedety, toż samo na lewo. Ja stojący za krzakiem zacząłem się oglądać w stronę z której padły strzały, a mając krótki wzrok nie uważałem rotę piechoty moskiewskiej, która idąc prosto na mnie była może 500 kroków ode mnie oddalona. Nagle wpada do mnie kolega, co stał ode mnie na prawo i pokazuje mi Moskali. Wystrzeliłem natychmiast i nabijając broń, zacząłem się podług przepisów służby fortecznej ściągać do placówki. Ale omyliłem się w kierunku i zacząłem błędzić po lesie. Tu wedety na około dają ognia, a ja wołam na placówkę bez końca, i nie mogę się jej dowołać. Nareszcie szczęśliwie trafiłem na obóz i pokazano mi miejsce, gdzie się gwardia zaczęła zbierać.

Podczas gdy ja tak błąkam się po lesie daremnie szukając placówki, podczas gdy w obozie panował gwar i chaos nie do opisanego, scena okropna dzieła się w **Mołozowie**.

Jak już powiedziałem, odwieziono tam naszych rannych do dworu, żeby ich stamtąd wysłać do Galicji. Z nimi pojechał konno adiutant majora, żeby wydać rozkazy co do wywiezienia rannych i doktor oddziału, **Juwenal Niewiadomski** w celu opatrzenia tychże.

Gdy to się działo weszli Moskale do **Mołozowa**, i już kozacy byli nie daleko dworu, gdy ich spostrzegł adiutant i zawołał na doktora:

- Juwenalu! Ratuj się Moskale we wsi!

- Zaraz – odrzekł zacny lekarz – tylko jednego jeszcze zaopatrzę.

Adiutant wskoczywszy na konia uratował się szczęśliwie, mimo że kozacy za nim strzelali; ale doktor

został opadnięty przez kozaków, właśnie gdy kończył pełnić swój obowiązek i razem z rannymi okrutnie zamordowany.

Równocześnie z zamordowaniem rannych wytoczyli Moskale działa, wyprowadzili swą piechotę, a strzelców finlandzkich wysłali naprzód w tyraliery i rozpoczęli ogień armatni i karabinowy.

Podczas tego odszukałem już moją kompanię. Formowała się ona na drodze leśnej. Właśnie gdyśmy zaczęli się schodzić i dwójkami ustawiać, sypnęli Moskale kartaczami w las. Formowaliśmy się w ogniu ogromnym. Kule karabinowe, kartacze i granaty obsypywały nas, przelatywały bez ustanku nad głowami i obok nas, ale tak szczęśliwie, że podczas tego nikt z nas nie zginął.

Nie traciła gwardia zimnej krwi w tym ogniu i formowała się porządnie pod okiem majora i kapitana brzeg lasu od frontu t. j. od **Mozołowa** i **Tuczap**, był już prawie całkiem obsadzony przez naszych strzelców, tył zaś i skrajne prawe skrzydło miał obsadzić **Czerwiński**, czego nie uczynił.

Zapałowicz zaraz po rozlokowaniu kompanii popełnił ten błąd kardynalny, że gwardie rozdzielił i w czterech miejscach postawił. Robiąc to powinien przynajmniej wyznaczyć, który kapitan na każdym skrzydle komenderuje; - tak by wydzielone sekcje wiedziały czyjej komendy mają słuchać. Tymczasem trzecia n. p, sekcja, w której ja byłem, postawiona na końcu naszego prawego skrzydła, przez cały czas boju nie widziała ani majora, ani kapitana, ani nawet porucznika; szczęściem dla niej, że komenderował nią kapral **Gr.** Chłopiec z zimna krwią i posiadający teoretyczne wojskowe wiadomości.

Postawiono naszą sekcję, jak już wspomniałem, na końcu prawego skrzydła. Naprzeciw nas była szopa z poza której wychodziła piechota moskiewska i strzelcy finlandzcy w tyralierce oraz artyleria. Długo trwał ogień tyralierski, który nam nic nie szkodził, bośmy byli w pozycji ukrytej w lesie. Nieprzyjacielscy strzelcy strzelali do nas na znakomitą odległość, myśmy ich przypuszczali bliżej i dawali ognia na 600 – 700 kroków.

Gdy widzieli, że nasze strzały odnoszą pożądany skutek, pokładli się na ziemi i tak czołgając się bardzo zwolna postępowali. – Artyleria moskiewska wcale nam nie szkodziła, kartacze moskiewskie przenosiły po większej części, ale myśmy ubili im dość ludzi z naszych sztuców, tak że wkrótce dwa działa na nasze skrzydło wymierzone umilkły.

Ze dwie godziny trwała ta przedwstępna pukanina. Dopiero potem zaczęły z poza tyralierów wychodzić kolumny piechoty, rotami uszykowane w zamiarze atakowania naszego prawego skrzydła. Przypuściliśmy je na kilkaset kroków i w tej odległości gęsto dawali ognia, co ich trzy razy zmusiło do odwrotu. Tu muszę przyznać, że szli bardzo porządnie. Jak tylko który padł zaraz na jego miejsce następował inny, rannych odnoszono w jednej chwili za front, oficerowie starsi na koniach przed frontem komenderowali z wielką odwagą, słowem wszystko szło w wielkim porządku.

Gdy widzieli Moskale, że nasze skrzydło doskonale bronione, i że im się nie uda, zaczęli ciągnąć się coraz bardziej na prawo z widocznym zamiarem obejścia naszego skrzydła i zaatakowania nas z tyłu.

Już jak wyżej powiedziałem, w prawej części lasu stał **Czerwiński** i miał obowiązek bronienia prawej strony i tyłu. Cóż robił podczas bitwy on i jego oddział? Kosynierzy zjawili się pod swoim dowódcą walecznym wieśniakiem **Paradą** za naszą linią tyralierską, bez komendy, gotowi wpaść na Moskali,

gdyby przyszło do starcia na bagnety. Pokładli się na ziemi i zapalili fajki. Konnica mogła być czynną w lesie. Bezbronna rezerwa rozproszyła się po lesie; strzelcy zaś daremnie czekali rozkazu **Czerwińskiego**. Adiutant znalazł go przy furgonach.

- Naczelniku, pokaż się ludziom, wydaj jakiś rozkaz, niech cię widzą!

Na to odrzekł **Czerwiński** z całą fanfaronadą:

- Jeżeli ludzie chcą, żebym zginął, to przybędę i wyjdę na sto kroków przed front. Zaraz idę.

Adiutant odjechał do ludzi, a **Czerwiński** zamiast przed front, udał się do furgonów naszego oddziału, gdzie bezpieczniejszy od niegrzecznych kulek przesiedział do końca bitwy. Co się z nim dalej stało, nie wiem.

Tymczasem ludzie jego rozproszyli się po lesie, inni przybiegli do naszego skrzydła, a wielu znowu odważniejszych widząc jak Moskale chcą obejść prawe skrzydło, ukazało się im na samym rogu lasu, a nawet wpadło do sąsiedniego i głośnym „hurra”, oraz strzałami odwiodło ich od tego zamiaru.

Nasza sekcja trzymała się dobrze i wielu Moskali uбиła. Dobrze nam było w tym ogniu. W chwilach trochę wolniejszego ognia z obu stron, nawet żarty i śmiechy wychodziły na stół, szczególnie gdy atakująca nas kolumna cofała się, zabierając trupy i rannych. Wtedy zapalali jedni fajki i cygara, inni szukali w pustych manierkach choć kilku kropel wody, bo pragnienie nas paliło okropne, ja zaś dość szczęśliwie znalazłem w torbie stojącego obok mnie kolegi trochę fig w **Tyszowcach** kupionych, którymiśmy się w ogniu pożywiali. Pragnienie tylko paliło nas takie, że za szklankę wody byłbym oddał w tej chwili dziesięć lat życia.

Na naszym skrzydle działo się więc doskonale. Tyralierka nieprzyjacielska ucierpiała od nas dosyć, kolumny atakujące nie doszły nigdy więcej jak na 300 kroków i poniosłszy znaczne straty cofały się za szopę, a grożące nam niebezpieczeństwo obejścia naszego skrzydła, zostało odwrócone znakomitą odwagą kilkudziesięciu z oddział **Czerwińskiego**.. Szkoda tylko, żeśmy nie próbowali tego, że pokładłszy się z kosynierami w lesie na ziemi, nie strzelać, dopuścić kolumnę na jakie 50 kroków i dopiero wtedy dawszy salwę powszechną rzucić się na wroga z bagnetem i kosą. W ten sposób można przynajmniej wiele broni zdobyć, i więcej ludzi uбиć, nie psując darmo amunicji. Jest to sposób dla partyzanta najlepszy.

Gdy tak walka na prawym skrzydle i centrum jak najkorzystniej dla nas była prowadzona, bo naszych zginęło bardzo mało a Moskale zawsze odpieranych mnóstwo, działo się gorzej na lewym skrzydle.

Było to miejsce długie, bronione ledwie przez 30 ludzi, między innymi 24 z gwardii z kapitanem **K.(niazioluckim)**. Miejsce to jak powiedziałem było bardzo długie, tak że jeden od drugiego stał dosyć daleko – ogień więc szedł stamtąd słaby. Moskale musieli to spostrzec i posłali rotę piechoty, żeby ten punkt atakowała. Wskutek małego ognia z naszej strony, dotarła ta rota nie bez straty do lasu i z dzikim „hurra!” rzuciła się z bagnetem na naszych. Broniła się wiara dzielnie, z rewolwerów uбиła niemało tej dziczy, ale trudno było utrzymać się wobec takiej przemocy. Z 24 gwardzistów zostało rannych i zabitych dziesięciu; padł tam **Zygmunt Pańkowski** z Dublan, chłopak wyborny, zdolny, niezwyklej poczeiwości: **Juliusz Walter** strzelec doskonały, **Tadeusz Rozwadowski**, który był właściwie przy

konnicy, ale nie mogąc dla opuchnięcia nogi siedzieć na koniu, wziął sztuciec i szedł z gwardią do boju; i wielu innych. Z czternastoma zdrowymi prowadząc rannych, zaczął się cofać kapitan gwardii **K.(niaziolucki)** do obozu. Moskale wdarli się w las. Niebezpieczeństwo było wielkie bo łatwo mogli nam tył zabrać, ale obawiając się zapewne zasadzki, cofnęli się na powrót do swoich.

Cofający się gwardziści zastali przy furgonach majora z adiutantem, kilkunastu rannych, konnicę wybladłych saperów, pochowanych w krzakach. Nie wiem czy miejsce wodza w czasie bitwy jest przy furgonach, szczególnie w partyzantce, ale jeżeli już tak było, powinien był major każdej chwili starać się o wiadomości z linii bojowej i skoro widział niebezpieczeństwo lewemu skrzydłu grożące, wysłać tam beczynnie leżących kosynierów, żeby wpadli na wdzierających się do lasu Moskali.

Żeby nie być niesprawiedliwym, muszę wyznać, że z początku bitwy major dawał z siebie piękny przykład odwagi. Gdyśmy się na drodze formowali, obsypywani gradem kartaczy, on stał koło nas nieustraszony na koniu, potem przez pierwszą godzinę w boju objeżdżał konno linię i ledwie się dał nakłonić do tego, że zsiadł z konia i szedł pieszo. Czego tego nie uczynił do końca bitwy? Czemu nie starał się w każdej chwili o wiadomości? Czemu nie wiedział o niebezpieczeństwie lewemu skrzydłu grożącemu i nie zapobiegł jemu? Te zarzuty minąć go nie mogą.

Gdy niedobitki lewego skrzydła pod kapitanem **K.(niazioluckim)** przyszły do furgonów, kazał im major otoczyć furgony łańcuchem tyralierów. Potem zatrąbił do zbioru i rozpoczął odwrót z amunicją, furgonami, rannymi, z konnicą, saperami i niedobitkami lewego skrzydła. Dlaczego rozpoczął ten odwrót, gdy sprawa nie była przegrana, gdy centrum i prawe skrzydło trzymało się najlepiej, a lewe można było obsadzić ludźmi **Czerwińskiego**? – trudno wyrozumieć.

Powiadają, że wysłał kogoś na linię, a ten mu doniósł, że między nim a nami są Moskale. Jeśli tak to zbłądził tym, że wysłał jakiegoś ktosia, a nie swego adiutanta, który byłby niezawodnie dotarł do linii bojowej i nie doniósł mu tak fałszywej wieści. Pominąwszy to, powinien był zatrąbiwszy na nas i wysławszy kogoś po nas, czekać na miejscu dopóki byśmy nie przyszli. On zaś wysłał wprawdzie ludzi za nami, ale nie czekał na nich i na nas, tak że wysłani sami potem znaleźć go nie mogli.

Zobaczmy zaraz, jak złe następstwa z tego wynikły.

Ogień trwał na całej linii z mniejszymi i większymi przystankami. Dosłyszeli niektórzy z nas trąbkę majora, ale zostawieni bez komendy, nie wiedzieli co robić. Wtem zakomenderowano: „gwardia na lewo!” – Kto komenderował, nie wiem. Zaczęliśmy się ściągać na lewo, przeszliśmy linię przecinającą las, minęli widok miejsce gdzie się Moskale wdarli w las na naszym lewym skrzydle, gdzie trupy naszych świadczyły o krwawym boju, wysyłaliśmy ciągle pojedynczych ludzi, żeby znaleźć gdzie majora, kapitana, albo choć jakiego oficera – wszystko nadaremnie. Pozostawieni sami sobie, bez komendy – byliśmy w rozpacz. Już się nam zaczęła pokazywać straszna mara rozejścia się oddziału! Zmęczeni, spragnieni, źli, prawie w rozpacz pokładaliśmy się na małej drożynce leśnej, a obok nas kosynierzy. Wtem moskale zaczęli do nas z bardzo daleka bez dobrego skutku strzelać. Pamiętam leżałem na drodze na małym wzniesieniu, a o krok może przede mną kolega gwardiak B. Między mnie a niego uderzyła w ziemię kula tak, że trochę bliżej lub dalej byłby jeden z nas zginął albo został ranny.

Podnieśliśmy się z tego miejsca i nie wiedząc już prawie co robimy, zaczęliśmy znowu iść na prawo ku linii las przecinającej. Ogień nieprzyjacielski ustał; położyliśmy się więc obok linii, podczas gdy kilku przez nas wysłanych, szukało daremnie po lesie majora.

Słońce się już skłaniało ku zachodowi, naprzeciw nas zapalili Moskale **Mołozów**. Straszny to był ogień! W bardzo krótkim czasie zapaliła się wieś cała. Płomień ogromny buchał ze wsi, a nad nim wznosiły się czarne kłęby dymu, rysując swe fantastyczne postacie na krwawym tle nieba, oświeconego zachodzącym słońcem.

Straszny a wspaniały widok! Patrząc się na tą palącą się wieś, na leżące niedaleko krwawe trupy poległych... odszedłem z miejsca na którym leżeliśmy, z trzema innymi kolegami wysłany żeby szukać majora.

Przeszliśmy znaczną część lasu – byliśmy w miejscu gdzie był obóz, szukaliśmy wszędzie – nadaremnie! Ani majora, ani śladu co się z nim stało.

Gdyśmy wracali do naszych leśną drożynką – spostrzegłem nad drogą pod krzakiem leżącego trupa. „Adam!” – krzyknąłem, i przykląknę nad nim. Był to **Adam Żminkowski**, jeden z moich przyjaciół – kolega szkolny, młody poeta. Leżał z ręką na piersi, na ranie, którą dostał od bagneta – drugą ranę miał na czole...

Z sercem przepełnionym bólem wracałem do naszych. Majora nie ma – oddział pewno się nie utrzyma – to były myśli, które mnie trapiły – a przed oczyma miałem palącą się wieś, i krwawego trupa przyjaciela. Nikomu bym nie życzył, żeby dożył takiej chwili.

Ledwie wróciłem do naszych i zdałem im sprawę z tego, że majora nie można znaleźć, zaczęła się pukanina. Garstka tyralierów nieprzyjacielskich zaczęła strzelać ze wsi do lasu – a we wsi strzelano do bezbronnych ludzi.

Kto wie – rzekł ktoś – czy nie robią oni to dlatego, żeby naszą uwagę na ten punkt zwrócić, podczas gdy oni zaatakują nas z tyłu.

Ledwie skończył, pokazało się, że ma rację – bo w tej chwili usłyszeliśmy bardzo gęste strzały z tyłu, tylko z jednej strony, na które nikt strzałami nie odpowiadał. Dopiero później dowiedziałem się, co znaczyły te strzały.

Jak wiemy, mieli nas Moskale tego dnia z trzech stron równocześnie zaatakować – tylko **Miednikow** z **Hrubieszowa** idący spóźnił się i przybył dopiero teraz przy zachodzie słońca.

Właśnie, gdy ta świeża kolumna idąca od **Miętkiego** przybyła na plac boju, **Zapałowicz** ze swoją garstką już był w odwrocie, z tyłu lasu, na brzegu. Napadli więc Moskale na furgony – zaczęli gęsto strzelać, a Zapałowicz, ze zdrowymi ledwie się zdołali uratować.

Rannych część dobili Moskale, część druga uprowadzili ze sobą, a lekko ranni jakoś szczęśliwie poumykali.

Te to strzały były, któreśmy słyszeli z tyłu. Poznaliśmy w jednej chwili co nam grozi, gdyby Moskale wtargnęli do lasu; przypuszczaliśmy, że tam się biją nasi, więc trzeba im iść na pomoc.

Nie wiele więc myśląc, zerwało się nas kilkunastu:

- Wiara! chodźmy na bagnety!

- Na bagnety! Hurra! Jezus Maria – rozległ się okrzyk między naszymi i w jednej chwili wszystko było na nogach.

- Kosynierzy z nami! – zawołaliśmy znowu. Ale kosynierom z początku nie bardzo się chciało, krzyczeli wprawdzie hurra! ale jakoś zręcznie bokiem zaczęli się usuwać. Wzięliśmy się więc do nich energicznie i kolbami i groźbą bagnatów zaczęli ich pchać naprzód.

Dziwnie wyglądała ta kolumna! Kosynierzy pomieszani ze strzelcami, z gwardią, bez porządku, bez szyku, bieглиśmy, byle naprzód i naprzód.

Był to atak improwizowany, poemat krwią pisany...

Mały kawałek bieглиśmy tak drogą pod lasem, potem wpadliśmy w las. Po pierwszych krokach naszych w las, dali Moskale ognia i już kulki poczęły nam świstać koło uszu. Gdyśmy się trochę do nich zbliżyli, można było poznać, że ich było trzy rotty – a nas atakujących może 150 – bez porządku i komendy.

Mimo to darliśmy się naprzód przez gęstwinę. Moskale zrazu strzelali tyralierką, ale słysząc coraz więcej zbliżające się krzyki nasze, widzieli, że to nie skutkuje i dali ognia rotowego. Straszny to ogień! Huk wielki, a równocześnie z nim jakby rój piszczałek na wszystkie strony, nad głową, z boku, wszędzie, a świst ten połączony z traskiem gałęzi łamanych przez kule, spadających na nas i uderzeniem ciągłym kul o drzewa. Zdaje się, że niepodobna nie zginąć tam wszystkim, a przecież nie wielu zginęło; Bóg z nami walczył tam widocznie i zanosił kule tak, że nas omijały raniąc tylko drzewa.. Mimo straszego ognia i widocznej przemocy, darliśmy się ciągle i ciągle naprzód. Moskale widocznie ulękli się naszej zapamiętałej odwagi, cofnęli się, uformowali znowu, i zaczęli znowu sypać ogniem rotowym, i znowu się cofali, aby sformować się na nowo, utrzymywać ogień. Ale my nie zważając na to, nie cofali się ani kroku i niezachwiani szli naprzód z okrzykiem Jezus Maria!

Z kilkoma innymi biegłem przodem. – Śliczna to była chwila – rój kul literalnie nas obsypywał, huk strzałów, świst kul, trask łamanych i spadających gałęzi zagłuszał nas, a my ciągle naprzód, bez myśli prawie o mogącej zaskoczyć śmierci, jak zaślepieni, nie myślący o niczym – byle naprzód – byle wyprzeć wroga. O, za drugą taką chwilę w życiu dałbym wiele! ...

Uratowała nas też nasza odwaga. Gdyby Moskale zamiast strzelać ciągle, byli nas dopuścili do starcia na bagnety, bylibyśmy zginęli wszyscy, bo cóż znaczy 150 ludzi, biegnących bez ładu i rozsypani przeciw trzem rotom silnie w szyku stojącym? Im silniej nacieraliśmy, im bliżej byliśmy wroga, tym gorzej strzelali Moskale, tracąc widocznie odwagę, snąć musiały krzyki nasze i śmiałość zapamiętała ulęknąć wroga, który nie rozumie odwagi tam, gdzie liczba mniejsza. Cofali się z początku porządnie, ale gdy przyszło przez łączkę do drugiego lasu się cofać, zaczęli po prostu umykać, zrzucając nawet swoje szyniele, żeby im lżej było. Dopiero do uciekających zaczęliśmy strzelać i tam dosyć ich padło.

Byli między nami starzy żołnierze, tacy co byli pod Magentą i Solferino, a powiadali, że takiego ataku i tak gęstego ognia nie widzieli. I rzeczywiście opowiadali tacy, co będąc ranni w Miętkiem, widzieli tę kolumnę powracającą, że Moskale wszystkie naboje wystrzelali. Jeden z naszych dostał prawie

równocześnie siedem strzałów, cztery kule zostały w kartuszu, a trzy go raniły lekko.

Jest wielu takich, co sobie przypisują ten atak, jego autorstwo i prowadzenie. Nieprawda! Była to improwizacja, natchnienie nas popędziło, a nikt nie może powiedzieć, że pierwszy się odezwał z tym, żeby iść na bagnety, albo że prowadził atak. Z kapitanów był w nim tylko **U.(bysz)**, który nas trochę porządkował, i bił się bardzo dzielnie.

Pojedynczych przykładów niepodobna wyliczyć, wszyscy okazali równą pogardę śmierci. Wspomnę tylko o jednym, który bardzo walecznie szedł naprzód, a gdy padł kula przeszyty, ostatnie słowa jego były: „Naprzód wiara!” powiedziane tak, jakby całą swą duszę, całą nadzieję w te słowa włożył. Przebiegłem koło niego, spojrzałem i pobiegłem dalej, daremne były moje dopytywania się o jego nazwisko – nic o nim nie wiadano.

Gdy już Moskale opuścili las, i ratowali się ucieczką, oddziałik nasz atakujący nie był już w całości. W gęstwinie, w ciągłym biegu rozerwał się, i część była w jednej stronie a część w drugiej.

Ta, przy której ja zostałem, zatrzymała się nad ciałem zabitego kosyniera. Kapitan **U.(bysz)** parę słów nad nim powiedział i umaczawszy szmatkę w jego krwi, zaprzysiągł zemstę, po czym zmówiliśmy nad ciałem „Anioł Pański „.

Po tej uroczystej scenie rozpoczęliśmy odwrót ku miejscu, z któregośmy wyszli. Już zaczęło się ściemniać. Uważaliśmy bardzo, żeby się nie porozchodzić, Kapitan **U(bysz)**. natrębywał ciągle, i powoli zaczęło się do nas coraz więcej ściągać.

Gdyśmy przybyli na linię w lesie, zastaliśmy już tam drugą część z należących do ataku. Było tam wielu moich dobrych znajomych, którzy nie znalazłszy mnie między sobą, już mnie mieli za poległego. Witaliśmy się jakby z tamtego świata wracający. Prócz tych którzy byli w ataku, było tam wielu innych z oddziału tak **Zapałowicza** jak też i **Czerwińskiego**, którzy się poschodzili powoli, tak że wszystkich razem było nas około 300.

Powiedzieli mi, że majora nie ma, że tymczasowo jeden z kapitanów obejmuje komendę, i że postanowiono ściągnąć się ku granicy galicyjskiej, ażeby się zaopatrzyć w żywność i inne potrzeby, i znaleźć albo **Zapałowicza**, albo **Lelewela**, który z małym oddziałkiem miał być niedaleko. Zaopatrzywszy rannych i pożywiwszy się trochę, mieliśmy zaraz wyruszyć.

Uspokojony trochę o los nasz, bo projekt był dobry, położyłem się na ziemi między leżącymi kolegami, dałem płaszcz rannemu koledze, który nie miał płaszcza, i oparłszy głowę o pniak usnąłem.

Tak się skończył ten dzień krwawy, a tak dla mnie pamiętny. Zwycięstwo było oczywiście po naszej stronie. Nieprzyjaciół na wszystkich punktach odparty znaczne poniósł straty. Zabitych było czterystu kilkadziesiąt nie licząc rannych. Myśmy w zabitych stracili około czterdziestu, ilu było rannych, tego oznaczyć nie mogłem.

Taka liczba poległych Moskali, da się łatwo wytłumaczyć tą okolicznością, że Moskale byli w czystym polu, a nas chronił las gęsty, i że oni po kilka razy każde skrzydło atakując, wszędzie odpierani byli

Gdyby **Zapałowicz** nie uszedł tak spiesźnie byłyby rzeczy dobry obrót wzięły. Nas było jeszcze 300

razem, on miał przy sobie dwudziestu strzelców, konnicę, saperów, dostateczną amunicję, pieniądze. Gdyby był został, i korzystając z popłochu, jaki był między Moskalami, napadł na idącą z *Miętkiego* kolumnę, zdemoralizowaną naszym ostatnim atakiem, nie mającą już amunicji przy sobie, mógł ją być w proch rozbić i rozbroić. Ale inaczej zrzędziły losy – na nic nasza odwaga poszła, na nic tyle krwi przelanej, z której nie umiano korzystać.

V. MARSZ DO GRANICY GALICYJSKIEJ. PRZEJŚCIE GRANICY.

Spałem ze dwie godziny. Zbudzili mnie koledzy koło 11-tej w nocy, gdyśmy mieli wyruszać. Obiecanej żywności i wody nie dostaliśmy. Trzeba więc było, nie pożywiwszy się wcale, po łada jakim zaopatrzeniu rannych, których nieśliśmy na drzewcach od kos w wielkiej cichości maszerować ku granicy. Kto był rzeczywiście obrany dowódcą trudno oznaczyć. Jedni obwołali kapitana **B.(lińskiego)** a inni **U.(bysza)** – większość podobno była za ostatnim. Od tej chwili kapitan **B.**, który dzień przedtem tak odważnie stawiał czoła nieprzyjacielowi, zaczął sobie jak najgorzej postępować. Rozgniewał się widocznie na kapitana **U.**, nie słuchał jego rozkazów, w niczym mu nie pomagał i śmiało mogę twierdzić, że on był przyczyną naszego rozejścia się, przez to, że nie potrafił wznieść się nad jakieś osobiste ambitne widoki, i nad urazy z nie wypełnienia tych widoków wypływające.

Marsz ten ku granicy był haniebnym. Porządku nie było żadnego, komendy żadnej. Nie podzieliliśmy się przed wymarszem na kompanie, nie postanowili komendy, tak że w marszu wkraśl się w szeregi nieład nie do opisania. Nie podobna było utrzymać ludzi w dwójkach – kolumna się rozciągnęła, przerwy powstały; nie słuchano nikogo. Kapitanowie nie byli zgodni, oficerów nie słuchano, bo z jednej kompanii byli oficerowie, a ludzi nie było, a z drugiej byli ludzie, a nie było oficerów, nie wiedziano więc kogo słuchać, szeregowych, którzy chcieli ład zaprowadzić także nie słuchano. Gdyby nas wtedy Moskale zaatakowali, byłaby niezawodnie cała kolumna bez strzału poszła w rozsypkę. Utrudzało także nasz marsz ciągle zatrzymywanie się z powodu rannych, z którymi trzeba było ciągle stawać, odpoczywać, przemieniać tych, którzy ich nieśli.

Głód dokuczał nam znakomicie, ale stokroć jeszcze gorzej pragnienie. Idąc brzegiem, po nad którym żyto już dość wysoko na pniu stało, zrywałem żyto i gryzłem miękkie jego części, co mi niejako ulgę sprawiło. W jednym miejscu spostrzegłem, że się kilkunastu naszych zbiegło w jeden punkt, i pochyleni nad ziemią, coś manierkami dobywali. Przybiegłem do nich i zapytałem co by było? „Woda „ – odpowiedzieli. Było to miejsce, z którego brano glinę i gdzie na dnie trochę wody się zebrało. Zacerpnałem w manierkę tej wody z gliną i napiłem się – nie wiem, czy może być coś brzydszego pod słońcem. Trochę dalej była wielka bajura pod mostem. Przeszły przez nią najpierw konie i kilku naszych konnych, którzy szli na szpicy i napili się tego błota, a potem myśmy to pili. Do czego to człowieka głód i pragnienie nie doprowadza.

Im bardziej zbliżaliśmy się do granicy, tym gorsze przeczucia mię trapiły. Widziałem niezgodę między dowódcami, nieporządek największy w marszu, demoralizację ludzi. Gdy przyszło mi na myśl, że w

takim stanie mamy stanąć nad granicą galicyjską, poznałem, że tylko największa energia, a nawet terroryzm ze strony dowódców, zdołają nas uratować.

Już słońce zeszło, gdyśmy stanęli w wiosce, może o pół ćwierci mili od granicy odległej, której nazwy nie pomnę. Kilka razy byliśmy alarmowani, kilka razy zdawało się nam, że widzimy kozaków, ale jakoś szczęśliwie i nie atakowani doszliśmy do tej wioski. .Stamtąd można powiedzieć, już dowództwa nie było żadnego. Kapitan **U.** zachrypł tak, że go nie można było zrozumieć, stracił więc de facto dowództwo, zaś kapitan **B.** pokłóciwszy się z nim, nic nie chciał robić i wszystko zaczął na niego zwałać.

Po pośpiechu ludzi, wzrastającym w miarę zbliżania się ku granicy, poznałem, że źle będzie. Gdyśmy więc stanęli w tej wiosce nad granicą, żeby wziąć furgony pod rannych, przyszedłem do kapitana **L.**, przedłożyłem mu stan rzeczy i ledwie na kolanach błagałem go, żeby ład jakiś zaprowadził.

- To się zrobi – odpowiedział mi.

Przedstawiłem jemu i kapitanowi **B.**, że skoro nad granicę przybędziemy, trzeba będzie wedety porozstawiać, które by za łańcuch nikogo nie puszczały i zakazać pod karą śmierci przechodzić granicę, odpowiedzieli mi ni to ni owo.

Gdyśmy wyszli już z tej wioski, i szli długą topolową ulicą prowadzącą do granicznego lasu, już się zaczynały odzywać głosy; ja muszę wracać do Galicji bom chory; a ja nie głupi tu czekać na to, żeby nas Moskale wymordowali itp. Nic nie pomagały przedstawienia, że nas jest przeszło 300, że każdy ma w przecięciu 20 nabojów, więc możemy się bronić, żeśmy przysięgli walczyć do ostatniej kropli krwi, więc łamiemy przysięgę rzucając broń; to wszystko nie przekonywało zdemoralizowanych. Prawda, że to była mniejszość, która tak myślała, ale taka demoralizacja szerzy się jak zaraza, i wkrótce mniejszość stała się większością.

Kapitan **U.** został we wsi dla załatwienia jeszcze jakiś spraw, a z nami był tylko **B.** Doszliśmy lasem do wolnego miejsca może 500 kroków od granicy odległego. Tu kapitan **B.** kazał stanąć i spocząć. Zmęczeni niezmiernie, głodni, spragnieni, niewyspani rzucili się prawie wszyscy o ziemię i zaczęli spać. Wielu nie doszło nawet do miejsca tego, wielu zostało po drodze, spało gromadkami lub pojedynczo w lesie nad drogą. Gdyby byli wtedy Moskale zaatakowali nas, nie wiem czy dwudziestu by się znalazło takich co by się byli bronili, reszta byłaby uciekła do Galicji, broń nawet rzuciwszy na pastwę Moskali. Miejsce było jak najgorsze. Był to rodzaj łączki w lesie, na której tu i ówdzie rosło jedno drzewo, lub więcej. Gdyby nas byli naszli Moskale niespodzianie, mogli nas w tym miejscu wystrzelać do jednego. To wszystko musiał widzieć kapitan **B.**, który tu faktycznie dowodził w nieobecności kapitana **U.** Nie mógł on nie widzieć tego niebezpieczeństwa, bo jako dawny wojskowy znał się na tych rzeczach, a nie tylko, że sam wybrał miejsce tak niebezpieczne i na nim został, ale nawet nie pomyślał o rozstawieniu wedet, które by nas ostrzegły przed zbliżającym się nieprzyjacielem.

Tego już mi było za dużo. Przyszedłem do niego i rzekłem:

- Kapitanie, widzisz jak wszyscy zmęczeni i zdemoralizowani; wkrótce wszyscy uciekną. Na miłość Boga, weź się energicznie do rzeczy, zakaż pod karą śmierci przechodzić granicę; rozstaw na około

wedety, które by tego dopilnowały, a uratujesz oddział. Ja sam pomimo zmęczenia, stoję na ochotnika na wedecie.

-Dobrze! - odrzekł mi – Trzeba mi ludzi na wedety!

Te słowa, to było wszystko, co zrobił. Leżał sobie spokojnie pod drzewem, jakby go to nie obchodziło, co się z oddziałem stanie, a powinien był wstać ogłosić, co mu proponowałem, zabębnić, pochodzić, dodać ducha. Tego nie uczynił, i widocznie było, że mu było całkiem wszystko jedno, czy te wedety, których niby zażądał, staną, czy nie, a od nich zależał los oddziału.

Widząc obojętność dowódcy (bo nim był **B.** w tej chwili de facto), widząc, że u niego na słowach się kończy, rzuciłem się między kolegów, zacząłem ich prosić, zaklinać na wszystko, żeby wstali i szli na wedety. Wielu mi odpowiedziało, że myślą iść do Galicji, nie na wedety; inni zasłaniali się zmęczeniem, i ledwie kilku się znalazło, co się oświadczyli z gotowością pełnienia służby wedetowej. Jako szeregowiec nie miałem władzy rozkazywania, musiałem więc wszystko robić prośbą i przedstawieniami, a kapitan zamiast mię wesprzeć powagą swej rangi z zimną krwią przypatrywał się temu, jak ja daremnie biegałem od jednego do drugiego, wzywając ich do pójścia na wedety.

Wtedy dopiero spostrzegłem się, że nie wszyscy są gromadzeni, że wielu jeszcze pojedynczo idzie zwolna lasem, a wielu nad drogą leży daleko od miejsca zbioru. Prosiłem więc kapitana, żeby mi pozwolił iść za nimi, i spędzić wszystkich na miejsce zbioru.

Puściłem się drogą, żeby to uskutecznić, napędzałem wszystkich żeby szli tam gdzie większość jest zgromadzona, budziłem śpiących nad drogą; spotkałem kapitana U. wracającego pieszo ze wsi, i ze łzami w oczach prosiłem go, żeby ład jakiś sprowadził i nie dozwolił rozejść się oddziałowi. Uszedłem tak z tysiąc kroków, i dopiero gdy od ostatniego idącego dowiedziałem się, że już za nim nikt więcej nie idzie, zwróciłem się na powrót ku oddziałowi.

Tą bieranina zmęczyłem się do reszty – zakręciło mi się w głowie, nogi zachwiały się pode mną i gdybym się nie był chwycił drzewa, byłbym upadł na ziemię. Ale jakoś po chwili opamiętałem się i szedłem dalej.

Przychodzę na miejsce, gdzieśmy stali: patrzę – nikogo nie ma. Zgłupiałem wyraźnie, gdym to zobaczył. Idę dalej drogą, patrzę w lesie nad drogą może o dwieście kroków od granicy leżą z jednej strony ludzie **Czerwińskiego**, a z drugiej **Zapałowicza**, a przed jednymi i drugimi trochę broni złożonej w jedno miejsce.

Zrozumiałem w jednej chwili całą okropność położenia, poznałem zamiar rozejścia się. Pytam co się stało powodem tak nieszczęśliwej decyzji. - Niejaki **Th.** Emigrant angielski, a w naszym oddziale szeregowiec gwardii, człowiek zdolny i odważny popełnił tą nieostrożność, że gdy przyszedł na miejsce gdzieśmy pierwotnie spoczywali, poznaawszy nieszczęśliwy wybór miejsca, krzyknął:

- Na miłość Boga dalej!

Słowa te podziałały najokropniej na oddział. Sądziło, że Moskale idą. Ruszyli więc wszyscy natychmiast z miejsca i podążyli jak najspieszniej ku granicy. Wielu bardzo przeszło w pierwszym strachu granicę i porzuciwszy w krzakach broń, tę broń tak przeplacaną, tyłoma ofiarami okupioną, jakby jaki sprzęt

niepotrzebny, oddali się na granicy stojącym austriackim huzarom. Kapitan **B.** ze zwykłą sobie angielską flegmą, odszedł gdzieś w bok z kilkunastoma innymi nie dbając o resztę oddziału, przespał się tam spokojnie i nakrywając swą broń gałęziami – jakby to było dostateczne schronienie – przeszedł granicę. Resztę zatrzymał kapitan **U.** i nakazał broń wszystką złożyć w jedno miejsce, żeby jej nie porzucano po krzakach, żeby ją potem zakopać.

Tak więc widziałem, że wszelkie moje starania były daremne. Oddział już prawie przepadł. Chwyciliśmy się jeszcze środka ostatecznego. Kilku z nas uradziło, żeby zostać do końca, wybrać dowódcę, ciągnąć się ciągle nad granicą i co dzień zmieniać miejsce, a może znajdzie się w bliskości jaki oddział.

Ogłosiliśmy więc wszystkim, że kto chce łamać przysięgę niech idzie do granicy, a my zostaniemy, część broni zakopamy, resztą się uzbroimy, wszystką amunicję zabierzemy i w końcu przyłączymy się do jakiego oddziału. Sądziłem, że zostanie nasze stu, że ci co zostaną, będą niezawodnie najwaleczniejsi, że więc będzie się można jakoś utrzymać.

Kochany nasz kapral Gr. Zajął się zbieraniem i zakopywaniem broni. Z jednej wielkiej kupy poskładał broń na bryczkę i odjechał żeby ją zakopać, poleciwszy mnie, żebym resztę i spisał, że on nadjedzie i znowu ją zabierze do zakopania. Ci zaś, którzy mieli zostać, mieli zatrzymać swą broń.

Dobrawszy sobie trzech pomocników, zacząłem ściągać broń z lasu. Było jeszcze ze sto sztuków. Prócz pałaszy, pistoletów noży. Znoszenie to trwające z pół godziny, zmęczyło mnie ogromnie.

Gdy to skończył, położyłem się, zgryzłem trochę chleba i mięsa wędzonego, które nam ze wsi nadgranicznej przywieźli i dowiedziawszy się, że niedaleko nas jest woda, poszedłem po nią z kilkoma manierkami. Była to po prostu wielka kałuża. Naczerpawszy pod dostatkiem wody, wróciłem do naszych, i cedząc tę wodę przez chustki do nosa piliśmy ją z wielkim gustem...

Tymczasem liczba tych co chcieli zostać usque ad finem coraz się zmniejszała i spadła w końcu do 40. Byłem trochę niespokojny. Wysłany przez nas do Galicji gwardjak, który miał tam zasięgnąć wiadomości o jakim oddziale, nie powracał; nasz kapral, który pojechał broń zakopać, nie powracał także, a tu baba jakaś ze wsi przywiozła wiadomość, że Moskale są we wsi, że najeli sześćdziesiąt fur i na nich teraz ciągną do lasu.

Po chwili spostrzegłem, że stojący na granicy austriacki strażnik finansowy kiwa na nas. Poszedłem więc z rewolwerem ku niemu, a on mi rzekł, żeby jak najprędzej przejść granicę, bo Moskale na sześćdziesięciu wozach się zbliżają.

Wróciłem ze spuszczoną głową do swoich.

- Co chcecie - ja na wszystko przystanę! Postanowicie zostać i zginąć, drogo sprzedawszy Moskalom nasze życie to ja zostaję z wami.

Naturalnie, że zdrowy rozsądek nakazał przejść granicę. Zebraliśmy się – z pękającym od żalu sercem oddali się w ręce austriackich huzarów, którzy nas przyaresztowali i odstawili do **Belży**.

2 lipca **Jan Żalplachta – Zapalowicz** brał udział w wyprawie na Wołyń jako podkomendny **Franciszka Horodyńskiego**. Po powstaniu aresztowany przez Austriaków.

Franciszek Koestlich – mjr Oldinaja b. oficer austriacki, szef sztabu w oddziale płk. **Wojciecha Komorowskiego**, bitwa pod *Poryckiem*

List **Wandy Dybowskiej** do **Kamilli Poh**:

Nie dziw się, o nie dziw, że dotychczas nie pisałam do Ciebie, przeszłam i przechodzę wiele boleści dlatego milczę. W kwietniu straciliśmy brata drugiego ojca. Kochałam go przywiązaniem dziecka - potem Franciszek i Napoleon odjechali pod **Zapalowicza**. Pierwszy był i wrócił szczęśliwie, drugi został w drodze zatrzymany, a wróciwszy do domu, natychmiast znowu odjechał. W tym czasie poległ **R.** strasznie dotknęła mnie śmierć jego, uspokoić się nie mogłam po tej stracie; potem zasłabła matka moja – zrazu była to lekka słabość, lecz potem rozwinęła się w gwałtowną – straszną. Tydzień cały matka leżała bez nadziei. Właśnie w tym czasie nadjechał Franciszek (ok. 1.VI ? przyp. autora); żadnego z braci nie było w domu; Polo czekał na granicy wołyńskiej. Teraz niebezpieczeństwo minęło, lecz z łóżka nie dźwiga się biedna mama. Po dwutygodniowej bytności odjechał Franio (15 – 20 VI ? przyp. autora), chcąc połączyć się z oddziałem **Wysockiego**. Szczęściem przybył za późno (*Radziwiłów* !! przyp. autora). Po raz pierwszy wyprawiałam go z żalem bez miary, ze złem przeczuciem, dlatego, że poszedł bez błogosławieństwa rodziców, wbrew ich woli, bez ich wiedzy i bez wiedzy mojej matki. Pisał do mnie z granicy. Stoi pod komendą **R.** lada dzień przejdzie **Zbrucz**. Bogu go oddałam i Polsce drugiej; Bóg niech rządzi wszystkim. A teraz Kamilo ostatnią i największą boleść mam z Tobą podzielić. Brat mój ukochany - poległ pod *Radziwiłowem*. W pierwszej potyczce padł nieborak. Inną marzyłam mu przyszłość. Czysta to była dusza jak mało – toż ufam, że ofiara ta zaważy choć trochę u Boga. – Żal po nim, żal po jego stracie niczem ukoić się nie da. Zostawił rodzeństwo kochające, matkę biedną i istotę, która go najpiękniejszą kochała miłością. Patrząc na rozpacz tej dziewczyny, zapominamy o własnej – serce się kraje – a przecież nie pęka. Matka nic nie wie; kłamiemy przed nią; fałszujemy listy do niego: zabójstwem byłoby powiedzieć jej teraz. – Dwa miesiące minęło, jak nas pożegnał, dwa miesiące moja matka w łóżku leży. – I czy uwierzysz Ty Kamucho? Ja spokojna i cichy smutek we mnie i nic więcej. Ja łez nie mam już.. zobojeźniałam, czy skamieniałam, nie wiem. Dwie rzeczy podtrzymują moje siły; modlitwa i wiara bez granic w pomyślnie ukończenia tej sprawy. Żadna klęska, żadna boleść na chwilę tej wiary nie obalą we mnie, przed żadną nie ugnę się ofiarą, przed żadną boleścią, bo wierzę, że Bóg na cały naród zsyła krzyże, na to abyśmy stali się godnymi tego szczęścia jakie nam gotuje. – Módl Ty się Kamilko czasem o zdrowie mamy, proś Boga aby jej sił dał, do zniesienia tego nieszczęścia, módl się za moim Franiem biednym, proś aby go Bóg nie skarzał za nieposłuszeństwo rodzicom. – Czyż mógł zrobić inaczej?..

Panna Felicya pisała do mnie, była w **Brodach** przy rannych ...!

Józef Białynia – Cholodecki „Kamilla Poh Szkic biograficzny „ Lwów 1896

Wanda Dybowska – Kamilla Poh „Klaudynki” „najszerdziejście przyjaciółki „

Data listu – prawdopodobnie II połowa lipca 1863

Franciszek Franio Longchamps narzeczonny – przyszły mąż

Poległy R – poeta **Romanowski** poległ 24.IV.1863 pod **Józefowem** w oddziale **Lelewela**, starał się o rękę **Wandy Dybowskiej**

Napoleon Polo Dybowski – brat Wandy poległ 2.VII 1863 pod **Radziwiłowem** w oddziale płk **Horodyńskiego**

Panna **Felicya Boberska** wychowawczyni Wandy D. i Kmilli P. – przywódczyni Klaudynek

Brody miejscowość – umieszczano tam rannych z pod **Radziwiłowa**

...Pamiętam pierwszą wieść żałobną wśród naszego grona, wieść o śmierci **Mieczysława Romanowskiego** w szeregach **Lelewela** pod **Józefowem** d. 24 kwietnia i nie zapomnę śmiertelnie bladej twarzy dziewczyny, która go kochała a była jedna z najsłabszych...

(Bardzo prawdopodobne, że była to **Wanda z Dybowskich** przyszła żona **Franciszka LdeB**; przyp. autora)

Zofia Romanowiczówna „Czy pamiętam” Kronika Powszechna 1913 R.4nr.5

gen. **Józef Wysocki** (1809 – 1875) oficer w powstaniu listopadowym. W 1849 r generał i dowódca legionu polskiego na Węgrzech. Od 4.IV. 1863 r naczelnik sił zbrojnych woj. lubelskiego i ziem ruskich. Jako dowódca wyprawy na **Radziwiłłów** rozbitý 2.VII. 1863 r..

Artur Gołuchowski hrabia, herbu Leliwa ur. 1.07.1808, zm 27.10. 1893 w **Łosiaczu** generał Powstania Styczniowego.

Był starszym bratem **Agenora Gołuchowskiego** namiestnika Galicji. Wziął udział jako ochotnik w powstaniu listopadowym w stopniu podporucznika 5 Pułku Ułanów. Walczył pod Olszynką Grochowską, Iganiai i Ostrołką. Odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari. W korpusie gen. **G. Romarino** kapitulował w zaborze austriackim, po czym gospodarował na roli. Nie stronił od działalności politycznej. Wiosną 1863 członek komitetu „Białych „ we Lwowie, powołany przez Rząd Narodowy na organizatora oddziałów jazdy w zaborze austriackim i mianowany przez stronnictwo Białych generałem. Organizował oddziały powstańcze w Galicji, które miały przyjść z pomocą powstaniu w Królestwie Polskim. Formował je z własnych środków i lokował po dworach ziemiańskich Podola. Po ogłoszeniu przez Austrię stanu oblężenia rozpuścił je.

... wiecznie organizujących się oddziałach generała **Artura Gołuchowskiego**, które tak ośmieszył **Jan**

Lam w swej powieści „Koroniarz w Galicji” : „Najtragiikomiczniejszą stroną ruchu galicyjskiego były organizujące i dezorganizujące się bez końca niektóre korpusy, których nigdy nie pokazywano Moskalom i które trzymano zawsze niby w pogotowiu od strony krajów zabranych, ażeby nimi szachować siły moskiewskie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, Korpusy te pochłaniały największą część pieniędzy przeznaczonych na cele powstańcze [...] Po osiem, dziewięć miesięcy trwała taka organizacja, ochotnicy niecierpliwi się, gorętsi i niesforniejsi uciekali z kwater i na własną rękę starali się dostać na teatr wojny”.

ŚWIADECTWO SŁUŻBOWE

Podporucznik **Franciszek Longchamps de Berier**, który od 1 Marca r. b. służył wojskowo sprawie narodowej – mianowicie w oddziałach pułkownika **Czechowskiego**, majora **Zapałowicza**, generała hr **Gołuchowskiego** miał później udział w powstaniu narodowym w oddziale złączonym pod naczelnym dowództwem Półkownika hr. **Wojciecha Komorowskiego**, gdzie jako podporucznik 4 - tej Kompanii Podp. **Longchamps** był w wykonywaniu swoich obowiązków zawsze najgorliwszym ze wszystkich oficerów kompanii, jeżeli czasem w służbie dla podkomendnych za przykrym co wytłumaczy tylko zbyt gorliwość o sprawę ogólną lub dobro kompanii, to za to oprócz służby był najserdeczniejszym i najszczerzym dla wszystkich żołnierzy kolegą – w boju walecznym i odznaczającym się prawdziwym poświęceniem życia męstwem, które przy duszy przeświadczyć i wyszczególnić jak najsumiennie nakazuje mi rzetelność i honor wojskowy.

Odnaczył się najpierw w dniu 2 listopada 1863 przy obronie miasteczka **Poryck** na Wołyniu, które zajęte przez naszych atakowaniem było z kilku stron jednocześnie już przez kilkakrotnie silniejsze siły moskiewskie. Porucznik **Longchamps** zostawał podczas tej bitwy i to w liczbie 13 tylko towarzyszy mocno na przedzie bojowej linii tyralierów składających się z samych tylko ochotników batalionu żuawów, których zadaniem było na południowej części miasta przeszkodzić rozwinięciu się gorąco nacierających tyralierów moskiewskich – mianowicie na ostatniej linii za cmentarzem katolickim i gdzie waleczność i nieograniczone tylko poświęcenie naszych zmusiło nieprzyjaciela bez porównania silniejszego do odwrotu i cofnięcia się w las pobliski. W boju tym por. **Longchamps** męstwem swoim i nieustraszoną odwagą dał przykład wzorowy oraz zjednał sobie u wszystkich kolegów szacunek i braterskie przywiązanie. Świadczyło mi to wieczór tegoż dnia wszystkich 70 wspomnianych ochotników – ja sam bowiem z moją własną kompanią, potem z 1- szą komp. żuawów i kilką ludźmi 3- ciej kompanii żuawów broniłem wskutek otrzymanego rozkazu wschodnio – południowej części miasteczka zajmując cmentarz izraelski gdzie od lasu nacierających Kozaków musiałem odpierać.

Podp. **Longchamps** odznaczył się potem dnia 3 listop. 1863 pod wsią **Peretoki** na drodze leśnej stanowiącą samą granicę ros. - austriacką gdzie oddział nasz pierwszy raz przez Austriaków, potem w chwilę później po raz drugi przez Austriaków, jako też i przez wojska rosyjskie przeważnymi siłami atakowany został. Po pierwszym ataku Austriaków odpadła znaczna część naszej piechoty i kilku

oficerów, którzy najbardziej znużeni i 5 - milowego zapowiedzianego nam jeszcze marszu wytrzymać się jeszcze nie spodziewając przyjęli propozycję dowódcy do cofnięcia się i poddania – propozycję wymuszoną tak przez austriackie wojsko jak i nie mniej przez pilące okoliczności z powodu nasuwających się znacznych sił moskiewskich żadnego innego środka uratowania oddziału jak szybkim udawaniem się w głąb Wołynia lub Hrubieszowskiego, co też szczęśliwie uskutecznić spodziewaliśmy się pospieszając za naszym dowódcą. Po chwili znowu zostaliśmy zaatakowani przez Austriaków, którzy nam znowu połowę prawie druga naszej piechoty zabrali. Wtedy konnica z dowódcą naszym ruszała pospiesznie drogą naprzód w wspomnianym celu przedarcia się, za nimi pozostali oficerowie nasi, którzy wszyscy na konie powsiadali, jak też kilkunastu pozostałych żuawów, którzy kilka będących przy boku furgonów dopadli i o ile to było jeszcze możliwym za dowódcą podążali. Ja wtedy nie mogąc z braku konia za konnicą podążyć a z towarzyszy kompanii widząc tylko 4 na wozach pozostałych, musiałem już dla kompletnego znużenia prosić wodza o moją dymisję, którą otrzymałem a nie mogąc zresztą bić się jako oficer austriacki przeciw otaczającemu nas austriackiemu wojsku poddałem się na słowo honoru dowódcy austriackiemu oddając mu swoją szpadę i rewolwer.

Wtedy odchodząc przywoływałem por **Longchamps** nadaremnie prosząc by się ode mnie nie odłączał i nie potrzebnie sam siebie nie narażał widząc w stanie w jakim były rzeczy – że wszystko zupełnie stracone, i chociaż się nie myliłem oddział bowiem w kilka minut po tym rozproszonym został z rozkazu dowódcy, który nie mogąc się już utrzymać, życie tej szlachetnie poświęcającej się młodzieży koniecznie chciał ratować. Wtedy ppor. **Longchamps** – to sam na własne oczy widziałem – z zapałem i nie mającym granic najwyższym poświęceniem ściągał do boju jeszcze ochotników i w ostatniej jeszcze chwili kilkunastu będących na wozach żuawów usilnym błaganem i do duszy przemawiającym głosem zatrzymał, a z dzielnością prawdziwego polskiego oficera w szereg tyralierów sformował i na ich czele z podziwienia godnym męstwem naprzeciw Kozaków już z lasu nacierających się rzucił.

Stawał w boju mężnie aż do ostatniej chwili a oprócz bohaterskiego poświęcenia i odwagi dał najlepszy dowód niepospolitych przymiotów jako oficer, który sam jeden sformował tych tyralierów (z całej reszty pozostałych żuawów) i sam jeden ich poprowadził w ogień, z którego ich także przy rozpuszczeniu oddziału szczęśliwie i rozsądnie wyprowadził.

Podanymi rozchodząc się z powrotem do kraju z kolegami moimi czuję się obowiązany świadectwo to złożyć w imieniu służby i stwierdzić je moim sumiennym słowem honoru, dalej wręczyć takowe koledze memu przyjacielowi **Franciszkowi Longchamps** tak w dowód uznania prawdziwych jego zasług – które i w Dziennikach Krajowych wymienione zostały jak i w dowód uszanowania, które winienem dochować bezgranicznie dla kolegi, który zaszczyt przynosi szeregom, którym służy.

Proszę go by został moim przyjacielem i chciał mnie nadal zachować w swej życzliwej i koleżeńskej pamięci.

Nominacja Pana **Porucznika Longchamps** mianowanego Podporucznikiem przez Rząd Narodowy zawartą zostaje.

29 października przyszedł rozkaz wyruszenia w lasy przedgraniczne celem odziania się, uzbrojenia i sformowania. .. wyruszyliśmy po spowiedzi i wysłuchaniu mszy świętej w kościółku miejscowym, do lasów poblizu folwarku tartakowskiego położonych, gdzie było już 300 – tu ludzi gotowych do pochodu. Pochód trwał bez przerwy prawie 6 godzin co najmniej a co najlepsze, że żaden z zebranych, oprócz przewodników, nie wiedział kędy droga, i naprawdę też, do dzisiejszego dnia nie wiadomym mi jest kierunek pochodu i miejsce zboru. Dość, że jakoś po północy dobrze, stanął transport w odwiecznym borze sosnowym, prawdziwym mateczniku skąd błyszczały ognie.

Ledwie ranek jesienny błysnął i pobudkę zatrąbiono wcielony byłem do oddziału **Komorowskiego**. Kompanii II zostającej pod komendą kapitana **C (Czaderski? Przyp.aut)**

Szybko postępowało się sformowanie; mundury wydano, broń, amunicję suchary i wódkę. Mundur oddziału **Komorowskiego** odróżniał się od tegoż **Rochenbruna** li wedle głowy tj. pierwszy miał kapelusze góralskie z szerokimi kresami, których przednia strona, na wzór żołnierzy Wallensteina była do góry podgięta, zaś drugi fezy czerwone, których kolor kutasów był odznaką kompanijną. Z moich znajomych kapitan **Fischer** dowodził I kompanią ubraną w fezy o kutasach czarnych.

Kompania II **Cz...** wyżej wspomniana od samego nawiązku należała do szczęśliwszych, a to; że powierzono jej sztandar pułku całego. .Obraz Matki Boskiej powiewał nad nią bezpośrednio, a co nas też wielce usposabiało buńczuczno i dumnymi robiło.

Wesoło więc było, ogień buchał z pod kotła, w którym warzono kaszę i mięsiwa; każdy coś śpiewał solo lub do chóru... Nastała noc ciemna, w borze czarnym tym straszniejsza., grzmią po lesie i tętnią w krew żołnierzy. Wszystko słucha. Już starzy to wojownicy , ostrzelani.

Idziem i idziem. Ten szepcze pacierz, ów wesołą piosenkę nuci.

Idziem... I w długi szereg,. Jakby duchy leśne wyciągnął się pułk półtora tysięczny...

Wyszedł pułk z lasów. Na równinie gdy słońko zabłysło odbył przegląd generał Kruk i pożegnał wkraczających znów w bory sosnowe.

Kapuśniaczek począł rościć, stać i komenda „, Obiad gotować „. Rozłożono ognie, a gdy żołnierze czyścili broń. Sztab cały. a szczególnie **Komorowski i Rochebrun** kłócili się między sobą o objęcie dowództwa na całą wyprawę... (konflikt znany jako sprawa **Sienkiewicza i Fr, Rochebruna**, w wyniku którego generał **Heydenreich – Kruk** przekazał dowodzenie wyprawą płk; **Komorowskiemu** a **Rochebrun** wyjechał do Francji – por, niżej Relacja nr 149 **Z. Kaczkowskiego**). Co się tam między starszyzną działo nie wiadomo mi do dzisiaj... I zaiste, myślę teraz poco były te kłótnie?! Kłótnie, które podług wszelkiego prawdopodobieństwa tworząc niesmak w sztabie, przyniosły zarzewie nieukontentowania, zwiększonymi trudami wojennymi i na żołnierzy i stały się powodem rozprzężenia, jakie później w kilka dni nastąpiło, po rozprawie pod **Baranimi Peretokami**.

Gruchnęło w obozie, że **Rochebrun** odjechał, zdawszy dowództwo na **Komorowskiego**. I pogłoska ta

zda się na prawdzie polegała...

Pod noc pochód dalszy przez lasy i wertepy ku granicy Wołynia. Kapuśniaczek całodzienny nie ustawał i dokuczał uparcie. Nad rankiem dzwony klasztoru OO. Bernardynów wzywały mnichów do rannych pacierzy, a marsz trwał bez przerwy i odpoczynku. Śpiewać nie wolno ani fajek kurzyć, Żołnierze krocząc śpią. Jakiś **Waligura** kompanijny, obepchawszy torby chlebem i słoniną, przywiązawszy całe płuca ze zabitego wołu do tornistra jest pobudką do żartów odnośnych gotowości jego wojennej.

Jednak kawaler **Albertus** milczy, dumając zapewne nad sposobem odpłacenia za żarty.

Zemścił się też istotnie, albowiem dowiedział później takiej odwagi zasób, zimnej krwi i nieszacunku wobec życia – o czym później, że szanować go poczęto i oryginalne zachowanie się uwzględniać, tem więcej iż zapasy jakie na sobie dźwigał, dzielił bez szemrania w czasie nie dostatku między wszystkich...

Cisza.. marsz dalej. Dzionek chmurny i deszczyk pomału nakapuje. W pobliskiej wiosce, przez którą pułk idzie, następuje złączenie się z oddziałem **Sienkiewicza**, który z innego obozowiska i inną drogą **Komorowskiego** tu dopędził. Mówią, że granica już blisko, oddział **Sienkiewicza** poszedł w awangardę..

Jeszcze jeden pagórek, Bug po lewej stronie, a o pół mili przed kolumnami oddziałów zebranych słupy graniczne. Żadnej już przeszkody nie widać jak oko zajrzy. Żadnych żandarmów ani wojska austriackiego, moskal, jeśli jest tam w lasku brzozowym, ha... to są ostre naboje. Hurra... naprzód!! Chociaż 18 godzinnym marszem żołnierz zmęczony, idzie wesół i pewien zwycięstwa.

Nie patrzę różowo, nierad jestem pochwał względem domu własnego, lecz wtedy... sądząc według rozpołożenia granicznego pasa i entuzjazmu żołnierza napadającego na liczbę naszych 2000 – przynajmniej 10- krotnego nieprzyjaciela, aby zdołał obronić się należycie i nie był przeparty, a czego dowodem sam **Poryck** ...

Granica. Brzozowy laszek mimo jesiennej sukni odmłodził gdy szczęk polskiej broni posłyszał. Odpoczynku chwil kilka. Okrzyki: Formuj się ! Ładuj ... poszedł pomruk od kompanii do kompanii. Baczność! Na ramię broń! Sztabowcy przesuwają się. Bagnety nałożone, i marsz..marsz w pochód na ziemię wołyńska.

Czardak obieńczyków moskiewskich pusty. Awangarda znalazła spódnicę czerwonego koloru, która kotłowy pułku przewiesił na ramię ku uciechu powszechnej..

Żdżary nad Bugiem niedaleko, Na pochyłości zabudowania folwarczne i wieś. Kroczy wojsko z zastosowaniem wszelkich ostrożności, i pod warunkiem determinacji aby zdobywać dla się odpoczynek po 24 – godzinnym niemal bezustannym marszu.

Wężem wcisnęliśmy się do wsi i na folwark. Awangarda zdobywa kilkanaście baranów. Z powodu tego uciecha wielka dla zgłodniałych żołądków. Zjemy całe stado... i tak się stało prawie dosłownie.

Deszcz leje strumieniami a ciemno jak w rogu. Druga kompania w awangardę ... i podwójnym o ile możliwości krokiem po błocie wołyńskim. Jedną nogę człowiek ledwie wydobył z topieli grząskiej a już

druga załazła. Druga kompania na przedzie. Pierwszy strzał pójdzie z jej karabinów i pierwszy trup będzie w jej szeregach. **Tarnowski** poszedł na ochotnika w szpice. Wraz z nim **Albertus**, który znowu w Żdżarach, ukradł pół barana i przytoczył do tornistra. Wlecze się i stęka jak wóz cygański, ale maszeruje

Szarzeń poczęło, gdy się strzały odezwały na tyłach pułku. To kozunie na wywiadach. Przywitano ich niegrzecznie, dwu potoczyło się w kałużę – reszta pierzchła. Las się przerzedził. Przed nami **Poryck** we mgle i deszczu; a z zasłony tych przezierają bagnety i puszk. Kawaleria nieprzyjacielska na lewym skrzydle. Widocznie, że na nas czekają.

Kawaleria pomknęła na front ku prawemu skrzydłu przeciw dragonom moskiewskim. Kilka strzałów. Stać!... i w prawo to w lewo zachodź. Kompania za kompanią tworząc kolumny szturmowe z bagnetem w ręku idą naprzód, nie opatrując nawet broni do strzału. I tu zdobyć nam należy legowiska i odpoczynek po całonocnym przez błoto pochodzie. Zastępy moskiewskie u wrót **Porycka** się mieszają. Czy nie mają prochu?! Prawdopodobnie karabiny pozamakały.

Hurra... i pierzchli nie dawszy strzału. Powolnym po błocie chodem, wychodzą jedną stroną miasteczka, gdy **Komorowski** na czele piechoty i kawalerii drugą wkracza.

Zajmujemy kwatery po chatach i u Żydów. Mieszczanki rzną prosiaki i warzą kapustę. Ja, **Tarnowski** i kilku z drugiej kompanii stanęliśmy na kwaterze u chłopki wdowy. Rozpaliła ogień, nastawiła garnek ziemniaków, a my się odsuszamy i czyszcimy broń obmokłą. Biedne kobiecisko nakrywa stół i gości czym może. **Tarnowskiemu** łzą zaszyły oczy. Coś Babie wtyka a ona przyjąć nie chce.

Padło kilka strzałów i do broni... odbiło się echo po chatach. Dobrze, że broń czysta i świeżo nabita. Lecimy niemal w kierunku skąd przybyliśmy. Za okopem i cmentarzami dwie sotnie Kozaków i dragoni wgrać zaczęli. Z pod lasu wysforowało się kilka rot piechoty – armaty i tyralierzy nieprzyjacielscy. Z za stert rażą częstym ogniem.

Z cmentarza naprzód.. w tyralierzy.. i kryć się do rowów woła major **Biliński**. Nie strzelać na wiatr, niech się przybliżą. Regularnie i statecznie grzmiały strzały, gdyby na mustrze. Co który tyralier moskiewski wytknie głowę z poza sterty już nią kiwa gdyby Żyd na szabas.

Major **Biliński** zleciał z konia. Pada a klnie. Myślałem, że zabity, a to mu koń osłabiony utknął.. Majorze... zleż do nas do rowów ... woła **Tarnowski**, koń twój biały... przydajesz się na dobry cel. Albo ja żaba abym w rów laźl... Pociemniało mi w oczach... Myślę, oho... przychodzę do siebie... otwieram oczy, szyja mi zeszywniała jakby wilcza... A tak rozcieram - ale nie pomaga... to kontuzja.

Albertus nasz z baranem wylazł z rowu, idzie przed front linii. Sypią się nań strzały gradem. On strzela najspokojniej. Gdy nabija to się obraca baranem do nieprzyjaciela. Kapitan Cza.. krzyczy do niego ...a zleziesz nazad do rowu?! Ja także nie żaba!

No... i my nie żaby rzecze kapitan. I hajże z rowów w tyralierkę – a sposób to wojowania miły – milszy od polowań najgustowniej ułożonych i uplanowanych. Naprzód tedy bliżej ku Moskwie – pod skórę jej. Hurra... zza stert co jeszcze żywe umyka do rot, a z temi i z puszkami do lasu. Hurra... i przy nas zostaje

pobojowisko. Dzień ku schyłkowi a kapuśniaczek jak ciął , tak tnie.

Na cmentarzu kopią grób dla poległych. Poszliśmy nosić trupy. Ot... pod laskiem poległ waleczny rotmistrz kawalerji, **Boleski**, z 8 – oma towarzyszami. Porąbano ich w kawały. Głowy podcinane, ręce, nogi. **Boleskiego** poznaliśmy po kosmyku siwych włosów... Wszyscy poobdzierani do naga. Ziemia stratowana na okół i krwi jezioro. Na tem miejscu nie było pardonu. Opierał się **Boleski** całemu szwadronowi dragonów. Oparł i padł. Lecz uratował prawe skrzydło i rozstrzygnął bitwę. Zebraliśmy szczątki bohaterów na płaszcze i niesiemy do grobu rozmyślając nad nieżołnierskością żołnierza moskiewskiego, pastwiącego się nad trupami.

Anioł Pański...za spokój duszy kolegów bohaterów... pomódlmy się ... I jak na komendę odezwał się także dzwon kościółka poryckowskiego do modlitwy za zmarłych ! I dzisiaj... po tylu już latach, polecam **Boleskiego** i 8 – miu jego towarzyszy walecznych... najwaleczniejszych ... modlitwie szczerzej i wielkiej; dzieł niewinnych i ludzi prawych.

Anioł Pański ... zmówcie... proszę ... i wieść o żandarmach, pod **Poryckiem** ległych, nieście w świat pomiędzy polski lud.

Wracając z pobojowiska, idą żołnierze na kwatery noclegowe, kompania druga rozłożyła się po domach żydowskich, kędy były kwatery moskiewskich oficerów. Weszliśmy do kolegów - nieprzyjacielskich pomieszczeń. Jest się jakby w domu, a dotycząc tego, chwyta jeden za samowar aby zastawić, drugi bierze się do przemiany butów, trzeci poszukuje za koszulami, mnie się dostały szlify i biblioteka, w której ostatniej znachodzę dzieła polskie – małorosyjskich. Rozgospodarowano się na piękne i tytułem pożyczki praporszczykom schodzone buty zmoczone kożuch i brudne koszule.

Północ – świstawki kompanijne piszczą przeraźliwie hasłem pobudki, Oddziały zebrane. Przy świetle księżycy ruszają podwójnym krokiem w kierunku powyżej opisanego placu potyczki całodzienniej. Za miastem kompanie się wyrównały, awangarda rozsypała się na flankiery, gdyż las przed nami, a gros pułku w zbitych kolumnach sunie naprzód i naprzód. Jeśli w lesie zaczął się nieprzyjaciel to pozycje jego zdobywać trzeba. Co chwila oczekują strzałów w środek nasz, z armat ustawionych na szosie pod zakryciem zasiek z drzew. Stopy dotykają ledwie ziemi. Las oto już. 10 000 kroków... 5000... Bacność... Ciężka będzie przeprawa i krwawa, lecz udać się musi – czuje to każdy. Na komendę szczękła broń. Wzrok wytężony i ucho. Naprzód ... bez strzału pójdziem ... na bagnety ... gdyby nawet zginąć do ostatniego.

Naprzód... 2000 kroków ... 100 i drzewa wyrazistszą barwę i kontury. Już pod lasem- jużemy w lesie – a tam bokami ... ponad kraj lasu – hen mignęły lance kozackie w dzikim popłochu.

Zorza ranna zaświtała, gdy oddziały kroczyć zaczęły przez granicę austriacką. Był to manewr wymieniony, ze strony **Komorowskiego** obmyślany: a to wedle danych następujących: po zwycięskiej potyczce pod Poryckiem, przybyły moskiewskie posiłki, które nocą starały się otoczyć **Poryck** i tamże **Komorowskiego** zmieść lub zmusić do poddania.. Poznał to dowódca i nim pierścień moskiewskich wojsk się zetknął, nim moskale odgadli plan i zamiary **Komorowskiego**, gdy tenże drogą wolną wymknął się do granicznych szlaków, aby te przeszedłszy, lasami nadbużańskimi stanąć niejako na

tyłach nieprzyjaciela. I rzecz cała już dobrze rozwiązywać się poczęła, Moskale stracili nasz trop – a przynajmniej nie pojmowali manewru Komorowskiego w kierunku granicy, myśląc i spodziewając się iż główne siły zostały w *Porycku*, a reszta wyszła aby obsadzić drogę leśną ku granicy wiodącą, to jest linię odwrotną – gdyby nie ucieczka przedwczesna posterunku austriackiego z wiatraku w *Baranich Peretokach*.

Szpica złożona z kilku Kozaków, źle wszechstronnie się popisała, gdyż mając nakaz aresztowania lub skneblowania wszelkich wedet austriackich, pozwoliła tymże umknąć. Wskutek czego powstał straszny alarm pomiędzy dwoma kompaniami piechoty i u szwadronu huzarów konsystujących w *Baranich Peretokach*.

Zwróciliśmy się więc do lasu *Baranich Peretok*, popod las, na powrót i prosto do niedalekiej, dopiero co przebytej granicy, aby nie wejść w konflikt z Austriakami, którzy też krok w krok za nami postępowali rugując niejako za pas graniczny.

Komorowski i sztab udali się na tyły, aby odwieść dowództwo austriackie od zamiarów względem zdradzenia pochodu ponad nosy prawie moskiewskie. Przysięgli i słowem się związali; lecz między nimi znalazł się zdrajca. Jakiś kapitan austriacki, Czech – brat, wyprowadziwszy kompanię swoją aż na drogę graniczną kazał sypać salwami aż się drzewa trzęsły.

Salwy te były umówionym znakiem, czy też stały się takowym dla bliskich Moskali, a zgubą równoczesną dla wymykającego się pułku **Komorowskiego**, który widząc plan swój rezolutny zniweczony, udał się do Austriaków, którzy równolegle z nami kroczyli po swojej stronie. Tam posypały się rady i przedstawienia, że jest otoczony, że nocą ściągnęła Moskwa 5000 wojska ze *Świniuch* i.t.p., i że daremnie winien będzie krwi. Słuchał **Komorowski** wszelkie te perswazje; a słuchając stracił na tej determinacji, która mu pomogła do zwycięstwa dwukrotnego po *Porykiem*, stracił na wolnej myśli i na zimnem rozpatrywaniu okoliczności i stosunków!?

Oddziały tymczasem pod wodzą **Bilińskiego** stanęły na przestronnej polance leśnej, między lasami wsi *Baranich Peretok* a tymi *Porycka* rozpostartej. Niedługi był spoczynek. Strzały gęste posypały się na tyłach. To konnica **Komorowskiego** ściera się z dragonami i kozakami. Dzielnie się spisali - napad odparli.

Lecz Moskwa uparta. Znowu brzęczą o tym szable po karkach moskiewskich, a któryś z konnych, mężczyzna tęgi i zamaszysty, chociaż mu czapkę lanca strącili, rękę przestrelili, on pułkowodzcę moskiewskiego ubił i jako trofea przynosi szlify i szablę nieprzyjaciela.

Dzielny żołnierz - szepcze koło mnie **Tarnowski**. Dzielny... chwali go **Komorowski** – opodał.

Konnica gotuje się do nowego natarcia. Woła na mnie konny jakiś ; oj kolego... ratuj już dwa razy z konia zleciałem.... Kozacy już dwa razy mnie mieli, jednak już chwyciłem za ogon koński i z matni się wydostałem Szedłem dopomóc, a tu huk armat, świst kul i granatów – przeszkadza wszelkiej pomocy.

Kapitan wzywa „do szeregu „. Niosą rannych już. Ten się zachwiał, jęknął , upadł, ów sycząc z bólu – raczkuje w krzaki. Widzę **Malinowskiego**, jak się pokłonił i spadł głowa na dół.

Zamęt, rozgardiasz, **Komorowski** stoi na koniu, na około starszyzna i oficerowie. Radzą, a za czym przeczuwa żołnierz przejście granicy. **Tarnowski** szepcze chorążemu: zdejm i schowaj sztandar – aby Niemcy nie zabrali. Sztandar zdjęty a równocześnie głoszą sztabowcy i **Komorowski**:

- Cofać się ku granicy!

Cofamy się tedy wśród gradu kul, kolumny moskiewskie napierają, starają się otoczyć. Jednak uśmierzamy ich zapędy kulami i przeproszeniem, żeśmy nie pobici jeszcze.

Awans nieznaczny i cofanie się bezustanne – oto obraz walki krwawej na polanie **Baranich Peretok** i lesie austriackim od południa do zmroku. Padnie który, jeśli trup to go zostawiają, ranny – to biorą, i tak pomału, noga za nogą, jakby to nie walka o śmierć i życie lecz spacer, przechodzi pułk **Komorowskiego** w rozpostartych falangach granicę.

A Austriaków już ani znaku. Uchylili się z pod pocisków niosących śmierć i na neutralnym gruncie.. Bronią nasze zastępy państwa habsburskiego granic. Ani kroku dalej. I Moskwie, ani armaty, ani siły przeważne nie pomagają. Utknęła.

O gdyby dowódca na tedy krzyknął – rozkazał naprzód i naprzód... byłby pod wieczór nieprzyjaciół zostawił nawet armaty, tem bardziej, że mu już wtedy nabojów brakło. Lecz dowódcy i sztabu nie było! Noc... a promienie rannego słońca oświeciły pobojuwisko, zalane naszymi i moskiewskimi trupami.

Pobojuwisko puste... Nieprzyjaciół cofnął się przed nami – my przed nieprzyjacielem, z tym dodatkiem, że on miał czas do opamiętania się będąc wolnym – a my zaś znaleźli się zamknięci, w szpitalach jedni, w kazamatach austriackich drudzy, a reszta blakąca się po lasach.

Ostatnimi, którzy przeszli granicę byli: **Władysław hr. Tarnowski**, ubrany w swój poszarpany płaszcz, bez kapelusza na głowie i chorąży nasz pułkowy, Obaj stanowili niejako ariergardę niejako kompanii II i II i kompanii kapitana **Fischera** zasłaniających niejako odwrót całego oddziału **Komorowskiego**.

Dnia 1 czerwca 1878

Kalinowa

Kalinowa „ Wyprawa na Poryck ” Gazeta Narodowa Poznań 1878 nr. nr 162, 164, 165.

Formowanie oddziału

Nareszcie dnia 25 października rano przybyłem do obozu i uścisnąłem serdecznie dłoń **Komorowskiemu**, którego już zastałem. Niemym a wymownym wzajemnym uściskiem dziękował mi pułkownik za dotrzymanie danego mu słowa.

Teraz odetchnąłem pełną piersią czując się jakoś swobodny. Wesoło też witałem znajomych, których było dosyć, bo wielu z dawnych żuawów zapisanych było do **Komorowskiego**; witałem się serdecznie z **Czaderskim**, którego już zastałem – jednym słowem, czułem się zadowolony, orzeźwiony tem powietrzem polskiego obozu. Co chwila teraz przybywały nowe partye ochotników; a w nich dawni znajomi; gwaro więc robiło się w obozie, bo wszyscy mieli co opowiadać po przebytych trudach

i niepokojach kwaterowych.

Wtem patrzę przyjeżdża furą **Zbierkowski**, a za nim wkrótce **Kahane**; z rozczeniem ściszałem obydwoh....Obydwa ci bohaterscy młodzieńcy stracili, jak opisałem po jednej ręce pod Grochowiskami; teraz, kalcy spiesz drugi raz w szeregi narodowe, aby, nie już ramieniem, którego nie mieli, ale piersiami walczyć z wrogiem – wskazywać, jak się poświęca całego siebie dla ojczyzny.... Dnia 26 października nazajutrz po moim przybyciu, już wszyscy prawie należący do oddziału **Komorowskiego** zgromadzili się w obozie Kapitanom, dowódcą kompanii, utrzymującym w ewidencji swoich ludzi polecono teraz ustawienie ich w szeregi. Kompanii było cztery po 100 ludzi, a więc oddział liczył 400 żołnierzy, prócz kawalerii, której miało być 60 koni. Po ustawieniu wszystkich poznaczal **Komorowski** każdą kompanię numerem, a następnie przed frontem każdej mianował oficerów w imieniu Rządu Narodowego. Gdy stanął przed trzecią kompanią ogłosił: kapitanem kompanii mianowany **Ferdynand Czaderski**; porucznikiem **Stanisław Grzegorzewski**, podporucznikami; **Władysław Zwierkowski** i **Rudnicki** (imienia nie pamiętam). Dowódcą kawalerii, rotmistrzem był, zdaje mi się **Obertyński**... pod- porucznikiem **Ksawery Bolewski**, adiutantem **Komorowskiego** **Izidor Dzieduszycki** a później także jako drugi **Aleksander Zieliński**...

Miałem też zaraz na wstępie wielkie zadanie do spełnienia, to jest umundurowanie i uzbrojenie całej kompanii; energicznie jednak tą czynność prowadząc – bo z żołnierzami, którym ciągle było to i owo niewygodnym nie można było inaczej, przed wieczorem jeszcze wszystkich ubrałem.

Nadmieniam przy tem, że w ciągu nocy, po rozdaniu kożuchów i butów, znikło kilka dziesiątków ochotników z całego obozu. Na to nie było rady.

Mundurów właściwie nie było. Żołnierze otrzymywali białiznę spodnie buty i kożuchy bo to szło pod zimę. Te kożuszki jednakowego kroju i koloru i kapelusz pilśniowy takiego kształtu jak druciarze noszą, tylko z prostymi kresami, stanowiły rodzaj mundurów. Z tych kapeluszy ogromnie wszyscy byli niezadowoleni, bo wyglądało się w nich potwornie; ale tak dziwaczył zawsze na punkcie ubrania **Komorowski**. Ja sam nie chcąc nosić tego kapelusza, zawsze dbały o swą powierzchowność, wziąłem sobie czapkę barankową jakiegoś kolegi, który musiał w szeregu kapelusz nałożyć. W zamian za guńkę wziąłem sobie także kożuszek, bo zdawało mi się, że w nim będzie cieplej – a kapitalne głupstwo zrobiłem.

Odznaki oficerskie i w ogóle starszyzny stanowiły paski z czerwonego sukna na obu ramionach , tak jak u moskali, na których przyszywano austriackie gwiazdki oficerskie lub kaprałskie. Jedną z tych pałek, które wówczas nosiłem do dziś dnia posiadam i chowam na pamiątkę...

Broń była dobrą, karabiny nowe, lepsze niż z początku powstania. Ładownica , noszona z przodu, zawieszona była na pasie, który służył jednocześnie do ściskania kożuszka. Uzbrojenie oficera stanowił tylko pałasz i to tylko stary austriacki, kawaleryjski. Rewolwerów nie dawano, ale każdy mógł mieć własny i tak po największej części było. Ja, oprócz rewolweru, którego nie miałem nosiłem piękny sztuciec, prezent od **Wład. Tarnowskiego**; sztuciec ten z bardzo górnolotną dedykacją był mi ofiarowany i był mi w całej wyprawie bardzo miły bo lekki i nadzwyczaj zrzęzny.

Gdy już wszyscy byli ubrani i uzbrojeni zacząłem uczyć musztry swoją kompanię bo trzeba było choć trochę oswoić ludzi z bronią, szczególnie tych co nigdy nie mieli karabina w ręku. Trzeba ich było uczyć ruchów, aby można było tego wojska użyć; niewiele jednak można było zrobić w ciągu czterech dni, które trwała nauka. W obozie **Żdżarskim** biedy nie było; wprawdzie z przysmaków dworskich zeszliśmy na wikt obozowy, ale jedzenie mieliśmy dobre, ciepłe – była wódka, nawet tytoń rozdawano. Ochota też była dobra, a duch żołnierzy najlepszy – tylko tego humoru jakim w Goszczy wszyscy byli ożywieni już nie było. Do poważniejszego nastroju przyczyniał się w znacznej części jesienny kapuśniaczek, który zaczął padać z samego początku gromadzenia się naszego i dokuczał bardzo. W dzień było jeszcze jako tako, ale w nocy deszczyk ten zatrzymywał się w chruście, z którego porobiliśmy sobie szalasy, a z chrustu grubymi kroplami spadał na nas śpiących. Przy ogniskach nie było także animuszu, ani tak ożywionego gwaru jak w **Goszczy** gdzie jasne słońce wiosny i nadziei przyświecało; teraz kapuśniaczek jesienny zakwaszał najweselszych, urodzonym nawet śpiewakom zamykał usta.

Jeszcze we **Lwowie** wiedziałem, że równocześnie z oddziałem **Komorowskiego** formuje się i drugi oddział pod dowództwem **Rochebrune’a**, lecz o związku między nimi nie wiedziałem. Dopiero w obozie **Żdżarskim** dowiedziałem się, że postanowionem było przez sfery wojskowe, aby 8 oddziałów wkroczyło równocześnie na **Wołyń**, że obecnie w tym celu zgromadziły się 3 oddziały pod dowództwem **Rochebrune’a**, **Komorowskiego** i **Sienkiewicza** nad którymi objął naczelnictwo generał **Kruk - Heidenreich**. Podobno do tej liczby należeć miał 4 oddział pod dowództwem **Aladara**, jakiegoś Węgra, ale o nim w obozie naszym nic nie słyszałem. Nasz oddział w tym organizmie liczbą 7 był oznaczony. Wymienione trzy oddziały miały się formować każdy na wyznaczonym dla siebie miejscu i zgromadzić się potem na jednym punkcie zbórnym w lesie **Żdżarskim** na północ od **Sokala** i **Skomoroch**. My z naszym obozem byliśmy najbliżej tego ostatecznego punktu zboru, dlatego, aż do czasu wymarszu za granicę pozostaliśmy na miejscu.

W czasie zbierania się innych oddziałów zaszły wielkie zmiany w naczelnym dowództwie. Głuche wieści dochodziły o nieporozumieniu dowódców, które niestety były prawdziwe. Mówiono, że **Sienkiewicz** zgubił w marszu na punkt zbórną część swego oddziału, że wskutek tego **Kruk** zrobił mu wymówkę, a **Gerlicz** adiutant **Sienkiewicza** chciał z rewolweru zastrzelić zasłużonego generała; powiadano dalej, że **Kruk** zrażony taką niesubordynacją porzucił naczelne dowództwo wyprawy i odjechał do **Lwowa**. Wiadomości te były bardzo przykre i przygnębiające dla nas bo generał **Kruk** wzbudzał wielkie zaufanie w żołnierzach i mieliśmy to przekonanie, że pod jego dowództwem moskale znów dostaną tak dobrego łupnia jak pod **Żyżynem**. Nadzieje tak świetnego powodzenia znacznie się teraz zmniejszyły.

Wskutek tych wypadków naczelne dowództwo nad połączonymi oddziałami objął teraz najstarszy rangą generał **Rochebrune**.

Dnia 29 czy 30 października przybył na lustrację naszego oddziału wódz naczelny. Nie był to już ten sam **Rochebrune** spod **Grochowisk** – zupełnie teraz inaczej wyglądał; zamiast munduru żuawskiego

nosił surdut jakiś tabaczkowy a la **Napoleon**, kepi i lakierowane buty.

Generał nie kazał występować oddziałowi w całym rynsztunku, tylko spacerował między żołnierzami po obozowisku. Tu i ówdzie poznawał dawnych podkomendnych i witał się uprzejmie ze znajomymi, Lustracja odbyła się rano; zaraz też po odjeździe **Rochebrune’a** zostałem odkomenderowany jako oficer ordynansowy naszego oddziału do głównej kwatery. Wybór na mnie padł zapewne dlatego, że wyróżnił mnie generał dosyć życzliwie a najwięcej zapewne dlatego, że mógł do mnie po francusku swoje uwagi czy rozkazy wypowiedzieć. Po otrzymaniu instrukcji służbowej udałem się natychmiast na moje stanowisko przy **Rochebrunie**, którego obóz niedaleko od naszego założony był w lasach **żdżarskich**.

Za mojej przy nim bytności byłem świadkiem niemiłego, a poważnego w skutkach zajścia – wydarzył się wypadek, który wpłynął na losy całej naszej wyprawy. Siedząc obok szafasu naczelnego wodza u ogniska i słuchając projektów o wyprawie; spostrzegłem naraz, że zbliża się jakaś grupa wojskowych, żywo rozmawiających, kłócących się ze sobą. Sprawa wytoczyła się przed **Rochebrune’a**, z której okazało się, że jacyś oficerowie wydobywali samowolnie tytoń z furgonów dla swoich żołnierzy. Była to niesubordynacja rażąca i godna skarcenia, ale nie było to znów takie przekroczenie, aby miało spowodować poważne skutki dla oddziału. Polak dowódca na takie przekroczenie byłby może więcej wyrozumiały, ale Francuz nie mógł – a prawdopodobnie nie chciał zrozumieć, że w wojsku powstańczym nie można wprowadzać dyscypliny regularnej armii, wpadł więc w gniew, unosił się krzyczał, groził sądem wojennym i kazał aresztować winnych. Ci, podrażnieni krzykiem i gorączką Francuza zaczęli hardo odpowiadać, podnieśli także głos i oświadczyli, że aresztować się nie dadzą.

To jedno jasno pojawiwszy, nie rozumiejąc wiele po polsku i zgorszony takim brakiem karności, a podniecony już generał powiedział w końcu zwracając się do nas wszystkich:

- Kiedy wy nie umiecie słuchać i szanować waszych dowódców, to bądźcie zdrowi – adieu.

Kazał osiodłać konia i porzucił obóz.

Rochebrune’owi musiała już dawno świtać w głowie, myśl porzucenia obozu, zaraz zapewne po awanturze z generałem **Krukiem**, gdy z powodu starszeństwa rangi musiał objąć naczelną komendę nad wyprawą. Teraz skorzystał ze sposobności aby uciec.

Według mego zdania głównym powodem odjazdu **Rochebrune’a** była ambicja, ten tak potężny motor czynów ludzi na wybitniejszym stanowisku. Jako teraz wódz naczelny, oceniając teraz z tej wysokości widoki powodzenia wyprawy, nie chciał na szwank narażać zdobytej już sławy i udał zagniewanego srodze, aby się wycofać i uchronić imię swoje i osobę od związku z przewidywaną klęską.

Przy tej sposobności wspomnieć muszę, że nadzwyczaj przykre wrażenie zrobił na mnie odjazd wraz z **Rochebrune’em** jego dwóch adiutantów Polaków. Panowie ci, widocznie tylko po to przybyli do obozu aby adiutantować generałowi i błyszczeć lakierowanymi butami, a nie po to aby bić się z moskalami za ojczyznę, jak to powinno być ich najpierwszym obowiązkiem. Niechby tam Francuz sobie jechał, ale sam; mniemam nawet, że bez towarzystwa i jakby aprobaty swojego postępu, żołnierz

i to tęgi żołnierz ,jakim był bezsprzecznie **Rochebrune** powróciłby do żołnierzy i wyprawa wołyńska inny obrót byłaby wzięła.

Ale stało się.

Natychmiast zdałem raport **Komorowskiemu** o tym co zaszło; był zmartwiony i tym więcej to odczuł, że teraz gdy nie stało **Kruka** i **Rochebrune’a** musiał na siebie przyjąć naczelne dowództwo wyprawy i odpowiedzialność za jej powodzenie.

W obozie wiadomość o nowych swarach przykre sprawiła wrażenie; wysunięcie jednak **Komorowskiego** na naczelnego wodza przychylnie zostało przyjęte, bo był ogólnie lubianym; jako zaś były kapitan żuawów budził nadzieję, że potrafi poprowadzić nas do zwycięstwa.

Teraz podam małą sylwetkę nowego naczelnego wodza wyprawy na **Poryck**.

Wojciech hrabia Komorowski, podporucznik wojsk austriackich odbył kampanię włoską w r. 1859, potem jako kapitan w żuawach odbył kampanię pod **Langiewiczem** i był ranny pod **Grochowiskami**.

Był to człowiek lat najwyżej 30 – stu, średniego wzrostu, przystojny blondyn o wydatnych rysach, bardzo pocziwych oczach i zuchowatej powierzchowności. Dodawszy do tego charakter zacny, szlachetny, a słaby i niezdeterminowany, otrzymamy typ bardzo często wśród nas Polaków widziany i prawie zawsze nieszczęśliwy w życiu. Jako podkomendny oficer był i byłby zawsze doskonałym – bo odważny, inteligentny i posłuszny, mógł oddać znakomite usługi. Jako wódz naczelny był do niczego; nie umiał być stanowczym , nie umiał rozkazywać, nie umiał się decydować w jednej chwili, a młody, nie miał doświadczenia, by mu podszeptało. co w danych okolicznościach uczynić po winien. W tej wyprawie wołyńskiej, wszyscy bliźsi znajomi, kręcili się około jego osoby, a on nikomu nie powiedział: „ idź, Pełnij swoje obowiązki „, ale przeciwnie, słuchał każdego i rozmawiał uprzejmie, chociaż w duchu był zły i myślał „, po co on się tu kręci „.

Dodam jeszcze, że był bardzo religijny, skłonny do mistycyzmu, nawet ślady mistrza **Towiańskiego** spostrzegłem w listach jego, już po powstaniu pisanych do mnie z **Bordeaux** do **Gandawy**. Szczegół ten przytaczam dlatego, że ta religijność i przejęcie się ważnością postanowienia o wydać się mającej bitwie, o życiu i śmierci tylu osób, nie licowały ze stanowiskiem naczelnego wodza i ostatecznie zdecydowały o rozproszeniu się oddziału i nie udaniu się wyprawy wołyńskiej

W ogólnym zestawieniu, wyprawa na **Poryck** składała się z oddziału **Komorowskiego**, liczącego około 300 piechoty i kilkadziesiąt koni; z dawnego oddziału **Rochebrune’a** teraz pod dowództwem **Zapałowicza**, także w tej samej mniej więcej sile, i z oddziału **Sienkiewicza**, może trochę mniejszego. Razem trzy te oddziały mogły liczyć około 900 ludzi.

Tak więc w końcu października wszystko było gotowe do wymarszu i do walki z wrogiem – i można było, nie przewidując naturalnie dalszych smutnych wypadków zapomnieć o świeżo minionych, rozpogodzić czoło i jaśniej patrzeć na świat, gdyby nie ten kapuśniaczek, który przez cały czas obozowania naszego w lesie zdarzkim nie ustawał, gdyby nie ta szarota na świecie, gdyby nie te pożółkłe liście spadające z drzew do niedawna tak zielonych, które ponuro usposabiały i jakieś przygnębiające wrażenie sprawiały. Do takiego nie milego stanu duszy łączyły się jeszcze dolegliwości

fizycznej natury. Skóra na moim kożuszku nie pokryta suknem, zaczęła namakać, już nawet przemokła na ramionach, a rękawy tak zgrubiały, że wyglądały jakby spuchnięte. Gdybym się guńki mojej nie pozbywał, byłbym we własnych moich oczach daleko mądrzejszy; nie mogłem już jednak do niej wrócić, opinii o sobie poprawić, a przede wszystkim ochronić ciała od wilgoci, którą do dziś dnia w kościach czuję.

Nareszcie nadeszła długo oczekiwana chwila.

WYPRAWA NA **PORYCK**

Pierwszego listopada koło południa dano rozkaz do wymarszu, oddział więc uformował się w kolumnę, w której nasza kompania zajęła jakieś środkowe miejsce i ruszyliśmy ku granicy **Wołynia**. W dniu tym kapuśniaczek ustał, słońce zaczęło się pokazywać i rzucało jaśniejsze promienie na stroskaną przyrodę, rzucało jaśniejsze promienie otuchy w serca naszych żołnierzy, a pod wpływem tych promieni wystąpił długo tłumiony humor u dowcipnisiów, których w kompanii było niemało. Szliśmy więc teraz z całą swobodą, z całą świeżością sił duchowych i fizycznych, a co chwilę słyszeć było można wybuchy śmiechu i wesołości.

Wspomnienie też tego marszu byłoby mi bardzo miłe, bo lubiłem, aby w kompanii było wesoło, gdyby nie ów kożuch namokły, który ociążał i tak się wydłużył, że z kubraka przemienił się w kapotę po kolana; wyglądałem jak sflażony szewc zdążający na jarmark, nie jak oficer chcący imponować dziarskością swojej postawy.

W czasie tego marszu spotkaliśmy patrol austriacki, który z bronią u nogi przypatrywał się w milczeniu na przeciągający nasz oddział, prawdopodobnie oficer dowodzący uznał jakiegokolwiek odezwanie się swoje za bezcelowe wobec siły, w jakiej maszerowaliśmy.

Idąc dalej bez przygody i wypadków doszliśmy już wieczorem nad granicę, gdzieś wśród lasów przenocowali, a z rana udaliśmy się w dalszy pochód. Po półgodzinnym marszu dostaliśmy się na drogę graniczną, wśród lasów w tym miejscu położoną, z której zbaczając, wkroczyliśmy teraz na teren zaboru rosyjskiego..

Na granicy nie było już żadnego moskala: zdaje się, że musieli mieć wiadomość o naszym zbliżaniu się i w czas uciekli, szliśmy więc dalej nieniepokojeni dano nam znów spoczynek i posiłek, choć to było jeszcze przed południem. Po tym odpoczynku mieliśmy maszerować wprost na **Poryck** i zająć to najbliższe granicy austriackiej miasteczko na **Wołyniu**. Rozdzielił więc półkownik wojsko nasze na trzy kolumny, aby z trzech stron uderzyć na wrogów, a gdyśmy wkrótce wyszli z lasu, to jest gdy nasza kolumna wynurzyła się z lasu, ukazała się nam otwarta równina, na której w dali widzieć można było jakąś wielką osadę, domostwa, wieże kościoła i cerkwi, jednym słowem miasteczko – **Poryck**.

Coraz bliżej podchodząc widzieliśmy jak Kozacy na wszystkie strony pojedynczo z miasteczka się rozlatywali – a byli to już tylko maruderzy bo załoga moskiewska wcześniej wyniosła się, jak się o tym wkrótce przekonaliśmy .

Około godziny 2 – gie po południu dnia 2 listopada, w dzień zaduszny, weszliśmy do **Porycka** drogą od zachodu, między dwoma cmentarzami wiodącą i zatrzymaliśmy się na rynku.

Poryck nad Styrem siedziba **Czackich** i miejsce urodzenia **Tadeusza Czackiego** założyciela Liceum Krzemienieckiego; nie odznacza się niczym szczególnym – rynek i domki lepiące wokół – parę uliczek z rynku się poczynających, ot i całe miasteczko. Podobno pałac i park mają być piękne, ale tych nie miałem czasu iść sposobności oglądać.

Nie dokładnie jednak zapisałem wyżej, że **Poryck** nie odznacza się niczym szczególnym: owszem była jedna właściwość, która żywo przypomina się mej pamięci: było tam błoto nigdzie indziej niewidziane, szczególnego gatunku, jakieś rzadkie, płynne, a tak głębokie, że cholewy od butów trzeba było dobrze podciągać, aby się do środka nie nalało. Tu też z mego kożuszka, z mojej kapoty, już dobrze wysłużonej zrobił się chałat żydowski, który kazałem żołnierzowi uciąć spodem z pół łokcia, bo ruszać się nie byłem w stanie.

O! szkaradne było to błoto! – od przekleństw nie można się było wstrzymać.

W tym usposobieniu i w tych warunkach staliśmy więc na rynku czas jakiś, oczekując na dalsze rozkazy i patrząc na ciekawe głowy pejsate, które z drzwi i okien bojaźliwie się wysuwały. Musieliśmy jednak cierpliwie czekać na te rozkazy, bo zależne one były od wiadomości, jakie przyniosą rekonesanse kawalerii wysłane na wszystkie strony dla zbadania siły i zamiarów moskali. Już też wten czas dowiedzieliśmy się, że jeden z tych rekonesansów, z siedmiu ludzi złożony pod dowództwem **Boleskiego**, został zaskoczony przez Kozaków i 5-ciu z nich zasiekano; dwóch tylko ocalało, którzy tę wiadomość przynieśli.

Około godziny 3 otrzymała nasza kompania rozkaz, udania się na skraj miasteczka aby tam zająć obronne stanowisko. Prawdopodobnie moskale przyszedłszy do siebie po pierwotnym strachu, a może wzmocnieni posiłkami sąsiednich załóg, zamyślali nas atakować i odebrać **Poryck**.

Wróciliśmy na tą samą drogę którąśmy przyszli bo z tej strony nadchodził nieprzyjaciół i obsadziliśmy cmentarze wyżej wzmiankowane. Jeden z tych cmentarzy był porządnie utrzymany i otoczony parkanem, drugi już dawny, zaniechany, otoczony rowem i małym wałem ziemnym. Z połową kompanii i porucznikiem **Zwierkowskim** zająłem ten drugi cmentarz, podczas gdy druga połowa pod **Czaderskim** obsadziła pierwszy.

Cmentarz „mój”, był bezdrzewny, z zapadłymi, niewielkimi mogiłami, porośniętymi murawą; mierzyć mógł 50 kroków w kwadrat, a otoczony wałem i rowem, nadawał się doskonale na szańczyk wojskowy do obrony.

Zaraz u wstępu na ten cmentarz zwrócił naszą uwagę widok leżących kilku martwych ciał ludzkich zupełnie nagich, podszedłszy bliżej poznałem między nimi, mego tak dobrego towarzysza z **Romanówki**. Leżał on wśród swoich żołnierzy, którzy razem z nim na rekonesans zostali wysłani i przez kozaków w okrutny sposób pomordowani.

Nie jestem w stanie opisać grozy widoku ciał tych bohaterów; wzdryga się całe jestestwo ludzkie na myśl, jakiej strasznej śmierci ulegli; jak strasznie pastwiono się nad nimi, z jaką zaciekłością znęcali się

nawet jak już nie żyli. **Bolewski** oprócz dziur w piersiach od kul broni palnej, cięty był tak silnie przez środek brzucha, że aż szabla na kości pacierzowej się oparła – był prawie na pół przecięty. Prócz tego miał rany długie od pałasza na całym ciele: na piersiach, rękach i nogach: a rany te czyste bez krwi ukazywały ciało – raczej mięso porozcinane, co dowodzi, że rąbano już nieboszczyka z zjadłością iście zwierzęcą. Towarzysze **Bolewskiego** byli również obdarci do naga i pokaleczeni w ten sam sposób, ale on sam najwięcej, musiał się biedak bronić najdzielniej, czym zbudził przeciwko sobie taką zaciekłość dziczy. Niech ich Bóg przyjmie do swojej chwały, a my zapiszmy w sercach wdzięczną pamięć dla naszych męczenników.

Niebyło jednak wtedy czasu na rozpamiętywanie i żale, bo moskale, rozsypani w tyralierkę, zaczęli podchodzić i strzelać, mnóstwo zaś stert zbożowych ułożonych po polach, zakrywało ich i ułatwiało pochód. W tych warunkach kazałem żołnierzom wleźć do rowu i schować się, bo kule nieprzyjacielskie już dobrze świstały. Gdy żołnierze już byli w rowie, kazałem odpowiadać na strzały i dobrze mierzyć do każdego moskala, aby daremnie nabojów nie tracić, sam zaś czuwając nad przebiegiem bitwy, jako komendant placówki nie mogłem i nie chciałem się chować do rowu – musiałem jednak ciągle być w ruchu, aby się nie dać wziąć na cel. Wraz ze mną uwijali się i utrzymywali prawidłowy porządek między żołnierzami w przebiegu tej utarczki; wachmistrz i jeszcze któryś z podoficerów, ale nazwisk ich nie pamiętam.

Kule znów oblatywały mnie, nie wiele jednak robiłem sobie z tych rzadkich szmerów, świstów, jakie od czasu do czasu słyszałem, oswojony już dobrze z inną zupełnie muzyką pod **Grochowiskami**. Była też teraz sposobność użycia mego sztucца, więc niekiedy strzeliłem i ja do moskala, gdy mi się który dobrze wystawił, czy ze skutkiem, nie mogłem sobie zdać sprawy.

Ta strzelanina dosyć długo trwała – gdy zaś moskale przyszli przed nas na jakie 350 – 400 kroków, już się więcej nie posuwali, tylko z daleka pukali. Nikt z naszych nie był zabity; nawet nie był ranny; czy zaś który moskal nie został na placu – nie wiem.

Cała ta bitwa, raczej utarczka, ustała i ustać musiała ze zmierzchem, który zapadał, moskale znikli w pomroce wieczornej nie odważywszy się atakować nas na pozycjach obronnych. W rezultacie zostaliśmy panami na placu boju. Wkrótce nasze miejsce na cmentarzu zajęła zwykła straż obozowa, a nam kazano iść do miasteczka na spoczynek.

Gdyśmy przyszli na rynek już wszystkie zajazdy były zajęte przez wojska, które opuściły linię bojową, my ostatni przyszedliśmy szukać kwatery. **Czaderski** znów zdał wszystko na mnie, a sam w towarzystwie **Zwierkowskiego** i **Tarnowskiego** poszedł do pałacu gdzie była główna kwatera.

Stojąc więc teraz po raz drugi na tym miłym rynku, wysłałem wachmistrza i furiera na poszukiwanie jakiegoś pomieszczenia, zalecając im pośpiech, bośmy byli bardzo zbiedzeni i głodni i żądni spoczynku. Długo czekaliśmy wśród nocy, nim nadeszli z wiadomością, że jest jeszcze jakaś karczma wolna, w której można się z kompanią pomieścić; więc też wkrótce znaleźliśmy się pod dachem, od 8 – miu dni nie widzianym.

W karczmie tej od bramy wjazdnej po prawej stronie było wejście do szynkowni, zaś na wprost przez

podwórze szło się do stajen; oba więc te budynki zajęło wojsko, ale dla nas, dla oficerów, to jest dla mnie i dla **Rudnickiego** nie było miejsca, nie mieliśmy nawet gdzie usiąść, Tymczasem wachmistrz, tęgi człowiek szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska, chcąc i dla nas coś wynaleźć, zawołał karczmarza i kazał otworzyć założone gratami do jakiejś komory drzwi, znajdujące się po lewej stronie bramy, naprzeciw szynkowni.

Wzbraniał się trochę karczmarz, ale naciśnięty otworzył. Jakież było jednak nasze zdziwienie gdy, wszedłszy tam znaleźliśmy się w przyzwoicie urządzonej pokoju, kwaterze jakiegoś oficera moskiewskiego.

Nie mogło się nam lepiej trafić, jak się wieść o tym rozniosła, kłopot był z żołnierzami, którzy teraz tłumnie zaczęli się schodzić oglądać tę kwaterę i naturalnie chcieli spustoszyć wszystko na wzór moskali, którzy zawsze po sobie w naszych dworach ruinę zostawiali.

Dyscyplina w naszym wojsku była słaba, więc z wielką biedą ochroniliśmy od zniszczenia całe to pomieszkowanie złożone z dwóch czy 3 pokoi. Garderobę oficer jednak stracił, bo już tego nie mogłem zabronić, aby mu suchych spodni i kubraków nie zabrano; garderoba jego stała się istotną zdobyczą wojenną służąc do podtrzymania zdrowia żołnierzy i możliwości odbywania dalszej kampanii. Mnie także przyniesiono suchy szynel i czapkę, którą, dziś się przyznam z wielką uciechą przyjąłem i zaraz wdziałem, zostawiając jednak w zamian swój chałat przemokły i czapkę. Była jeszcze jakaś broń, ale ta z natury swojej podpadała już konfiskacie; nie pamiętam co tam było i co inni zabrali, pamiętam tyle, że mnie się dostał kindżał czerkieski i ładownica. Prócz więc przedmiotów niezbędnych do prowadzenia dalszej wojaczki, całe urządzenie tego mieszkania zostawiliśmy w porządku, tylko kazaliśmy jeszcze zrobić sobie herbaty z tamtejszych przyrządów nie wyrządziwszy z tego powodu żadnej szkody w naczyniu.

Podjadłszy dobrze i ogrzawszy, pokładaliśmy się późno na spoczynek, bośmy długo czuwać musieli, to jest ja, Rudnicki i wachmistrz aby chronić tę kwaterę od doszczętnego zniszczenia przez takich mędrków, którzy chcieli koniecznie odpłacić moskalowi pięknym za nadobne. Niedługo był jednak nasz spoczynek, bo już około godziny 2 w nocy przybył **Czaderski** ze **Zwierkowskim** z wiadomością, że natychmiast opuszczamy **Poryck** – więc też zaraz pobudziwszy żołnierzy w pół godziny byliśmy na rynku gotowi do wymarszu.

Na komendę wyruszyliśmy w zwykłym porządku i wkrótce przekonaliśmy się, że wychodzimy z miasta tą samą drogą, między owymi dwoma cmentarzami, którą przybyliśmy. Widocznym więc było, że wracamy ku granicy austriackiej, a między żołnierzami rozeszła się wieść, że mamy wkroczyć w lubelskie. Przyjemnie teraz było maszerować, bo się wyjaśniło na niebie i pocieplało na ziemi; toteż szliśmy dosyć swobodnie z daleka widząc na znacznej przestrzeni tu i ówdzie rozłożone ognie biwaków moskiewskich – moskale bowiem sprowadzili większe siły i otoczyli **Poryck** ze wszystkich stron. Idąc dalej zbliżaliśmy się do tych ognia, które były przed nami, a gdy, porzuciwszy drogę główną, weszliśmy na jakąś boczną drożynę, kierunek naszego marszu był wytknięty między dwa ogniska, dwa obozy moskiewskie. Wszyscy spowaźnieli. Idąc w tym kierunku musieliśmy przesunąć się środkiem między

owymi dwoma, niebardzo odległymi, obozami moskiewskimi, a w tych warunkach, lada przyczyna mogła obudzić czujność wrogów i spowodować atak ich na nas z dwóch stron przeciwnych.

W całej kolumnie naszej groza położenia musiała być odczuta, każdy musiał mieć świadomość niebezpieczeństwa jakim znajdowaliśmy się, bo szliśmy cichutko jak cienie. Po dwugodzinnym może marszu w takim naprężeniu nerwów i oczekiwaniu wypadków przebyliśmy szczęśliwie ten niebezpieczny przesmyk i zostawili ogniska za sobą. Może w tych najbliższych obozach moskiewskich nie było tak wiele wojska, abyśmy mu nie mogli stawić czoła w zwykłej bitwie, ataku jednak z dwóch stron moim zdaniem oddział nie byłby wytrzymał. Jego duchowe siły, przy braku bezwzględного zaufania do dowódcy i braku zaufania we własną dzielność były jeszcze za słabe, Pomysł tego marszu był ryzykowny – ale udał się.

Z brzaskiem dnia dotarliśmy do lasu, którym idąc spory kawał znaleźliśmy się znów na austriackiej drodze granicznej i tu na wstępie spotkaliśmy dwa plutony wojska cesarskiego; Austriacy stali z bronią do nogi; przypatrując się nam w milczeniu i nie zaczepiając wcale.

Jeszcze cały oddział nie wstąpił na drogę graniczną, gdy posłyszeliśmy na naszych tyłach strzały. To moskale dowiedziawszy się, żeśmy się im z **Porycka** wymknęli, dopędzili nas i atakowali ariergardę. Wywiązała się tam utarczka między naszą kawalerią a kozakami, która cały oddział zaniepokoiła. Toteż na pierwszy odgłos strzałów wszyscy zatrzymaliśmy się w marszu, bez rozkazu pod wrażeniem tego niespodziewanego ataku i sądząc, że teraz wywiązać się musi walna jakaś rozprawa.

W tych pierwszych chwilach zaniepokojenia oczekiwaliśmy niecierpliwie na jakąś komendę, na jakieś rozkazy do zajęcia właściwych stanowisk przeciwko moskalom; nie słysząc jednak żadnej komendy, czy rozkazów staliśmy cicho w szeregach uwagę mając zwróconą na przebieg tej utarczki.

- Zrzucaj szynel bo cię swoi zastrzelą – zaczęto wołać na mnie ze wszystkich stron, bo miałem na sobie czapkę i płaszcz moskiewskiego oficera z **Porycka** i wyglądałem jak moskal. Uznawszy natychmiast słuszność tych uwag, odrzuciłem czapkę moskiewską, nałożyłem mój czerwony fez, który miałem w kieszeni, i tak w jednej chwili przemieniwszy się w żuawa, byłem już bezpieczny.

Tymczasem utarczka naszej ariergardy z kozakami nie ustawała; my zaś w szeregach oczekiwaliśmy jeszcze ciągle na jakieś rozkazy do rozwinięcia kolumny marszowej i zwrócenia się przeciwko napastnikom, lub wreszcie oczekiwaliśmy na jakiś atak z ich strony. Rozkazów tych jednak nie było, a moskale musieli tylko mały oddział kawalerii wysłać w pośpiechu dla niepokojenia nas nim piechota nadejdzie i naturalnie tylko kończyny naszej kolumny atakowali. Co chwila więc kozacy po kilku, po kilkunastu podbiegali pod naszą konnicę, która zamykała szereg pochodowy, narobili hałasu, a gdy się nasi odwrócili zmykali co sił – według zwykłej swej taktyki. W tych utarczkach kawaleria nasza dzielnie się sprawiała; odpędzała napastujących kozaków, a zapuszczając się między nich tępiła ich po trochu. Wtedy to widziałem jak jakiś Włoch przybiegł galopem przed **Komorowskiego** i pochwalił się zdobytą szablą na kozaku, którego zwał z konia. Był to bardzo miły widok dla wszystkich.

Bitwa ta podjazdowa trwała może z godzinę, a może więcej, a myśmy stali beczynn timer, oczekując ciągle na jakieś postanowienie wodza.

Wtem dały się słyszeć strzały armatnie – a więc już i piechota moskiewska nadeszła z artylerią. Do kogo czy do czego moskale z armat strzelali nie wiem bo ani ich widać nie było, ani lotu kul nawet słyszeć nie było ; zdaje mi się, że to były strachy na lachy – którym lachy ulegli.

Wobec tej nowej zaczepki, tym niecierpliwiej czekaliśmy teraz na stanowcze jakieś zarządzenie, na które koniecznie już zdobyć się trzeba było i – czekaliśmy daremnie. Właśnie w tej chwili decydującej stał **Komorowski** na polance w odległości może 40 kroków ode mnie; podchodzę więc do niego i pytam:

- Pułkowniku, jakie rozkazy? -

- Ja nie mogę narażać ludzi na pewną śmierć. Nie mogę brać tej odpowiedzialności przed Bogiem na siebie.

- A więc wszystko stracone? -

- Jak widzisz – i wskazał ręką.

Obejrzałem się. Strzały armatnie już skutek zrobiły; już demoralizacja wkradła się w szeregi i pojedynczo uciekali nasi w las ku **Sokalowi**.

Powróciwszy do kompanii, widzę, że i moi już smutni, a za chwilę i sam **Komorowski** zwrócił konia i galopem puścił się ku **Sokalowi**.

Nie było co robić – wszczęła się panika, zaczęli wszyscy opuszczać szeregi, więc i ja złożęwszy z wielkim żalem sztuciec mój na furgon, nie zalewając się już łzami jak to miało miejsce pod **Krakowem**, ale zniechęcony podążyłem za drugimi.

Tak się więc skończyła wyprawa na **Poryck**.

Osobistych moich uczuć po tym fakcie rozproszenia się oddziału, nie będę więcej szczegółowo skreślał – były one w ogóle i są do dzisiaj takie same, jak twoje łaskawy czytelniku po przeczytaniu tego wiernego opisu.

...Więc znów znalazłem się w tym położeniu, że musiałem w nogach szukać ocalenia. W lesie przez który uciekaliśmy – ze wstydem używam tego wyrażenia nie było wojska austriackiego i można było iść dosyć swobodnie, dopiero bo wyjściu z lasu zobaczyłem huzarów uganiających, po polach za powstańcami. Nie chcąc jednak na żaden sposób dostać się w ręce Austriaków biegłem jak mogłem najprędzej, wybierając taki kierunek aby być jak najdalej od huzarów – i to mi się udało.

W parę godzin, może krócej dobiegłem do jakiejś wioski, a nie zatrzymywany przez nikogo - bo zapewne wszystkie posterunki wymaszerowały nad granicę, wobec czego i włościanie poszli do domu – oparłem się w karczmie, gdzie zastałem już czterech towarzyszy obozowych nie wiedzących co począć. Uradziliśmy teraz wspólnie, że pojedziemy do **Sokala** i najawszy furę za dobre pieniądze, pojechaliśmy.

W Sokalu zajechaliśmy do rządcy, pana **Sołowija**, gdzie już zastaliśmy dosyć rozbitków i tam złożyliśmy naszą broń, jak wszyscy, którzy się przed nami zgłosili, bo pan **Sołowij**, dbając o fundusze narodowe, sam tego wymagał i doglądał. Z przyjęcia jakiego doznaliśmy, widać było, że zacny gospodarz odczuł klęskę naszej wyprawy; przyjął nas jednak gościnnie, dał jeść i przenocował – a była

nas cała hurma.

Nazajutrz poprosiłem o konie do **Parchacza**, a pan **Sołowij** z całą uprzejmością prośbę moją spełnił. Zajechawszy szczęśliwie do tak dobrze znanego mi dworu, trafiłem na obiad. Mnóstwo już tam było powstańców u stołu, a między innymi był tam i **Komorowski**, który teraz ogolony, nie wiem dlaczego, bardzo brzydko wyglądał.

...[we **Lwowie**] odwiedziłem ze **Zwierkowskim Komorowskiego**, który mieszkał u **Dzieduszyckich**, zdaje mi się gdzieś na Żółkiewskim..

Witał nas serdecznie **Komorowski**, a w rozmowie o ostatnich wypadkach tłumaczył, że moskale otoczyli nas w **Porycku** znacznymi siłami, że nie mogąc z tego powodu pomaszerować w głąb **Wołynia**, gdzie były jeszcze znaczniejsze ich siły miał zamiar przedostać się w **Lubelskie** i tam nas prowadził. W tym to marszu właśnie, moskale, tak z pod **Porycka**, jak i inni jeszcze dopędzili nas na granicy, i byłiby pewnie wszystkich wystrzelali gdyby przyjął bitwę, bez jakiegokolwiek pożytku dla sprawy powstania – nie mógł więc nas na pewną rzeź prowadzić i takim nierozsądnym postanowieniem sumienia swego obciążać. Naturalnie ogadał nas i ułagodził. Na pamiątkę tej wyprawy darowałem mu zdobycz wojenną z **Porycka**, kindżał i ładownicę oficera Moskiewskiego...

Jak wspomniałem, obaj ze **Zwierkowskim**, a prawdopodobnie wielu bliskich znajomych i przyjaciół **Komorowskiego**, ulegając czarowi jego osoby, daliśmy się łatwo przekonać o niemożliwości stawienia czoła moskałom w czasie naszej wyprawy, ale nie wszyscy byli tak łatwowierni. Zarzucano mu, że zmarnował oddział doborowy, z takim wielkim trudem zebrany; że mógł przyjąć i wygrać bitwę z moskałami, których nie było więcej, jak trzy rotę z dwoma działami, i w końcu, że mimo wszystko powinien ratować nasz i swój honor wojskowy. **Komorowski**, musiał się zapewne zetknąć z takimi, którzy mu to w oczy zarzucali, musiał odczuwać powątpiewanie może jakie o swojej odwadze i musiał być tym boleśnie dotknięty; to też postanowił jeszcze raz prowadzić nowy oddział do Królestwa. W drugiej połowie listopada, zdaje mi się, zawiadomił nas, że przyjął dowództwo konnego oddziału, który wyruszy w pole, skoro wszystkie szczegóły wyprawy zostaną przygotowane

...Tymczasem oddział wyszedł, jak mi się zdaje około dnia 15 stycznia 1864 roku. Już wówczas czuć było, że powstanie upada; już coraz mniej było żołnierzy naszych walczących na obszarze Polski pod zaborem moskiewskim; Europa cichła w wyrażaniu swoich sympatii dla naszych usiłowań...

Cały oddział złożony ze 100 Konnicy dostał się w zasadzkę i kozacy prawie do nogi wszystkich wycięli; zaledwie kilkunastu z **Komorowskim** na dobrych koniach uratowało się z pogromu.

Franciszek Grzegorzewski „Wspomnienia osobiste z Powstania 1863 roku” Lwów 1903

... Rozpoczęły się werbunki, rada wojenna lwowska pod prezydencją generała **Różyckiego** uchwaliła przy końcu lipca 1863 sformowanie 8-śmiu oddziałów pod naczelnym kierownictwem **Różyckiego**, składający korpus operacyjny na dwa skrzydła podzielony; i tak prawe skrzydło:

1. Oddział **Goluchowski** (stojący w „obserwacji” od kwietnia 1863 po kwaterach)

2. „ **Nyary**
- 3 „ **Różycki**, dowództwo tego skrzydła miał ten ostatni lewe skrzydło
- 4 „ **Sienkiewicz**
- 5 „ **Amadar – Palaffy** dowódca skrzydła **Rochebrun**
- 6 „ **Rochebrun**
- 7 „ **Komorowski** zaś
- 8 „ **Waligórski**, który ze swoją kawalerią miał flankowym marszem na lewym skrzydle z oddziałami postępować.

Przez sierpień i wrzesień trwały przygotowania pod kierownictwem organizatora pułkownika **Struś** (**Traugott**). Na odgłos, że **Rochebrun** objął dowództwo, garnęli się pod jego sztandary najwybitniejsi żołnierze – gdyż trudno przypuścić, aby chętny zachowania drogiego życia szedł pod nieustanne „ en avant ‘ a biada temu kto z tyłu pozostał, ten padł pewnie od kuli rewolwerowej francuskiego sierżanta. Zapał dla **Rochebruna** był taki, że w innych oddziałach by zapobiec ciągłym przenosinom, zmyśleć musiano, że **Rochebrun** już odszedł, przyczem zawiść niestworzone czyniła dodatki dla ustalania wiary u niedowierzających n.p. przy znanym zajściu **Komorowskiego** i komisarza wojennego 7 – ego oddziału pana **A.R.** ze S. z porucznikiem **Grzymała** w złoczowskim obwodzie.

Tak długa zwłoka przy organizowaniu oddziałów niecierpliwiła nie pomалу **Rochebruna**, napierał on się ciągle tak u pełnomocnika hr. **W[odzickiego]** z **O.[lejowa]** jak u pułkownika **Struś** rychłego wymarszu, a gdy to nie skutkowało zagroził, że odjedzie do domu, jeśli mu już raz wyjść nie dozwolą. Ne miano innego sposobu jak zabawić go prywatnie. **Rochebrun** stał na kwaterze u zacnego oficera **J.B. w S.** Był to niezaprzeczenie najlepszy schowek dla niego, nikt nie miał wstępu w ten dom, rewizja mogła zajść tylko za nakazem komendy placu, lecz wiadomo, że kruk krukowi oka nie wykole - wzięto więc **Rochebruna** z **S.** gdzie według hr. **W.** nie mając damskiego towarzystwa musiał się nudzić i dano go do państwa **C.(hwalibogowskich)** w **L.** Pani **C.** miała być tym magnesem przyciągającym niecierpliwego francuza. **W.** przysłał konie na wyłączny użytek jenerała z wyraźnym poleceniem „ aby się bawił „, resztę miała pani **C.** dokonać. Pani **C.** była sobie dobra sprzyjająca sprawie narodowej kobieta jednak za lekka by rozpoznać była w stanie, iż ją tylko za czynnik chcą użyć. Pan **C.** zaś był za nadto pantoflem żony by się jej mógł wczem sprzeciwić mimo, że piastował godność powiatowego. Panią **C.** użyto więc mimo jej wiedzy za sprężynę by podkopać **Rochebruna** wziętość i zachwiać zaufanie w nim pokładane przez towarzyszy broni i obywateli. Wypełniła to pani **C.** Wzbita w dumę z posiadania bohatera z pod Grochowisk, pozwalala sobie traktować przybywających po rozkazy oficerów en bagatelle i dyktatorsko udzielać im rozkazów w imieniu jenerała. Z tego wynikły skandaliczne zajścia, jak na przykład z kapitanem **Fischer von Sec** – pani **C.** rozpieczętowywała nawet depesze wprost do jenerała adresowane. Kurjer rządowy znany w kółkach lwowskich „ pan Stanisław „ nie miał nic pilniejszego jak odpowiedzieć, rozumie się pod sekretem krynolinom nań łaskawym o tym fackie. Pan **L. S.** z **Ż.** osądził to za dobre zauważyć to w **Gologórach** (**Goluchowski** ? przyp. aut.

) i.t.d, i.t.d., sztychło więc sobie za plecyma. **Rochebrun** o tem wszystkim nie wiedział.

Nominacja wydana pani **C.{hwalibogowskiej }** na intendenta a jej siostrze pani **P.[ruszyńskiej]** „na kapitana „ , wywołała niesmak pomiędzy poddawianymi tajemnie oficerami 6-ego oddziału. Bliżej tylko **Rochebruna** będący wiedzieli , że mu tego może na czas bardzo krótki potrzeba było – tak się i stało, pani **C.** objaśnił nie stosowność znajdowania się w obozie, a pania „ kapitana „ **P.** po prostu napędził, gdy się tam w pełnym uniformie zjawiała. Jeżeli kto zarzuci, że **Rochebrun** profanował „moc daną mu przez naród „ , odpowiemy, że **Langiewicz, Komorowski, Różycki, Gołuchowski**, tylu innym najniegodniejszym piecuchom, wypróbowanym tchórzom i maminym wychowańcom stopnie kapitanów, ba nawet oficerów sztabowych dawali. Zresztą ani pani **C.** ani pani **P.** w obozie nie były podczas gdy filś de protection odgrywali role szumne i huczne po galicyjskich parkietach – pojmiemy, że za granicę ci panice iść nie mieli ochoty; tam mają kozacy okropnie straszne wielkie kudłate czapki! Faktem jednak zostało, że opinia o **Rochebrunie** z wyżej wspomnianych powodów zachwiana została. Na dobitkę wylał się na wieczorze danym u pp. **B.** w **S.** z myśli swoich. Pomimo, iż mu „ śmietanka” kadziła i na rękach nosiła, wymówił się co do szlachty polskiej , że jej „ un moitie devrait etre pendue, la seconde merite’de recevoir cinquante batons.Powód do tego wypowiedzenia dały mu następujące okoliczności; taka hrabina **[Ostrorogowa]** z **Zuśkowic** z godną córą imienniczką entuzjastki z czasów **Karola VIII** traktowały jego oficerów zamawiających tam kwatery, obywateli (w znaczeniu galicyjskim) musiano często poruszać kataplazmami ad posterioram do lepszego obchodzenia się z żołnierzami, broń wiezioną do oddziału sprzedawano częstokroć denuncjując, a konto wykupna brano ponownie pieniądze by ją wykupić, aż nareszcie nieszczęsna broń zakupiona i sprowadzona za krwawy grosz, sprzedawana wrogom i wykupiana gdzieś znikła bez wieści i odpowiedzialności. Zresztą znana mu była nieprzychylność przeważającej liczby obywatelstwa (także w znaczeniu galicyjskim) ku sprawie narodowej.

Po powyższym wypowiedzeniu zdania, już starano się otwarcie okazać **Rochebrunowi** swą niechęć, co też często czyniono n.p. u szlachetnego cudzoziemca **F. P.[ola..]** z **Z.[akrzowa]**. To wszystko czuł **Rochebrun** dotkliwie, jak się bliższemu otoczeniu wywnętrzał. Zagroziwszy raz jeszcze swoim odjazdem na początku października, dostał przyrzeczenie, że wyjazd wkrótce nastąpi.

Tymczasem rada wojenna przy końcu września uznała za dobre by **Różycki** z **Gołuchowskim** dalej obserwowali pulchne Podolanki, by **Nyary**, jeśli mu już koniecznie zachciało się kark skrócić 6-tego września (3.IX pod **Panasówką** przyp. autora) nie miał następcy; a 4,5,6,7 i 8 wyprawić na postrach wrogów tatuńczyzny. Dowództwo skrzydłowe zatrzymał **Rochebrun**, naczelne zaś zostało powierzone goliatowi spod Rzeżyna. { gen **Heidenreich – Kruk, Żerzyn**, 8.VIII. 1863).

25 października nastąpiło skoncentrowanie; 30-go już był 4,6,7 oddział w komplecie, 3-ci nastraszył się czapek kozackich i wrócił szczęśliwie 28-go do kany galilejskiej. Szlachetny i niezmordowany komisarz 4-tego **Netrebski** został zabity przez polską widetę, a 1 listopada pokazały się w 6-tym skutki intryg herbowych.

We wszystkich ekspedycjach powierzonych **Rochebrunowi**, panowała ta maksyma: yl n’ya point de

seigneurs parmi nous, car c'est eux qui ont perdu la Pologne et nous allons la reconstituer; był więc w oddziale tylko „ kolega generał, kolega kapitan, kolega szeregowiec „ i t.d. Wyznawcom praw wysoko urodzonych to się nie podobało, skąd jednak Władysław **Ariergardes (Łysakowski)** porucznik żandarmerii 6-tego oddziału do tego przychodzi by być początkiem opozycji – nie wiadomo. Dość, że 1-ego listopada gdy **Rochebrun** zajęty był organizacją wewnątrz obozu, **Ariergardes** przygotowując samowary(!) żądał od przechodzącego właśnie szeregowca drobnej jakiejś przysługi mówiąc do niego „ panie !”. Generał obok stojący powiedział mu swoje: y l n'ya point de seigneurs parmi nous... **Ariergards** odpowiedział „ i co tam „ i gdyby na złość dodawał ciągle swoje „ panie!”. Generał zgał mu to dwa razy jeszcze tłumacząc mu przez kapitana sztabu **E.S.**, **Ariergards** jednak, nie tylko że go nie usłuchał, ale pozwolił sobie jeszcze ubliżających uwag n.p. „ sekatury tego ... „ czego ale **Rochebrun** nie rozumiał. Widząc atoli krnąbrność, kazał go porucznikowi **Grzymale** aresztować. I ta na pozór drobna, od **Rochebruna** wymagana forma ma swoją doniosłość voyons ... niższa klasa zrażona od dawna do tego co się „ panem” nazywa powinna być wszelkimi na pozór drobnymi okolicznościami do koleżeństwa przyzwyczajana, bo jakżeż może kapitan żądać od swej kompanii by się za nim w ogień rzuciła jeśli nie ujmie jej sobie familiarnym nawet obejściem, rozumie się poza frontem. Pamiętajmy, że to Polska i partyzantka. Na propozycję któregoś oficera, by dwóch kolegów według wszelkich prawideł wojskowych, szło do przełożonego z prośbą o zniesienie kary, odezwał się pijany **Ariergardes** obelżywie o generale. Przebył więc 8 godzin w areszcie.

Dnia następnego umundurowywał i uzbrajał **Rochebrun** własnoręcznie swoich żuawów, nie jadł, nie pił i nie spał, wzięwszy kawał chleba i słoniny do ręki od któregoś szeregowca, opatrywał najmniejsze braki nawet guziki u koszul, a któremuś oficerowi raportującemu, że go z herbatą czekają odpowiedział „ vous etes bien fou, et votre the aussi „

Plan czynny 6-tego oddziału wynosił podług raportu 747 ludzi składających 4 kompanie żuawów pod kapitanami: **Soler Biliński**, **Hugo Fischer von der See**, **Meliton Menkes** i **Czarnecki**; dowódca batalionu był kapitan **Oldonaja (Ferdinand Koestlich)**; 1 szej kompanii kosynierów pod kapitanem **Michajłowiczem**, 1-szego szwadronu kawalerii pod **rotmistrzem Rozwadowskim** i 1-szego szwadronu żandarmerii pod **rotmistrzem Sosnowskim**.

Wszyscy oficerowie (z małymi wyjątkami oficerowie wojsk regularnych) byli mianowani i przysłani przez organizatora **Strusia**. Wyjątek stanowili majorowie **Czepel** i baron **Gensberg**, podporucznicy **Jan Ostrowicz** i **Eugenii Grzymała**, adiutant podporucznik **Ernest P.** i **G.** kuzyn p. **C.**

7-my oddział składał się z dwóch kompanii żuawów i dwóch strzelców, 1-szego szwadronu ułanów i 1-szego żandarmerii – razem 500 ludzi (za staraniem szanownego, pełnego poświęcenia i jak koń pracującego komisarza **A.R.** ze **Ś.** ostatecznie wyekwipowany).

4-ty zaś z czterech kompanii strzelców, 1-szej kosynierów i pierwszego szwadronu kawalerii; razem 400 ludzi. Co zsumowawszy czyniło około 1600 zdatnego do boju żołnierza.

1-szego listopada, gdy wszystko było zorganizowane, kazał **Rochebrun** 16 koni ze szwadronu rotmistrza **Rozwadowskiego** przenieść do żandarmerii **Sosnowskiego**. Tak kazał wybrany przez naród

dowódca, nie powinniśmy więc pytać się dlaczego, jednak zapytajmy się? **Rochebrun** miał zwyczaj podczas ataku lub ognia biegać poprzez i między szeregi, pilnować porządku a cofających lub kryjących się karał doraźnie to śmiercią, to dotkliwym swoim batożkiem; otóż przy tak wielkim oddziale poznał, że mu nóg nie starczy a okiem nie dojrzy. Chciał więc mieć dostateczną liczbę żandarmerii, która za linią bojową porządku by pilnowała. Kto zważy, że kawaleria z roku 1863/4 nie mogła być do czego innego użyta jak na avan i ariergardy, do rekognoskowania i pełnienia służby obozowej, zresztą do ścigania rozbitego już wroga – gdyż siedząc na koniu zupełnie surowym, mając dzielną broń – lancę – której nieumiejętność kierowania zgubą jest kawalerzysty, nie zdziwi się dlaczego **Rochebrun** chciał mieć więcej żandarmerii dającej się pożytecznie użyć w boju, jak kawalerii paradyżującej na konikach, która dla wyżej wzmiankowanych powodów szarżować nie mogła, bo nawet gdy kozak, nalazłwszy, dał kilkakrotnie ognia, to konie nieprzyzwyczajone zrzucały jeźdźców i uciekały po lasach. Zresztą miał **Rochebrun**, już nie jako dowódca korpusu, ale 6-ego oddziału nie zaprzeczone prawo rozporządzania w nim gatunkami broni. Jeśli mógł przydzielać do żuawów i kosynierów, dlaczegoż by nie miał prawa przydzielać do żandarmerii i odwrotnie jeśli miał prawo pomniejszać kompanie piechoty, dlaczegoż by nie miał tegoż prawa jako naczelnik co do kawalerii. Regulowanie i gatunkowanie, są to atrybucje naczelnika wojsk regularnych, a coś dopiero partyzanckich, zresztą **Rochebrun** biorąc odpowiedzialność prowadzenia oddziału przed narodem, musiał mieć prawo takiego urządzania, które by ani sprawie ogólnej szkody nie przyniosło, ani jego sławie uszczerbku nie czyniło.

Wszystko to jednak nie podobało się panu **Rozwadowskiemu**. Milczkiem pojechał do **Krystianopola**, gdzie **Kruk** rezydował i oskarżył **Rochebruna**, że najniewłaściwie oddziałem przerzuca, wyjednałszy kartkę treści następującej:

„ Les chevaux pris au capitaine **Rozwadowski**, doivent etre rendus.

(l.d.c.) General en chef **Kruk** “

Nie wiedzieć co by zrobił **Pellisier** książę Magnetty z jenerałem, który by się był, ominąwszy formę służby skarżył na niego u **Napoleona**; lub jenerał **Urban** ze swoim kapitanem skarżącym się nawet najśluszniej z owem pominięciem u **Franciszka Józefa**?

Nieobecność Kruka nie explikuje **Rozwadowskiego**; gdyż powiedziawszy **Rochebrunowi**: oto jenerale zrobiłeś mi krzywdę (1) zmniejszając mój szwadron, więc chcę być do raportu naczelnemu wodzowi przedstawionym – byłby został z pismem **Rochebruna** w zastępstwie formy raportowej do **Kruka** posłanym. **Kruk** popełniwszy powyższą niekonsekwencję, uznał tym samym **Rochebruna** niezdolnym do gospodarowania w oddziale i korpusie powierzonym mu przez naród: odebrał mu możliwość kontrolowania tyłu linii bojowej – co przy istniejącej demoralizacji niezbędnie było potrzebne. Tym samym pewność wygranej, właściwa natarczywemu rzuceniu się na wroga, zmienił w niepewność – jakże **Rochebrun** z takimi wątpliwościami miał wyruszyć? On, który tylko z zapewnionym tyłem uderzał na moskali i gniótł ich tak okropnie!

Otrzymałszy powyższą kartkę, tyle myśleć dającą, rzucił fezem o ziemię i w najwyższej pasji dał

rozkaz do wystąpienia pod broń. Gniew był wynikiem z natury żywego i gwałtownego temperamentu tego człowieka-6-ty oddział stanął pod bronią w pełnej parady. Przed front wyjechał generał **Rochenbrun** w towarzystwie pułkownika **Komorowskiego** przedstawiając tego ostatniego oddziałowi tymi słowy: oto pułkownik **Komorowski** mój przyjaciel i towarzysz broni; znacie go jako dzielnego oficera z czasów **Langiewicza**; w waszych szeregach przy moim boku walczył zaszczytnie! Po tym rozkazał naczelnikom branz przedstawić wszystkich oficerów pułkownikowi. **Oldonaja, Sosnowski, Obertyński** wykonali polecenie, po czym ze łzami w oczach, tłumacząc się przez **Komorowskiego**, miał tej treści przemowę:

Soldats ! (**Komorowski** tłumaczył; rycerze!)

Tam płynął łez i krwi potoki – bracia wasi mordowani niewinnie, zabijane niemowlęta, hańbione niewiasty, ojcowie jęczący w podziemiach, błagają Boga by dodał sił waszym ramionom; pamiętajcie coście winni ojczyźnie i sobie – zdumiona Europa patrzy na wasze wyteżenia; aby jak najrychlej zobaczyła was zwycięzcami w murach Warszawy! Dzięki wam za **Miechów, Sosnowkę i Chrobrze**, dzięki za **Grochowiska**; starajcie się na zawsze utrzymać honor straceńców („zuavs de la mort”) a okryjecie się chwałą i uzyskacie nieśmiertelną wdzięczność szlachetnego narodu z któregoście wyszli! Przeciągle pełne zapału: Vive le general, Niech żyje naród!, Niech żyje bohater spod Grochowisk! W odpowiedzi na tą przemowę rozrzewniło wszystkich. Na tym zakończyła się rewia, nikt jej innego nie przypisywał znaczenia jak czysto wojennej parady. W kilka chwil jednak ujrzano **Rochebruna**, nito szewczyka przebranego, opuszczającego obóz, kilku oficerów rzuciło się ku niemu, a po krótkim wyjaśnieniu okazało się, że generał obrażony do żywego, pomiatany bezkarnie od własnego rotmistrza, opuszcza oddział, którego dowództwo objąć ma **Komorowski**. Na wszelkie przedstawienia odpowiadał łkając: je suis fini! Na to zbiegli się jego towarzysze broni, zaklinając go na klęczkach, ze łzami w oczach by oddziału nie osieracał, nareszcie zagrozili, że oddział opuszczą i broń rzucają jeśli by nie chciał odstąpić od powziętego zamiaru. Wiele głosów słyszano; na gałąź z **Rozwadowskim**! Jednak waleczny rotmistrz gwałtownie zachorował i odjechał do **Krystjanpola**. Komisarzowi z **S. p.T.**, który pojechał do **Kruka** w celu zmuszenia tegoż by swój błąd naprawił i gorącym prośbom żuawów, nie mniej też orzeczeniu **Komorowskiego**, że do prowadzenia tak licznego korpusu z d o l n y m s i ę n i e c z u j e, udało się nakłonić **Rochebruna** do pozostania; przypasał więc pałasz i wydawał jak przedtem rozkazy. Wszyscy byli zadowoleni, jeno „ panowie,, zbyt kwaśne miny pokazywali. Koło 9-tej wieczorem wyruszył 6-ty i 7-my oddział dalej dla złączenia się z 4-tym, co rzeczywiście nad ranem nastąpiło. O 8-ej z rana 2 listopada, rozłożono nowy obóz, posilono ludzi i wszystko szło w porządku.

Porucznik **Ariergards** ujrawszy przyniesione pierwsze wory tytoniu, przyskoczył do jednego, wydobyl nóż i zaczął napychać kieszenie. **Rochebrun** zrobił mu uwagę, że egzystuje prowiant mistrz, który tytoń za pomocą dyżurnego oficera rozdzieli, a jest tytoniu pod dostatkiem, więc nie ma się obawiać by go pominięto. **Ariergards** odpowiedział: E co ty mi tam będziesz rozkazywał?! I dalej napychał kieszenie. **Rochebrun** powtórzył rozkaz tłumacząc się to przez kapitana **E.S.** to przez

porucznika **Grzymalę** jeszcze dwa razy, gdy jednak **Ariergards** nie usłuchał, przeciwnie dał się słyszeć: co ten Sierżant francuski będzie mnie sekował?! Czego jednak generał nie rozumiał, a ze zrozumiałych powodów nikt z otaczających go nie chciał mu tłumaczyć; widząc tylko, że **Ariergards** oczywiście oponuje, polecił obecnemu komendantowi żandarmerii **Sosnowskiemu** aresztować porucznika. Zaledwo **Sosnowski**, nie grzeszący zbytnim olejem odebrał **Ariergardsowi** pałasz i nie wiedział co z tym fantem zrobić – wrywa mu się aresztowany z okrzykiem: ten dureń, błazen, francuski kapral mnie sekuje i jakiejś szuka zaczepki! Ja idę do generała na skargę! I rzucił się ku miejscu najwięcej dziesięć kroków oddalonemu, gdzie **Kruk** spoczywał.

Rochebrun zerwał się z ziemi i zastąpił z dobytym pałaszem drogę **Ariergardsowi**, polecając porucznikowi **Grzymale** wyłamującego się spod aresztu pod bagnetami w miejsce przeznaczenia odprowadzić, co trzymający wartość honorową **Kruka** podporucznik **Pribila** skutecznił. **Ariergards** zawinił: a/ przeciw subordynacji; b/ wyłamał się spod aresztu; c/ wyminął drogę służbową, jeśli się chciał na postępowanie **Rochebruna** przed starszym generałem poskarżyć. Podług wszelkich praw wojskowych powinien był śmiercią doraźnie być ukaranym. Nawet w wojsku francuskim, gdzie stopień oficera w wielkim poszanowaniu, byłby przełożony zmuszony wyłamującego się spod aresztu oficera, kazać odprowadzić pod bagnetami do kozy

Zostaje nie do wytłumaczenia, dlaczego **Kruk**, świadek wszystkiego, oficer wojsk rosyjskich, udał, że nic nie słyszy. Skończyło się na aresztowaniu, a sąd wojenny byłby niezawodnie miał podaną do rozstrzygnięcia ta sprawę.

Tymczasem **Ariergards** widząc na co się zanosz, wezwał zafrontowego rotmistrza **Obertyńskiego**, mającego dowództwo po **Rozwadowskim** i żądał by użyto środków wydobywania go z błota, w które jako narzędzie popadł. Karmazyn ze **Stronibab**, dobrawszy sobie jako cicerona kapitana **Menkesa**, zwołał oficerów 6- tego oddziału w odosobnione miejsce i jał im wykladać: że sierżant francuski za wiele sobie pozwala, że gnębi Polaków, że bawi się w sekatury, że obsadza się zausznikami, chociaż sam jak to powiedział nimi się brzydzi, że śmiał oficera, co „i z nas którego spotkać może „kazać pod bagnetami aresztować. Rozumie się, że zamilczał powody, a zgromadzeni oficerowie, nie wiedząc o co chodzi, milcząc dziwili się takiej niekonsekwencji **Rochebruna**. **Menkes**, czując się pod boki prawdziwego karmazyna najmniej w skórze **Meiselesa** czy **Tastrowa** dawał każdemu słowu „urodzonego” wagi swoim potakiwaniem, że on był oficer austriacki, najlepiej to wiedzieć musi, że takie postępowanie przełożonego ukarane być powinno. Nie wiedzieć czy by pan **Meliton Menkes** siedziałby pod siedmioramiennym świecznikiem, gdyby to co zrobił **Ariergards** był uczynił pod generałem **Urbanem** lub innym w roku 1859?

Soter Biliński w gwałtownej a obelżywej mowie potwierdził zdanie **Obertyńskiego** i **Menkesa**, bijąc najwięcej w to, że i on, były oficer, i to inżynierji austriackiej – i że on posiada artykuły wojenne przez nią potwierdzone, które by się zdało **Rochebrunowi** przeczytać. Świat byłby zadowolony gdyby mógł owe artykuły oglądać.

Reszta oficerów zachowywała milczenie, gdyż tak jak **Menkes** i **Biliński**, ani nie była obecna zajściu,

ani nawet wiedziała o co chodzi. Rej więc wodzili owi trzej panowie, którzy końcem uchwalili by do **Rochebruna** wysłać dwóch w deputacji z kategorycznym żądaniem aby **Ariergardsa (Rochebrun – Ariergardsa)** przeprosił, albo żeby się (**Rochebrun**) z oddziału oddalił, gdyż mu inaczej korpus oficerów 6-tego oddziału posłuszeństwo wypowiada.

Coś podobnego może być tylko w wojsku Troglodytów lub w bandzie takiego Luigiego Vampa praktykowane.

Zachodziła tylko kwestia kogo by posłać. Przechodzący właśnie porucznik **Grzymala**, zawezwany do rady przez **Bilińskiego**, odpowiedział tylko, że o ile zna **Rochebruna** niezawodnie z panów deputowanych wyborny będzie kasek dla kawek i kruków, zresztą proponował na oznajmicieli oficerów p.p. **Menkesa** i **Bilińskiego**. **Menkes** atoli posłyszał o podobnym wypadku pod **Chrobrzem** i wrodzonym dowcipem zawyrokował: pro primo: że **Grzymala** jest błaznem; a pro secundo: że do tego najstarszych potrzeba wysłać oficerów. Z obecnych nikt do tego należeć nie chciał, udano się więc do szefa sztabu **Saragossy (Strojnowskiego)** i do komendanta batalionu **Oldonaja**. **Strojnowski** przystał. **Oldonaja** jednak odstąpiwszy krok od **Obertyńskiego** et consortes plunął im pod nogi i rzekł: Chybabym wstydu w oczach nie miał, wczoraj mu nogi by został całowałem, a dziś mam mu pleść takie absurda!? Jenerał miał słuszość, zresztą jeśli kto ma ochotę zaciągnąć się w szeregi wszystkich świętych może to uczynić! I odszedł. **Menkes** zakonkludował: że **Oldonaja** jest błaznem, i że zapomniał zrobić uwagę kolegom (już się wahającym po wystąpieniu **Oldonaja** i **Grzymały**), że „ten warjat wszystkich nas na rzeź prowadzi, że on (Rochebrun nie Menkes) chce zginać, i gdyby nawet dziesięć razy tle co nas było moskali, on (**Rochebrun** nie **Menkes**) się na nich rzuci, i ani jedna polska noga nie ujdzie. W tym geście przemawiali **Obertyński** i **Bieliński**.

Rozchodziło się jeszcze o drugiego posła i na nieszczęście swoje nadszedł dzielny zresztą oficer, najstarszy kapitan **Hugo Fischer von der See**, także nie koniecznie wielki dyplomata i nie rywal franciszkanina **Schwartza**. Nie wiedząc co chcą od niego, gdy go zakrzyczano „ idź do jenerała „ myśląc, że to o jakie przedstawienie chodzi, ofiarował się towarzyszyć **Saragossie**. **Rochebrun** przyjął deputację grzecznie, wysłuchał **Saragossę** i kazał korpusowi oficerów oznajmić, że ich woli zadość stanie. Radość **Obertyńskiego**, **Bilińskiego**, szczególnie **Menkesa**, którzy najwięcej ich kompromitującymi zdaniem okazać ją się starali, nie miała granic. Prezes zacnego grona rzekł: Jeśliśmy „ wykurzyli „ cudzoziemca, musimy się jeszcze kogoś pozbyć, który nam tu zakała – panowie wiecie o kim mówię!

A że jakoś nikt tajne myśli szanownego karmazyna odgadnąć nie mógł, wygłosił **Obertyński** imię **Erazma S.** kapitana sztabu. Posłał więc tąż sama deputację by wolę oficerów ogłosiła, a **E.S.** z oddziału odjechał.

Dlaczego? **E.S.** były oficer austriacki, garibaldski i przyjaciel **Rochebruna** (także prawdziwy karmazyn) był popularnym obejściem się solą w oku panu **Obertyńskiemu**, zresztą on to miał poradzić by kawalerii odjąć tych kilka koni i przydać żandarmerii. **S.** był to człowiek najlepszego serca, ze wszystkim na niego można się było spuścić (wszak jeździł w poselstwie do warszawskiego rządu)

odrachowawszy tedy gdy mu Boksbeutel lub malaga smakowały – i odważny jakich mało.

Po wypowiedzeniu posłuszeństwa oficerów udał się **Rochebrun** do **Kruka**, opowiedział rzecz całą, a pan **Kruk** nie raczywszy odpowiedzieć i słówka, napisał dymisję dla **Rochebruna**, kazał objąć dowództwo **Komorowskiemu** i pojechał na powrót do **Krystjanopola**. **Rochebrun** pożegnany przez kilku, którzy łzami okazali żal z powodu, iż pod nim zginąć nie mogą, w towarzystwie **E.S.**, 2 – go listopada w dzień za umarłych konno opuścił oddział.

O całym zajściu nikt w szeregach nie wiedział. Po odjeździe **Rochebruna** zwołał **Komorowski**, któremu **Rochebrun** swój pałasz na pamiątkę darował, a który rzucony w krzaki dostał się dla kapitana **Massalisa** – oficerów 6-tego oddziału, zaprezentował się im jako naczelnik, a uściskawszy każdego z osobna, postawił pierwsze żądanie, iż nie chce mieć z podwładnych „żołnierzy „jeno„ rycerzy „. Nie podobała mu się systematyczna służba obozowa w 6-tym oddziale. Nikt jednak nie pojmie jakim sposobem **Komorowski** bez założenia fundamentu wszelkiej wojskowości; porządku – chciał stworzyć rycerstwo. Być może posiada do tego jaką tajemnicę, która zgubiwszy w poryckowym błocie do swego korpusu zastosować nie mógł, lecz odnalazłszy ją, ku podziwieniu Bonapartych teraz w życie wprowadzić nie omieszką. Wkrótce ujrzy świat jego glorię obok statuy Waszyngtona!

Od tej chwili znikła radość w oddziale, chociaż sobie nikt tego wytłumaczyć nie potrafił, gdyż jak wyżej powiedziano szeregi ciągle były w mniemaniu, że im **Rochebrun** przewodzi. Około 6-tej wieczorem kazano wystąpić pod broń. **Komorowski** wyjechawszy przed front oświecony łuczycami ogłosił w szumnej mowie: „że on jest przez Boga dowódcą oddziału obranym i, że on rycerzy na zagładę Moskwy poprowadzi „. Na to chciało wielu broń rzucić, utrzymując, że jeżeli **Rochebruna** nie ma, nadzieje dobrego powodzenia stracili, i tylko niektórym, zaufanie posiadającym oficerom powiodło się odwrócić ludzi od tego postanowienia.

Oddział wyruszył, lecz w godzinę nastąpiło starcie między **Komorowskim** a osobistym jeszcze z Łopatyńskiego powiatu tegoż nieprzyjacielem; porucznikiem **Grzymalą**. Któryś z żuawów nawiedzony epilepsją, tarzał się w okropnych konwulsjach po piasku i błocie; **Grzymala** kazał kilku ludziom opatrzyć nieszczęśliwego i odnieść go na podwody – przez co pochód kolumny nieco zahamowany został. **Komorowski** paradyjący na czele doborowych, wybornie uzbrojonych, pięknie umundurowanych żuawów, jął czynić z powodu owej przyczyny **Grzymale** ostre wymówki, porucznik odpowiedział mu grzecznie lecz z godnością, że nieszczęśliwego ratować należy. **Komorowski** jednak był innego zdania bo głośno krzyknął: „niech jego wszystkich (owego chorego i żuawów) diabli porwą!” Jaki skutek to powiedzenie w szeregach wywarło, łatwo się można domyśleć. Wkrótce po tym sierżant - major 1 –szej kompanii żuawów, dał się słyszeć, że kapitan **Fischer**, nie wart tylko by mu w łeb wypalić. Jakiś oficer z 2-giej kompanii, ujął się za kolegą oficerem, został przez owego sierżant – majora zbeszczeszczony, a **Komorowski** nadszedłszy na to, nie tylko nie ukarał winnego, ale nad to odszedłszy zostawił rozstrzygnięcie woli bożej. Łzono się wzajemnie, ostatni cień subordynacji zniknął...

Trzeciego listopada, wmaszerował **Komorowski**, zawsze na czele batalionu żuawów, około godziny 8-

mej z rana do galicyjskiej wsi **Skomorochy**, gdzie obóz na publicznym placu rozłożył.

Co to za rozkosz, patrzeć i widzieć, jak ciekawe chłopcy galicyjscy rozdziawiają dzioby na tyle niewidzianych „ polaków „, co to za rozkosz być przyjmowanym od dam dworskich, raczonym i tytułowanym to „ jenerałem „ to „ pułkownikiem „, a do tego poparadować na czele straceńców po przed pannami! Że austriacy dowiedzą się o tym, w ślad pogonią i zaraz moskalom znać dadzą – to mniejsza.

10 i pół wyruszył oddział ku granicy, w jakiejś pobliskiej wiosce, na nabożeństwie zebrany lud, bez różnicy wieku i stanu, pędził przez jary i doły by się przypatrzeć polakom; w nadgranicznej wiosce, którą przechodzono, zaczepił bladego i bezbronnego, żandarma dzielny dowódca z „ bożej łaski,, i stanął sobie na obszernej leśnej łące o 1/2 wiorsty od granicy obozem, Oddalenie tegoż od **Skoromoch** wynosiło wiorst 4 a od stacji austriackiej **Baranie Peretoki** wiorst 6 niespełna. Była godzina 1-sza po południu.

Rozkładając obóz dał **Komorowski** słowo honoru, że każdego kto umyślnie lub przypadkowo wypali, rozstrzelać każe. Zaledwie się rozłożono, pada strzał jeden, ba i drugi – wszyscy biegną, lecz skończyło się na wygaworze. Jeśli **Komorowski** tak samo dotrzyma słowo dane cesarzowi **Franciszкови Józefowi**, że nigdy za Polskę walczyć nie będzie, to niech pewnym będzie, że mu następcą sposobność szukania równowagi w powietrzu.

O ¼ wiorsty leżała kasarnia objeższczyków (straż graniczna ? przyp. autora) ; w godzinę po strzałach wydaje naczelnik rozkaz plutonowi żandarmerii, by owych objeższczyków zabrał, ci jednak, jak się pokazało nie mieli ochoty zawierać znajomości z naczelnikiem polaków od Boga wybranym. Wkrótce nawiedziły dwie sekcje pod wodzą austriackiego porucznika, oddział, wyrażając „Pen Frommem Wunsch „ (... życzenie) zaprowadzić wszystkich do Lwowa, gdzie im w karmelickim ex klasztorze, nie równiej cieplej będzie niż na mokrym mchu leśnym. Nastąpił więc targ w końcu, którego wydał **Komorowski** około 60-ciu ludzi polakofilom i przekroczył granicę wołyńską, na podwórzu pustej kasarni objeższczyków ; o dwie wiorsty na lewo szumiał **Bug**, o wiorstę było widać mury dworu w **Żdżarach**. Forsownym marszem zdążył korpus zaledwie po 4-tej po południu do **Żdżar**, gdzie się we dworze rozlokował. Komorowski ze sztabem udał się do dworu czyniąc sobie najwyszukańsze wygodki. Ludzie okropnie zmęczeni i głodni pożerali surową kapustę, którą sobie nawzajem obkradano, i na wpół pieczone barany i gęsi. Bardzo wielu oficerów dało sobie słowo honoru nie iść do dworu, lecz dzielić zły los z szeregi, pomimo, że furgony naładowane były żywnością. Deszcz puścił się gwałtowny, ale nikt o zaopatrzeni i rozkwaterowaniu oddziałów nie myślał. Przemysłniejsi wpadłszy do stajen pokłuli barany bagnetami, połowili gęsi i jeli je przypiekać, wtem daje wideta do pasącej się krowy ognia, alarm – wszystko występuje pod broń, zgiełk i wrzawa, sztabowcy pędzą tam i tu, oddziały mokną pod ulewnym deszczem, a nareszcie po więcej jak półgodzinnym staniu każą się rozejść. Znowu morderstwa niewinnych baranów, kaczek i gęsi, gdyż tamte z pośpiechu w ogień wrzucono; już się włos i pierze osmala, już najniecierpliwszą krają nadpalone mięso – wtem pada strzał drugi „ do czegoś białego „ ... znowu pół godzinne moknięcie zgiełk i zamieszanie i znowu rozkaz do rozejścia się. Do tego

ciemno, że ogień zegara (?) nie ujrzysz. Tu **Komorowski** posyła porucznika **Grzymałę** z kompanią żuawów i plutonem ułanów, dodawszy mu dzwoniącego ze strachu zębami ekonoma za przewodnika do wsi na rekwizycję furgonów. (Zapewne mało mu było oddziałowych w liczbie 48, gdyż i dwie wsie nie byłyby w stanie dostarczyć podwód dla tak liczego oddziału). **Żdżary** są budowane tylko po jednej stronie na długość przynajmniej dwóch wiorst, co utrudniało rekwizycję; na wskazane numera przez przewodnika, który tylko „powieszenie przez moskali „ miał na ustach, po dwóch naznaczeni żuawi, jedni od drugich w takich odstępach, przy ciemności nocy i bajecznym błocie, obskoczeni przez kozaków, co do nogi wycięci być mogli. Do tego , kilka godzin przed tym, umykający moskale wszystkie konie i powózki zabrali, więc oprócz kilku podwód nie znaleźć nie można było, zwłaszcza, że chłop niechętny, a przewodnik dał drapaka. **Grzymała** przypadkiem trafiwszy do dworu, zastał **Komorowskiego** na otomance otoczonego paniami i butelkami, któremu niebezpieczeństwo rekwizytorów przedstawił i ledwie wysłanie pomocy wyjednał. „ No to posłać tam pluton żandarmerii „, odpowiedział pułkownik.

Jednocześnie wysłano majora **Oldinaja** z 80 -cioma ochotnikami i 20 – stoma kawalerii do **Porycka!!!** Około 12 – stej w nocy dano rozkaz do wymarszu ze **Żdżar** na **Poryck**; jedno od drugiego o blisko 4 wiorsty oddalone, pomimo tego dopiero o 8-ej z rana, 4 –tego listopada pokazały się domy **Lachowa** qua – przedmieścia **Porycka**. **Oldonaja**, który miał przedtem, to jest w nocy uderzyć na załogę poryckową, nie otrzymawszy dokładnego drogowskazu, zszedł się z korpusem prawie jednocześnie. Porucznik **Bolewski** z siedmioma ułanami uderzył na kozaków i poległ śmiercią walecznych wraz z czterema towarzyszami, literalnie w kawałki porabany. Cześć ich pamięci! Dwóch ratowało się ucieczką, Korpus tymczasem stał beczynnie pod samym **Lachowem** na deszczu około godziny. **Komorowski** latał ni to general en chef, prosząc tylko by żuawi pamiętali, że ich **Rochebrun** prowadził, bez strzału natarli, i by fezy, które dla deszczu kapturami przykryte były, odsłonić (na kogo? i przed kim ?). W tej gnuśności stracił blisko godzinę czasu. Końcem wmaszerował do **Lachowa**, gdzie deputacja włościan nisko się kłaniających o bajecznym zmykaniu go uwiadomiła. Dopiero gdy **Lachów** był prawie w tyle; przypomniał sobie **Komorowski**, że ma w tej wsi wyrok rządu na tamtejszym unickim proboszczu wykonać. C'est de la moutarde apres diner! Posyła więc znowu porucznika **Grzymałę** z półkompanią żuawów do owego parocha, co dla marudztwa (?) „bożej łaski,, oczywiście wykonanym być nie mogło, gdyż kto się kiedy tylko czuł winnym, to dawno, na co czasu starczyło, był w bezpiecznym miejscu.

Staranność dla ludzi w **Porycku** była też sama jak w **Żdżarach**, kapitan dbający o swoją kompanię zakwaterował ją znośnie, inny zasiadł we dworze, a ludzie głodni i zmęczeni walali się po mieście. Na co nad zamordowanym **Bolewskim** kilka kompani w nocy trzymać było wie tylko pan **Komorowski** W kuchni hr. **Czackiego** było żywności najwyśmienitszej dla 5-ciu tysięcy, kucharzy i kucharzy uwijało się bez liku, ale żołnierze zostawieni byli na łasce mieszczan. Sztab pił i jadł, **Komorowski** się kąpał, **Obertyński** zabrał drogocenne konie ze stadniny **Czackiego**, **Wedeman** i **Kazatel** (kapitanowie) dzielili się złotymi epoletami i electerami (?) zrabowanymi u majora załogi rosyjskiej; przy czym takie

wandalizmy się działy, jakie tylko moskale praktykować umieją. N.p. tłuczenie zwierciadeł, niszczenie obrusków, wyrzucanie numizmatów na ulicę, darcie batystów i.t.r. Czy są widety, czy dokładne, lub przynajmniej jakie takie zasięgnięto wiadomości o ruchach moskali, czy służba garnizonowa egzystuje? Oto nikt, ani się zapytał! Przykład idzie z góry, a **Komorowski** temu nie winien, że malaga hr. **Czackiego** była za stara.

Robił więc kto co chciał. O 9-te wieczorem dano rozkaz do wymarszu, lecz kto go dał, nikt się już nie dowiedział później. Wystąpiono pod broń i stano sobie pełne półtorej godziny na ulewnym deszczu, w najczarniejszej nocy, w błocie po kolana (nie przesadzone) na rynku miasteczka. Oficerowie kazawszy otworzyć sąsiednie domy, powchodziwszy do mieszkańców i dobrze im się tam działo. A biedny żołnierz stał kalecząc się wzajem pod gołym niebem.

Wtem, przeraźliwym, złowrogim jękiem odzywa się dzwon na zegarowej wieży. „ Zdrada! krzyczy wiara – ‘ to sygnał dla moskali!” Gdyby wtedy tylko sekcja moskali nalazła była na korpus bez oficerów i dowódcy, byłoby wszystko poszło w rozsypkę. Ledwo energicznemu **Oldonajowi** udało się zaprowadzić porządek, kilku mieszczan przysięgło, że to uderzenie w dzwon na pamiątkę Matce Chrystusa od niepamiętnych czasów praktykowane jest – tym sposobem spokój przywrócono.. Oficer wysłany do **Komorowskiego** z zapytaniem co czynić? Znalazł dowódcę podochoconego wraz ze sztabem w pałacu, który (nie pałac) mu niezmiernie zdziwienie okazał, mówiąc, że o wymarszu nic nie wie! Jednocześnie dał rozkaz do rozejścia się !!!

Tu wszyscy porozbierawszy się z przemokniętego odzienia, pozasypiali po całodziennych trudach nie dbając czy są widety, które by ich o zbliżającym się wrogu ostrzegły.

Komorowski złożył radę wojenną, debatowano najdziwaczniej; słyszano nawet głosy, by wrócić do Galicji, jednak to musiała wymówić głupia malaga. Na końcu przemógł plan **Sotera Bilińskiego**, by się milczkiem z **Wołynia** wysunąć, iść na pewne na mapie oznaczone miejsce wzdłuż granicy ku **Bugowi**, gdzie skryci kilka nawet dni wypocząć by mogli, zwłaszcza iżby moskale trop zgubili; a potem przeprawić się przez **Bug** i operować w **Lubelskim**. Przyznać należy, że plan był wyśmienity. Moskale byli by się znużyli daremnie korpusu szukając po Wołyniu, a nawet z Lubelskiego gdzie nie było oddziałów powstańczych, były by przeszły wojska rosyjskie w pomoc na Wołyn, podczas gdy tak doborowy korpus ogromne mógł moskalom klęski zadawać. Jednak obaczmy jakie było wykonania przyjętego planu **S. Bilińskiego**.

Około 3-ciej po północy 5-ego listopada dano rozkaz do wymarszu, korpus pomimo godzinnego stania na słocie i błocie wyruszył w chwalebnej cichości z miasta, wzorowo trwał marsz z flankierami pod dozorem majora **Oldonaja**, nareszcie zdziwiony korpus obaczył o 3 i 1/2 z rana słupy graniczne Galicji. Zdziwiło to niemało uczestników rady wojennej, gdy **Komorowski**, który jak kawał mętnej chmury jechał na czele kolumny; zamiast skrócić w prawo, prowadził w głąb galicyjskiej ziemi. Na dobitek, właśnie gdy się rozwidniać zaczęło i gdy korpus pod chałupami **Baranich Peretok** się ujrzał, zaczęto gonić z zdobytą bronią za szeregowcem austriackim, który przez ciekawość zbliżył się do kolumny. Natychmiast usłyszano alarm w załodze austriackiej, która wystąpiła, najsamprzód zaatakowali huzarzy

polskie furgony, które odbito, a potem kazał porucznik **Verini** dać do oddziału **Sieńkiewicza** (jednak w górę) ognia. Polacy odpowiedzieli, ale na ostro, ranili kilku Austriaków, którzy w nieładzie po krzakach się rozsypali. **Sieńkiewicz** spadł z konia, chociaż sam sobie tego wytłumaczyć nie umiał. Nareszcie wmaszerował korpus na dogodną do marszu linię graniczną, tu nie widzieć dlaczego się zastanowił i kolumnę przewrócił (przeciw komu?). Austriacki Porucznik **Verini** zaczął parlamentować z **Komorowskim**, nie wiedzieć o co, wiara rwała się na bagnety, zaledwie **Oldonajowi** udało się powstrzymać niewczesny zapal. Wtem usłyszano kwintesencję mądrości naczelnego wodza: Dzieci! mamy pięć mil forsownego marszu przed sobą, kto się nie czuje na siłach może się wrócić do Galicji! Na to przeszło stu rzuciło broń i udało się do **Veriniego**, i li tylko energicznemu wystąpieniu oficerów, można zawdzięczać, że wszystko nie poszło, gdyż ludzie, tak byli pomęczeni i głodni, iż tylko jeden wsparty na drugim mógł maszerować a konie pod jeźdźcami padały. Pierwszy, który przeszedł do Austriaków był kapitan **Soter Biliński**. W tej chwili nastąpiło ogólne rozprężenie, żuaw ze strzelcem **Komorowskiego** i **Sieńkiewicza** szedł z kawalerzystą, kosynier z żuawem **Komorowskiego** obok furgonów; szeregów ani śladu. Ledwo nie ledwo, ruszono naprzód pstrą masą, niby na odwiedzinach do cudownego miejsca. Mówiono sobie: nas tylko duch prowadzi, ciał już nie czujemy. Tu jakiś objeżdższy skryty w krzakach dał ognia do ostatnich, odpowiedziano strzałami, wszystko na łeb i szyję w las galicyjski uciekać zaczęło. Nieład był najokropniejszy, dopiero energiczne wystąpienie kilku oficerów przywróciło porządek. **Komorowski** był niewidzialny.

Zaczęto się na samej granicy formować i ład jakiś zaprowadzać na przód wysłano furgony, które w błocie ugrzęzły i pochód zahamowały. **Komorowski** ze swym sztabem między podwodami został (medytując zapewne nad osuszeniem owego bagna) do ostatka.

Naprzeciw rozciągniętej wzdłuż granicy kolumny polskiej stanęła ½ - kompania Austriaków pod wodzą porucznika **Plachetko**, rozumie się na ziemi galicyjskiej, w poprzek granicy wysunęła się sotnia kozaków, o koło 1000 kroków od przedniej kolumny żuawów. Postawszy z pół godziny, znikła, a za chwilę pokazał się szwadron dragonów w tym samym miejscu. Tak mijali się kilkakrotnie. Zniecierpliwieni Polacy jęli dawać w ostatnich kolumnach przez elewację ognia do moskali, jednak z powodu, że taki ogień swoim mógł zaszkodzić musiano temu zapobiec.

Porucznik **Grzymała** prosił **Komorowskiego** (stojącego ciągle nad bagnem) by mu pozwolił z kawalerią uderzyć obszedłszy granicę lasem, na skrzydło dragonów podczas gdy kompania żuawów idąc prosto granicą z przodu zaatakować miała moskali. „A dobrze!” dano mu za odpowiedź. Zebrawszy więc kawalerię pomieszaną bez ładu i porządku, z głośnym „hurra” puszczono się lasem na dragonów, w drodze spotkał **Grzymała** majora **Oldonaja**, który na jego prośbę objął dowództwo nad ochotnikami. **Oldonaja**, okóławwszy granicę lasem, rzucił się wśród „głośnego” zapalu ochotników, w jednej ręce pałasz w drugiej rewolwer przynajmniej na 50 kroków przed atakującymi w pełnym galopie na dragonów, ci dali ognia po czym nastąpiła cisza. Zapal dzielnych ochotników (była to kawaleria **Rozwadowskiego**) znikł wraz z nimi. Cudem tylko ocalał **Oldonaja**, gdyż li o jakieś 50 kroków oddalony mógł łatwo popaść w niewolę. Za nim zostali tylko podporucznik żandarmerii

Fernando Gucci, sierżant – major **Kossowski** i **Grzymała**.

Na to patrzył cały korpus, dzielny **Oldonaja** wrócił smutny do oddziału, **Grecci** bezczeszcząc kiepsko po polsku kawalerię ostatnimi słowami, zwać ich „ maca cci „, **Obertyńskiego** oburzył, a ten ze swoim szwadronem rzucił się na kozaków, którzy zmieniali się z dragonami. Kozacy pierzchnęli. Naturalizowany francuz **E.G.** kuzyn pani **C.** podporucznik inżynierii, ciął w łeb kozaka i zdobył czapkę, po dziesięciu ułanów obskakiwało jednego kozaka, który zasłaniając się łbem końskim i lancą uchodził śmierci; zamiast ukłuć go lancą bito go drzewcami. Pokazało się ile wart jest nie wyćwiczony ułan i w jego ręku lanca, o co tak chodziło **Rozwadowskiemu**. Nareszcie **Obertyński** cięciem pałasza powalił kozaka na ziemię, **Ariergardes** ciął jeszcze umykającego na czworakach w krzaki kilkakrotnie i pokazał pałasz Komorowskiemu, „ patrz pułkownik, skrwawiony! „, **Grecci** zabił jednego kozaka i zdobył drogocenną szaszkę, **Obertyński** odbił furgon i dwóch monstrualnie pokaleczonych i odartych polaków [Po negocjacjach **Komorowskiego** z **Verinim**, gdy wszystko było w nie porządku, uciekało wielu na własną rękę, ci dwaj musieli się zabłąkać i zostali przez postępujących za korpusem kozaków złapani], jeden żandarm ranny śmiertelnie zmarł na **Wolawce**, kilku ozdrowiało.

Po powrocie szwadronu **Obertyńskiego**, wysunął się znowu szwadron dragonów, na nich został posłany **Pioter Ramolo** (**Suchodolski**, zięć **Czajkowskiego**) rotmistrz kawalerii ze swym szwadronem, który zgrabnym zwrotem przed samym nosem dragonów znikł w lesie galicyjskim, by znowu figurować w eks-karmelitańskim monasterze lwowskim.

Kapitan **Menkes** zakrywszy czapeczkę uniformową austriacką fezem wbił się między krzaki szukając dogodnego miejsca na przejście do Galicji, spostrzegł go jednak porucznik **Plachetko** i nagonił pałaszem „ he gest du dort zuruck „ { ty idziesz tam powrotem } wołał na niego, a 3-cia kompania z porucznikiem **Ostrowiczem** wołała na całe gardło „ Mendel entleif nischt! „ { ? }.

Ten bezładny stan trwał do godziny 11-tej z rana; o tej godzinie zjawia się **Komorowski**, zwołuje oficerów i tak im prawi:

„ Koledzy! Szesnaście tysięcy moskali nas otoczyło, nie mogę brać odpowiedzialności za życie tylu bohaterów na siebie, dlatego postanowiłem by ludzi i część broni uratować, udać się do Galicji!..”

Płacz żalu przerwał mu mowę, „ choć raz nas poprowadź pułkowniku! „, łkał podporucznik żandarmerii **Sekutowicz** – „ jeśli ci się nie podoba, to mię przebij! ”, rzekł Komorowski rozrywając mundur.

Zapewne mieszkała pytyjska mądrość w owym bagnie, której zaczerpnął nad nim medytując dowódca „ z bożej łaski „,

Przypuśćmy, że nie szesnaście tysięcy, ale milion bilionów moskali, nie moskali ale cyklopów otoczyło **Komorowskiego**, cóż mu się stać mogło stojącemu prawie na terytorium austriackim, bijąc się z owymi bilionami przejść granicę? Strata ludzi ? A toć chwalebniej zginąć niż być pośmiewiskiem świata. Strata broni? A wszakże Austriacy i tak ją zabrali, co przewidzieć można było, jeśli na to tam czekając stali.

Doniesienie o 16.000 moskali było, jak się później okazało fałszywe. Czysta logika powinna powiedzieć **Komorowskiemu**, że gdyby 16.000 było, to by się i pokazało – gdyż już to leży w naturze mongolskiej, będąc w przeważającej liczbie śmiało natrzeć na nieprzyjaciela.

Podczas owej quasi rady wojennej, znikła kawaleria moskiewska, a na jej miejsce zjawiała się piechota (nie więcej jak rota), gołym okiem można było ujrzeć dwa jednorożce (granatniki ? przyp. aut.), z których jeden w bagnie bezużytecznie ugrzązł, a drugi na po podścielane płaszcze wtoczony został. Moskałe dali ognia, lecz granat poleciał sobie w lubelskie – wszak znana artyleria moskiewska.

Komorowski jednak w największym galopie pogonił w las galicyjski, wszystko bez najmniejszego porządku rzuciło się do ucieczki, ciskając broń, amunicję i przybory, łamiąc furgony i puszczając konie. Krwawo sprowadzona potrzeba wojenna rozrzucona leżała po lesie – chociaż nikt nie gonił a moskałe zgłupiali z miejsca się nie ruszyli. Do tego sarkazm Austriaków jako naocznych świadków! „Miałem do czynienia z wieloma tego typu zdarzeniami wojskowymi , ale czegoś takiego dotąd nie widziałem „, [tłum. autora } powiedział podpułkownik huzarów p. **Stenz**, gdy mu podający się opiece prawa austriackiego oficerowie pałasze oddawali. I słusznie!

Moskałe mając wiele prochu walili z armaty bez ustanku, chociaż już dawno nikogo nie było, kalecząc wierzchołki sosen i nie mogąc pojąć po co „ miateżniki „, chadzali na Wołyń.

Tak się skończyła Wyprawa Wołyńska, na spacerze do **Porycka** i nazad ... Wielkie nadzieje spełzły przez paczkę tytoniu.

Na końcu musimy się zaznajomić z planem **Rochenbruna**, Chciał on poprowadzić cały korpus wzdłuż Bugu w bagna **Brześcia Litewskiego**, tam się oszańcować i leże zimowe założyć. Kto zna, lub kto słyszał o **Brześciu Litewskim** wie, że to niezdobyta forteca przez moskali, zwłaszcza pod takim dowódcą jak **Rochebrun**; na wiosnę mogła się kilkunasto tysięczna armia na postrach moskali zorganizować. Wprawdzie **Rochebrun** nie był zdolny na jenerała en chef, jednak mógł się na niego wyrobić, gdyż posiadał energię, rzutkość, prawość charakteru, co dowodnie swą odezwą w lutym 1864 uwiłdocił i miłłość i zaufanie podkomendnych umięjąc na to u nich zasłużyć.

...Że nieudanie się ostatniej wyprawy wołyńskiej największą klęskę powstaniu narodowemu przyniosło, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Siła zdolna do boju zmarniała pod wrażeniem demoralizacji wypływającej ze złego, a nawet najmniej rozumiejącym w oczy wpadającego najniedołężniejszego kierownictwa ze wszystkich operacji strategiczno – taktycznych korpusów partyzanckich. Galicyjska creme de societe i tak nieprzychylna sprawie narodowej widząc, że nawet gwałtownymi środkami od nich wydobyta pomoc materialna, ginie w błocie poryckowym, usunęła się zupełnie. Klasa średnia, która się najprzychylniejszą okazała, widząc, że człowiek instynktownie przez nich poczuty, zmarniał pod wpływem szlachty do której zaufania nigdy nie miała, dopuściła najzgubniejszy warunek do serc swoich – bo zwątpienie we własne siły.

...Wyprawy **Czachowskiego** i **Żalplachty** zrobiły wiele złego jednak nie szkodziły tak dotkliwie jak ostatnia wyprawa wołyńska. Tak pierwszy jak i drugi miał dobre chęci - lecz obydwaj nie mieli zdolności; pierwszy może nie chciał tego uznać, drugi, co mu zaszczyt przynosi, uznał to nieprzyjęciem powtórneć dowódstwa.

„Ostatnia wyprawa wołyńska przez E.O.d. **M.Kobyłańskię** ...1863 „

Rękopis Biblioteka Dolnośląska

Gen. **Rochebrune Francois** (1830 – 1870) oficer francuski, w r. 1863 twórca I dowódca żuawów śmierci w pruskiej.

Gen. Hr. **Wojciech Komorowski** (1839 – 1879) były oficer austriacki, dca 7 Oddziału Jazdy Wołyńskiej

ŻUAWI ŚMIERCI

Polski oddział wojskowy powstania styczniowego sformowany w lutym 1863 w **Ojcowie** przez oficera francuskiego **Franciszka Rochebrune** na wzór żuawów francuskich. Nazwa wynikała ze składanej przysięgi, mogli tylko zwyciężyć albo zginąć. Stali się jedną z doborowych formacji powstania ze szczególnym „ esprit de corps „, wyrażającym się m. in. odmiennym jednolitym umundurowaniem, dyscyplinie i ceremoniale przyjęcia do oddziału. Ochotnicy musieli być zaakceptowani przez dowódcę, który osobiście interesował się swoimi podwładnymi. W zamian, mimo surowej dyscypliny, z karą śmierci za nie subordynację włącznie, żołnierze darzyli **Rochebruna** wielkim szacunkiem i oddaniem. Znakiem oddziału była czarna chorągiew z aplikowanym białym krzyżem i białymi czerwonymi szarfami na których widniał napis „ W Imię Boże – r. 1863 „,

Żuawi śmierci odznaczyli się w bitwach *pod Miechowem, Chrobrzem, Grochowiskami , Krzykawką, Porykiem* i w wielu pomniejszych potyczkach.

...Sprawy nasze w Lubelskiem w miesiącu wrześniu szły bardzo nieszczęśliwie. Oddział gen. **Kruka** został rozproszony, a on sam przybył do Galicji aby otrzymać pomoc jak najprędszą. Z wziętych u moskali pod **Żężyńem** 150 tys. rubli, z rozporządzenia **Różyckiego** przesłano 50 tys.. które zużyto na dokończenie organizacji IV,V,VI,VII oddziałów. Mając zamiar wkroczyć na Ruś **Różycki** postanowił wzmocnić powstanie w Lubelskiem oddając te cztery oddziały pod dowództwo **Kruka**.. 11 października dowódcy tych oddziałów zostali wezwani do **Lwowa** i przedstawieni przez **Różyckiego** głównodowodzącemu. Pułk Wołyński i trzy pierwsze oddziały piechoty przeznaczały się do wyprawy na Ruś. Za szefa sztabu gen. **Krukowi** dał **Różycki**, płk. **Rudnickiego**. **Kruk** przybywszy nad granicę w **Żółkiewskiem** a rozpatrzywszy się w rozkładzie sił moskiewskich zebrał na naradę dowódców i zdecydował się posłać IV, IV i VII oddział na Wołyń, żeby z tamąd wkroczyć w lubelskie. V zaś oddział idąc nad granicą lubelskiego miał potem połączyć się z nimi. **Kruk** powziął decyzję tą na tym, że na Wołyniu było bardzo mało sił moskiewskich, wtedy gdy lubelskie było obsadzone bardzo znacznymi siłami.

W nocy z 29 na 30 października IV, VI i VII oddziały ze złoczowskiego, brzeżańskiego i południowych części żółkiewskiego, na furmankach przewieziono nad granicę.

Oddział **Sienkiewicza**, składający się z 360 piechoty i 60 kawalerii był tak źle i nieopatrnie

prowadzony, że w czasie marszu ku granicy zgubił gdzieś całą kompanię piechoty i całą kawalerię, które, nie utrzymując należycie związku z innymi częściami idącymi na przodzie oddzieliły się w nocy i poszły inną drogą. Na dobitkę nieszczęścia obywatel **Nietrebski**, bardzo zacny człowiek i jedynak syn u matki, wskutek dziecinnie śmiesznych rozporządzeń **Sienkiewicza** został przez pomyłkę zabity przez awangardę, która **Sienkiewicz** nie widzieć po co rozkazał zostawić w Galicji.

Dowiedziawszy się o nieporządkach w oddziale **Kruk** przybył tu natychmiast i znalazłszy oddział nad brzegiem **Bugu** nakazał przeprowadzić się przez rzekę. Sprawę tak ważną jak przeprawa, **Sienkiewicz** porucił oficerom swoim, a sam położył się na wózku dla odpoczynku. **Kruk** zobaczywszy to zgał ostro takie postępowanie, nieporządek w marszu i zabicie **Nietrebskiego**. Na co mu **Sienkiewicz** wobec oddziału odpowiadał: - My jesteśmy ochotnikami w służbie ojczyzny, a nie żołdakami moskiewskimi, każdy z nas czuje potrzebę dyscypliny, lecz nie zniosę przed frontem żadnych wyrzutów, które mi ubliżają.

Milczeć! zawołał generał **Kruk**, a **Rudnicki** będący przy nim rzekł: my was pałką nauczymy subordynacji (tak przynajmniej twierdził **Sienkiewicz** w czasie sądu). Adiutant **Sienkiewicza** **Gerlicz** i oficer **Zagórski** wyskoczyli naprzód, wyciągnęli pistolety z olster i chcieli zabić **Kruka**, obsypując go przekleństwami i złorzeczeniami. **Kruk** wspiął konia ostrogami i odjechał precz, lecz widząc burzenie się żołnierzy postanowił zrzec się dowództwa nad wyprawą, oddając wszystkie oddziały pod komendę pułkownika Komorowskiego, któremu dodał szefa sztabu swego Rudnickiego najdokładniej wtajemniczonego w plany. Przedtem jednak posłał rozkaz **Sienkiewiczowi** aby aresztował **Gerlicza** i **Zagórskiego** jako głównych winowajców rokoszu. **Sienkiewicz** rozkazu nie usłuchał.

Po odejście **Kruka** połączone pod **Komorowskim** oddziały zebrały się w lesie. Tymczasem zaszły nowe dwa niefortunne wypadki. Dowódca IV oddziału **Alladar** (właściwie **Palfi**) obaczywszy kilku austriackich żołnierzy niedaleko obozowiska oddziału, tak się przeląkł, iż uciekł, a oddział pozostawiony bez dowódcy rozpierzchł się. W tym czasie **Rochebrun** rozgniewany na kilku powstańców swego oddziału za to, że mu zrobiono figla i zjedzono konserwy sprowadzone z Francji, podał się do dymisji oddając dowództwo oddziału swego **Zapałowiczowi**.

Wyprawa liczyła więcej aniżeli 700 ludzi piechoty i 180 kawalerii. **Komorowski** z **Rudnickim** wyruszyli w nocy i nad rankiem stanęli koło wsi **Skoromochy** gdzie dano wojsku odpoczynek. W czasie odpoczynku przybył generał **Kruk** i zażądał aby mu dano eskortę kawalerii z oddziału **Sienkiewicza** mówiąc, że z nią wkroczy w Lubelskie i przygotowuje wszystko na przyjęcie oddziałów **Komorowskiego**. **Sienkiewicz** odmówił dać kawalerię swoją. **Rudnicki** przydany **Komorowskiemu**, nie chcąc narażać swej skóry, pod pretekstem, iż nie otrzymał żadnego rozkazu od **Różyckiego**, porzucił wyprawę i odjechał do **Lwowa**, zostawiając **Komorowskiego** w tak krytyczną chwilę własnemu przemysłowi swemu.

Nad samą granicą rozłożono obóz dla dania ludziom odpoczynku, ale ponieważ nadchodzili Austriacy. A spotkania z nimi w zasadzie unikano, potrzeba było puścić się w dalszą podróż. Czas był dżdżysty; idąc więc pomału pod wieczór więc oddziały doszły do **Żdżar** i stanęły obozem.

Nazajutrz 1 listopada wyprawa ruszyła lasami ku **Poryckowi**. Oddział **Sienkiewicza** jako najmniej pewny i najwięcej zdeorganizowany szedł w ariergardzie. Moskale ustąpili z tego miasteczka. Zająwszy **Poryck** i zabrawszy konie ze stajni hr. **Czackiej, Komorowski** nie wiedział co począć dalej. Fałszywe wieści mówiły, że moskale ściągają się w znacznych siłach z **Uściługa** i **Włodzimierza** i z artylerią dążą na spotkanie oddziału polskiego. Uwierzywszy tym wieściom i widząc mocne zmęczenie ludzi, zabrał radę wojenną, która zdecydowała rejteradę do Galicji, „żeby nie narażać tak piękny oddział rozbicie „, tak bowiem wyraził się **Komorowski**. Po małych utarczkach z kozakami, w których zginął stary żołnierz polski i towiańczyk **Bulewski**, o godzinie 4-tej z rana zaczęto rejteradę. Na granicy czekali austriacy. Nastąpił nieład straszny, kolumna rozciągnęła się, szyki się zmieszały, porządku wprowadzić było niepodobna. Doszedłszy do **Sokała** oddział poszedł w rozsypkę; Austriacy wyłowili mnóstwo ludzi i zabrali obozy.... więc wyprawa, która kosztowała i tyle pracy i tyle wydatków (do 60 tys. złr) została marnie zgubiona z powodu niesubordynacji **Sienkiewicza** i ucieczki **Rudnickiego**, który jako stary żołnierz mógł się oprzeć haniebnej uchwale rejterady.

Gdy wieść ta dotarła do **Lwowa**, przynębiające sprawiła wrażenie. Więc ta wojskowość, która wzięła władzę w ręce swoje, nic lepszego zrobić nie mogła i powtórzyła wyprawę Radziwiłowską tylko w pogorszonym wydaniu ...! Kompromitacja była ogromna, sarkania straszne! Mnie zaś to nieszczęście dotknęło niezmiernie, ja, co w życiu nigdy nie poddawałem się rozpaczcy byłem przynębiony okropnie. W ciągu całego przygotowywania wyprawy narażałem się nieustannie, ażeby tylko przygotować wszystko jak najlepiej; nie dbałem o los swój, o życie, byleby rzucić na pole bitwy z półtora tysiąca dobrze zorganizowanego narodowego wojska i na tyleż zapasowej broni, Oddziały były ubrane tak jak nie był ubrany do tego czasu żaden oddział powstańczy, przy każdym były furgony doskonałe, była broń zapasowa, kosy, ładunki etc, etc. I wszystko to zmarnowano w ciągu dnia jednego nawet bez boju...!

Generał **Różycki** kazał oddać Sienkiewicza, **Gerlicza** i **Zagórskiego** pod sąd wojenny złożony z Jenerała **Jeziorańskiego, Chranickiego** i **Zimy**. Sąd ten sumiennie rozpatrzywszy całą sprawę, wydał wyrok 16 listopada, skazujący ich na śmierć. **Różycki** zmienił wyrok na wieczne wygnanie z kraju. W roku 1864 **Sienkiewicz** za granica napisał do Rządu Narodowego usprawiedliwienie, które go potępia zupełnie, bo dość przeczytać to usprawiedliwienie aby się przekonać, że ten człowiek nie miał pojęcia ani o dyscyplinie i subordynacji ani o obowiązkach dowódcy.

Nowa ta klęska, która dotknęła nasz kraj nieszczęśliwy, wskazała organizacji niestosowność tworzenia wielkich wypraw, które tyle pracy i zasobów zużywają, a tak łatwo się marnują. Postanowiliśmy więc z rozbitków oddziałów IV,V,VI,VII, utworzyć po kilka oddziałków po 100 ludzi najwięcej i dawszy im dobrych dowódców wysyłać za granicę.

„Pamiętniki Pułkownika Strusia z lat 1863 i 1864 spędzonych w Galicji”, Jan Stella-Sawicki (1831-1911)-rękopis Ossolineum

Duch w Lubelskiem „, nie rośnie lecz z każdym dniem upada bo jest rzeczą widoczną, że powstanie ma z tak przeważnymi siłami do czynienia, że nawet tylko utrzymywanie istnienia oddziałów stało się

niepodobnym. Dopóki oddział liczy nie więcej jak 100 ludzi i może się kryć po lasach, dopóty istnieje; każdy zaś oddział większy, który się ukryć nie może i musi przyjmować bitwy, ginie za dni kilka. To przekonanie działa na wszystkich jak trucizna.

„Galicja w Powstaniu Styczniowym”

Relacja Nr 97 **Z. Kaczkowskiego** do **Ignacego Plichty** Lwów 13.IX.1863

Oddziały przeznaczone w Hrubieszowskie uległy daleko fatalniejszemu losowi aniżeli w najgorszym razie można się było spodziewać. Historia ich jest następująca. Uformowano pierwotnie 4 oddziały pod komendami: hr. **Komorowskiego**, **Alladara**, **Rochebrune’a** i **Sienkiewicza**. Wszystkie 4 miały jednocześnie, lecz na rozmaitych punktach przekroczyć granicę, a tam przejść pod naczelną komendę gen. **Kruka** (**Heidenreicha**). Atoli ciągłe konfiskaty materiałów wojennych, chwytnia ludzi przez władze austriackie a nareszcie samowolne rozchodzenie się ochotników opóźniały z dnia na dzień przeprawę. Postanowiono nareszcie przeprowadzać oddziały pojedynczo, wedle możliwości. Tak w połowie poza przeszłego tygodnia tj. około 28.X. przeprowadził się pierwszy **Alladar** (**Palfy**) ze swoim oddziałem wynoszący do 200 ludzi. Przeszedł granicę pod **Kostiaszynem** bardzo szczęśliwie i wszedł w głąb kraju, gdzie posunął się ku północy o 1,5 mili ku wsi **Tarnawatka**. Tam spotkał jakąś niewielką ilość Moskali, którzy powitali go ogniem, a lubo ten ogień żadnej mu szkody nie wyrządził bo tylko koniowi **Alladara** ucho przestrzelono, cały oddział się cofnął i przekroczył na powrót granicę, Prawie wszyscy ludzie i prawie wszystka broń została straconą; mało co się uratowało. (Bitwa została stoczona pod Radkowem 31.X. 1863).

Kruk widząc z tego przykładu, że lada komu dowództwa powierzać nie można, nie mając już nadto materiału tak wiele ile na uformowanie kilku osobno granicę przekraczać mających oddziałów potrzeba, postanowił pozostające 3 oddziały zlać w jeden i oddać go pod dowództwo jednego. Takim dowódcą mianowany został **Komorowski** – i nie bez słusznego powodu, głównie zaś dlatego, że tak **Rochebrune**, jak **Sienkiewicz** już byli mocno podejrzani o chętkę robienia buntów przeciw **Krukowi** a **Komorowski** prócz pewności charakteru dawał jeszcze rękojmię w swojej znamienitej waleczności, której niejednokrotnie dał już dowody. Jednak zaledwie to postanowienie ogłoszonym zostało zaraz zaczęły się bunty, i to nie między żołnierstwem ale między oficerami. Pierwszy zaczął się burzyć **Rochebrune**, rwać się do pałasza naprzeciw **Komorowskiemu**, wzywając innych oficerów na pojedynki, robiąc rozmaite inne niesnaski itd. Zaciszono tą sprawę dymisją daną **Rochebrunowi**, której sam zresztą zażądał (oddał dowództwo nad swoim oddziałem **J. Zapalowiczowi** - **Żalplachcie**). Jak to się stało wyprawa ruszyła, bo **Sienkiewicz**, który już razem z **Rochebrunem** się burzył, zdecydował się, lubo niechętnie, pójść z **Komorowskim**. Wszakże odtąd robił już wszystko jak gdyby na złość. I tak przede wszystkim ruszył ze swoim oddziałem z obozu (założonego z tej strony granicy) nie podciągawszy wedet, przez co nie tylko, że te wedety zostały stracone, ale zabito **Netrebskiego**, który prowadząc oddział **Sienkiewicza** wylazł z lasu wśród ciemnej nocy na nie uprzedzone tym swoje własne wedety myśląc że to patrol austriacki położyły go trupem na miejscu. Potem **Sienkiewicz** chcąc złe naprawić,

jeszcze je pogorszył, bo na miejsce **Netrebeskiego** sam stanął na czele oddziału i zaczął go prowadzić nie troszcząc się wcale o to co dziać będzie się z tyłu. Jakoż stało się to, że na rozstajnej drodze **Sienkiewicz** zanadto oddalony od swego oddziału, pojechał na prawo a oddział poszedł na lewo. Ledwie się odszukano wzajemnie po kilku godzinach. Kiedy przyszło do przeprawy przez **Bug**, **Kruk**, który ze zgromadzonymi tam oddziałami czekał na **Sienkiewicza**, zaczął **Sienkiewiczowi** o takie niedbalstwo robić wymówki. **Sienkiewicz** zaczął się odgryzać, aż przyszło do tego, że **Kruk** musiał mu powiedzieć: Milcz, Pan i słuchaj! – Jak tylko to **Kruk** powiedział, zrobił się – jak mówią nasi starzy pisarze – gaz w całym obozie. **Gierlicz**, młody oficer z Lubelskiego, zawołał do **Sienkiewicza** w obecności **Kruka**; „Gdyby on mnie to powiedział, to bym mu dał w gębę!”. Inny zawołał: „Ja bym mu w łeb strzelił!”. **Sienkiewicz** znów swoje. Po uciszeniu tej awantury **Kruk** zwołał sąd wojenny i na mocy zapadłego wyroku kazał rozstrzelać **Gierlicza**, ale ludzie byli tak zdemoralizowani, że niebyło komu wykonać wyroku. To zapewne spowodowało **Kruka**, że sam się usunął i oddał całą władzę **Komorowskiemu**.

Przecież nareszcie **Komorowski** przeprawił się przez granicę i wszedł na Wołyń. Było to w niedzielę, 1.XI. Pierwotnym zamiarem tego oddziału było wejść w Hrubieszowskie. Ale obóz leżał nad hrubieszowską granicą przeszło 3 tygodnie, a to ściągnęło nad tę granicę bardzo znaczne siły Moskali. Postanowiono zatem wejść po prawej stronie **Bugu** na Wołyń, pójść parę mil w głąb kraju i na powrót wejść w Hrubieszowskie, a tym sposobem obejść Moskali zgromadzonych nad samą granicą. Zamiar ten był bardzo łatwym do wykonania, bo cały oddział **Komorowskiego** obejmował 800 najlepszych ludzi, jakich teraz mieć mogliśmy we Wschodniej Galicji, pomiędzy którymi znajdowało się 70 paczkarzy (przemytników) i około 100 turkosów, tj. emigrantów polskich z Multan. Wołoszczyzny i Turcji. Wszystko to było uzbrojone w najdoskonalsze sztucce belgijskie i ubrane jak najstaranniej, a kawaleria po największej części z młodej szlachty złożona uzbrojona wykwintnie i na najlepszych koniach. Ale demoralizacja zaszczipiona przez **Rochebruna Sienkiewicza i Gerlicza** zepsuła wszystko. Wyprawa nie doszła dalej jak do **Porycka**. Wprawdzie po drodze spotkanych 2 szwadrony dragonów i sotnię Kozaków kawaleria rozbiła ale zaczęła narzekać, opowiadać sobie duby smalone o ogromnych masach Moskali itd. I została na nocleg w **Porycku**. Podczas noclegu ochotnicy od piechoty zrabowali stajnię **Czackich**, a nawet pobuszowali po pałacu, czemu **Komorowski** nie mógł przeszkodzić, takie było już rozprężenie. Nazajutrz **Komorowski** sam (jeżeli to prawda) miał dostać języka, że wielka ilość Moskali nawet z artylerią rozłożona jest w okolicy. Zwołał zatem radę wojenną, której przedłożył do wyboru: albo iść 5 mil bez odpoczynku w głąb kraju, albo do Galicji powrócić. Rada wybrała ostatnie. We wtorek rano cała wyprawa wróciła, straciwszy 8 zabitych i 12 rannych, właśnie tyle, ile w naszych stronach pada zazwyczaj Mazurów jeżeli kiermasz był dobry – a i ci padli po największej części nie w bitwie przeciw Moskalom, ale w utarczkach z Austriakami przy przejściu granicy, którym także ubili 3 ludzi i kilkunastu zranili. Do przedwczoraj było w **Sokalu** uwięzionych 400 powstańców i 70 koni prawie wszystka broń i 250 000 R. ostrych ładunków. Taki jest tej wyprawy rezultat, oczywiście ostatniej w tym rodzaju, chyba że się zmienią okoliczności. Straty

materialne bardziej demoralizują się ludzie i kraj się do ofiar zniechęca, ale jeszcze Niemcy prawie w oczy nam mówią: Wenn ihr wenigstens raufen moechtet! Aber ihr wollt ja gar nich raufen - Und zum Meuchelmord habt ihr Courage genug itd. (Musicie mieć wolę walki! Ale wy jej nie macie – nie macie wystarczająco dużo odwagi aby zabijać).

Różycki (gen, stał na czele powstania na Wołyniu) oddaje winnych tej katastrofy pod sąd i jak mówi, jak najsurowiej z nimi postąpi. Trudno wprawdzie uwierzyć w **Różyckiego** surowość, ale z **Gierliczem** i **Sienkiewiczem** może być źle, bo popełnili jawną infamię i opinia na nich niezmiernie jest rozszkożona. Co się stało **Sienkiewiczowi**, że zaniósł się tak daleko, Bóg raczy wiedzieć; zdawał się być bardzo porządnym człowiekiem i takie miał zewsząd rekomendacje. **Rochebrun** był zawsze Hultonem i po nim można się było zawsze wszystkiego spodziewać. Znam go tu w Polsce ze wszystkich najdawniej. W r. 1854 kiedy jako mniemany emigrant polityczny francuski przyszedł był do **Krakowa**, wziąłem go był do siebie i żywiłem przez 4 miesiące. Przepowiadałem jeszcze podczas dyktatury (**Langiewicza**), że to indywiduum niepewne i niebezpieczne. Teraz stał się prawdziwą plagą w wojsku. Będzie także wzięty pod sąd. Życzę mu aby go po prostu wygnano z kraju, bo nie masz nań innego lekarstwa. (**F. Rochebrune** opuścił w listopadzie 1863 r. Polskę i udał się do Francji).

(**R. Traugutt** w rozkazie z 11.XII. 1863 r. oddawał pod sąd wojenny **R. Sienkiewicza**, **Gierlicza**, **Zagórskiego** i **Lempickiego** oraz **Aladara**. Sąd wojenny, któremu przewodniczył gen. A. Jeziorański, skazał wszystkich 5 na karę śmierci. **E. Różycki** złagodził ten wyrok, skazując **R. Sienkiewicza** na pozbawienie praw i wygnanie z kraju, a pozostałych na wypędzenie z wojska narodowego).

„ Galicja w Powstaniu Styczniowym”, Relacja Nr. 149 **Z. Kaczkowskiego** dla **Ignacego Plichty**

Lwów 7.XI.1863

Pieniądzy brak zupełny; wszelka robota ustaje. Nadto wszystko wkradło się jedno wielkie złe między powstańców. Jest ich tu zakwaterowanych w kraju kilka tysięcy. Mieszczanie i szlachta odziewają ich dobrze i karmią sownie, ale wychodzi to na pożytek tylko pannom służącym. Wprawdzie nierzadko się i gospodyni dostanie, czasem i córeczce – ale sprawa publiczna na tym traci niemało. Bo jak przychodzi oddział wyprawiać to tych obrońców ojczyzny nie można wyrwać z objęć kobiecych: tu mama spazmów dostaje, tam córka mdleje, gdzie indziej jakaś Dulcynea po prostu trzyma za poły. Wydarty nareszcie taki powstaniec spomiędzy jęków i łez, po stacjach pisze listy miłosne, zatrzymuje się, sam nie wie co robi i daje się chwytać; przyjdzie się bić, proch mu nie pachnie, bo pachną kochanki warkocze i lichy się bije; a jak tylko sposobność się zdarza, czy stąd, czy stamtąd, zmyka co tchu na swoją dawną kwatere. Dużo ich nawet leży po szpitalach – a równie niemało wozi ze sobą pigułki i szpryce. Z tak rozmięczonym żywiołem ogromna bieda w kraju, lecz jeszcze większa wobec trudów wojennych i wobec nieprzyjaciela; dlatego dziś tylko twardy, prawie szalony dowódca potrafi przejść ze swoim oddziałem i utrzymać go jakiś czas w pracy: miękki dowódca traci połowę oddziału po drodze, a z drugą połową za kilka dni powraca. To samo tu – a prawie jeszcze gorzej

w Krakowskim. **Reitzenheim**, który od 5 miesięcy lata po całym kraju za bitwą i nigdzie nie mógł trafić na taki oddział, który by właśnie na plac boju wychodził.

„Galicja w Powstaniu Styczniowym”
„Relacja nr 129 Zygmunt Kaczkowski do Ignacego Plichty, Lwów 24.X.1863.

Józef Reitzenheim (1809-1883) syn urzędnika austriackiego ze **Lwowa**, powstaniec 1831, na emigracji przyjaciel **Słowackiego**, w 1863 r. usiłował wziąć udział w powstaniu, lecz zatrzymany we **Lwowie**, wydany został za granicę

Nadmieniam także, że wszyscy dowódcy z Lubelskiego i Podlaskiego atakują najgwałtowniej o kozuchy i buty. Oświadczając, że zniewoleni będą oddział rozpuścić, gdyż szemrania stają się natarczywsze w oddziałach, dla których jak wieść niesie kilku zuchwalszych rozstrzelani zostali.

Tamże Relacja nr 147 NN
Kraków 3.XI.1863

Dokument – udzielenie urlopu p. por. **Franciszkowi Longchamps de Berier**

Z rozpuszczonego oddziału Pułkownika Hrab. **Wojciecha Komorowskiego**

Panu Podporucznikowi **Franciszkowi de Berier Longchamps** z rozpuszczonego I Bataljonu Żuawów Śmierci udziela się niniejszym urlop dziesięciodniowy.

Świtarzów d. 6 listopada 1863.

W imieniu Naczelnego Pułkownika Hr. **Woj. Komorowskiego**

Pieczęć nieczytelna Major **Franciszek Oldonaja**

Oryginal dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Ciężkie robiłem sobie wyrzuty i zdawało mi się, że jestem strasznym zbrodniarzem wobec Polski kiedy broń składałem na granicy przed huzarami austrijackimi, choć Bóg mi świadkiem, że znędziałemu, w zgłodniałemu, złamanemu niepowodzeniem nie zaimponowały wymierzone lufy ich pistoletów do moich piersi – lecz strasza apatia tak opanowała wówczas całą moją duszę, że nie huzarom ale zwykłemu pastuchowi bym się poddał. W chwil kilka kiedy zobaczyłem się bez broni przyszło opamiętanie i uczułem wielką pogardę dla siebie, że mogłem tak shańbić Polaka – wyrwałem się z rąk huzarskich, a że to było na samej granicy – przebiegłem drogę graniczną

i wówczas błąkałem się tak długo zanim napotkałem **Otona**. Dziś jeszcze wstydzę się z tej chwili zapomnienia.

List Franciszka LdeB do córki Heleny Estreicherowej- Oryginal dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Otto Adolf Antoni ps. Junosza oficjalista prywatny, porucznik, dowódca oddziału żandarmerii powstańczej w Hrubieszowskim, przybyły z Galicji ; przeprowadzał oddziały powstańcze z Galicji w Lubelskie; odznaczył się w bitwie pod *Deputycznymi* 5. VIII. 1863.

„granicę z Królestwem przeszedł tylko gen. „**Kruk**” **Heidenreich** z niewielkim oddziałem przybocznym (4.XI.1863 roku). W *Werechaniach* z generałem spotkał się hrubieszowski oddział „**Junoszy**” (**Adolf Otto**) wysłany przez płk. **Wierzbickiego** jako osłona. Oddział ten towarzyszył generałowi i później w drodze przez *Krasnobród, Szczepreszyn, i Bychawę* dalej w głąb lubelskiego.” W listopadzie 1863 roku jedną z większych potyczek stoczył 11.XI oddział konnej żandarmerii powstańczej **Karola Świdzińskiego** i część partii **Adolfa Otto „Junoszy”** (ok. 60 ludzi) w *Ciotuszy*. Wojskiem rosyjskim w tym starciu dowodził mjr. **Przewoliński** (były to 2 rotę piechoty, 1 szwadron ułanów i 10 Kozaków). Po gwałtownej wymianie ognia w centrum i na skraju osady, powstańcy wycofali się w okoliczne lasy.

Jacek Feduska „Lubelszczyzna w 1863 i 1864 roku”

Malinówka – 20 listopada 1863 (piątek)

Region: Lubelskie

Inne nazwy: **Łowcza, Ruda, Sawin**

Opis: cofając się z **Rudki** w ciemnościach nocy ku Łowczy oddziały **Krysińskiego** rozdzieliły się i część zaszła od **Bukowej**, aż odszukana przez rekonesans **Rostworowskiego**, połączyła się znowu z **Krysińskim**. W nocy z 19.11. na 20.11. przyłączył się do **Krysińskiego** major **Kozłowski** z Ćwiekami i ruszono ku **Malinówce**. Postępujący za powstańcami **Borozdin** nie zostawił ich długo w spokoju i niebawem zaatakował natarczywie. Od razu kolumny moskiewskie z bagnetem w ręku poszły na piechotę powstańcza. Na prawym skrzydle jazdy ucierały się ze sobą.

Poza jazdą ustawiony był przyrząd do rzucania rac, które mieszały szyki ułanów rosyjskich. Nieprzyjaciół otworzył ogień kartaczami z czterech dział, od których poległ rakieta, miejsce jego zajął ktoś inny.

Tymczasem **Ejtmminowicz** poprowadził krzakami kosynierów i rzucił się na armaty. Kosynierzy zachęceni przykładem dzielnego dowódcy szli dobrze, wytrzymali jeden wystrzał kartaczami z czterech dział, po drugim pierzchli, właśnie w chwili, kiedy nieprzyjaciół nie miał już czasu dać

trzeciego i nie mógł skutecznie bronić swych dział, bo ze wszystkich stron był zaatakowany. Uciekając, ponieśli większą klęskę, bo omal nie zostali porąbani przez jazdę, która się za nimi puściła. **Ejtminowicz** zdołał ich jednak w czworobok uszykować i cofać się z nimi do lasu, a tymczasem **Kozłowski** polecił **Rostworowskiemu** biedź (? aut), aby rakiet użyto. **Rostworowski** zastał znów posadę rakielnika wakującą i sam zabrał się do rzucania rakiet i kilka rac udało mu się rzucić w sam środek dragonów. Których konie, spłoszone dziwnym świstem i szumem, jakie wydawały rakiety, trzaskiem pękających granatów i syjącymi się wokoło iskrami, zupełnie złamały szeregi.

Wnet jednak „artyleria” **Rostworowskiego** umilkła, gdy kartacze nieprzyjacielskie zmioły stół, z którego puszczano race, a tymczasem bój wrzał coraz gorętszy. Borozdin z atakującego stał się atakowanym. Powstańcy wyparli go z lasu i prażyli na otwartym polu.

Przybycie nowych sił nieprzyjacielskich, które szły od **Lublina** za **Kozłowskim**, zmieniło stan rzeczy. Należało zmienić pozycję, bo nowy nieprzyjaciel był na tyłach i znów przeszedł oddział na broniących się.

Po kilku godzinnym usiłowaniu nieprzyjaciel, lubo świeżo wzmocniony, wyparty został z lasu na tym samym prawie miejscu gdzie przedtem. Nie tu jednak był koniec tej upartej bitwy. Nowo przybyłe z **Dubienki** posiłki nieprzyjacielskie zsiadły z furmanek, szykowały się i zmierzały na powstańców, Myśleć o zwycięstwie już nie było można, chodziło tylko o to, aby nie dać się zgnieść. Polacy byli zupełnie otoczeni. Dziesięć do dwunastu dział i przeszło trzy tysiące ludzi świeżych ścisnęło dwa, około 1500 ludzi liczące oddziały, od kilku dni w ciągłych utarczkach będące. Każdy widział, że się trzeba przerznąć lub zginąć. Do pięćcia tego należało opanować wzgórze leżące przy drodze do **Sawina**, zarosłe lasem wysokopiennym, i pod zasłoną oddziału tam się ostrzeliwującego cofnąć na Sawin, przejść błotnistą rzeczkę **Uher** i wejść w lasy na prawym jej biegu położone.

O wzgórze to od tej chwili głównie się walka toczyła, lecz nieprzyjaciel rozumiał dobrze, że jeżeli je utrzyma, wszystkich mieć będzie. Rozpoczął się więc trzeci akt tej walki, najuparciej toczony. Ogień obustronny był niezmiernie silny. Naczelnicy i oficerowie z karabinami w ręku stali na czele swych kompanii. Nie było okrzyków ani zachęć, każdy szeregowiec pojmował, że mały ten las musi być jego cmentarzem lub portem, w którym znajdzie ocalenie. Trzy razy wydarł się z piersi naszych okrzyk radości, gdy dotykali tych sosen, tyloma kulami podziurawionych, i tyleż razy słyszano grzmiące „hura” nieprzyjaciela, gdy wzgórze to odzyskał.

Już późnym wieczorem po raz czwarty stanęli Polacy na tym wzgórzu. Kompania wyborowa z oddziału **Kozłowskiego**, strasznie zdziatkowana kompania **Leszczyńskiego**, naczelnicy, oficerowie, część Litwinów z krwią okrytym **Ejtminowiczem** na czele, komenda **Rostworowskiego**, wszystko w poszarpanych przez krzaki łachmanach, czarne od dymu, z ostatkiem sił wtargnęło znów w las, **Bard** et **Pirroteri**, **Osser** i część oddziału **Kozłowskiego** ostrzeliwali się innym kolumnom nieprzyjaciela. Zaczęła się w samym lasu mordercza walka, strzałów już nie było, bo nabijając broni nikt nie miał czasu, kilka tylko dział sygnęło kartaczami i kilkanaście strzałów rewolwerowych huknęło. Zamieszanie coraz większe, mrok zapadał, zgrzyt kos i bagnetów, krótkie wykrzykniki

i szelest przyspieszonych oddechów, a wśród tego z początku jeden, potem kilka głosów, potem cały las ozwał się bezładnym chórem: Święty Boże! Święty mocny!... Już nie żadna manifestacyjna ani polityczna pieśń. Lud polski w godzinę śmierci przypominał sobie śpiew, z którym od dzieciństwa przed ołtarzami co niedzielę na kolana padał.

Już ciemno było prawie, gdy powstańcy zostali panami wzgórze i lasu, Nieprzyjaciół ustępujący, jeszcze z własnych swych armat dostał grad kartaczy, które powstańcy za nim sypnęli, a potem nie tylko działa zagwoździli, lecz koła u nich porąbali, bo brać ich z sobą ani myśleć nie można było.

Cała reszta ludzi **Kozłowskiego, Pissaferei, Osser** itd., zatrąbiwszy na odbój, ruszyli w porządku ku **Rudzie** nad **Uhrem**.

W krwawym boju największe straty poniósł **Kozłowski**, na największe ataki narażony, straciwszy 83 ludzi w rannych i zabitych oraz 10 koni, sam zaś dowódca ocalenie swoje zawdzięczał tylko kapitanowi **Mroczkowskiemu** z oddziału płk. **Wierzbickiego**, który mu szybko podał własnego konia, gdy pod nim rumaka ubito. Między gęsto rozsianymi wojskami moskiewskimi, których razem 17 rot piechoty z artylerią i prawie 500 jazdy w bitwie tej brało udział, przesunęły się oddziały powstańcze nad **Uher**. Zastępy Krysińskiego straciły 29 zabitych i 26 rannych. Moskale ponieśli większe straty, bo prawie 300 w zabitych i rannych.

Doszedłszy do **Rudy**, **Krysiński** wobec zupełnego wyczerpania żołnierza zmuszony był rozdzielić swoje siły na 5 oddziałów.

Uprowadzający furgony, oficer **Lerbass**, padł od kuli **Gromejki**, który ujął się za swoimi maruderami, napędzanymi przez dzielnego **Lerbassa** do pośpiechu.

Garbów – 26 listopada 1863 (czwartek)

Region: Lubelskie

Inne nazwy: **Starościna**

Opis: **Wróblewski** z jazdą spod **Kolana** zwrócił się na północ i niebawem w **Ostrowie** zszedł się z **Krysińskim**, również tylko jazdę mającym przy sobie. Połączone oddziały ruszyły wspólnie przez **Starościna**. Nie dochodząc do **Garbowa** spotkano nieprzyjaciela. **Krysiński** cofnął się, natomiast **Wróblewski** przyjął bój z moskalami, których siły wynosiły dwa szwadrony dragonów, 50 kozaków z piechotą. Konnica moskiewska ruszyła szarżą na jazdę **Wróblewskiego**, podczas gdy piechota skradała się bokiem. **Wróblewski** dla uniknięcia szarży przeszedł na grunt pokryty karczami, gdzie powstańcy zsiadłszy z koni, powitali nieprzyjaciela ogniem, po czym przekłusowawszy przez **Grabów**, zatrzymali się na wzgórzu, moskale zaś, wszedłszy do **Grabowa** już nie ponowili ataku

Oddział przyparty przez Moskali do granicy, która tymczasem obsadzili Austriacy, złożył broń. Ojciec jednak z kilkunastu ludźmi ostrzelał Austriaków, którzy się cofnęli, obszedł Moskali i przedostał się w głąb Hrubieszowskiego. W czasie tego starcia z Austriakami major **Oldinaia**, niedawno jeszcze oficer austriacki, nie chcąc się bić przeciw dawnym towarzyszom, zdał komendę ojcu i usiadł najspokojniej na pniaku pomiędzy dwoma strzelającymi tyralierami.

W Hrubieszowskim chłopci pomagali powstaniu. Od nich dowiedział się ojciec, że dalej na **Podlasiu**, jest jakiś większy oddział polski. Tam tedy przedzierał się ze swą garstką przez komendy rosyjskie ciężka to była przeprawa. Wielu wątpiło i chciało wracać. Trzeba było trzymać ostro dyscyplinę. Więc też były i skargi na ojca o surowe obchodzenie się z ludźmi i był nawet sąd wojenny. Po śmierci ojca w papierach znalazł się wyrok tego sądu – uwalniający, „gdyż w takich warunkach tylko bezwzględna dyscyplina i posłuch przy zręczności komendy oddział uratować mogli „.

Przed dotarciem do tego wielkiego oddziału natrafili na „żandarmów narodowych „ **Totta (Otto! przyp. aut)**. Byli to po prostu chłopci w łapciach. Broń mieli ukrytą po lasach, przy sobie zaś tylko noże w torbie. Doprowadzali jednak pod komendą swego szefa do rozpaczy dowódców rosyjskich. Wybijali patrole rosyjskie, porywali oficerów z kwater, uwalniali jeńców, wykonywali niechybnie wyroki Rządu Narodowego, pełnili służbę wywiadowczą, przenosili pocztę tak sprawnie, że matka, wówczas już narzeczona ojca, dostawała od niego listy spod **Brześcia Litewskiego** w tydzień.

Otóż ten **Tott** zjawił się pewnego razu w **Rypnem**. Był to mały człeczyna, bardzo wynędzniały, jak się później okazało z powodu periodycznych ataków alkoholizmu.

(przyp. autora: Chyba pomyłka! Nie **TOTT** a **OTTO** ! !)

Bogusław Longchamps de Berier Ochrzczony...

...Oddział zaś cały składa się wyłącznie z Galicjan, często szlacheckich ambicyjek, gryzących jak mole, leniwych do pracy jak muły, a skorych do sejmikowania jak Żydzi do spekulacji. Każdy obcy bodajby nie z tego okręgu staje się dla tych junaków nieznośnym, a wtenczas wyężdżają się wszystkie mózgi, aby w dowcipny sposób wygrzyść przybysza. Tym więc sposobem oficerowie, jacy tu byli czy to z emigracji, czy też koroniarze lub kto bądź ktokolwiek, byle nie syn pana sąsiada lub brat – kuzynek kuzyneczki-dopóty był szykanowany w najrozmaitszy sposób, dopóki nie przeniósł się stąd zupełnie gdzieś indziej. O czym i kpt. **Zaliwski** może Wam trochę szczegółów opowiedzieć. O ile więc wnioskuje tu niektórzy, dzisiaj ja przychodzę do tego, że ci panowie w nadziei, że oddział ten nigdy nie wyruszy za **Zbrucz** lub gdziekolwiek bądź na pole działań, bawią się dziś w żołnierzy, lecz gdy przyjdzie rozkaz wymarszu, wówczas papa, mama i kuzyni wyperswadują bohaterom dzisiejszym i dowiodą, że to głupstwo – to szaleństwo – w tym nie ma zasługi, ale krzywda narodu, bo jak nie będzie interwencji, my się ruszać nawet nie powinniśmy „. Są to dowodzenia najpoważniejszych tu dzisiaj urzędników organizacji cywilnej – i wówczas z oddziału kilkuset zostać może ledwo setka, a resztę wyłapią Austriacy, nie zawiadomi organizacja o dniu wyjścia itp. Są to wypadki u nas

praktykowane w ogóle, a zawsze dogodniejsze dla tych, którzy im ulegają, aniżeli wtenczas gdy się ma zajrzeć Moskałom w ślepie! Nie rozpaczam jednak i nie tracę bynajmniej dotąd nadziei. Pozory mogą mnie mylić, a wreszcie słabości ludzkie są wielkie.

... Rozkazem dziennym zakazane zostało pod najsurowszą odpowiedzialnością wojskowym wszystkich stopni przejazdów wszelkich, kręcenia się po okolicy i popisów w ubiorach wojskowych, co wszystko, zdaje mi się będzie cierpko przyjęte przez nich, gdyż tu podróżowanie bardzo było w modzie, ale na to nie zważam, i jako za przykład tymże rozkazem, za niesubordynację i podobne wybryki zawieszonym został w obowiązkach porucznik 2 kompanii piechoty aż do czasu wyjścia oddziału – i to zdaje mi się będzie bardzo wymowne, bo panom oficerom bardzo o to idzie tutaj, aby byli oficerami i czynnymi. Otóż tak się tu srożę, jak mogę aby tylko co zbudować.

... W tych dniach zanesiono mi tu skargę na piśmie, kategorycznie bardzo wyluszczoną przez jednego z wychodźców **Podola**, co do obejścia się z nim przez organizację, a raczej panów u których miał naznaczoną sobie kwaterę. Otóż – jako kwintesencję tych przyjmowań, gdy go wypędzano z miejsca na miejsce, na deser spotkały go (gdy prosił, aby mu dano choć cokolwiek posłać na ziemi, bo i psy mają barłóg na pościel) zapytanie i odpowiedź: „ Tyś powstaniec! – powstaniec a pies to wszystko jedno!!!... Dixi „. Całą tą sprawę wziąłem bardzo do serca i spodziewam się mieć zupełnie zadośćuczynienie. Występuję najbardziej poważnie i urzędowo i żądam śledztwa, a to tym bardziej, gdy to tylko jest mała próbka podobnych przyjęć.

„ *Galicja w powstaniu styczniowym*”

„ *Relacja nr 347 Krytyczna ocena sytuacji w Pułku Jazdy Wołyńskiej*

plk. T. Winnicki do plk. Strusia. 27.II.1864.

Dnia 23 grudnia Rotmistrz **Żebrowski** przy kontroli rozdania efektów wojennych został przerwany odezwaniem się Porucznika **Zawickiego** („ na dwukrotne „ przekreślone) tyczącym się samegoż rozdania. Gdy Rotmistrz **Żebrowski** wstrzymać chciał słowem „ cicho „ Porucznik **Zawicki** zuchwale odpowiedział przy żołnierzach słowami „ sam bądź cicho „.

Mając na względzie subordynację wojskową Sąd Wojenny za przekroczenie wobec niej skazuje Porucznika **Zawickiego** na pełnienie z szeregowymi widet w przeciągu 24 godzin z odjęciem na ten czas praw oficerskich.

Mając na względzie, że swem postępowaniem nietaktywnem Rotmistrz **Żebrowski** pobudził do zuchwalstwa przed żołnierzami , skazuje Rotmistrza **Żebrowskiego** na pełnienie dyżuru oficerskiego w przeciągu 24 godzin.

Prezes Sądu kapitan **Narbut** – podpis

Sekretarz **Ign. Aramowicz** - podpis

*Wyrok w sprawie Rotmistrza **Żebrowskiego** przeciw Dowódcy 1-ego plutonu **Zawickiemu***

Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Działo się w obozie dnia 28 grudnia 1963.

Nazywam się **Paweł Gąbicz** syn Klemensa ze *Skerbinowa* rodem , lat liczę 21.

Dnia 24-go grudnia o godzinie jedynastej wieczorem zostałem wysłany na wedetę, znajdowałem się w stanie bezprzytomnym gdyż zanadto użyłem trunku nam rozdanego, stojąc przez niejaki czas na koniu zachciało mi się wody, zlałem więc z konia i udałem się do przyległej chaty a napiwszy się wody zakręciła mi się głowa i upadłem na ziemię – od tej chwili nie wiem zupełnie co się ze mną działo i dopiero na drugi dzień obudziwszy się w areszcie dowiedziałem się, że zostałem aresztowany w nocy i przez patrol na konia wsadzonym i tak dopiero przyprowadzonym.

Zeznanie moje stwierdzam sprawiedliwie, tak mi dopomóż panie Boże miłosierny we wszystkich sprawach moich.

+ + +

Paweł Gąbicz

Sąd Wojenny oświadczył, że **Paweł Gąbicz** za opuszczenie miejsca przeznaczonego mu do wedety i udanie się na spoczynek zostaje obwinionym o zbrodnię opuszczenia placu wedety wobec nieprzyjaciela. Sąd Wojenny osądza wyżej obwinionego na karę śmierci przez rozstrzelanie – jednak ponieważ zbrodnia ta została popełniona w stanie pianym sąd wojenny więc prosi Wojennego Naczelnika Województwa Grodzieńskiego, Brzeskiego i Podlaskiego o złagodzenie kary – jednak sąd wojenny widzi się w obowiązku nadmienić iż żołnierz ten przed tym się dość często upijał.

Sąd wojenny uznaje winnym także i podoficera, który rozprowadzał wedety z powodu, iż pianego człowieka na wedetę postawił.

Prezes Sądu Major **Barancewicz**

Longchamps

Audytor

Członkowie

Rotmistrz **Boniszewicz** (podpis mało czytelny)

J Szajba porucznik **Przyłęcki** porucznik

Ksawery Karczewski porucznik ? **Pelberg**

Porucznik **Emil** ? niecz. **Malikowski Ksawery**

Podoficer **Piotr Piasecki** **Julian Danecki**

Podoficer **Wołoszyński** **Sebastianowicz**

Wyrok Sądu Wojennego w sprawie ulana Pawła Gębicza. - Oryginal dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Wielmożny Panie!

Dziś dopiero po dłuższej niebytności powróciłem do Lwowa, a zastawszy list WWPana pospieszam z odpowiedzią.

Major hr. **Poniński** przeszedł 9-tego grudnia 1863 r. granicę na czele oddziału składającego się z 37 konnych strzelców. Ś.p. kolega mój Księżę Karol znajdował się w randze porucznika pomiędzy nami. Po forsownym nocnym marszu spotkaliśmy konny oddział **Junoszy (Łempicki)**, który z polecenia wydziału wojennego rządu narodowego oddał się pod komendę hr. **Ponińskiego**, któren miał polecenie podążyć do Jenerała **Kruka** i tam oddać się pod komendę. Stoczywszy kilka potyczek wyrobił sobie major hr. **Poniński** sławę tęgiego żołnierza a oddział sformowany z doświadczonych żołnierzy wzbudzał szacunek u nieprzyjaciela. Opuszczam historię oddziału bo o to WWPan nie pyta a przystępuję do historyji nieodżałowanego mego kolegi księcia Karola.

23 grudnia 1863 starego stylu stanęliśmy rano w podłej miejscinie - właściwie wsi **Uścimowie** pod dowództwem majora **Bogusława Ejtmniewicza**, któremu Jenerał **Wróblewski**, późniejszy Jenerał Komuny w Paryżu, polecił przebiec się do guberni augustowskiej.

Rozstawiwszy czaty wydano rozkaz, aby się żołnierz nie rozchodził po wsi i zaczęto gotować. Oddział kawalerii, który był oddany **Ejtmniewiczowi**, ulokował konie w stajni dworskiej i czekał dalszych rozkazów. Dzień był mroźny ale jasny i dość spokojny; duch w oddziale pomimo strasznego zmęczenia i prawie codziennych utarczek z nieprzyjacielem wysmienity a pomiędzy nami młodymi wielka chęć do zabawy.

Porucznik ks. **Poniński** zaproponował mi, abyśmy pojechali do proboszcza ruskiego na śniadanie, bo się dowiedział, że są tam panny, więc będzie można się i poweselić. Wyjednałem jemu, rotmistrzowi **Żebrowskiemu** i sobie pozwolenie i około 9-tej rano przybyliśmy na probostwo, najserdeczniej witani; a zostawiwszy jednego żołnierza na warcie przed domem proboszcza, bawiliśmy się w najlepsze, gdy raptem zawołał nasz żołnierz, że zostawiona placówka cofa się do wsi.

Wybiegliśmy przed dom, i zaledwie byliśmy na koniach, wpadła na nas placówka, a tuż za nią dwa szwadrony dragonów nieprzyjacielskich, których zapał dopiero celna salwa naszych żołnierzy w dalszym powstrzymała pochodzie.

Dragoni zobaczywszy, że się nasza piechota gotuje do walki, cofnęli się, nie zrobiwszy żadnej szkody. Major **Bogusław Ejtmniewicz** kazał piechocie sięść na podwody. Kawaleryja ruszyła w ariergardzie, albowiem we wsi nie chcieliśmy bitwy przyjmować, by nieszczęśliwych mieszkańców **Uścimowa** nie narażać na kontrybucję i mordy.

Kawaleria nieprzyjacielska prześladowała nas ciągle, i widocznie chciała nas wciągnąć do walki, mając pod ręką kilkanaście rot piechoty i kilka armat. **Ejtmniewicz** przewidział te manewry, i choć żołnierz nasz błagał o przyjęcie bitwy, nie dał swego pozwolenia, chcąc wydostać nas na takie stanowisko, abyśmy się mogli o las oprzeć.

Cofaliśmy się wzdłuż wysokimi drzewami wysadzonej drogi, prowadzącej przez wieś **Makoszcze** ku miejscinie **Parczew**. Porucznik ks. **Poniński** ze swoim plutonem zasłaniał odwrót piechoty, a ostrzeliwując się dzielnie, trzymał naciągających dragonów w przyzwoitej odległości.

Tak wyszliśmy na małą dolinkę, przypierając do lasu. Tu przybyła już część piechoty nieprzyjacielskiej i byliśmy zmuszeni przyjąć bitwę. Piechota nasza zlazła z wozów i rozpoczął się ogień tyralierski. Wiara ufną w wypróbowany w dwudziestu kilku bitwach lub potyczkach bagnet, bez komendy z okrzykiem „hurra, Jeszcze Polska nie zginęła”, rzuciła się na nieprzyjaciela, który przerażony siłą napadu, a myśląc, że w lesie jest część oddziału generała **Wróblewskiego**, zachwiał się i rozpoczął trwożną ucieczkę. W tej jednak chwili nadciągnęło około 10 rot piechoty nieprzyjacielskiej i silny oddział ułanów rosyjskich bez lanc, lecz uzbrojonych w broń palną.

Salwa piechoty nieprzyjacielskiej położyła kilkunastu naszych i rozpoczęliśmy odwrót ku lasowi zawsze jeszcze w porządku – tak że zebraliśmy część naszych rannych. Kilku jednak ciężko rannych zostawiliśmy w znajdującym się na placu boju młynie. Moskali naliczyliśmy zabitych około 60 ludzi i 4-ch rannych, których Moskal uciekając pozostawił. Widząc, że czas ucieka i znowu świeże siły nieprzyjacielskie nadciągają, cofnęliśmy się szybko do lasu, przez który szeroka droga do miasteczka **Parczewo** prowadzi.

Major **Eitminowicz** jako głównodowodzący zlustrował oddział, gorącymi słowami zagrzewał do boju, a nakazawszy wypoczynek wysłał mnie na rekonesans, abym wyjechawszy z lasu zobaczył co się dzieje na poboju pod młynem. Ś.p. porucznik ks. **Karol Poniński** na czele swego plutonu mi dodany do tego rekonesansu.

Podjechaliśmy aż na sam kraniec lasu, naturalnie nie gościńcem i tu zobaczyliśmy, że piechota nieprzyjacielska formuje się do zaatakowania naszego oddziału. Chcąc ich zapalać bojowy nieco ochłodzić, a oddziałowi naszemu czekającemu na nasz powrót dać znać, że Moskal maszeruje w las za nami – daliśmy kilkanaście strzałów celnych, których skutek był przewidziany, tj. Moskale dostali komendę: stać! i widocznie głównodowodzący pułkownik rosyjski **Bichner** zwołał starszyznę na naradę.

Co koń wyskoczy powróciliśmy do **Eitminowicza** z zawiadomieniem i dostaliśmy rozkaz udać się wzdłuż gościńca na rekonesans w kierunku do nieprzyjaciela.

Było około 2-giej godziny po południu. Mróz sfolgował i puścił się śnieg dużymi płatami. Ks. Karol jechał przodem – gdy naraz przystanął, a przyłożywszy rękę do czoła bo mu słońce w oczy świeciło, zawołał do mnie: „Patrz – jedzie oddział **Junoszy!**”. Popatrzyłem, a widząc żółte wypustki przy czapkach francuskich, byłem i ja pewny, że to nasi, gdyż obydwaj zapomnieliśmy, że to mogą być dragoni rosyjscy – a śnieg gęsty nie pozwalał rozeznąć ich na odległość 300 lub 400 kroków.

Uradowani, że nasi wracają zapewne z jakiegoś objazdu, puściliśmy się wyciągniętym kłusem ku nadciągającym – lecz kiedy przyszliśmy na jakieś 100 kroków przywitała nas salwa strzałów, i oddział nieprzyjacielski stanął. Salwa nie zrobiła nam żadnej szkody. Stanęliśmy tożsamo – lecz policzywszy nieprzyjaciela rozpoczęliśmy odwrót w kierunku naszego obozu. Nieprzyjaciel nie gonił nas.

Przybyliśmy do obozu, a po zdaniu raportu ks. Karol otrzymał rozkaz udać się z plutonem, aby znów zobaczyć, co robi nieprzyjaciel. Po kwadransie powrócił z raportem, że dragoni w znacznej sile ciągną. Piechota nasza ustawiła się po lewej stronie drogi, aby ich przyjąć należytą salwą, co się też stało a kawaleria była ulokowana na małej łączce wśród lasu.

Podczas kiedy piechota strzeliwszy do dragonów zmusiła ich do odwrotu, natarła na jazdę naszą z tyłu jazda nieprzyjacielska, która nadeszła lasem od **Parczewa**. Ks. Karol, co widziałem na własne oczy, wystrzeliwszy już wszystkie naboje zważył dragona nieprzyjacielskiego pałaszem z konia lecz prawie równocześnie z okrzykiem jego radości zostaliśmy przez jazdę nieprzyjacielską tak otoczeni i tak zciśnieni, że rozpoczęła się dzika walka o życie czem kto mógł. Kto miał strzał – to go użył, komu szabla pękła, a chwycił wroga za łeb – to go kułakiem starał się zamordować.

Ze ś. p. Karolem trzymaliśmy się razem, gdy po jakich 10 minutach takiej walki krzyknął Karol: „Jezus, Marja! Moje oko! „Odwrociłem się, a widząc, że dostał cięcie przez twarz, krzyknąłem: Za mną!” – torując sobie i jemu drogę przez nieprzyjaciela. Dzielnie dopomagał nam rotmistrz **Żebrowski**.

W strasznym tym tańcu śmiertelnym stracił rękę major **Eitminowicz**, a major hr. **Poniński** straciwszy konia, a i upadłszy na ziemię został trupami naszymi i moskiewskimi literalnie przykryty.

Gdyśmy się wydostali z pomiędzy tych opałów, puściliśmy się drogą bitą – ja , **Żebrowski** i ks. Karol, którego krew bardzo oblewała. Skoro byliśmy na trochę spokojniejszym miejscu, zatrzymać chcieliśmy się , by ranę ks. Karola opatrzyć; lecz strzał nieprzyjacielski zabił mi konia. Wówczas pożegnałem Księcia i **Żebrowskiego**, którzy mając konie mogli się ratować.

Cudem prawie wyszedłszy z życia z okropnego mego położenia, po jakimś czasie byłem w szpitalu, dokąd ś.p. ks. Karol został odstawiony. Tu dowiedziałem się, że umarł na otrzymaną ranę.

Poległ najgodniej jak mógł zginąć żołnierz polski, bił się jak lew – był serdecznym kolegą. Dziś po latach 25, kiedy mam sposobność dać mu to świadectwo – łzy cisną mi się do serc i do ocz gdy sobie wspomnę, że go już między nami niema.

Przeżyliśmy nie jedną ciężką chwilę w tej straszej wojnie, nie prowadzonej dla chwały lub widzimisia któregoś z carów świata lecz prowadzonej przez naród kochający swą narodowość i czczący swego Boga.

Przesyłając WWPanu tych kilka słów skreślonych tak jak skreślić potrafiłem, zostaję –

Z poważaniem uniżony sługa

Franciszek **Longchamps** porucznik b.w. polskich z r.1863.

Zamieszkały we Lwowie ulica Piekarska N. 13

List Franciszka LdeB do NN Lwów I.IX.1888 r.

Opis śmierci Karola ks. Ponińskiego

Tarnów 29 grudnia 1863

Kochani Rodzice Dobrodzieje!

Dopiero dziś przychodzę do sposobności pisania do Was moi drodzy i kochani, czy list dojdzie o tem niewinem, lecz proszę Boga aby koniecznie przeszedł. **Kruk** pod **Kockiem** został prawie pobitem i oddał swoją kawalerję pod inną komendę – a sam jak zwykle uciekł do Galicyji.

Tutaj mnóstwo kręci się oddziałów – dzisiaj zszedłem się z **Weberem**, który służy w oddziale **Ćwieka** – ucieszyło mnie to bardzo że znajomego (spotkał?).

Jestem u **Ponińskiego** adiutantem i wszystkiem – on nazywa mnie swoją prawą ręką, wszystkie marsze i wymijania robią się mojem planem, więc cieszy mnie choć to, że darmo Was i siebie nie dręcę – pracy mam dość, to prawda lecz mam za to wynagrodzenie, że kiedy nas **Junosza** koło **Tyszowiec** opuścił, sam mojem własnem staraniem i planem szczęśliwie bez boju prawie doprowadziłem oddział w podlaskie.

Dziś włóczymy się po kraju i niema dnia by nie było pukaniny. Konia mam niezłego lecz i uganiać muszę porządnie.

Mój Tatku kochany, niech mi Tatko nie ma tego za złe co zrobiłem, bom zrobił tak jak uczciwy człowiek zrobić powinien – dziś nie czas politykować, dzisiaj każdy bić (się) powinien i to jest naszym obowiązkiem.

Babcię, Mamę, Zosię, Władzia, Mińcię, Wicię, Bronia, Marynię i Małą Zośkę ściskam serdecznie – więcej pisać nie mogę gdyż to jest chwila i tak ukradziona.

Pannie Wandzie zasłałem ucałowanie rączek i proszę Marynię aby do Pa. Wandy napisała i pani **Dybowskiej** rączki ucałowała.

Bądźcie zdrowi bo już mamy maszerować – do widzenia za łaską Boską

Wasz syn

Franciszek

Wuja **Pola** ściskam

Serdecznie

List Franciszka LdeB do rodziców- Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Po licznie odniesionych zwycięstwach w bitwach z oddziałami powstańczymi w grudniu 1863 r. (w gm. **Siedliszcze** 2.XII, pod **Cycowem** 4 i 14 XII, **Wolą Korybutową** 10. XII, i **Kockiem** 25. XII), idąc za ciosem naczelnik siedleckiego oddziału wojennego gen. **Zachar Maniuchin** zorganizował kolejną wielką wyprawę na teren powiatu włodawskiego. Tutaj bowiem działały oddziały powstańcze ppłk. **Walerego Wróblewskiego**, mjr **Bogusława Ejtminowicza**, **Aleksandra Hr. Krukowieckiego** (ps. **Brzezina**, **Żubr**), **Szydłowskiego**. Ściganym przez wojska carskie pod dowództwem ppłk. **Heinsa**, oddziałom powstańczym udało się szczęśliwie przejść przez miejscowości **Górki**, **Łomnica**, **Wereszczyn**, **Tarnów**, **Sawin** i w dniu 30.XII. pod **Bukową Małą** doszło do połączenia oddziałów mjr.

B. Ejtminowicza i ppłk **W. Wróblewskiego**. W dniu 31. XII. 1863 r. o godz. 6 rano ścigające oddziały carskie zaatakowały stanowiska powstańcze. Carski ppłk. **Fedorowski**, który otrzymał dowództwo nad kawalerią, dostał rozkaz by cały czas utrzymywał kontakt z wojskami powstańczymi i nie pozwolił im wycofać się bez przyjęcia bitwy. Ze strony moskiewskiej w ataku brały udział,, oddziały sztab rotmistrza **Zjachtanowa** z drugim szwadronem pułku smoleńskiego i korneta **Drużyłowskiego** ze szwadronem charkowskiego pułku ułanów oraz dwa szwadrony ułanów i secina kozaków pod dowództwem ppłk. **Fedorowskiego** „. Zgodnie z ustalonym wcześniej planem obrony oddziały ppłk. **Wróblewskiego** przyjęły na siebie pierwsze uderzenie by dać czas na wycofanie się oddziałom **Ponińskiego, Krukowieckiego, Szydłowskiego i Ejtminowicza**. Chcąc oderwać się od nieprzyjaciela oddziały powstańcze klucząc po bezdrożach „ ... przeszli niedaleko wsi **Łukówek** i manowcami skierowali się do lasu pod **Mszanną**, skąd zwrócili się na drogę ku folwarkowi **Majdan**, nie dochodząc którego skręcili ku wsi **Kosyń**. Tu sformowali się jak pod **Kockiem** gęstą kolumną wzdłuż drogi, tyłem do wsi **Ossowa**, rozstawiwszy łańcuch flankierów i zsiadłszy z koni wysłali strzelców do pobliskiego lasu”. Konfrontacja była nieunikniona . „ Pod lasem rozwinął **Wróblewski** pluton **Szajby** i kazał mu przyjąć Moskali ogniem. W pierwszej chwili konnica moskiewska trzymała się z dala, ale następnie uderzyła cała siła w las i wszczął się bój na szable i strzały rewolwerowe w gąszczach, gdzie wśród kurzawy śnieżnej jedni mieszały się z drugimi. Jazda powstańcza broniąc się przeciwko przewadze liczebnej konnicy moskiewskiej - podobno 1100 ludzi – cofała się mimo **Osowy** przez **Hańsk, Andrzejów** ku **Woli Wereszczyńskiej** wszędzie ścigana i atakowana przez nieprzyjaciół „. Powstańcy ścigani byli do folwarku **Pirogowa (Ujazdowa)**. „ Z tego punktu rzucili się w bezdroże i manowce w błotnistych lasach koło **Kulczyna i Andrzejowa**. „ Bój, Który rozpoczął się pod **Bukową Małą** a następnie przeniósł się pod **Ossowę** trwał od godz. 6 rano do 4 po południu Po zapadnięciu zmroku ścigające powstańców oddziały carskie zaniechały pościgu i wycofały się z pod **Woli Wereszczyńskiej** do folwarku **Pirogowa** obecnie **Ujazdów**. Przegrana bitwa pod **Bukową Małą i Ossową** w dniu 31.12,1863 r. dała początek „czarnej serii „ upadków powstańczych oddziałów konnych, działających na terenie ziemi chełmskiej. Hr. **Krukowiecki** powraca na teren Galicji, w dniu 6 stycznia ginie w bitwie pod **Jedlanką** mjr. Bogusław Ejtminowicz, w dniu 9 stycznia mjr. **Walery Kozłowski** przechodzi do Galicji, a w połowie stycznia tegoż roku zostaje ranny **Walery Wróblewski** w bitwie pod **Wolą Korybutową**, a następnie również przedostaje się do Galicji.

Ślawomir Sobolewski „Bój pod Ossową – 31.12.1863”

Zima roku 1864 stała się krytycznym momentem dla powstania. Silne mrozy i zimno przyczyniły się do odnowienia nie wyleczonych kontuzji i ran. Powstańcom brakowało ciepłej odzieży i gorącej strawy. Wyćwiczone w walkach z powstańcami wojska rosyjskie zastosowały ostry terror wobec dworów i wsi pozbawiając powstańców jedyne oparcie. Sterroryzowana przez Rosjan szlachta w tym okresie odmawiała jakiegokolwiek pomocy i schronienia powstańcom.

Rozbite oddziały po bitwie 6 stycznia 1864 roku pod **Jedlanką** zebrał major **Leniecki**. Major **Poniński**

natomiast połączył się w **Krasnem** z **Wróblewskim**, skąd razem ruszyli w Lubelskie.

W dniu 19 stycznia oddziałek dowodzony przez **Wróblewskiego** posuwał się od **Tyśmienicy** ku **Jedlance**. Już powstańcy w pobliżu **Rudki Korybutowej** wyminęli chatę leśnika, gdy ukazała się sotnia kozaków kubańskich pod dowództwem **Zankisowa**. Tenże ubrany na biało, powiewał białym proporcem, więc powstańcy wzięli go za księdza jadącego z posługą duchowną. Toteż atak kozaków był nagły i niespodziewany i nim jeszcze zdążono się uszykować w szyku bojowym już doskoczyli kubańcy. **Wróblewski** znajdując się najbliżej nieprzyjaciela dopadnięty przez kozaków, otrzymał dwa cięcia w głowę, potem jedno cięcie w lewe ramię, osunął się z konia, na szczęście ciężko rannego zdołano go unieść z placu i uratować. Zranionego **Wróblewskiego** przewieziono w nocy do majątku **Józefa Liniewskiego** w **Lejnie**, a że nie chciał by o tym był rozgłos, złożono go na folwarku, skąd nocą wyjechał dalej. Obok rannego dowódcy poległo 12 zabitych. Powstańcy gnani na przestrzeni kilku wiorst przez **Jedlankę**, **Sosnowicę** i **Białkę** zupełnie zostali rozproszeni i nieliczni tylko jak **Barancewicz**, **Aramowicz**, **Kwapiszewski** i **Ejtmminowicz Julian** zdołali ująć cało i po kilkunastu dniach tułaczki przeszli granicę galicyjską.

Poleski Park Narodowy – Historia regionu Poleskiego Parku Narodowego

... Pan **Tott (OTTO !!** przyp, aut) mówił jak to było pod **Małą Bukową**. General **Wróblewski** posłał ojca aby przywiózł rozkaz na skrzydło tyraliery aby piechota **Mioduszewskiego** uderzyła na rosyjskie działa. Chcąc prędzej przewieźć rozkaz, bez potrzeby objeżdżania bagien, ojciec puścił się między dwoma gęsto ostrzeliwującymi się liniami piechoty i tylko przechylił się od strony rosyjskiej a zasłonił się szyją końską od swoich, aby nie zginąć od polskiej kuli. **Mioduszewski** rozkaz wykonał i wziął działa... Stąd potem cytacja i nominacja na porucznika, która też znalazła się w papierach ojca.

Bogusław Longchamps de Berier Ochrzczony

Dziś tak sypie i wieje, że śmiało można powiedzieć, że świata nie widać. Siedzimy więc w domu a ja w myśli przeżywam młodość, dzieje i ciężkie przeżyte chwile. Mój Boże, wiele to śnieżnych zawiei człowiek przeżył a nie szkodziły mu – dziś strach zbiera, nosa nie śmie wyściubić aby sobie jakiego szwanku nie złapać. Pamiętam 22 tego miesiąca będzie 43 lat (styczeń 1864 przyp. aut.), mróz był siarczysty – spotykaliśmy nawet wrony, które padły od mrozu, ludziskom nogi puchły z odmrożenia, nie wypoczęty, nieporządnie nakarmiony, w krótkiej kożuszynie, lekką bundą okryty, bez rękawiczek – na koniu można powiedzieć dzień i noc, muszący się bić z Moskałem prawie codziennie od Bożego Narodzenia, pozbawieni piechoty, w ilości 50 koni wyszliśmy z guberni grodzieńskiej w podlaskie. Minęliśmy wieś **Jedlankę** czy **Gościńiec** i maszerowaliśmy w kierunku **Białty**. Naczelnik nasz, późniejszy generał Komuny Paryskiej **Walery Wróblewski** słaby leżał na saniach bo na koniu nie mógł już siedzieć. Ponieważ droga prowadziła trochę pod górę zakomenderowano „ z koni „ aby koniom ulżyć, a ludziom dać sposobność rozgrzać się piechotnym marszem. Mimo wszystko humor był dobry bośmy za uczciwą sprawę i uczciwą bronią walczyli. Garstka nasza dobrym krokiem maszerowała w

takt jakiejś żołnierskiej pieśni, która śpiewano, Kiedy tak doszliśmy do połowy góry – szpica nasza zasygnalizowała nieprzyjaciela. Równocześnie z tym sygnałem zakomenderował p. **Julian Eitminowicz** Podpułkownik „ Na koń „ i „ Formuj się „ . Wyćwiczona wiara w kilku miesięcznej kampanii w jednej chwili sformowała się i była gotowa do boju. Równocześnie kiedy my się formowali przybyła do nas nasza szpica i raportowała, że cały pułk Kubańców - zdaje mi się, że to ci, których na płótnie **Kossak** uwiecznił – w szyku bojowym maszeruje przeciw nam i wziął dyрекcję na rozciągający się na naszym lewym flanku las. Biedny, słaby **Wróblewski** dosiadł także konia i zakomenderował „ Dyрекcja na lewo „, bo nie chciał, aby tak mała garstka naszych w czystym polu spotkała się z całym pułkiem jazdy nieprzyjacielskiej na wypoczętych koniach.

Śp **Ejtmniewicz** przemówił do nas kilkoma słowami zachęty, aby każdy drogo starał się sprzedać swoje życie, jeżeli Moskale przeszkodzą nam dostanie się do lasu. Skróciwszy więc cugle, ścisnąwszy konie dobrze ostrogami pędziliśmy wiele sił koniom starczyło, aby dopaść lasu zanim nam Moskale drogę do niego przetną. Dzień był jasny, mroźny i odsłonił się śliczny widok na regularnie rozwinięty pułk Kubańców ze sztandarem rozwiniętym, na którym widoczny był hrest szysmatycki. Kubańcy podawszy się na koniach w największej części trzymali rodzaj nożów w zębach a szaszki w rękach wzniesione ponad głowami i wrzeszczeli przeraźliwie w wysokim tonie „ Hura ! „. Kiedy byliśmy na kilkaset kroków od lasu - natrafiliśmy na nieprzewidzianą przeszkodę. Może ona i była widzialna na dosyć dalekie oddalenie – ale byliśmy tak zapatrzeni w widok rozwiniętego nieprzyjaciela, żeśmy jej nie widzieli. Dopiero – natknąwszy się na nią. Oto w tym miejscu pole było ogrodzone. O przeskoczeniu tych opłotków nie było mowy, jedni pozeskakiwali z koni i zaczęli płot rozwalać, a ja trafiłem na wrota tego płotu. Najbliżej mnie był Litwin **Niemczanowski**, któregoś Halciu poznała u nas w *Rypnie*. Ponieważ był to człowiek silny – wyśmienity jeździec – zawołałem „**Niemczynowski** z konia – otwierać !” Zawołał „ Niema głupich ! „, i równocześnie tak silnie ujął za bramę rękami, że ją roztworzył. Skoro my tę zaporę przebyli trza się było na nowo sformować. Choć wszystko to trwało tylko chwilę, ale za to Moskałom uniemożliwiło nam drogę do lasu odciąć .

Wróblewski zobaczywszy położenie rozkazał nam jednym szeregiem rozpuścić szarżę – ale równocześnie i Moskale byli od nas nie dalej jak sto kroków pędząc co koń wyskoczy naprzeciw nas. W pędzie tym Moskale strzelili do nas, ale kule poszły w świat nie czyniąc nam żadnej szkody i prawie w tej samej chwili nastąpiło starcie. Straszne przekleństwa i drwiny Kubańców wołających „ Wot tiebia Polska ! „, Wot Jajczyzna „, razem z cięciami ich szaszek strasznie prażyły. Nasi padali – ale i Moskale płacić musieli życiem. Ja wpadłszy w szeregi moskiewskie chciałem sobie zrobić lukę i w tym celu rąbnąłem jakiegoś Moskala po mordzie, a może po nożu. który w mordzie trzymał, bo nóż wyleciał – a on za nim z konia, ale równocześnie uczułem, że mnie silna ręka uchwyciła pod prawą pachę i tak bardzo ścisnęła, że m pałaszem, który miałem w ręku żadnego ruchu nie mogłem wykonać. Znalazłszy się w takim położeniu chwyciłem cugle mojej Kasi w zęby, a lewą ręką wyciągnąłem pistolet z olstry i rękojeścią uderzyłem w oczy Moskala. W tej chwili ręka moja prawa uczuła się wolną a Kasia moja razem z kilkoma innymi końmi pędziła na tyłach Moskali ku lasowi.

Kiedy będąc już nie daleko lasu oglądałem się, było za nami spokojnie, mnóstwo Kubańców położyło z koni i widocznie oglądało pobożowisko – nas nie ścigali, bo obawiali się czy przypadkiem w lesie nie stoi nasza piechota. Kiedyśmy się dostali do lasu było nas tyłu: **Julian Eitminowicz, Antoni Barancewicz, Kazimierz Narbut, Kwapiszewski, Szajbe, Dreski, Niemczanowski** i ja i jeżeli się nie mylę nasz lekarz **Arymowicz** - Tatar litewski, człowiek nadzwyczajnego serca. Kiedy się pod wieczór uspokoiło, wysłał **Eitminowicz** mnie i **Niemczynowskiego** na zwiady co się stało z generałem **Wróblewskim**. Dotarłem do wsi i w stodole pierwszej chaty znalazłem szeregiem poukładanych moich poległych kolegów. Obecni chłopci pytali nas, którzy ze zgromadzonych poległych byli oficerami i dla tych pozapalano świeczki w głowach. **Wróblewskiego** nie znaleźliśmy pomiędzy poległymi i dowiedzieliśmy się, że ciężko rannego uwięzili chłopci i schowali. Mnie po tej szarży została czapa czerkieska w garści – ta sama, którą ś.p. Ciotka Justyna, jak to wiesz od Mamy do wylęgania kurcząt swojej ulubionej kury użyła. Ot – takie rzeczy człowiek sobie przypomina i smutno mu – prawdziwie smutno za tymi czasami, Jak sobie o tym myślę to mi zawsze to na myśl przychodzi.

List Franciszka LdeB do córki Heleny Estreicherowej Ławoczne zima (styczeń ?) 1907 rok

...Czytałem w niektórych dziennikach, że powstanie nasze miało na celu usamowolnienie włościan i że ten cel osiągnęło. Brechnia mospanie! – każdy z nas co chwycił za broń myślał o wolnej Polsce, a uwolnienie chłopca od pańszczyzny to był tylko jeden ze środków aby łatwiej Polskę uwolnić. Pamiętam jak nieraz w spokojną chwilę w obozie, postanawialiśmy, że z chwilą jak zdobędziemy **Warszawę** – a Moskale kraj opuszczą, złożymy wszystkie rangi i urzęda aby zostawić wolną rękę jawnemu już Rządowi. Więc czysta tylko miłość do Polski i pragnienie ujrzenia ja niepodległą pędziła nas do broni.

Franciszek LdeB list do córki Heleny Estreicherowej Ławoczne 15.01. 1903

... widywałem w domu towarzyszków broni ojca, olbrzymiego Litwina **Niemczynowskiego**, o którym ojciec mówił, że raz nie złącząc z konia wyrwał zagradzające oddziałowi drogę ciężkie wrota i rzucił za siebie. Później, czytając „Ogniem i mieczem „, tak właśnie wyobrażałem sobie Podbipiętę.

Służył ojciec w oddziałach **Czechowskiego, Komorowskiego, i Ponińskiego**, służył razem z młodym **Ponińskim**, który mówił zawsze o swej śmierci w tej walce jak o czymś pewnym i jak o naturalnej ekspiacji rodzinnej i który istotnie zginął w oczach ojca zarąbany w szarży. Lecz na koniec i najdłużej służył ojciec w oddziale wojewody podlaskiego generała **Wróblewskiego** i był jego adiutantem. Oddział ten składał się wyłącznie prawie z Litwinów i Białorusinów, którzy niechętnie widzieli koroniarzy, ojca jednak przyjęli, bo kiedyś ktoś z rodziny jego miał dom w **Mińsku**. Chodził ojciec z tym oddziałem aż do marca 1864 roku. W ciągu tej kampanii wśród niezwykle ostrej zimy, którą przeżył bez rękawic, bo zgubił je jeszcze na jesieni, bił się w trzydziestu kilku potyczkach. Ktoś musiał gorąco mówić zań pacierze, bo raz go tylko lekko drasnęła spisa kozacka.

Skończyło się w okolicy **Brześcia Litewskiego**. Z oddziału parotysięcznego po zostało już wówczas

ledwo 40 koni z chorym wiezionym na saniach generałem **Wróblewskim**. Jednego wieczora pod wioszczyną **Zameczkiem** (**Wróblewski** został ciężko ranny w bitwie pod **Rudką Korybutową** na Podlasiu 9.I.1864) natknęła się ta garstka na pułk kubańców. Jedyne ratunek był w lesie. **Wróblewskiego** wsadzono na konia i rozpoczęto wyścig. Kubańcy bliżsi lasu szli ławą z ukosa z krzykiem i rozwiniętym malinowym znamieniem z żółtym krzyżem. Pod samym już lasem oddział zderzył się z ich skrzydłem. **Wróblewski** spadł z konia w pierwszym momencie starcia. Ojciec chwycił kozaka za prawe ramię tak silnie, iż nie mógł ani ciąć ani się wyrwać, rzucił więc cugle, porwał z olstry lewą ręką wystrzelony pistolet i głównią uderzył w łeb kozaka. Uścisk ramienia zwolnił momentalnie, a konie rozdzieliły walczących. Za chwilę ojciec już był w lesie i spostrzegł, że w ręku prócz pistoletu i cugli ma papachę kozacką. W mroku już prawie zupełnym skrzyknęli się w lesie jeszcze w kilkunastu ludzi, a gdy zapadła noc wrócili na miejsce starcia szukać wodza. Wzięli go już chłopci pociętego szaszkami i schowali. Stan jego był taki, że uratować go mogły tylko spokój i leczenie. O wzięciu go ani o pozostaniu z nim nie było mowy ‘ bo już Moskal był w tej okolicy,, , oddziały inne już dawniej rozbite lub wychwyte. Z wyjątkiem ojca wszyscy prawie pozostali byli dezertkami z wojska rosyjskiego, których los w razie schwywania był przesądzony. Relacje pojedynczych jeszcze kręcących się ‘ żandarmów narodowych ,, nie pozostawiały pod tym względem żadnych wątpliwości. Wiedzieli zresztą sami co by ich czekało, bo mieli między sobą majora wojsk rosyjskich, **Ejtmninowicza**, którego brata, również byłego oficera rosyjskiego, wzięto przed kilku dniami rannego do niewoli, kozacy starym zwyczajem wbili na pal.

Ojciec zaproponował przedarcie się do Galicji. Droga była daleka i niebezpieczna. Opętanych 70 mil komendy rosyjskie liczne i gęsto strzeżona granica z obu stron. Ale nie było wyboru. Ratunek był tylko w szybkiej decyzji i w wykonaniu jej, wymagającym poświęcenia. Zachować wolność, a nawet życie, można było tylko za cenę głodu, niespania i niewypowiedzianych trudów. Major **Ejtmninowicz** mówił, że w całej tej drodze spod **Brześcia** do **Lwowa** nie wie kiedy ojciec spał. ‘ Na pewno nie wtedy kiedy ja drzemałem ‘

Aż wreszcie jednej nocy na jakimś folwarku koło **Żółkwi** znalazło się jeszcze dziesięciu tych rozbitków, a między nimi **Ejtmninowicz**, **Barancewicz**, **Gałęzowski** – później znakomity okulista paryski, ojciec i ów siłacz litewski, **Niemczynowski**. Zostawili konie i broń, dostali podwodę z budą i przed świtem jeszcze stanęli na rogatce żółkiewskiej we **Lwowie**. Ojciec, który zatrzymał zdobyczną szablę, wysunął ją nieco spod budy i krzyknął ‘ Aufmachen ,, a ‘ szlaban ‘ podniósł się w górę, jak to się zawsze działo kiedy oficerowie austriaccy wracali z **Żółkwi** po libacjach u stojących tam załogą kolegów. Za kilkanaście minut powstańcza gromadka znalazła się już na placu Smolki w mieszkaniu dziadków.

Kiedy po kilku godzinach przedstawili się babce, wygląd ich, mimo oporządzenia się z grubsza, był taki, że babka patrzyła na nich z pewnym lękiem, ale i ze łzami, bo z ich błyszczących wilczych oczu, na ich zapadłych jakby zbójceckich twarzach widać było niewypowiedziane trudy i po prostu głód. Co ja bym też panom dała na obiad ‘ – pomyślała babka głośno przy prezentacji. ‘ Jemy surowe mięso,

mościa dobrodziejo „ – odezwał się jakiś głęboki bas. Babka była przerażona.

Z ojcem przyjechała papacha kubańska i rosyjska szabla dragońska z mosiężną koszową gardą w drewnianej skórą powleczonej pochwie. Papacha skończyła niesławnie; niania nasadziła w niej kwokę. Szabla, osadzona na przepisowej polskiej gardzie i w polskiej pochwie, w 70 lat potem, z okazji nominacji na porucznika, z wyrytym na klindze w naśladowanym piśmie ojca napisem, dostała się zgodnie z tym napisem wnukowi.

Tę też szablę pierwszą w życiu miałem w ręce. Zrazu była nad moje siły. Ćwiczyłem nią jednak godzinami. Stawała się coraz lżejsza i coraz droższa. Nie oddałem jej w 14 – stym roku, kiedy Rosjanie po ustąpieniu Austriaków pod grozą kary śmierci kazali oddawać broń. Ukryłem ją i wydobyłem dopiero dla syna a wnuka jej pana. Gdy zaś wnuk poszedł wojować, ale pozostawił ją aby nie zginęła między zmotoryzowanym kramem, schowałem ją ponownie. Weszła do pacierzy z prośbą, abym mógł ją znowu oddać porucznikowi, synowi a wnukowi porucznika spod *Malej Bukowej*. W *Puszczy Kampinowskiej* niemiecka kula pozbawiła wnuka pełnej władzy tylko w lewej ręce.

Bogusław Longchamps de Berier Ochrzczony...

Dokument - nominacja na porucznika

Naczelnik Wojskowy Wojew. Grodzieńskiego

Do porucznika **Fr. De Berie Longchamps**

Oceniając zasługi Pana w bitwie pod *Uścimowem*, *mało Bukową*, *Łukówkiem* położone w moich oczach mianuję Pana, Porucznikiem ułanów litewskich oraz zapraszam do pełnienia służby adiutanta przy oddziale mojem.

dan w obozie pod *Sosnowicą* w dzień 13 – tego stycznia 1864

Wróblewski (parafa podpisu nieczytelna)

Pieczęć okrągła „ Naczelnik Wojsk Wojew. Grodzieńskiego „

Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

Walery Wróblewski (1836 – 1908) generał dowódca oddziału powstańczego w 1863 roku w Grodzieńskim, w roku 1871 w Paryżu podczas Komuny mianowany komendantem lewego brzegu Sekwany, członek Rady Generalnej I Międzynarodówki.

Antoni Barancewicz (1837 – 1918) – podporucznik wojsk rosyjskich, uczestnik powstania; major - ur. w **Kirkieliszkach** w pow. Oszmiańskim. Syn Kazimierza i Wiktorii z **Rymkiewiczów**. Przed powstaniem był oficerem libawskiego pułku piechoty i aktywnym działaczem lokalnej organizacji spiskowej . Walczył pod rozkazami **Duchyńskiego, Walerego Wróblewskiego i Krysińskiego**. Po klęsce pod **Rutką Korybutową** uszedł do Galicji a następnie do Francji. Do kraju wrócił w 1868, a od 1872 pracował jako inżynier drogowy. Zmarł w styczniu we **Lwowie**. **Ksawery Gałęzowski** uczestnik powstania, później lekarz okulista światowej sławy.

Dokument – urlopowanie ze służby

Szef Sztabu

Województw

Grodzieńskiego, Brzeskiego, Podlaskiego i Lubelskiego

Na żądanie Obywatela porucznika Adjutanta **Franciszka de Berier Longchamps** udziela mu się urlop dla

poprawienia zdrowia. Uprasza się przeto władzę cywilną jako też Wojskową udzielać urlopowanemu wszelką pomoc.

25 Stycznia 1864 roku w Obozie.

Major **Eitminowicz**

Koń z rynsztunkiem i broń są własnością urlopowanego

Pieczęć okrągła „ Naczelnik Wojsk Województwa Grodzieńskiego „

Major Eitminowicz

Oryginal dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier

„ Adiutanci są pomocnikami dowódcy oddziału, Starszy pod względem Sztabowym a Młodszy jest Naczelnikiem Kancelaryi „

Organizacja sztabów wojsk narodowych powstania 1863 r Wydawnictwo 1903 r

...Pozostały tedy w lubelskiem tylko oddziały litewskie : konny pod **Walerym Wróblewskim** i pieszy pod **Bogusławem Eitminowiczem**.. Szeregi tych oddziałów zapępiała wyłącznie młodzież litewska.. Była to młodzież bitna , zahartowana w ciągłych bojach , od kwietnia 63 znosząca bez szemrania trudy życia obozowego, przy braku częstokroć najniezbędniejszych potrzeb do życia. Każdy z nich miał

wspomnienia z kilkunastu potyczek z Moskalami, to też spotkania z wrogiem ich nie zastraszały...

W grudniu oba te oddziały t.j konny **Wróblewskiego** i pieszy **Bogusława Ejtmnawicza** w ciągłych marszach to się chwilowo oddalały od siebie to się do siebie znowu zbliżały by nieść sobie pomoc w razie potrzeby. Tak minął cały grudeń.

Dnia 30 grudnia oddział konny po uciążliwym marszu w dniu mroźnym przybył, jeżeli się nie mylę, do **małej Bukowy** własności p.p. **Bielskich**. Przyjęci z całą serdecznością przez gospodarza i jego rodzinę, wkrótce wypoczęliśmy trochę i zaspokoili głód dokuczliwy. Po posiłku jeden z powstańców siadł do fortepianu i za chwilę cały dwór rozbrzmiewał muzyką i piosenką obozową. Potem mazur. Stało do niego zdaje mi się 5 par, tyle bowiem panien znalazło się w domu. Rozochociona młodzież całą noc spędziła na tej improwizowanej zabawie, przeplatając taniec piosenką, zapominając o grozie swego położenia. A przecież dla wielu, bardzo wielu uczestników tej zabawy, noc ta miała być ostatnią nocą w życiu.

Świtało już, gdy naczelnik **Wróblewski** i otrzymał zawiadomienie o zbliżających się dragonach moskiewskich w liczbie 1100 ludzi. Nasz oddział liczył 146 powstańców. Mimo to, że Moskale liczbą i uzbrojeniem tylekroć nas przewyższali mieliśmy im stawić czoło. Do przyjęcia bowiem walki zniewalała **Wróblewskiego** okoliczność, iż w pobliżu znajdował się pieszy litewski oddział, który naczelnik chciał ochronić ściągając na siebie całą nawałę. Na razie się mu to udało z wielką jednak stratą dla konnego oddziału.

Niedługo jednak istniał pieszy nasz oddział. Dnia 6 stycznia 64 gdy furmankami zdążał do **Uścinowa** zaskoczony został przez kawalerię moskiewską, po krótkiej rozpaczliwej walce został w pień wycięty. Z innymi legł i na placu boju dowódca **Bogusław Ejtmnawicz**, a naczelnik konnicy operującej z tym oddziałem, starzec 70-letni hr. **Poniński** major wojsk belgijskich, cudem prawie ocalał z tego pogromu. Z jaką ufnością byliśmy do miejscowej ruskiej ludności, i jak na tą ufność zasługiwała dowodzi następujący fakt : otóż po owej nieszczęsnej porażce pod **Uścinowem** **Franciszek Longchamps** adiutant **Ponińskiego** znalazłszy się w pobliskiej wsi z której Moskale nakazali dostarczyć podwód po ich bagaże i po zabitych zdaniem ich wybitnych osobistości, **Longchamps** porozumiewszy się z włościaninem przebiera się po chłopsku i jedzie z podwodą by się przekonać co się stało z jego dowódcą hr. **Ponińskim**, którego widział spadającego z konia, Nie znalazłszy go między zabitymi nabrał otuchy, że jego ukochany naczelnik, do którego był z prawdziwie synowskim uczuciem nie zginął. – Dowódca i adiutant znaleźli się na tułaczce.

W ogóle w czasie 6-miesięcznego krążenia po Podlaskiem i Lubelskiem widziałem tylko dowody przychylności i życzliwości, tak duchowieństwa ruskiego jak i całej ludności i nie słyszałem o żadnej z ich strony zdradzie.

Wracam do opowieści dziejów oddziału konnego.

Po wyjściu z dworu oddział, oddział przeszedł wieś i cofnął się ku lasowi, położonemu jakieś 500 kroków od wsi. Pozostałem jakiś czas w ariergardzie, u wylotu uliczki, która wnet zapełniła się nadciągającymi dragonami, ci po wyjściu z opłotków zaczęli formować się w linię frontową.

Pospieszyłem z a oddziałem, byłem świadkiem ataku frontową linią na las, w którym prawdopodobnie Moskałe spodziewali się zasadzki. Opowiadano mi później, że dragoni zbliżywszy się do lasu, zeskoczyli z koni i rozpoczęli gwałtowną strzelaninę, naturalnie do drzew bo zasadzki nie było.

Niebawem złączyłem się z tylną częścią oddziału i jakiś czas jechałem koło porucznika **Szajby** dzielnego jeźdźca na ładnym Drabczyku. Wtem koń pod **Szajbą** pośliznąwszy się pada; co spowodowało że się obejrzałem i widząc jakie 50 kroków za nami dragonów, ruchem mimowolnym powstrzymując konia, wystrzeliłem wszystkie 5 naboji jakie miałem w rewolwerze. Dragoni chwilę się zawahali, z chwili tej skorzystał **Szajba**, wskoczył na konia, który znowu zerwał się do biegu. Moskałe ławą ruszyli naprzód. W mgnieniu oka odcięty zostałem od swoich. Po wystrzeleniu nabojów z rewolweru czułem się prawie bezbronnym, bo lekką szabelką nie obiecywałem sobie storować drogi wśród żołdaków, dobrze uzbrojonych a przy tem okrytych grubym samodziałowym płaszczem naciągniętym na kozuch i kaskiem, któryby z pewnością oparł się cięciom takiej jak moja szabelki. Udało mi się jednak przemknąć między dragonami i wpaść na ścieżynę leśną. Byłem odcięty od oddziału. Długi czas błądziłem po lesie, Przed wieczorem dopiero spotkany wieśniak doprowadził mnie do jakiegoś dworu, w którym zastałem **Jul. Eitminowicza** i kilku innych z rozbitego oddziału.

Tu dowiedziałem się jak bolesne wspomnienie zostawiliśmy gościnnym gospodarstwu. U których przepędziliśmy noc ostatnią. Państwo **Bielscy** prócz kilku córek, mieli jedynaka syna, chłopca 18 letniego. Chłopak rwał się do powstania; rodzina chcąc go chronić wysłała za granicę. W końcu grudnia, sądząc, że powstanie już upadło, pozwolili chłopcu wrócić do domu. Gdy oddział nasz wychodził z dworu, chłopak dosiadł konia, bez wiedzy rodziców i z nami się połączył. W kilka godzin później znaleźli go rodzice na drodze pod krzyżem strasznie porąbanego.

Na drugi dzień, 1 stycznia 64 połączyliśmy się z **Wróblewskim** przy którym było kilkunastu niedobitków z ostatniej potyczki. Byliśmy bardzo słabi liczebnie. Straże z włościan okazały się niedostateczne, czego dowodem niespodziewany napad nocny przez Kozaków dnia 3 i 4 stycznia. Tylko ciągłemu pogotowiu zawdzięczamy, iż zdołaliśmy w czas napady te odeprzeć. Gdy się oddział zwiększył przybywającymi niedobitkami z ostatniego pogromu, w interesie bezpieczeństwa oddziału, trzeba było podjąć służbę obozową, zostawiając wedety na traktach głównych. Grożące niebezpieczeństwo zatarło stopnie. Prócz dowódcy **Wróblewskiego** z kolei wszyscy pełniliśmy służbę obozową.

Czując ciągle Moskale poza sobą. Ze świtem opuszczaliśmy nocleg i byliśmy w ciągłym ruchu.

Noc z 18 na 19 stycznia spędził oddział w jakiejś wsi (nazwy nie pamiętam). Noc utkwiała dobrze mi w pamięci. Spędziłem ją na placówce przy 20-sto stopniowym mrozie i silnym wietrze. Świtać poczynąło, gdy major **Kwapiszewski** ściągnął mnie z placówki. Oddział już wyruszył, o ogrzaniu się mowy nie było. Z powodu mrozu i silnego wiatru ,niektórzy w czasie pochodu złązili z koni, by się rozgrzać idąc pieszo. Byli i tacy, którzy wsiadali w sanie idące z tyłu za oddziałem z kilku rannymi.

Gdyśmy mijali wieś **Wojciechów**, posłyszeliśmy strzały z tyłu i niebawem pokazali się kubańscy Kozacy. Aryegarda nasza została w pień wycięta. Sanie idące tuż za oddziałem powstrzymały nieco

impet Kozaków i tam padło kilkanaście strażów od broniących się. Oddział pomknął naprzód by wydostać się z opłotków. **Wróblewski** widząc, że cofanie się w nieładzie, wnet obrócić się może w ogólny popłoch i ucieczkę, stanął w poprzek uliczki i na miejscu chciał dać odpór nieprzyjacielowi. Lecz cięty dwukrotnie w głowę i prawe ramię spadł z konia. Życie swe zawdzięczał któremuś z włościan tej wioski, który skorzystał z pogoni Kozaków za rozproszonymi i wciągnął rannego do swej stodoły. Przy **Wróblewskim** legło kilkunastu naszych. Reszta oddziału spychana coraz dalej i cięta przez tylekroć liczniejszego nieprzyjaciela poszła w rozsypkę. Moskale rozdzielili się na mniejsze oddziały i rozpoczęli pościg za rozproszonymi. Wyparty wraz z innymi z opłotków znalazłem się za wsią wśród rzadkich krzaków, Tu mój koń pośliznąwszy się upadł. Zaledwie się podniósł widzę pędzących Kozaków z chorążymi na czele. Podniosłem rewolwer i dałem do nich dwa strzały. Przemknęli obok mnie galopem nie zatrzymując się wcale. Wziąwszy konia za cugle wszedłem w gęsty las. Po kilku godzinach znalazłem się w jakimś dworze, gdzie mnie bardzo niechętnie przyjęto. Uważałem to za naturalny objaw. Moskale przy końcu powstania stosowali i w Kongresówce system **Murawjewa Wieszatiela**. Dobijali rannych a za przytułek dany powstańcowi, dwór rabowali i palili, a właścicieli sądem administracyjnym, właściwie bez sądu, skazywali na Sybir. Nie dziwną więc mi była kwaśna mina gospodarza na mój widok. Chciał mnie wystraszyć zapowiadając przybycie Moskali. Zbyt znieczulony byłem głodem i znużeniem, by ta groźba gospodarza mogła oddziaływać. Odpowiedziałem mu, że się na razie z dworu nie ruszę, a gdyby Moskale rzeczywiście nadeszli bronić się będę ,nie chcąc zawisnąć na szubienicy, co by mnie jako byłego oficera moskiewskiego niechybnie spotkało – jeśli chce się mnie pozbyć niech mnie odeśle do resztek naszego oddziału. Na drugi dzień znalazłem się między czterema niedobitkami z ostatniej potyczki. Był między nimi **Ejtminowicz i Kwapiszewski..**

Aramowicz wspomina wprawdzie w swym pamiętniku, że pod **Wojciechowem** legło naszych ośmnastu, przypominam sobie jednak dobrze, że po starościńskiej klęsce, zebrało się nas 45, w tej też liczbie doszliśmy do **Wojciechowa**. Tu ponowna klęska oszczędziła tylko 14, a i z tych 9 odniosło rany.

Po wycięciu w pień piechoty **Bogusł. Eitminowicz** i po rozbiciu konnego oddziału **Wróblewskiego**, powstanie w Lubelskiem upadło. Bo oprócz tych dwóch, innych oddziałów powstańczych w tych stronach nie było.

Zdążyliśmy więc w pięciu do granicy, by przejść do Galicji. Dziewięć dni od 19 stycznia do 1 lutego zeszło nam na ciągłych pochodach i przemykaniu się wśród krążących moskiewskich wojsk i straży. Na dobitkę rana **Ejtminowicza** na udzie, niezaopatrzona wcale, a rozogniona wskutek ciągłej jazdy i tarcia o samodziłowe spodnie, zmusiła nas ułożyć go na saniach przewodnika. Dlatego posuwaliśmy się dalej zwolna jadąc stempo przy saniach. Po kilkudniowym marszu prawie bez wytchnienia, wśród głodu i chłodu, uczuliśmy się wreszcie bardzo wyczerpani, a konie nasze głodne i znużone długą drogą ledwie się wlokły. Postanowiliśmy więc wytchnąć parę godzin, Przewodnik nasz ruszył po pożywienie do pobliskiej wioski. Niebawem ujrzelśmy przed sobą małe saneczki, w nich dwie hoże panienki, jak się później dowiedzieliśmy córki ruskiego księdza z tej wioski, te nie bacząc na jakie narażając się niebezpieczeństwo, spieszyły dobrowolnie ku ściganym powstańcom. W saniach znalazło się jadło i

kilka butelek miodu, z których dwie wypiliśmy sami, reszta wlana do blaszanki dodała sił do dalszej drogi naszym koniom. Pożegnawszy serdecznie szlachetne Rusinki ruszyliśmy dalej. Tu przed potrójnym kordonem straży i objęczyków, którymi Moskale obsadzili granicę, **Ejtminowicz** mimo bólu i osłabienia dosiadł konia i z rewolwerem w jednej i szablą w drugiej ręce ruszyliśmy dobrym kłusem naprzód.

Przebyliśmy szczęśliwie granicę i w kilka godzin spoczęliśmy w **Deniskach** pod gościnnym dachem p. **Solemirskiego**. Gospodarz zaraz po naszym przybyciu przedstawił nas jako swoich kuzynów bawiącym właśnie u niego huzarskim oficerom austriackim. Tu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zwlekliśmy ze siebie odzież, bielizna dawno już w strzępach zleciała z naszych grzbietów a i ubranie wierzchnie w łachmanach, pełne robactwa, ledwie trzymało się na wynędzniałem ciełe.

Antoni Barancewicz „ Ostatnie dni konnego litewskiego oddziału „ Wydawnictwo 1903

...W następnych marszach wokół Lublina ... nastąpiły spotkania z oddziałami polskimi generała **Waligórskiego** i generała **Kruka** i z oddziałem konnym ruskim majora **Ponińskiego**. Ostatni ze swoim oddziałem ściśle połączył się z Litwinami i wspólnie nadal działał. Zmieniając stanowiska w Podlaskiem z oddziałami konnymi litewskim i ruskim, pułkownik **Wróblewski** zwrócił swoje starania ku zaopatrzeniu żołnierzy w odzież zimową. Również w tym względzie zbliżał się ku oddziałowi pieszemu litewskiemu, a i **Ejtminowicz** już w tym celu rozwinął wielką działalność. Podczas przemarszów przychodziło się konnicy naszej nocować prawie ciągle pod Moskalami, podjazdy nasze obowiązane były obserwować wszelki ruch wokół obozu Moskali i nie inaczej jak dawszy ognia wracać spod nieprzyjaciela. Moskale jakby unikali wszelkiego starcia z nami; nareszcie 30 grudnia ukazał się z ich strony ruch niezwykły.

Major **Ejtminowicz** z oddziałem pieszym litewskim stał pod **Małą Bukową**, pułkownik **Wróblewski** przybył doń wieczorem z 30 na 31 grudnia. Umówiono się co do ruchu w razie ataku; piechota miała wymknąć się dzielić się w razie niebezpieczeństwa na części; konnica zaś miała zaalarmować Moskali wokół obozujących i przyjąć na się uderzenie Moskali. Jakoż stanawszy zaraz z oddziałem konnym w **Małej Bukowej**, pułkownik **Wróblewski** wysłał od Moskali silne podjazdy z rozkazem zaalarmowania; major **Poniński** z oddziałem ruskim stanął w pobliżu w **Wielkiej Bukowej**. O świcie 31 grudnia okazały się jednocześnie od lasu otaczającego **Małą Bukową** nasze podjazdy ostrzeliwujące się konnicy moskiewskiej za nimi postępującej. Konna kolumna nasza wystąpiła i ruszyła ku **Ossowie**. Pod lasem rozwinięto pluton **Szajby** i kazano mu przyjąć ogniem Moskali, w pierwszej chwili konnica moskiewska trzymała się z dala, ale następnie uderzyła całą siłą w las i wszczął się bój na szable i strzały rewolwerowe w gęszczarach, gdzie wśród kurzawy śnieżnej jedni mieszały się z drugimi.

Oddział nasz konny, broniąc się przeciw za nazbyt wielkiej dla się konnicy moskiewskiej (1100) cofnął się przez **Hańsk** i **Andrzejów** ku **Woli Wereszczyńskiej** wszędzie ścigany i atakowany przez Moskali. Na przestrzeni pięciomilowej bój trwał od 6 rano do 4 z południa. Major **Poniński** podczas boju starał

się przedrzeć do *Małej Bukowej* ale spotkał się z piechotą moskiewską i gdy chciał cofnąć się, został przez Kozaków odcięty, zmuszony na nich szarżować dościsnął lasu pierwszej od nieprzyjaciela i oddział swój ocalił. Piechota litewska z **Ejtminowiczem** zdołała wymknąć się szczęśliwie ku *Żylinowi*. Sprawa owego dnia kosztowała nas 11 zabitych w oddziale konnym litewskim i 6 w oddziale konnym ruskim oraz 12 rannych w pierwszym. Między innymi zginęli; **Juszkiewicz, Olszewski Merle (Karwowski) i Bielski**; ranieni: **Okińczyc Stanisław, P..., Dąbrowski i Rakowski**, ostatni wkrótce po opatrzeniu ran umarł. [Ranni i zabici wymienieni przez **Aramowicza** są z walk pod *Małą Bukową i Ossową* (31.XII. 1863). Oprócz **Stanisława Okińczyca** udało się zidentyfikować tylko **Ludwika Juszkiewicza**, oficera, oraz podporucznika **Feliksa Olszewskiego**]. Pułkownik **Wróblewski** z oddziałem konnym litewskim ruszył w Lubelskie, major **Ejtminowicz** z oddziałem pieszym przybywszy pod *Żylin* rozdzielił go na części. Z których jedną kompanię zachowawszy przy sobie ruszył ku *Uścimowowi*, ochraniający przez oddział konny majora **Ponińskiego** i 2 plutony konnicy litewskiej **S... i C...** Dnia 6 stycznia roku nowego stanęli w *Uścimowie*. Dnia tegoż niespodzianie zostali napadnięci przez Moskali, a napad tak był nagły, że konnica moskiewska wpadła do obozu razem z widetami naszymi, zastając naszych żołnierzy jedzących. Kawalerzyści nasi wnet dosiedli koni uformowali się pod ogniem nieprzyjacielskim, a kompania piesza zajęła furmanki. Okrywszy flankierami furmanki ruszono pospiesznie ku *Jedlance*. Jednak konnica moskiewska rzuciła się naprzód by zastąpić w marszu. Major **Poniński** ściągnął flankierów i przypuścił szarżę na konnicę zachodzącą naszym; szarża powiodła się i zmusiła konnicę nieprzyjacielską cofnąć się aż ku piechocie swojej, skąd ogień sygnął się ku naszym – i wysunął się przeciw naszym świeży oddział konnicy.

Podszedłszy do *Jedlanki* sparli się nasi w ciasnym wejściu, Moskwa dotarła i ciężko razila; jeszcze raz nasza konnica ruszyła na nieprzyjaciela, ale wnet cofnęła się. Jak kto mógł w kompani pieszej ratował się, zdążając do pobliskiego lasu. Major **Poniński** w tej sprawie spadłszy z konia, znajdując się czas niejaki pod kopytami koni nieprzyjaciół cudownie ocalał, a wydobywszy się połączył się z oddziałem. Major **Ejtminowicz** Bogusław znajdując się na tyle konnicy osłabiony cierpieniem fizycznym i moralnym, również spadłszy z konia, oskoczony przez dragonów moskiewskich, gdy podołać nie mógł dosiąść, zginął; nie wiadomo czy się sam zastrzelił, czy też był zabity. Ogólna strata naszych w zabitych 17, w rannych 20.

Ogólny stan ruchu w województwach podlaskim i lubelskim już się zmienił. Naczelnik wojenny obu pomienionych województw generał **Kruk (Heidenreich)** odjechał za granicę.... Rząd Narodowy zalecił pułkownikowi **Wróblewskiemu** objąć w zarząd wojenny województwa opuszczone przez generała **Kruka**. Rząd moskiewski rozpoczął czynnie urządzać po wsiach straż mieszane z włościan i żołnierzy oraz prześladować obywateli nie dających znać o przejściu partyzantów we 24 godzin po ich pobycie. Zima stawała się coraz mroźniejszą.

Osobiście pułkownik **Wróblewski** z majorem **Ponińskim** , spiesznie maszerując, ukazywali się Moskalom w Lubelskiem. Nie zawiadomieni w *Krzu*, podczas nocy napotkali Moskali obozujących; po rozbrojeniu widety nieprzyjacielskiej i zabranii tuż obok warty włościańskiej stanęli w *Lubku* we

dworze. Moskale z **Krza** śladem po nocy podeszli pod **Lubek**; podjazd nasz, zaledwie wyszedł z dworu, napotkał nieprzyjaciół zbliżających się ku nam. Wszczął się ogień wśród nocy, kazano dosiąść koni, pułkownik **Wróblewski** wyszedł z częścią konnicy w pole przez jedno wrota, major **Poniński** z pozostałą częścią przez drugie wrota. Odszedłszy nieco od dworu, pułkownik **Wróblewski** wysłał rekonesans do przekonania się o tym co robią Moskale we dworze i dla odszukania majora **Ponińskiego**. Moskale płądrowali we dworze a majora **Ponińskiego**, który wstąpił z większą częścią konnicy, odszukać nie było można. Następnie okazało się, że major **Poniński** ruszył z częścią swoją na południe i nie zatrzymując się nigdzie przeszedł ostatecznie granicę austriacką.

Pułkownik **Wróblewski** z konnymi, których miał przy sobie, podszedł do **Wojciechowa** i widząc dla zamęczenia i głodu żołnierzy i koni niepodobieństwo dalszego marszu, stanął we dworze. Ledwie się na dzień zabierało otoczyli nas zewsząd kozacy, pochwycając nagle naszą widetę. Wnet nasi dosiedli koni, uformowali się poza dworem i rzucili się na kozaków, kozacy poczęli uciekać, porzucając żołnierza naszego wziętego na widęcie oraz pozostawiając w tyle swego dowódcę, mającego lichszego konia. Nasi ścigali ich aż pod samą piechotę, która już zdążała ku dworowi.

Po owych sprawach nocnych ruszył pułkownik **Wróblewski** nie więcej jak w 40 na północ. Mróz oddech wstrzymywał, garstka partyzantów „jako upiorów gromada „, „, „ciche szczęście, spokojne kochanie „, „, „dziką pieśnią „, klóciła. Przeszedłszy Wieprz pod **Kockiem** stanęliśmy na noc naprzód w **Siemieniu**, następnie w **Tysmienicy**. 19 stycznia oddziałek posuwał się o ranku od **Tysmienicy** ku **Jedlance** pod **Uścimowem**. Już wyminęli chatę leśniczą w **Gościńcu**, gdy na tyle ukazali się w cwał napędzający kubańcy, chmura nieprzyjaciół zdawała się pochłonać naszych. Pułkownik **Wróblewski** przeszedłszy **Jedlankę** wprowadzał 40 naszych na drogę do lasu, chcąc przynajmniej zabezpieczyć się z boków. Dосkoczyli kubańcy pierwiej niż zdołano urządzić jakiś opór. Ginęli nasi, bowiem oni celnie strzelali, zabito 12, w tej liczbie **Pajewskiego, Staniszewskiego i Wysockiego Michała**; pułkownik **Wróblewski** znajdujący się najbliżej nieprzyjaciół, napadnięty przez kubańców otrzymał dwa cięcia na krzyż w głowę, potem ciężkie cięcie w lewe ramię.

Zapomniane Wspomnienia Pax 1981

Ignacy Aramowicz – Marzenia. Pamiętnik o ruchu partyzanckim w województwie grodzieńskim w 1863 i 1864 roku. .

Poczynając od późnej wiosny 1863 r. na stan sił politycznych w Galicji oddziaływać zaczął nowy czynnik, a mianowicie żołnierze powstańczy, którzy po klęsce szukali schronienia za austriackim kordonem. Organizacja narodowa lokowała ich przeważnie po dworach, w obwodach przygranicznych, starając się ich ochronić przed internowaniem, które groziło im ze strony władz austriackich. Żołnierzy tych formowano następnie w oddziały, które wkraczać miały ponownie do Królestwa – w Galicji Zachodniej kierowali tą akcją głównie **Jeziorański i Jordan**, w Galicji Wschodniej **Lelewel i Kruk**, zatem naczelnicy wojenni województw lub naczelnicy oddziałów operujących w zaborze rosyjskim. Wyprawy „galicyjskie „, na ogół nie miały szczęścia, kończąc nieraz już po kilku dniach rozbiciem

oddziału i ucieczką niedoszłych partyzantów za kordon. Istniały obiektywne przyczyny tych porażek: trudność zmobilizowania i uzbrojenia oddziału bezpośrednio nad granicą pod okiem austriackich patroli – opłacanych co prawda za przemykanie oczu, ale bądź co bądź krępujących. Oddział stawał do boju zaledwie w kilka godzin po pierwszej zbiórce, nie zżyty i nie wyszkolony. Do tego dochodziło bezhołowie w zakresie zaopatrzenia, a nade wszystko demoralizacja żołnierzy, którzy zaznali spokojnego nieróbstwa w Galicji i szli do boju bez większego entuzjazmu. Poczynając od czerwca 1863 r. wyprawy z Galicji Zachodniej za kordon stawały się coraz rzadsze, przybywało natomiast kwaterujących w Galicji „uciekierów”.

Galicja Wschodnia winna była wspierać powstanie nie tylko w Lubelskiem, ale też na Wołyniu i Podolu. Ruchawka zbrojna w gub. Kijowskiej zaczęła się w początku maja i załamała się w ciągu niewiele dni – przede wszystkim z powodu niechętniej postawy chłopów ukraińskich. Jeden tylko **Edmund Różycki** po 3 tygodniach brawurowej kampanii przedostał się z Wołynia do Galicji. Pomoc dla „Rusi”, organizował tu gen. **Wysocki**, lecz spóźnił się z wyjściem w pole i poniósł kompromitującą porażkę pod **Radziwillowem** (1 – 2. VII). Przygotowania do następnej z kolei wyprawy weszły w stan chroniczny. Kilka tysięcy ochotników kwaterowało we wschodnich obwodach w połowicznej konspiracji. Ich utrzymanie i ekwipowanie kosztowało ogromne sumy, po części dosyłane z Podola; tamtejsze ziemiaństwo gotowe było finansować te zbrojenia – pod warunkiem , że nie dojdzie do nowej wyprawy, chyba w warunkach wojny europejskiej. Na leżach galicyjskich pogłębiały się spory między ochotnikami z zaboru austriackiego, z Królestwa, z „Rusi” , i z emigracji; pogłębiała się też niechęć wzajemna pomiędzy gośćmi zza kordonu a miejscowym ziemiaństwem. Dowództwo kwaterujących oddziałów zaczęło też mieszać się w spory lokalne białych z czerwonymi, podtrzymując w tych sporach, rzecz jasna , autorytet Rządu Narodowego.

Władze austriackie proklamowały 29.II.1864 r stan oblężenia w Galicji

Odtąd, wszelka pomoc udzielana nawet pośrednio powstaniu, jak również udział w nielegalnych organizacjach, podlegać miał kompetencji sądów wojennych. Namiestnik **Mensdorff** pod surowymi karami nakazał oddanie wszelkiej broni i amunicji. Wszyscy obcokrajowcy zobowiązani byli zgłosić się na policję w ciągu 48 godzin. Kto się zgłosił miał być wydany za granicę, kto się nie zgłosił , mógł być wydany w ręce władz carskich

Surowe to zarządzenie dało sygnał do rozsypki dla organizacji narodowej. Miejscowi biali działacze odsunęli się od wszystkiego. Wielu zamiejscowych ulotniło się za granicę pod tym czy innym pretekstem. W organizacji wojskowej myślano przeciwnie, że oddziały powstańcze rozkwaterowane w Galicji powinny teraz przekroczyć kordon rosyjski i podjąć walkę zbrojną, zamiast iść do interny austriackiej. Sparaliżowała ten zamiar ziemiańska organizacja cywilna: demoralizując żołnierzy, denuncjując oficerów, rozkradając, niszcząc, oddając Austriakom zgromadzone krociowym kosztem zasoby broni i sprzętu wojennego.

*„ Trzeci grudnia już nadszedł
Z nim dzień Twego imienia.
Od Karolka z Krakowa
Masz tu Dziadzik życzenia
Najprzód zdrowia Ci życzę
Bo największy skarb zdrowie!
Żyj zaś w zdrowiu tak długo
Aż dorosną wnukowie.
A gdy oni dorosną
Obyś dożyć mógł chwili,
Że zrobili powstanie
I Moskale pobili. ”*

Karol Estreicher wnuk Franciszka

REFLEKSJE

Nigdy już się nie dowiemy, jakie wspomnienia o Powstaniu przekazałby Franciszek III swoim potomkom i co czuł później już po wszystkim. Wprawdzie jeden z cytowanych wyżej autorów pisze o jakoby istniejących „zapiskach”, ale nikt więcej, nawet syn Bogusław o nich nie wspomina. Możliwe, że takowe były bo Franciszek III miał łatwość pisania – patrz jego listy – ale wygląda na to, że zaginęły bezpowrotnie. Dlatego posłużyłem się opracowaniami historycznymi i podanymi w nich opiniami, opisami zdarzeń w których bezpośrednio brał udział Franciszek III, a także opisującymi sytuację w oddziałach powstańczych, organizację, stan ducha, świadomość.

Uderzający jest krytyczny opis sytuacji, zła organizacja, prywatnie, z jednej strony wspomaganie powstańców przez ziemiaństwo, a drugiej niechęć do nich spowodowaną strachem przed represjami ze strony Moskali

Dla mnie głównym, siłą rzeczy narzucającym się pytaniem jest, jak w tych warunkach funkcjonował i jak się do nich odnosił Franciszek III. W zachowanych po nim papierach i dokumentach nie ma bezpośredniego odniesienia się do tych zdarzeń. Jednak, gdy się uważnie wgłębimy w ich treść można się doszukać pewnego potwierdzenia tych zjawisk i związanych z tym śladów frustracji. Oto parę faktów: pobyt u **Gołuchowskiego**- zorientowanie się, że on nigdy nie przekroczy granicy, nieudany

zaciąg do oddziału Wysockiego rozbitego pod **Radziwiłowem**, gen. **Kruk** rozbity pod **Kockiem** „, jak zwykle uciekł do Galicji „, **Junosza**, który „, zostawił nas pod **Tyszowcami**”

Przykłady uchybień dyscyplinie wojskowej - orzeczenia sądu wojennego w sprawach rtm. **Żurawskiego** i pijanego ułana **Gerlicza**. Ciekawe też jest – z tego punktu widzenia, w obliczu tuż następującego nieprzyjaciela – opisane w liście do NN; śmierć **Ponińskiego**, udanie się za zgodą przełożonego 3 oficerów w odwiedzinach do rosyjskiego księdza (a raczej jego córki) .

Do powstania poszedł jako żołnierz, bez żadnego doświadczenia w grupie młodzieży lwowskiej – „dubłańczyków„. Pierwsze doświadczenia bojowe to bitwa pod **Hutą Krzeszowską** i Las ciosmański w oddziale **Czechowskiego** około 20 marca zakończona klęską. Zaciągnął się do oddziału **Zapałowicza** – **Żalplachty** i w maju znalazł się pod **Tyszowcami**.

Musiał mieć dobrą opinię bo został kapitanem oddziału saperów, jako dowódca patrolu zatrzymał szpiega rosyjskiego. Jednak ten awans był też dla niego powodem pewnych frustracji. Powierzony mu oddział w praktyce stanowił grupę nieuzbrojonych kandydatów na żołnierzy, których dosyć pogardliwie nazywano „, sapibrzuskami „. Wydaje się, że Franciszek miał większe ambicje. W kompanii saperów usiłował wprowadzić porządek wojskowy, „, krzykliwie” i „,płazując” podkomendnych Kpt. **Ubysz** wspomina o „, kłótni formalnej „, związanej ze „, starszeństwem „, między Franciszkiem i **Korabiewskim**, wezwaniem na pojedynek. **Korabiewski** wymówił się pod pretekstem, że powinni wyjść w pierwszej linii nadchodzącej bitwy i to powinna być właściwa satysfakcja. **Ubysz** dodaje z przekąsem, że **Lonszan** nie pokazał się. Jako dowódca czuł odpowiedzialność za powierzonych sobie ludzi. Oddział saperów bez broni był nieprzydatny na pierwszej linii, przesunięto go w głąb lasu, a Franciszek oczywiście był z nim.

Ubysz podaje, że **Zapałowicz** opóźnił odwrót bo czekał na **Lonszana**. Przeprowadzenie nieuzbrojonego oddziału w warunkach bitewnych było na pewno trudniejsze, niż dokonanie tego z grupą uzbrojoną. Dlatego wydaje się, że zarzut ten jest nietrafiony.

Dalsze losy Franciszka odgadujemy studiując wspomnienia jego towarzyszy broni z oddziału **Zapałowicza**. Przekroczył granicę austriacką i chyba tak jak oni szukał możliwości zaciągnięcia się do oddziału formowanego do wkroczenia w granicę zaboru rosyjskiego. W przytaczanych wyżej wspomnieniach i korespondencji czynników dowódczych wynika, że powszechną praktyką było po rozbiciu jednego oddziału poszukiwanie możliwości zaciągnięcia się do innego, formowanego przy granicy zaboru rosyjskiego z intencją wkroczenia do niego.. Dodatkowym obciążeniem psychicznym w tym czasie była sytuacja życiowa i rodzinna **Wandy Dybowskiej** jego przyszłej żony, która na przestrzeni paru miesięcy straciła stryja, bliskiego jej poetę **Romanowskiego** poległego pod **Iózefowem**, brata poległego pod **Radziwiłowem**, przebywającej samotnie z młodszą siostrą i śmiertelnie chorą matką w majątku **Sokoliki**. Franciszek między wyprawami na pola bitew dwukrotnie odwiedzał **Sokoliki** (patrz wyż. list **Wandy Dybowskiej** do **Kamili Poh**).

Zamierzał wziąć udział w wyprawie gen. **Wysockiego** na Wołyń ale po przybyciu na miejsce dowiedział się o spektakularnej klęsce tego i innych oddziałów 30 czerwca 1983 pod **Radziwilłowem**. Wrócił zatem z powrotem do Galicji do wiecznie organizującego się oddziału gen. **Artura hr. Gołuchowskiego**. Tu widać, że doceniono jego doświadczenia z dotychczasowej służby, bo został instruktorem.

Lecz nie na wiele się to zdało bo oddział ten nigdy nie wyruszył w pole a dla Franciszka był to chyba wielki zawód. Skorzystał z możliwości zaciągnięcia się do oddziału płk hr. **Komorowskiego** i jako porucznik w batalionie żuawów śmierci walczył pod **Poryckiem i Baranimi Peretokami**.

Zachowała się opinia służbowa kapitana **Czarneckiego** z dramatycznym opisem udziału Franciszka w tym boju określającego jego zachowania jako dzielność prawdziwego polskiego oficera, dającego „najlepszy dowód niepospolitych przymiotów jako oficer”.

Szczególnie ważnym dla dalszego opisu losów Franciszka jest stwierdzenie kpt. **Czarneckiego**, że po klęsce potrafił po rozpuszczeniu oddziału szczęśliwie i rozsądnie wyprowadzić z ognia walki podkomendnych żuawów. Było to zadanie szczególnie trudne. Żołnierze po klęsce, ścigani i tropieni przez Moskali, zagrożeni internowaniem przez Austriaków po przekroczeniu granicy, w jakimś stopniu zdemoralizowani, musieli podlegać szczególnie ostrej dyscyplinie, ale i też sprawiedliwemu traktowaniu przez dowódców. Franciszek sprostował temu wyzwaniu co najmniej dwukrotnie. Raz pod **Tyszowcami** – jak wynika z listu do rodziców – „szczęśliwie bez boju prawie „przeprowadził oddział w Podlaskie (po porzuceniu przez **Junoszę** !) a później pod **Poryckiem i Baranimi Peretokami**. Nie obyło się przy tym bez ostrych spiek i zadrażeń. Utrzymanie dyscypliny i samokontroli było warunkiem głównym powodzenia.

Potwierdza to relacja **Krzaczkowskiego** (p. wyżej „Galicja ...), który stwierdza „tylko twardy prawie szalony dowódca potrafi przejść z swoim oddziałem i utrzymać go jakiś czas w pracy; miękki dowódca traci połowę oddziału po drodze... „. Należy sądzić, że takim dowódcą był Franciszek . Kpt. **Czarnecki** określa go jako najgorliwszego w wykonywaniu obowiązków oficera „czasem w służbie dla podkomendnych za przykrym „. Tłumaczy to dobrem służby dla sprawy ogólnej i dla dobra kompanii, podkreślając jego serdeczność i koleżeństwo wobec żołnierzy poza służbą. Nie ustrzegł się jednak jakichś zarzutów, które zaowocowały w pewnym momencie sądem wojennym. Jego syn Bogusław informuje o odnalezieniu w papierach ojca uniewinniającego wyroku sądu z uzasadnieniem: „gdyż w takich warunkach tylko bezwzględna dyscyplina i posłuch przy zręczności komendy oddział uratować mogła ‘ (p. wyżej *Ochrzczony...* „).

Sam Franciszek w liście do córki Heleny dramatycznie przedstawił swą sytuację po klęsce poryckiej, kiedy będąc w fatalnej kondycji fizycznej i psychicznej podjął decyzję poddania się po przekroczeniu granicy Austriakom. Natychmiast jednak zmienił ją i wyrwał się z ich rąk by po kilku dniach błakania się po lasach i bezdrożach przystać do napotkanego oddziału żandarmerii powstańczej pod dowództwem **Otona**.

Oddział pełnił specyficzną, dość szczególną rolę przeprowadzania poszczególnych ludzi i małych

oddziałów z Galicji do zaboru rosyjskiego, ochrony poczty powstańczej, śledzenia ruchów wojsk rosyjskich, zbierania informacji, wylapywanie szpiegów itp. Służba taka była na pewno trudniejsza niż w regularnym oddziale powstańczym. Zdobyte już przez Franciszka doświadczenie bojowe pomagały mu w wykonywaniu takich zadań. On sam bardzo lakonicznie określił ten epizod jako służbę przy żandarmerii pod **Ottonem**(p. wyżej list do **Cholodeckiego** i Ochrzczony ...).

Służba ta nie trwała długo bo już w początkach grudnia przystał do oddziału mjr. **Ponińskiego** i gen. **Wróblewskiego**. Był to ostatni rozdział jego powstańczej epopei, którego szczegóły są nam dosyć dobrze znane z przytoczonych wyżej relacji kolegów Franciszka, dokumentów służbowych i listów jego samego.

Jego doświadczenie żołnierskie bardzo pomogło mu i grupie ok. 10 towarzyszy m.in. ranny **Eitminowicz** w przedostaniu się z Podlasia do Lwowa. Grupa wycieńczonych i śmiertelnie zmęczonych powstańców przekroczyła granicę zaboru rosyjskiego i Galicji, uniknąwszy aresztowania znalazła się w domu rodziców Franciszka we Lwowie.

Franciszek swoje przystąpienie do powstania i udział w nim określił w liście z obozu do ojca jako obowiązek uczciwego człowieka - nie czas na politykę „ dziś każdy bić się powinien i to jest naszym obowiązkiem „. Ojciec **Bogusław LdeB** oficer Legii Nadwiślańskiej z 1831r., uczestnik wydarzeń z r. 1848, więzień austriacki, później poseł na Sejm kromierzycki uważał, że powstanie 1863 r. było źle przygotowywane i prowadzone i stąd te wyjaśnienia Franciszka. Powtórzył je w liście do córki kilkadziesiąt lat później ; „ czysta tylko miłość do Polski i pragnienie ujrzenia jej niepodległą pędziła nas do broni”.

Jako żołnierz i oficer kierował się w praktyce bojowej tymi trzema świętymi hasłami wypisanymi na polskich sztandarach wojskowych; Bóg, Honor, Ojczyzna. To honor Polaka i oficera nie pozwolił mu na poddanie się Austriakom w zdawałoby się beznadziejnej sytuacji pod **Baraniami Peretokami**.

Wzruszające są dowody jego obowiązkowości i lojalności gdy nie znalazłszy na poboju ciała dowódcy przebiera się za chłopą i poszukuje go w miejscu gdzie Moskale polecieli złożyć poległych po bitwie powstańców, a także dramatyczna scena poderwania do ostatecznego boju grupy kilkunastu żuawów celem uniknięcia niewoli.

Franciszek poszedł do powstania jako młody rekrut bez żadnego doświadczenia. Wrócił szczęśliwie po roku w stopniu porucznika i adiutanta gen. **Wróblewskiego**, uczestniczył w 22 bitwach i potyczkach. Sam określa je dosyć lakonicznie w liście do rodziców jako „ pukanina „. Musiał w jakiś sposób wyróżniać się z ogólnej masy wojskowej, o czym świadczą wzmianki o nim w różnych sytuacjach kilku niezależnych od siebie autorów wspomnień i pamiątek. Paru z nich powołuje się na jego zapiski, z czego wynika, że musiały istnieć takowe, ale do naszych czasów się nie zachowały. Dziwnym też jest, że nie wspomina o nich jego syn Bogusław w swoich wspomnieniach. Jednak opis śmierci por. **Ponińskiego** a także rozbicia oddziału z gen. **Wróblewskim** pod **Jedlanką** oddany w listach pokazuje cały dramat i grozę walk powstańców z Moskalami. a zarazem jest dowodem jego talentu epickiego jak np.bardzo przemawiający do wyobraźni obraz pędzącej cwałem do ataku

w śnieżycy sotni kozackiej pod rozwiniętym malinowym sztandarem z krzyżem „schyzmatyckim”.

Z innych przytoczonych wyżej wspomnień powstańców, towarzyszy broni Franciszka wyłaniają się obrazy wydarzeń w których uczestniczył ale nie zachowały się po nich wspomnienia. Wystarczy przywołać scenę – jakże polską - tego ostatniego mazura na kwaterze we dworze gdzie uczestniczący w nim oficerowie nie wiedzą, że za parę godzin większość z nich polegnie w boju.

Albo uciekających po szarzy polskiej Kozaków prawie porzucających w ucieczce swego oficera mającego słabszego od nich konia nie zwracających uwagi na jego rozkazy i przekleństwa.

Przejmujący jest opis egzekucji szpiega moskiewskiego i współpracujących z nim kobiet. Mamy stwierdzone przypadki dezercji gdy przed bitwą o **Poryck** po otrzymaniu kożuchów i butów, z obozu zniknęło kilkudziesięciu ochotników. Z kolei pod **Tyszowcami** w pewnym fragmencie bitwy niechętnych do ataku kosynierów miano „połaskotać” własnymi bagnetami aby się zdecydowali wziąć udział w walce „. Ostatecznie kosynierzy natarli na wroga z takim impetem, że walkę zakończyli „ siekąc Moskali jak kapustę”. Wydaje się, że niechęć kosynierów w tym wypadku wynikała z okrutnego rozstrzelania na rozkaz **Czerwińskiego** jednego z nich za protest przeciwko niegodnemu traktowaniu. Podobne metody pobudzania żołnierzy do walki stosował gen **Rochebrun** idąc tuż za pierwszą linią atakujących z pejem a nawet grożąc bardziej opieszałym rewolwerem.

Po powrocie z powstania Franciszek nie bardzo wiedział co dalej w życiu robić. Na pewno mógł przy całym nabytym doświadczeniu wstąpić do wojska austriackiego, tak jak to uczyniło wielu powstańców, którzy stanowili ogromną większość żołnierzy i kadry oficerskiej utworzonego przez Austriaków 13 Pułku Jazdy Galicyjskiej. Tak uczynili jego stryjeczni bracia Wincenty i Zygmunt uczestnicy bitwy pod **Kobylanką** pod rozkazami gen. **Lelewela**

Pułk ten zasłynął w bitwie pod **Custożką** wspaniałą szarżą na kilkadziesiąt tysięcy włoskich bersalierów, przechylając wynik bitwy na korzyść Austriaków, Sam Zygmunt po bitwie został udekorowany Krzyżem przez głównodowodzącego Arcyksięcia Karola za uratowanie życia dowódcy pułku gen **Rodakowskiemu**, pod którym zabito konia.. Zapytany przez arcyksięcia gdzie się tak nauczył wojować, Zygmunt odpowiedział „ bijąc Moskali pod **Kobylanką** ! „. Kontynuując karierę w wojsku austriackim, później pruskim dosłużył się stopnia generała i dowódcy elitarnego pułku Toten Kopf Hussaren. Jego syn Maks oficer pruski zginął w r. 1915 w Karpatach Wschodnich.

Dla Franciszka obrana przez jego kuzyna droga służby w armii była nie do przyjęcia. Jako patriota, oficer polski nie wyobrażał sobie służby w armii któregośkolwiek zaborcy. W tej decyzji podtrzymywała go narieczona a później żona **Wanda z Dybowskich**; „ Klaudynka „ , zagorzała patriotka.

Osiadł na gospodarce w majątku **Sokoliki** nad Sanem stanowiącym wiano żony. Jednak gospodarowanie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów i majątek za długi przeszedł w obce ręce. Później był urzędnikiem kolejowym – budował słynną linię kolejową **Lwów – Czerniowce**. Osobnym bardzo ważnym rozdziałem w jego życiu był zajęcie się kopalnictwem nafty i gazu w Zagłębiu Borysławsko – Drohobyckim. Był jednym z pionierów wydobywania ropy naftowej w Polsce i w Europie. Pod koniec życia osiadł w **Lawocznem** . Brał żywy udział wraz z żoną w życiu miejscowej społeczności tak polskiej

jak i rusińskiej. Wspomagał bardzo czynnie związki weteranów powstania 1863 udzielając w miarę swoich możliwości różnorodnej pomocy kolegom weteranom. Pasjonował się sztuką Huculszczyzny. Franciszek był człowiekiem czynu, społecznikiem, oddanym ludziom, bezinteresownie angażującym się w różne przedsięwzięcia mające na celu dobro społeczne a przede wszystkim odrodzenie Polski. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie w Kwaterze Powstańców Listopadowych (kwatera „Żelaznej Kompanii”) obok swej żony Wandy z domu Dybowskiej (1842-1915) i ojca Bogusława(1808-1888).

POSŁOWIE

Mottem do historii służby Franciszka w Powstaniu Styczniowym były m.in. słowa Prof. Andrzeja Nowaka o wartościach, które powstańcy przekazali następnym pokoleniom. O nich mówi w liście do córki „czysta tylko miłość do Polski i pragnienie ujrzenia jej niepodległą pędziła nas do broni”.

Pragnienia te ziściły się w 1918 roku – powstała niepodległa Polska. Franciszek nie doczekał tej chwili. Mówi się, że fortuna kołem się toczy, to samo można powiedzieć o historii. Wolna Polska po 20 latach niepodległości została zaatakowana przez hitlerowskie Niemcy i bolszewicką Rosję spadkobierców zaborców przeciw którym walczyli powstańcy styczniowi.

W szeregach obrońców Ojczyzny w 1939 roku walczyli dwaj wnukowie Franciszka – Jacek ppor 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich i Franciszek IV ppor. 9 Pułku Ułanów Małopolskich.

Jacek (ur.12.V.1911, zm. 10.IX.1939) rozpoczął kampanię wrześniową w szeregach 14 pułku Ułanów Jazłowieckich, nie mamy żadnej bezpośredniej relacji związanej z jego służbą. Zginął 10 września 1939 pod Uniejowem. Odznaczony pośmiertnie Orderem Wojennym Virtuti Militari kl.V nr. 12703. Oficjalne źródła historyczne ujęte m.in. w karcie poległego na stronie www.bohaterowie1939.pl podają okoliczności śmierci: „ zginął w nocy z 9 na 10 wrzesnia w czasie walk 6 szwadronu kolarzy w rejonie cmentarza w Uniejowie, kiedy ze swym myśliwskim karabinkiem z lunetą próbował ruszyć na pomoc ppor. Orskiemu”. W czasie mojej służby dyplomatycznej jako konsul RP spotkałem na Balu Lwowskim w Melbourne, mocno starszego Pana- niestety nie zapamiętałem nazwiska, który zameldował mi się po wojskowemu wyjaśniając, że służył w 14 pułku Ułanów Jazłowieckich w plutonie , którego dowódcą był Jacek Longchamps de Berier i prawie był przy jego śmierci w 1939 roku pod Uniejowem. Jego opowieść pokrywa się z oficjalnym opisem śmierci Jacka, z tym że, uściślił ją wyjaśniając, że ppor. Jacek Longchamps de Berier rozkazał im wycofać się z rannym ppor.Orskim samemu osłaniając ich odwrót ze stanowiska na wieży kościelnej. Po pewnym czasie został zlokalizowany przez nacierających Niemców i skutecznie ostrzelany ogniem artyleryjskim. Mój rozmówca z ogromnym uznaniem wyrażał się o postawie Jacka jako dowódcy stwierdzając, że jego oddanie służbie, życzliwość dla podkomendnych i jednocześnie wzorowe wypełnianie obowiązków zostanie dla niego zawsze wzorem żołnierza Rzeczpospolitej. Jacek jako młody człowiek, który

właściwie w swoim krótkim życiu nie zdążył jeszcze niczego dokonać, ukoronował je bohaterską śmiercią w obronie ojczyzny. Non omnis moriar.

Franciszek (ur. 1912 – zm. 1969) ppor. 9 pułku ułanów małopolskich, Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari kl. V i Krzyża Walecznych, ranny pod Sierakowem, jeniec oflagu w Murnau. Po wojnie profesor Uniwersytetu we Wrocławiu, wybitny znawca Prawa Administracyjnego.

Relacja Franciszka Longchamps de Berier podporucznika 9 Pułku Ułanów Małopolskich, oficera ordynansowego dowódcy Pułku.

„Dzień 18 września 1939

Zeszedł na utarczki z oddziałami broni pancernej, które działały na skrajach puszczy, dokuczali nam też trochę lotnicy niemieccy i wyraźnie przez nich orientowana artyleria. Mnie w tym dniu wypadło parę rajdów po lesie dla utrzymania łączności. Pamiętam, że jeździłem do pułk Rusockiego, który był bodaj w Palmirach; miło przyjęty, zostałem jakiś czas obok niego pod górką na skraju lasu skąd kierował ogniem do czołgów, kręcących się po polach.

Adzia na szczęście była w doskonałej formie- duża szpaczka półkwi, „militarzystka”, którą mi odstąpił major Elsner, jeszcze kiedy szliśmy w zagonie na Uniejów. Po wielkich wysiłkach, dawno nie rozsiodłana i dorywczo karmiona, spełniała wszystko, czego służba od niej wymagała. Ucieliśmy sobie nawet w tym dniu parę galopów po zielonych duktach i wzdłuż kolejki leśnej.

W nocy z 18 na 19 września pułk nasz wszedł w większą kolumnę, która marszem ubezpieczonym posuwała się po liniach leśnych w ogólnym kierunku ku Warszawie, cały czas przez Puszcę. Około północy znaleźliśmy się pod ogniem artylerii, rzadkim ale dokuczliwym. Największą troską była walka z sennością, ludzie zmożeni usypiali w siodłach, groziło urwanie kolumny. Dla mnie zwłaszcza było to ciężką próbą, bo bałem się okropnie, aby nie zawieść pułkownika Rudnickiego, do którego coraz więcej czułem przywiązania i oddania, zwłaszcza od ostatnich dni walk pułku- a który mógł mnie w każdej chwili potrzebować. Adzia w długich wodzach ciągnęła stępa jak na manewrach, ja dla kontroli, aby nie usnąć, patrzyłem od czasu do czasu na tarczkę zegarka, ale chyba parę razy myśli mi się zwały, mimo całego wysiłku woli.

Ze wspomnień tej nocy, przerywanych walką z sennością, jedno szczególnie utkwiło mi w pamięci: po prawej naszej ręce, z głębi lasu, przeciągłe wołanie półprzytomne: „Poznaniacy – ratujcie- „. Powtarzał się ten głos w dosyć znacznych odstępach. Sanitariusze nasi zeszli z koni i poszli do rannego w las, ale długo jeszcze to wołanie, już za nami było słychać.

Po pewnym czasie, chyba po północy, i przy zwiększonej kanonadzie kolumna nasza zatrzymała się, zsiadliśmy do walki pieszo. Zsunąłem się na miękką trawę dukty, podciągnąłem jeszcze strzemiona Adzi i oddałem wodze Burkowi, memu luzakowi. Nie wiedziałem wtedy, że zegnam się z nim i z Adzią a i w ogóle z koniem na długie lata.

Szliśmy jakby przez garb jakiś piaszczysty, wciąż w lesie. Ułani w kolumienkach, mniej więcej sekcjami, trzymając się za pasy, aby nie usnąć. Ogień artylerii się zwiększał, zatrzymaliśmy się parę razy, wtedy kolumienki klękały w piachu – i chyba usypiały na chwilę.

Zaczęło jakby szarzyć, doszliśmy do skraju lasu. Pułkownika mogłem wzrokiem rozpoznać, więc się już tak nie bałem, że mu się zgubię z pod ręki. Na jakiś czas padliśmy, podsunęliśmy się pod jakąś wydmnę, wyjrzałem w pole - i muszę powiedzieć, że momentalnie otrzeźwiałem.

Przed nami teren otwarty opadał lekko w dół. Niebo było szaro-różowe, czy od łuny, czy może już od zorzy. Na tym tle wyraźnie widoczne zabudowania lichej wioski, a na ich skraju, jak na dłoni, czołgi niemieckie. Czołgi kropiły amunicją świetlną w różnych kierunkach jakby na wszelki wypadek, wiązki rozchodziły się w szerokich wachlarzach w lewo, w prawo, na nas. Na tle delikatnie różowego nieba, kolorowe te smugi wyglądały zupełnie fascynująco. Można było dokładnie ustalić miejsca skąd wychodziły. Czołgi i jacyś piesi kręcący się przy nich, wszystko było ciemnobure i ostro widoczne. Jaka była odległość? Wiedziałem z rannych podchodów górskich, że taka poświata może sprawiać złudzenia w ocenie wielkości przedmiotów i ich odległości. Ale oceniałem wtedy odległość do pierwszego gniazda czołgów na jakieś osiemset metrów.

Patrzyliśmy chwilę jak urzeczeni na to widowisko, piękne i jakby nierzeczywiste, zadziwiające w swojej kompozycji. Wkrótce armatka któraś – nie wiem już, czy jedna z naszych dwóch ocalałych, czy któregoś z bratnich pułków – rozbiła najbliższy czołg, widać było jak załoga wyskakuje i strzelcy obok uciekają, nasi Ułani postrzelali do nich z karabinków.

Pułkownik miał cały pułk pod ręką, więc dla mnie żadnego zadania z rozkazami tym razem nie było. Rozkaz był zresztą prosty, szwadrony dostały kierunek: skraj wioski, a w nim gniazda czołgów. Chwila jeszcze sprawdzenia gotowości- i wypadliśmy z naszego lasu w dół, tyralierą przez pole, dowódca pułku z nami.

Biegłem przed siebie, przy IV szwadronie, bo tak miejsce wypadało, po miękkim piaszczystym polu w dół. Uczucie może w rodzaju może emocji myśliwskiej, ale stokroć silniejsze i złączone z nieznanym nigdy przedtem poczucie lekkości i pewności działania. Biegliśmy tak wszyscy z ogromnym „hurra” w euforycznym poczuciu jedności. Z pewnością wspierały nas i armatki i cekaemy, jak się później dowiedziałem, ale wtedy to do świadomości nie dochodziło, natomiast owe barwne smugi ogarnęły nas gęsto z nieznosnym bzykaniem. W pewnej chwili spojrzałem prawo, zobaczyłem rotmistrza Poborowskiego, jak biegł z karabinkiem w ręku. Jak zawsze był mi przyjazny, tak i teraz uśmiechnął

się do mnie. Zobaczyłem też niedaleko Włodzia Ryłskiego, też z karabinkiem żołnierskim. Tak więc tych dwóch bliskich mi ludzi widziałem tuż przed ich śmiercią.

Dopadliśmy do pierwszego etapu, do stanowiska tego wysuniętego, nieszkodliwego już czołgu, i na krótko przypadliśmy, szykując się do nowego skoku. Byliśmy na skraju Sierakowa, małej wioski na pół już spalonej.

Dwa lub trzy były jeszcze takie skoki szturmowe, przez wieś, wśród licznych opłotków i zrujnowanych lepierek, już w zaciętej walce z bliska z czołgami i z pieszonymi strzelcami. Pamiętałem, czego mnie rok przedtem uczono na kursie przeciwpancernym w Grudziądzu: że z najbliższej odległości czołg jest stosunkowo łatwy do zniszczenia dla siły żywej, zwłaszcza gdy jest związany strzelaniem do jakiegoś dalszego celu i to się sprawdziło. Niemcy piesi padali albo ustępowali wzdłuż wioski. Padali też gęsto nasi. Rozwidniło się zupełnie.

Poculiśmy, że bierzemy przewagę, i to było uczucie niezmiernie radosne, wzrokiem mówiliśmy to sobie z ułanami. W którymś z takich skoków, bodaj trzecim, poderwałem się do biegu między jedną zagrodą a drugą. W prawej ręce miałem pistolet wis, lewą luźno w bok odstawioną. Poczułem jakby dotknięcie gorącym prętem w lewe przedramię, zaraz potem ręka mi zwiśla bezwładnie i zaczęła obficie krwawić z tętnicy. Próbowiałem zatamować, ale mi to nie szło, sporo krwi upłynęło, położyłem się, podczołgałem pod rozwaloną lepiankę. W pewnej chwili podbiegł do mnie Janek Nycz, wziął swój opatrunek osobisty (mego już wtedy nie miałem), założył mi szybko, zatamował krwotok, uśmiechnął się skoczył dalej. Natarcie szło naprzód.

Zaczęło mnie ogarniać wielkie znużenie. Leżałem pod tą ścianą lepioną, w lewo ode mnie miałem długą łąkę podmokłą. Znalazł się koło mnie jakimś cudem garnek z sokiem z czarnych jagód, który chciwie piłem. Myślałem bardzo intensywnie o pułkowniku Rudnickim, czułem całe przywiązanie do niego zmartwiony, że mu nie będę mógł usłużyć, że właściwie niewiele dla niego zrobiłem. Znużenie było coraz większe w uszach szumiało, straciłem przytomność.

Ocknąłem się na wozie taborowym. Było pod wieczór, ale widno jeszcze. Obok mnie, po lewej stronie leżał Kazio Roztworowski, z zamkniętymi oczami, nieprzytomny, pojękując cicho. Leżeliśmy jak bliźnięta w wózku. Okazało się, że po natarciu pozbierał rannych dr Paczkowski, niezrównany nasz lekarz pułkowy ze swymi sanitariuszami, i pokład na wozach taborowych, w tym celu zebranych (nie jest wykluczone, że przedtem leżałem na taczance, o czym wspomina Lew Sapiecha w „Wojna z wysokości siodła”, z małą omyłką w dacie). Okropne dreszcze mną trzęsły. Rozejrzałem się zobaczyłem, że stoimy na drodze leśnej przy jakimś obejściu, jakby przy gajówce. Ruch był dokoła, jak na ćwiczeniach.

W pewnej chwili podjechał do nas konno generał Abraham. W kurtce skórzanej, jaka miewali w służbie generałowie, z opatrunkiem na szyi – tak mi do dziś w pamięci wyraźnie się rysuje. Powiedział parę

słów otuchy w bardzo osobistym tonie, żeby „trzymać się”. ogarnęła mnie wielka fala ciepła i wzruszenia, pomyślałem o Ojcu moim, o opowiadaniach z tamtej wojny, o rotmistrzu Abrahamie... generał już odjechał.

Wóz ruszył z wolna miękką drogą leśną. Patrzyłem trochę nieufnie na taborytę, bo Chełm miał nie nasz tj. nie francuski, widocznie z dywizji piechoty. Zagadałem do niego, przesiadł się trochę bokiem, okazał się rozgarniętym spokojnym chłopcem. Kazio wciąż był nieprzytomny, jęczał z cicha.

Zmrok zapadł. Wóz przystawał często, zacząłem majaczyć i znów straciłem przytomność, bo niczego zupełnie z tej nocy nie pamiętam, aż do rana. A była to ta dramatyczna noc z 19 na 20 września, kiedy pułki obu naszych brygad stanowiące grupę operacyjną kawalerii, przebijały się ku Warszawie. Tymczasem nasza kolumna (kto ją prowadził? Może Edzio Romanowski?) posuwała się liniami leśnymi, za wojskiem- a w tej kolumnie i mój taboryta przejechał spokojnie krytyczną tą drogę.

Widno już było, kiedy się ocknąłem. Przystanęliśmy na polane czy na zrębie małym, gdzie była grupa jeńców niemieckich, siedzieli na pniakach i na ziemi. Tuż obok wozu stał rotmistrz niemiecki, bez chełmu (jasno było całkiem, rozpoznałem stopień i wypustki kawalerii) i patrzył na mnie z zaciekawieniem. Musiałem mieć tęgą gorączkę, bo mi się zachciało kurtuazyjnego fasonu i spytałem go , czy mógłbym coś dla niego zrobić „unter diesen umstanden”. Na szczęście tę scenę przerwał ich konwojent, który zaczął coś krzyczeć i zmierzył się do mnie z długiego karabinu – całkiem słusznie. Był w rogatywce i kusym płaszczu, co mnie wtedy dodatkowo ubawiło.

Wyjechaliśmy z lasu, ranek był słoneczny. Kazio biedny oprzytomniał, cierpiał strasznie, bo miał obie nogi przestrzelone w kostce i każde stuknięcie wozu sprawiało mu cierpienie. Mnie ból w ręce też dokuczał, ale przede wszystkim słabość wielka. Byliśmy na szosie pod Młocinami, jadąc na południowy wschód, ku Bielonom.

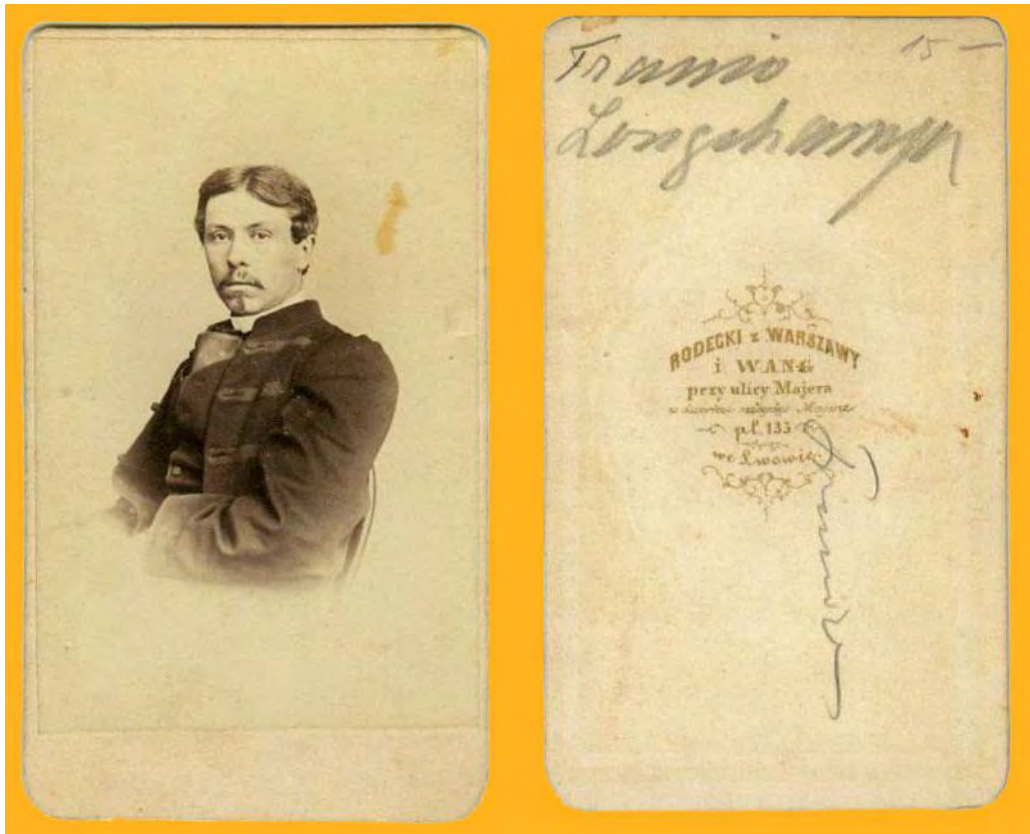
Był jeszcze nalot po drodze. Woźnica nasz z niezmaconym spokojem zjechał w rów pod rozłożyste drzewo. Stąd, leżąc na wozie, patrzyliśmy na ewolucje samolotów nurkujących i na bomby, które się wysuwały, jak cygara – widok znany z ostatnich tygodni – ale to wszystko w końcu przeszło jeszcze trochę jazdy po twardej szosie i wjechaliśmy w zabudowania CIWF’u. tu całe towarzystwo porządkował energiczny, szykowny rotmistrz z 21 pułku ułanów, w furażerce z proporczykiem. Zameldowałem mu Kazia i siebie, w grudziądzkim stylu, na jaki się mogłem zdobyć. „proszę bardzo zaraz się Panami zajmę”. Po chwili ktoś nas usadził w dorożce warszawskiej, prawdziwej sałacie, pożegnaliśmy naszego taborytę- i Kazio odetchnął trochę na resorach. Tą trakcją wjechaliśmy do Warszawy, do szpitala Św. Ducha. Zaczynał się nowy, szpitalny rozdział w życiu.”

Szczęśliwym trafem, zachowały się relacje z walk powstańczych Franciszka III i z wojny 1939 roku jego wnuka Franciszka IV. Oczywiście głównym imperatywem była służba Ojczyźnie i obowiązek walki o niepodległość. Chciałbym zwrócić uwagę na pewne podobieństwa w zachowaniu i odczuciach

dziadka i wnuka, znajdujących się na polu walki w warunkach śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Obydwaj będąc adiutantami wyrażają szacunek i oddanie swoim dowódcom, rozczulający jest ich stosunek do koni – pieszczotliwe nazywanie „moja Kasia”, „moja Adzia”.

Zastanawiająca też jest wspólna wrażliwość i zafascynowanie okrutnym pięknem pola walki. Tak jeden jak i drugi będąc w śmiertelnym niebezpieczeństwie byli w stanie je dostrzec i malarsko opisać.



Do Szef Sztabu
Województwa
Pruskiego, Bawarskiego, Po-
laskiego i Lubelskiego.

Ja szanowny Obywatela Perua-
nika i Kapłana Franciszka
De Berio Bongchampi, udzie-
la mu się urlop dla poprawie-
nia zdrowia. Uprasza się
prute władzy cywilnej jak też
Wojskowej udzielić urlopowo-
nemu wszelką pomoc.
25. Sierpnia 1864 roku - w Ochozie.

Major Etienne
Koni z synowalunkiem i broni
sz wstas nos'cia urlopo-
wanego.

Major Etienne



Z rozpuszczonego oddziału Pułkownika Flak.
Wojciecha Komorowskiego.

Panu Podporucznikowi Franciszkowi de Berier
Longchamps z rozpuszczonego 1. Batalionu Luco-
nor Smierci udziela się niniejszem urlop dzie-
sięciodniowy

Intakzion d. 6^{ty} listopada 1862.

W imieniu naczelnego Pułkownika
Fl. Wój. Komorowskiego

Major Franciszek Odonaj

Naczelnik Wojskowy Wojew. Grodzieńskiego
Do Porucznika fr. De Berie Longchamps

Ceniąco zastępcę Pana w bitwie pod Mścinowem,
młoto Budłowy i Ludwikiem potrośnie w moich
oczach mianuję Pana Porucznikiem, utracę
litewskich, oraz zaprowadzę do petrenia stwi-
by adiutanta przy oddziale mojem

Don w oborze pod Sosnowicą w dzień 13^{ty} sierpnia 1864

Wroblewski



Lwów 1^{go} września 1868

Wielmożny Panie!

O Dziś dopiero po dłuższej nie-
bytności powróciłem do Lwowa,
a zastawczy list Włstana po-
spienom i odpowiedzi.

Major hr. Romnicki pisał
9^{go} Grudnia 1863 r. granię na-
ade oddziału składającego się z
37 konnych szwadronów. s.p. kole-
ga mój księże Karol znajdował
się w randze pułkownika pomógł
nam. W forszownym wojennym
morsu spotkał się z konnym
oddziałem Józefem Lempiński i Wło-
ren z polecenia wydziału woj-
ny i narodowego oddał się kom-
mu pod komendę hr. Romnick-
go, Włoren miał polecenie
pójść do Generała Skutla i tam
oddać się pod komendę.
Stocynny szlach potycał
wyróbił sobie major hr. Romnicki

Starą Tęgiego notmiona a oddział
sformowany z doświadczonych
notmion w budrę nacunet i
niepomyślnie. Opuszczam histo-
ryę oddziału bo o to właśnie nie
pyta a pragnę do historii
nieoddawanego mego kolegi
Kiercia Karola.

23^{go} grudnia 1863 starego stylu
Jankliemy rano w podłej misie
właściwie wsi Micińowie, pod
dowodnictwem majora Bogusława
^{litmanowicza}
~~litmanowicza~~ gdy wlorena generał
wroblewski, półmiejny generał komu-
ny so laryn, polecił przebiec się
do guberni augustowskiej.

Rozkazywały cięty rozdanoskar
aby się notmion nie wychodził po-
dzi i racie głowoci. Oddział
kawalerji jaski był dodany lit-
manowicowi ułokowat konie so-
najni droższeli i ciekot dalszych
rozkazów. Dzien był mroiny ale
i iny i dci spokojny Duch so oddia.

le pomimo strasnego mrozu,
nia i prawie codziennych uderze-
niek z nieprzyjacielem, wysła-
niety a pomysłowy nami młodzi-
mi wielką chęć do zabawy.
Porównał M. Pominieli rozwoje
nowot mi abyśmy się jednak
do probosza ruskiego na smia-
danie bo się dowiedzieli że są tam
panny więc będzie się można
i prosić. Wyjściem jemu
rozmienowi Lebranzliemu
i sobie pozwolenie o kogoś
rano przybyliśmy na probosza
najpierw się witani, a potem
winny jednego notniema na was-
cie przed domem probosza ba-
wiliśmy się w najlepsze gęsty
tem lawotat nasz notniem
zostawiono placówka co się
do wsi. Wybiegliśmy przed
i rzedwo byliśmy na Nowia-
juś w podła na nas placówka
a tuż samą Zewadrony o-
gonow nieprzyjacielskich, sta-
wych xapał dopiero celna sala
nanych notniem w dół i
powrótnyma pociąg.

Dragoni robotywny zię
nana piechota gotuje do walki
cofngli zię mierzobirny nam
sady inlowy. Major Bogusław
Etmannowicz Karol piechocie
wziął na podwozy kawalerijską
runyła w arjerzardzie, albowiem
we wsi mierzobirny bitwy mysi
mowa by mienysliwych mienkam.
Cóż Etmannowa mienoraiac na
kontrebucy i mowy.

Kawaleria mierzobirni
smiladowata nas ciagle i w.
Docnie chisala nas wciagnęć do
walki mając pod ręką kilka
siedem rot piechoty i kilka
armat. Etmannowicz przewidział
manewry i skończył notmien nam
tagat o myśli bitwy. miedut
wego porwotemia chego wydrat
i na saki Etmannowicz abyśmy zię
noyli o las opmy.

2.

Łopaliemy się wrotui wywołani
Dnewani wysadzonej drogi tu
wci madowe futoronej nadro-
zie tuś E miewanie Parrew.
Łornutriti Ma. Łornutriti ze wo-
im plutanem ractamiat odr-
wrot piechoty a odrnelewu-
jae się dziełnie Tnymań na-
cierajacych ciagle dragonow
w przywoitej dytanciji.

Tak donbimy na mała
Dobnie przypierajacy do
lasu. Tu przybyła już ci-
piechoty nieprzyjacielskiej
i byliśmy emunem przyja-
bitym. Piechota nana xlar-
a worow i roepowat się ogień
Tyraltietti. Wiara nfa w
wypróbowany w dwudni-
kilstu bitwach lub potycz-
bagnet her Kormendy a o-
ttem hura! Jence Polik
mierznieta! rucsta się re-
nieprzyjaciela, słowem pr-
rasony siła napadu o
myślarze w lecie

Chciał ich rapaś bojowy nie
co ochłodzić a oddziaływać na
temu uciążliwym na nasz
powrót dać nam się morder
manerą i własnymi ranami -
Daliśmy się straszyć i stras
sów celnych i których skutek
był przewidywany t.j. morder
Dostali komendę iści i ino
głównie dwudziestu i pół
wyjeżdżali Richner ewentualnie
myśle na naradę. Co koni wy
stawa powróciliśmy do Litwy
nowic i wiadomości
i dostaliśmy rozkaz wstąpi
gwieźdźca i dać się na rekon
struować w Pietrówku do nieprzy
jaciela. Było około 2^{go} godzin
ny popołudniu. Mroz i folgo
wał i przeszedł się przez dżunglę
i lasy. Str. Karol jechał
nagłodem - gdy narażony był
i myśliwcy byli do czoła

3.

ho mu stvorie wocy swie:
 cito nawolal do armie
 „Patn jednie oddiel Junony
 spopatnateu a widet rotte
 wypustiti smy crapbach
 francuskich bytem i ja pewny
 ze to nasi gdyi obydwayi ra-
 pomnischimny se to mogy
 byci Dragoni rusyji a smig
 gesty nieprowalat robaucy
 ich na odleglosti 300 lub 400
 throloiw. Madowani se nasi
 wracajg zapewne z jastiegi
 abjadu prusichimny se wy-
 cignietyu stusem stu
 nadciagajacyu - len stiedy
 prusichimny na jastie woln-
 skow - prusitata nas wolu-
 stnatoiw oddiel niepryja-
 cielskich stanq, Salwa me
 robta nam iadkej istoty
 Stanchimny Twiamno lei
 policzowy niepryja-

Wznowiłem się a miód
ze dżutaj egeciemu tuw
Wznowiłem, co mój "To-
rzej" sobie i jemu drogę
jemu nieprzejściu. Dzielnie
dopomagał nam w tym
Hebrowi. Wstrannym
Tym Tancu smiertelnym
stracił też major i tymi
nowic a major hr. Pomiński
stracił w tym a upadł
na ziemię wstał Tancami
nowic i mordercami
literalnie przetrwał. Główny
się wydostał a pomiędzy tych
żołdaków przetrwał i się drogę
chciał ja, Hebrowi i do Karol
na którego strzał bardzo obłąkał.
W tym byliśmy na froncie i po-
mimo to i jemu miemu w ra-
nowic i chcieliśmy się by
a hr. Karola upadł i ten

chwile w tej strannej wojnie
nieprzewadzonej dla chwaty
lub mierniciu kłopotu
a carów świata leci prędo-
dronej smut naród stuchają.
cy swą narodowość i energię
swego Boga: —

Prędożąc wstana tych
wielka ston strzelonych
tak jak strzelici potra-
fiem wstają

(Zpewniającem
amionym tęgą

Franciszek Longchamps
prowodnik k. w. polski
z r. 1863

zamieniony me
dzwoni ulica piekarni
N 13

Koniec Powstania!

Na nowo padła Polska wyśiłona
Zdeptana stopy okropnego kata
Orzeł biały opuścił ramiona
A kot na nowo kajdany zaplata
Ziemia nasza znova krwawo brzygną
Pod knutem jęczy pogrzebione lasy
Zasra pogoni koczem rozrzucona
Z wiosek miko dziełne białe stasy
Lecz przyjdzie ciężka wielkich niebios ka
Boć nic tak sroczno nie będzie karane
Szydlić z boleści cudry co niemiara
I tak dajesz będzie tobie dane
Wier wy to eary cesarze i knule
Domaganiami macie być groźni
Dziś to was siate natep niemieckiej kuli
Dziś to te ludy nazwane wazni
Lecz minie wszystko to i dolegliwie
I teniś i emoty napoli prochnię
Powstanie Polska dzielna i porciwie
Polje wrogow i ułana zbrodnie
Wincenty Longchamps

Rachani Rodice!

Na drizbi Boga jerdem a oborie.
Jerdem Kapitanem Sapieras anaso-
walem moje diable piers moje - di-
siaj nobilem rekonesans - dostatem ari
do karnat maskiewskich jednak zastala
juj dufetnie praxne - oddriet piskny
wile niepusz, a wiadomych prychyn.
Rachani mas' s'aiskam mas serdecznie
Maddai sis aly mi bag pammold jarre
Was wysztekich mi milych widzie' -
Lis ten paszlycii do Sukolik katechom
uklony ~~da~~ wysztekich a ucateranie
rechenek dla panny Mandy

135/1863

Francis

Prapia sporadana. wt. 1914 13/6 a Dosholysa.

Świadectwo służbowe.

Podporucznik francuski Longchamps De Neerier, który od 1. Marca r. b. służył wojskowo sprawie narodowej - mianowicie w oddziale pułkownika Oroszowskiego, majora Łapatowicza: generała hr. Goltuchowskiego, miał później udział w powstaniu narodowym w oddziale 24'eronym pod naczelnym dowództwem pułkownika hr. Wojciecha Komorowskiego, gdzie jako podporucznik 4^{ej} kompanii Żywawów mógł zasłużyć miatemu dowodzić - zastępuje na następujące Świadectwo służbowe:

Podp. Longchamps był w wykonaniu swoich obowiązków zawsze najgorliwiejszym & wszytkich oficerów kompanii, - jeżeli czasem w służbie dla podkomendnych za przetrzym, co wytkomaczy tylko zbytnią gorliwość o sprawę ogólną lub dobra kompanii; - to za to opóźnia służby był najsewerniejszym i najstarannym dla wszytkich żołnierskich kolegów - w boju walecznym i odznaczającym się prawdziwym poświęceniem życia i męstwem, które przy: świadectwie: wyrażać należy jako najsumienniejszą na karze mi: rzetelność i honor wojskowy.

Odznaczył się najprzód w dniu 2. list. 1863. przy obronie miasteczka Rzyżek na Wołyniu, które zajęte przez armię, odd. kompanii było z kilku stron jednocześnie przez kilkakrotnie silniejsze siły Moskiewskie. Podporucznik Longchamps zostawił podług tej historyi i to w liczbie 13 tylko towarzyszy mocno

wszystkich żołnierskich kolegów - w imię
się prawdziwym poświęceniem życia : męstwem, które przy-
świadczyło : wyszczerzaniem jak najsumienniejszemu na krzyżu mi-
redelności : honoru wojskowego.

Wznowił się najpierw w dniu 2. list. 1863. przy obronie
miasteczka Ryje na Wołyniu, które zajęte przez nieprzyj. str.
Kozaków było z kilku stron jednocześnie przez kilkakrotnie
większe siły Moskiewskie. Pułkownik Longchamps zostawił
podczas tej bitwy i to w liczbie 13 tylko towarzyszy mocno
na przedzie bojowej linii tyralierów, składających się z
samych tylko ochotników batalionu kirasierskiego, których
daniem było na południowej części miasta przeszkodzić
rozwinęciu się gorąco nacierających tyralierów moskiew-
skich - mianowicie na ostatniej linii za częścią
katalicką : gdzie walczyli i nieogromione tylko
poświęcenie naszych amantów nieprzyjaciela bez porównania
silniejszego do odwrotu : cofnięcia się w las pobliski.
W boju tym por. Longchamps męstwem swoim : nieustra-
szoną odwagą dał przykład wzorowy, oraz zebrał sobie
w wszystkich kolegów szacunek : braterskie przyznania
nie. - Świadczą mi to wieści z tego dnia wszystkie
z 70 wspomnianych ochotników,

1) sam bawien & moja własną kompanię, potem z 1^{sz} komp. zwaną
Kilką ludźmi 3 kompanii ciawców bronitem w skutek otę-
manego rozkazu wschodnio-północnej części miasteczka, zajmując
Cmentarz izraelski, gdzie od lasu nacierających Kozaków mu-
siatem odpierać. -
Póź. Longchamps odwrócił się potem dnia 3. listop. 1863 pod wieś
Peretoki, na drodze leśnej Stanisławki samą granicą rep. - austriacką,
gdzie oddział nasz pierwszy raz przez Austriaków, potem w chwili
później po raz drugi przez Austriaków jakoby: przez wojska
rosyjskie przeważeni siłami atakowany został. Po pierwszym
ataku Austriaków odpadło znaczna część naszej piechoty: kilku
oficerów, których najbardziej znużeni i zmęczeni zapowiadano
nam jeszcze marszu wytrzymał się nie spodziewając przysz. pro-
porcy dowódcy do cofnięcia się: podania - propozycji wymu-
szonej na wózek tak przez Austriackie wojska, jak i niemieckie prze-
bitkę okoliczności, niedoradzając & powodni nasuwających się ana-
nych sił Moskiewskich żadnego innego środka catorwania oddziału,
jak dyktum udawaniem się w głąb Wołynia lub Hrubieszowskiej,
co ten szeregowiec uskutecznie spodziewaliśmy się pospieszając za
naszym dowódcą. Po chwili rozbił się znów zaatakowani
przez Austriaków, których nam znów potęgę prawie drugą
naszej piechoty zabrali. - ~~Wtedy~~ ~~Komandor~~ ~~z~~ ~~brzo~~ ~~zamy~~
na czele ruszając pospieszenie droga napród w wspomnianym
celu pędząc się, za nim pozostali oficerowie nasi,
którym nuzcy na konie posiadali, jakoby kilkusetu po-
zostawiając ich kilku bezsilnych...

jak szybkiem udawaniem się w głąb Wotynia lub Hrubieszowskiego,
co też szerszemi uskutecznili spóźnialiśmy się pospieszając za
naszym dowódcą. Po chwili zostaliśmy znów zaatakowani
przez Austriaków, którzy nam znów potęgę prawie drugą
naszej piechoty zaśleli. — Wtedy Konie i konie
na czele ruszali pospieszenie drogą napród w wspomnianym
celu przedarcia się, za nimi porostali oficerowie nasi,
którzy uszyby na konie powstawali, jeżeli kilkunastu po-
zostatych kawalerów, który kilka będzie przy boku furgonów
dopadli: o ile to było możliwem za dowódcą jeszcze po-
dziali. Ja wtedy nie mogłem w braku konia za konie
podążyć a z towarzyszą kompanii widząc tylko na wozach
pozostatych, musiałem już dla kompletnego znużenia proszę
wodza o moją dymisję, którą otrzymałem a niemogłem sam
zresztą, być się jako oficer Austriacki przeciw stawiającemu
nas Austriackiemu wojsku, poddać się na słowo honoru
dowódcy Austriackiemu oddając mu moją szpadę: Elwobaw.
— Kiedy odchodząc przygotowanym pos: Longchamps, nadaremnie
prosząc, by się odemnie nie oddał, i niepotrzebnie sam siebie
nie narażał, widząc w stanie w jakim były rezerwy — że wszystkie
zupetnie stracone; i chociaż się nie myliłem odzyskać bowiem
rezerwy w kilka minut potem rozpuszczonymi zostali z
rozpaczą dowódcą, który niemogąc się już utrzymać, życie tej
szlachetnie poświęcając się młodego koniecznie chciał uratować.

ukazy podp. Longchamps - to sam w istocie był oddziałem - 2 zapo-
mniejszą granic i najwyższym posiłkiem silił się do boju je-
cie ochotników i w ostatniej chwili kilkunastu na wozach
bełgach kawałków usilnym ściganiem i do dwojki przemaszającym
głosem zatętniał, a dzielność podziwiał polskiego oficera w sz-
tytaliach sformował: na ich ciele z podziwieniem gołym męstwem
naprawdę Rozaków już z lasu nacierających się nucił.

Tęcza w boju nie miała do ostatniej chwili a opierał bohater-
stwa posiłkiem: odważył się na najlepszy dowód niepospolitych
przymiotów jako oficer, który sam jeden sformował tych sztytaliach
(z ciał reszty pozostałych kawałków) i sam jeden ich poprowadził w
ogień z którego ich także przy rozpuszczeniu oddziału szeroko-
rozmownie wyprorokował. -

- Po rozpuszczeniu oddziału przez Jm. Rtm. hr. Komorowskiego, z po-
wołaniem przez niego już wstąpił wzięty podany - i rozchodził się
za powrotem do Kraju a Kozłami mojemu, który się obawianym
stwierdziło to stowiem i imieniem Turcy: stwierdził je moim
sumiennie stowiem honoru, Dali wzięty takowe Kozłom
memu: przyjacielowi francuskiemu Longchamps tak w dowód u-
znania prawdziwych jego zasług - Kłó: w Dziennikach Kra-
jów nieominione zostały - jak: w dowód uszanowania,
które winieniem i dochowałem Bogomnie dla kolegów, który
zasług przynosi szeregom, w których sturij.

- Proszę go, żeby został moim przyjacielem i chciał mieć
nadął zachować w swej szynce i Kozłanów pamięci. -

za pomocą tożsamości w imieniu Turcy: stwierdził je moim
sumiennym słowem honoru, Dali: wzięty takowe Kolor
mienia: przyjaciół: francuski: Longchamps tak w dowód u-
znania prawdziwych jego zasług - Kolor: w Dziennikach Kra-
jów: nieominione zostały - jak: w dowód uszanowania,
Kolor: winieniem: i dołożeniem: dożgonie: dla Kolor: który
zasług: przynosi: szeregom, w Kolor: sturij.

- Proszę go, żeby został moim przyjacielem i chęć ma
naśladować w swej dyscyplinie: Kolor: an'skiej pamięci: -

- Nominacja Pana francuska Longchamps, miano-
wany Podporucznikiem przy Królu Narodowy, - ożłoszoną
została w rozkazie Dziennym bodiatu 1^o Wołoskiego
z dnia tego 1863, i tamie zawarta została.

Switarion dnia 6 listopada 1863.



Jan Larmulier
Kapitan

Viapica.

Jany 29 grudnia 1863

1. 69.

1863.

Wachani Radnice Dobrodzieje!

Dziś przychodzę do sprzeczności pisania do Was
mój drogi i Wachani, czy list dojdzie o tem niemałym ~~listu~~
~~pracy~~, Baga aby Komisarz nie przeszedł. Wrzucił pod Wachani
dostał pranie pranie i oddał swoje kanale, pod inne
kamionki - a sam jak zwykle uciekł do Galicji.

Tutaj znalazł się oddział Jacy i z tym samym
i Weberem Mosen stary i oddział Emicki - uciekło
mnie to bardzo iem znajomego.

Jedem u Dawidowskiego adjuutantem i wziętym an nary-
wa mnie swoje, praca reba, wziętym marce i nymija-
nia robie się moim planem iże iżem mnie chęć to i
samu Was i iżem niedroga - pracy mam dacie to przesła-
tem mam rado to nymadgradenie do kiedy nas junoska Rato
Tykowie opuszt sam moim utonem iżem i planem
iżem iżem leż baje pranie dątkadziem oddział w prosta-
stien.

Dziś stacymy się po kraju i niema dnia aby nie było
pułkownicy. Prania mam iżem iżem.

Wschodnim Morsen słuną w oddziale Cwikła - ciężyło
mnie to bardzo iem znajomego.

Jestem u Barisiołkiego podjąłtem i wziętem an nary-
wa mnie swoje, proszę i Pa, wzięte masze i nymija-
nia robie i, majem planem iże cięży mnie chce to i
darmo Was i ciebie niedroga - pracy brami dacie to proszę
leż mam rado to nymadymienie do Riedy nas funora Rato
Tyrkowie opuszt sam majom utonem i tawonem i planem
i tawonem leż boja prawie dąpramiednem oddział w podla-
skiem.

Dziś wzięłem cię po kraju i niema dnia aby nie było
pułkarni. Planie mam iżele nieczego leż i uganiam i mu-
szę pobrać.

Kaj Także Ruchem niech mi Także niema tego za iże co
wziętem sam wzięte tak jak użyciu i tawonem i tawonem
pułkarni - Dziś niech pobrać Ruchem i tawonem i tawonem
pułkarni i to jest naszym i tawonem i tawonem.

Ruchem, Mam, Loris, Władis, Minis, Wład, Ruchem Ma-
rynis i Ma, Ruchem i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem
maga, goły to jest chwała i tak użyciu.

Famie Wandis i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem
rynis aby do Pa. Wandis napisata i pani Dybawońcis
i tawonem i tawonem.

Pa, Ruchem i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem
i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem

Koja Pola i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem
i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem i tawonem

Wynob w sprawie Rotmistrza
Żebrowskiego przeciw Dowódcy 1st plutonu
Zawickiemu.

Dnia 23 Września Rotmistrz Żebrowski przy
kontrolu rozdania efektoi wojennych zastrak
przemocny odzwaniem się Porucznika Zawickiego.
~~Na dwustronny tyranizm~~ na samej rozdania.
Wypadek Rotmistrza Żebrowskiego wstrząsnął chwał
Dowódcy „cicho” Porucznik Zawicki zachwał
odpowiedzial przy żołnierzach Dowódcy „sami
bądź cicho.”

Mając na względzie subordnacja wojtkom
Ład Wojenny za przekroczenie przeciw niej
skazuje Porucznika Zawickiego na pełnienie
w kole z bezogowymi widel w przeciagu
24 godzin z odjęciem na ten czas praw ofi-
cerskich

Mając na względzie swe powołanie
nieetyczne Rotmistrz Żebrowski poddał do
uchwały swej przy rozpatrzeniu skarży Rotmistrza
Żebrowskiego na pełnienie służby oficerskiej
w przeciągu 24 godzin.

Amery Łada Kapitan Sztabu

Sędziemu Sędziemu

Variato in u. obore Dnia 28 Grudnia
1863,

Karywanig Pauet Gabian, sgn. M.
muna, a. l'ho, bawda nadan, lat
Bog. H. Pau. S. B.

[illegible]

2. Name most of the
 spruce-bark tree in
 the most of the
 we say it is a
 meich

1800

Handwritten signature: *James G. Smith*

ponciwar abrodin i a wietala
poset wrong w same prany m
nad wojenny uia prany
Wojennego Nacelnika. Wajennego
Grodnińskiego, Borskiego i Todor
Wroga i Wajennego. Wajennego
nad nad wojenny wroga wabo
wroga nad nad wojenny wroga
Ten doic'urto i w prany wroga.

Nad wojenny wroga wroga
Wroga i w podoficene Wroga wroga
podoficene Wroga, a podoficene
Wroga i wroga na Wroga wroga.

Prany wroga Wroga wroga
Wroga wroga Wroga wroga

Jakajla
Wroga wroga

Wroga wroga Wroga wroga
Wroga wroga Wroga wroga
Wroga wroga Wroga wroga
Wroga wroga Wroga wroga

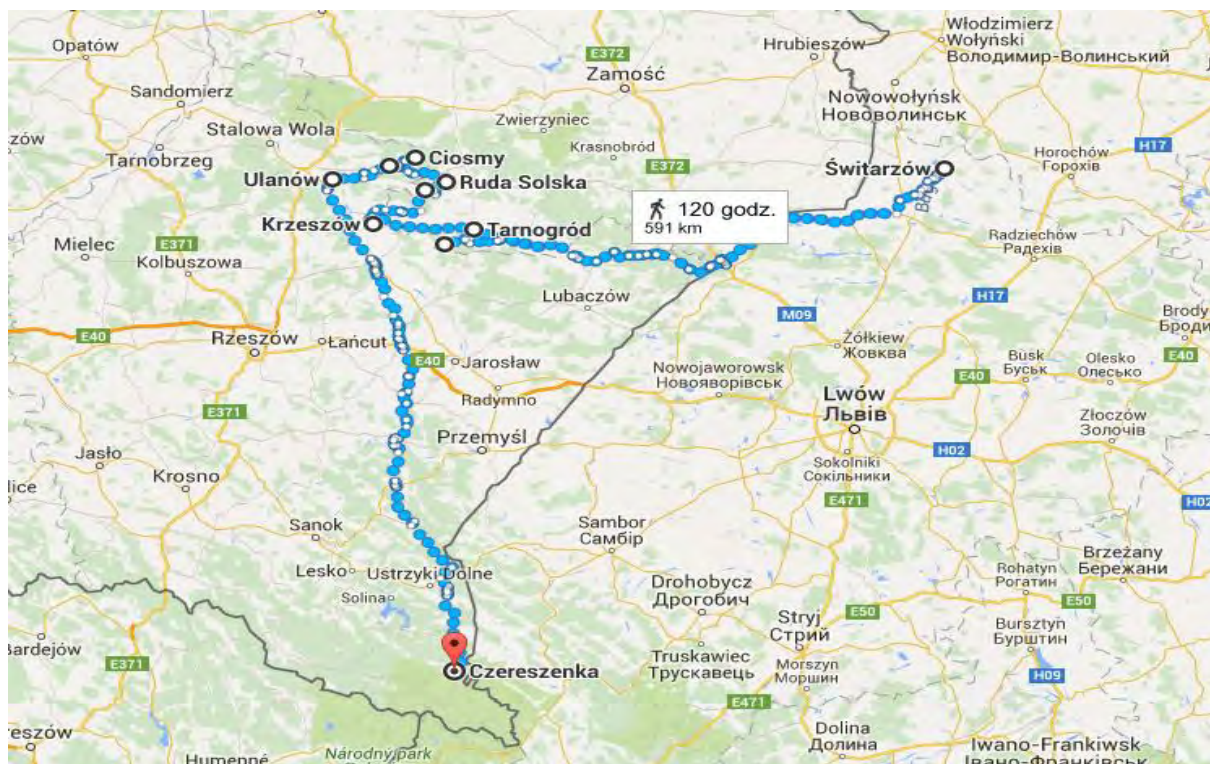
Wroga wroga

Wroga wroga

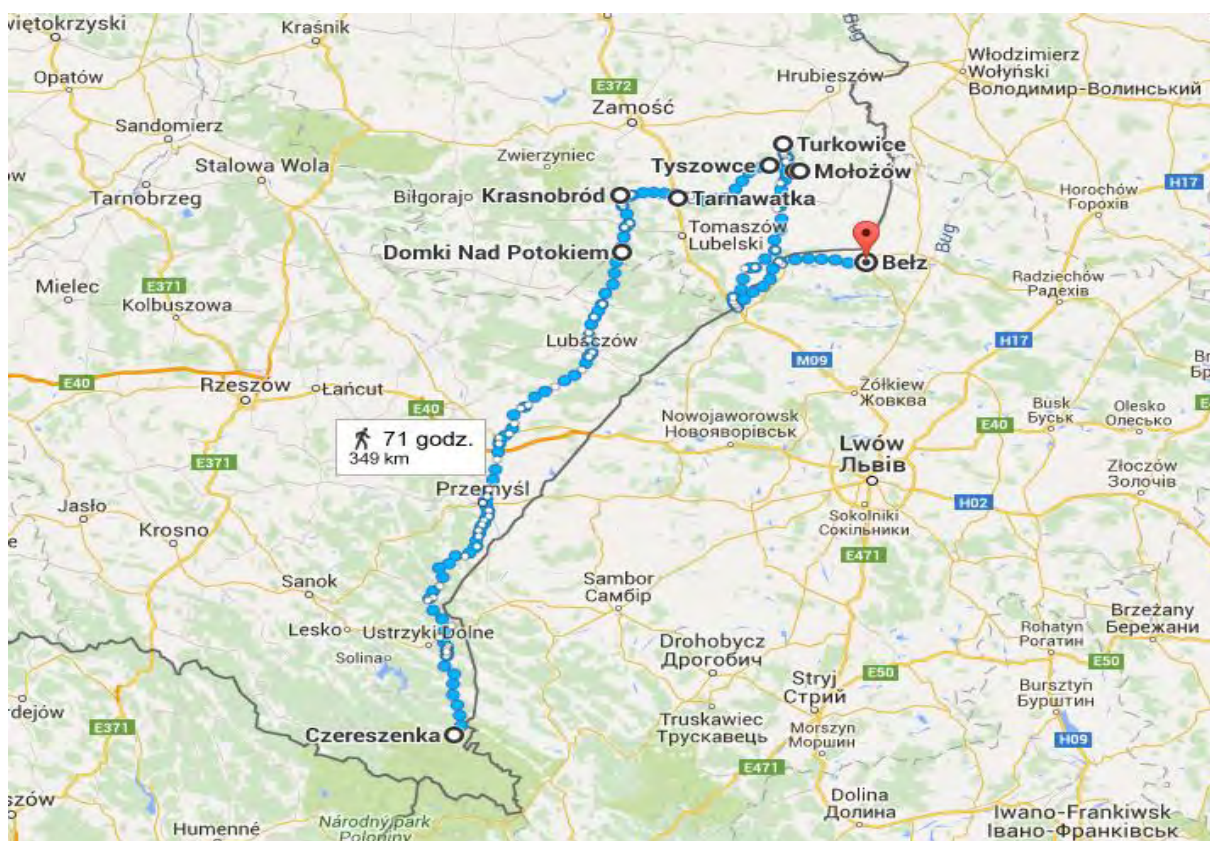
Wroga wroga

Wroga wroga

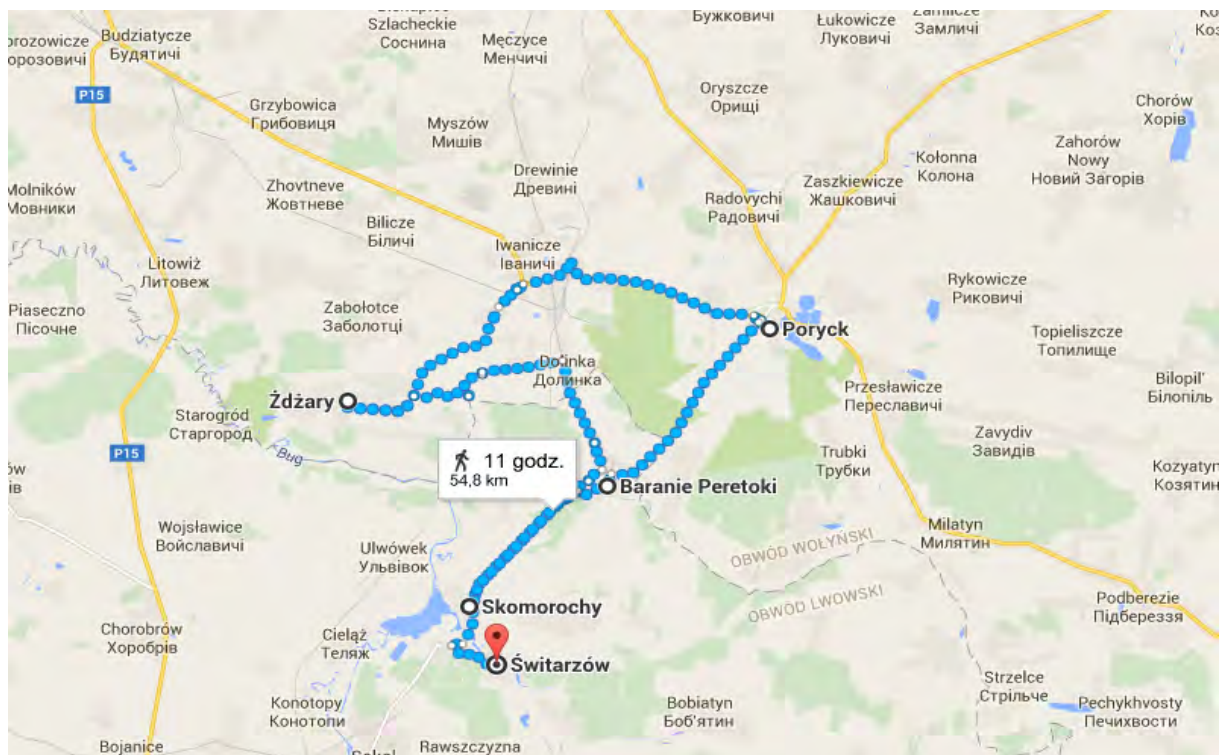
Wroga wroga



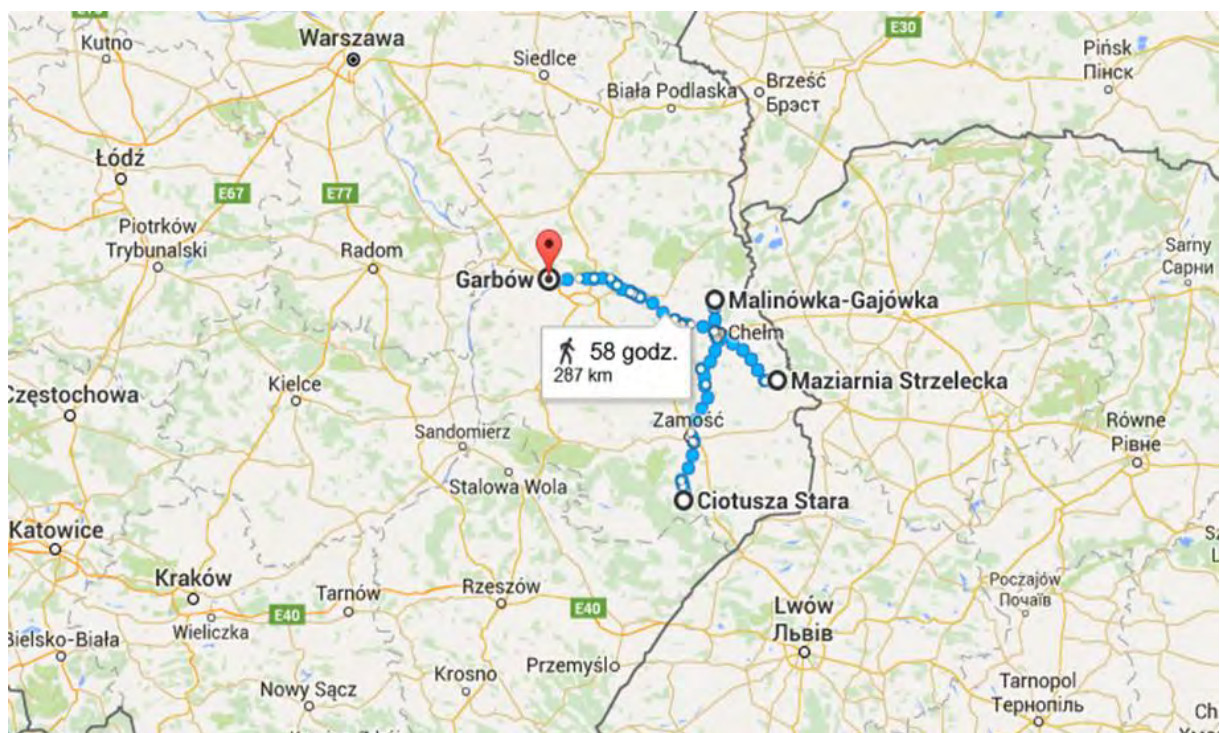
Mapa 1 Kampania - Dowódca Leon Czechowski



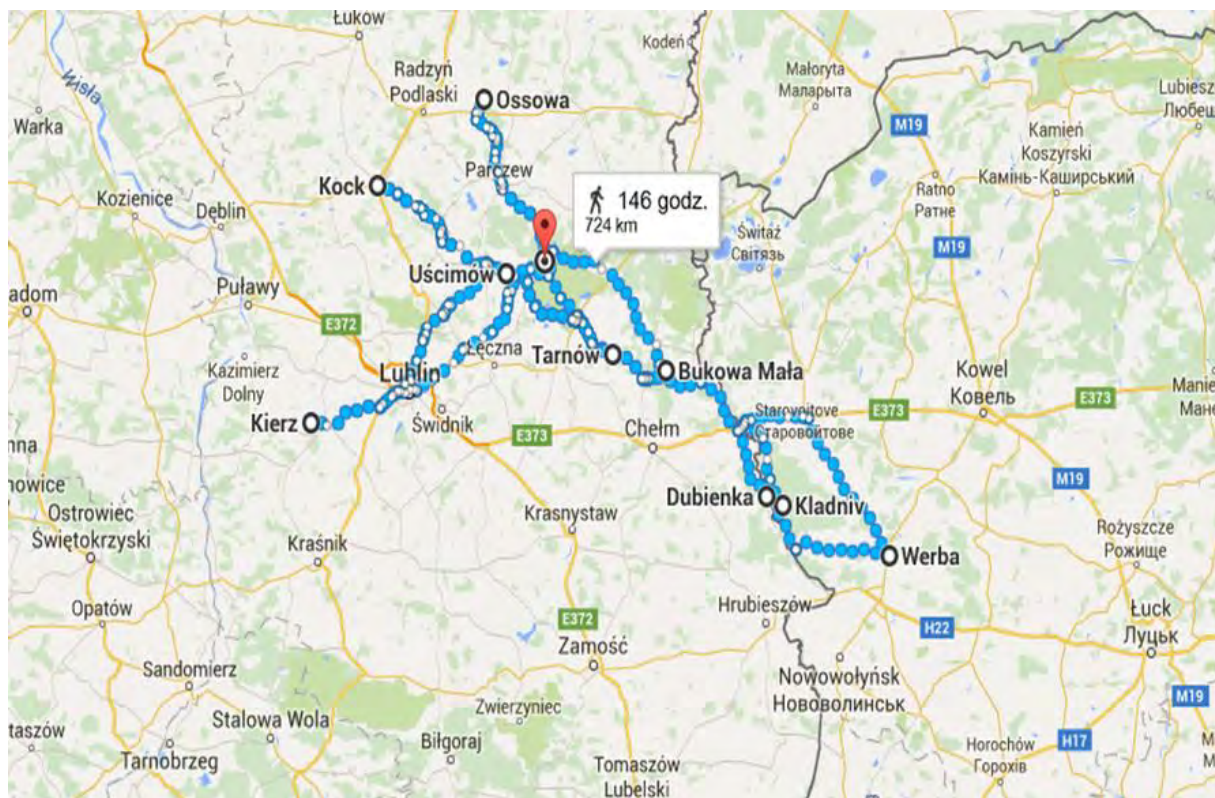
Mapa 2. Kampania - Dowódca Żalplachta-Zapałowicz



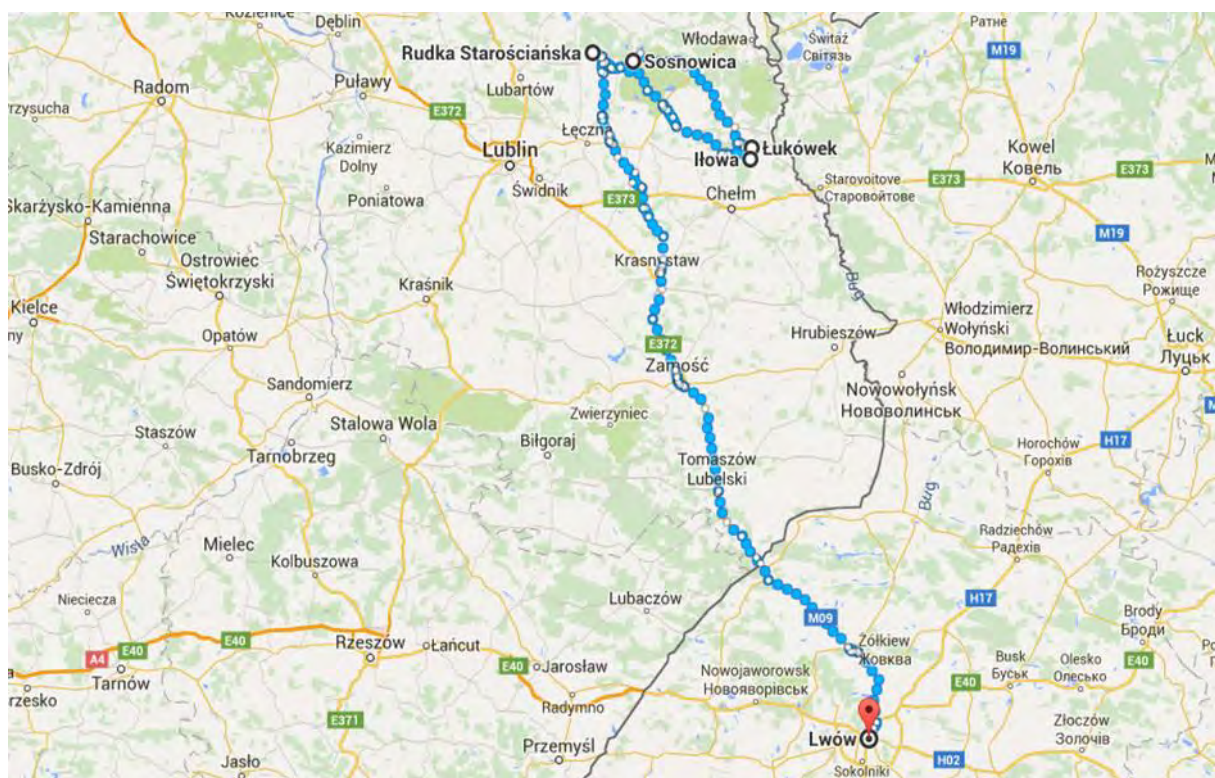
Mapa 3. Kampania-Dowódcy: Rochebrun, Komorowski



Mapa 4. Kampania - Dowódca Adolf Otto-Junosza



Mapa 5a. Kampania-Dowódcy: Poniński, Wróblewski



Mapa 5b. Kampania – Dowódca Wróblewski

Bibliografia

1. **Barancewicz Antoni** „Ostatnie dni konnego litewskiego oddziału „ Wydawnictwo 1903
2. **Białynia- Chołodecki Józef** Księga Pamiątkowa... , Lwów 1918
3. **Białynia – Chołodecki Józef** „Dąb-Dąbczyńscy i Jan Żalplachta. Przyczynki do dziejów Powstania Styczniowego”, Lwów
4. **Białynia – Chołodecki Józef** „Kamilla Poh, Szkic biograficzny „ Lwów 1896
5. **Brykczyński Stefan** „Moje wspomnienia rok 1863
6. **Biblioteka Dolnośląska** „Ostatnia wyprawa wołyńska przez E.O.d. M.Kobyłańskiego ...1863 „ - rękopis
7. **Dallmajer Roman** „Moje wspomnienia z powstania 1863 – 1864 roku”
8. **Franciszek L. von Erlach** „Partyzantka w Polsce w r. 1863”
9. **Echo Przemyskie 1908 – 1909**, Pamiętnik szeregowca gwardii z oddziału Zapalowicza
10. **Feduszka Jacek**. „Lubelszczyzna w 1863 i 1864 roku”
11. **Gazeta Narodowa Poznań** 1878 nr. nr 162, 164, 165, Kalinowa „ Wyprawa na Poryck
12. „**Galicja w Powstaniu Styczniowym**”, Materiały i Dokumenty Warszawa 1980
13. **Grzegorzewski Franciszek** „Wspomnienia osobiste z Powstania 1863 roku” Lwów 1903
14. **Kozłowski Eligiusz** opracowanie, Zapomniane Wspomnienia, Wydawnictwo Pax 1981
15. **Longchamps de Berier Bogusław** „Ochrzczony na szablach powstańczych... Wspomnienia (1884-1919)
16. **Longchamps de Berier Franciszek**, 1. List Franciszka LdeB do Chołodeckiego - oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
17. **Longchamps de Berier Franciszek** „List Franciszka LdeB do ojca Bogusława z obozu pod Tyszowcami- Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
18. **Longchamps de Berier Franciszek**, „Pamięci spalonych pod Tuczepami” Kronika Powszechna Nr.5 z 1 lutego 1913
19. **Longchamps de Berier Franciszek**, List Franciszka LdeB do córki Heleny Estreicherowej- oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
20. **Longchamps de Berier Franciszek**, List Franciszka LdeB do NN Lwów 1.IX.1888 r. Opis śmierci Karola ks. Ponińskiego- Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
21. **Longchamps de Berier Franciszek**, List Franciszka LdeB do rodziców Tarnów 29 grudnia 1863 - oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
22. **Longchamps de Berier Franciszek**, List Franciszka LdeB do córki Heleny Estreicherowej Ławoczne zima (styczeń ?)1907 rok- Oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
23. **Longchamps de Berier Franciszek** „List do córki Heleny Estreicherowej Ławoczne 15.01. 1903 - oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
24. **Opalek Mieczysław**, „O Lwowie mojej młodości” Ossolineum 1987
25. **Organizacja** sztabów wojsk narodowych powstania 1863 r Wydawnictwo 1903 r
26. **Patelski** „Lwowianie pod Tyszowcami” Niezależna Gazeta Obywatelska w Opolu
27. **Poleski Park Narodowy** – Historia regionu Poleskiego Parku Narodowego
28. **Romanowiczówna Zofia**, „Z dni krwi i łez „ (1863 – 1864) Lwów Pamiętnik
29. **Romanowiczówna Zofia** „ Czy pamiętam” Kronika Powszechna 1913 R.4nr.5
30. **Stella-Sawicki Jan** (1831-1911)- rękopis Ossolineum, „Pamiętniki Pułkownika Strusia z lat 1863 i 1864 spędzonych

w Galicyi”

31. **Sikorski Adam** „ Mapa tajemnic Kronika zwiadowców historii Franza von Erlacha rebusy dla poszukiwaczy”
32. **Stark Juliusz**, Kronika Powszechna Nr 5 1913
33. **Sobolewski Sławomir**, „Bój pod Osową – 31.12.1863”
34. **www.genealogia..okiem.pl**
35. **Wyrok w sprawie Rotmistrza Żebrowskiego** przeciw Dowódcy 1-ego plutonu Zawickiemu - oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier
36. **Wyrok Sądu Wojennego w sprawie ułana Pawła Gębicza**. - oryginał dokumentu w posiadaniu Mieczysława Piotra Longchamps de Berier